

S. Askenazy

Wczasy
Historyczne



WCZASY HISTORYCZNE

SZYMON ASKENAZY

WCZASY HISTORYCZNE

WYDANIE DRUGIE



Drukarnia i Litografia JANA COTTY, Kapucyńska Nr. 7 w Warszawie.

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I S-KA

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 18467



BGZs 18467

Дозволено Цензурою
Варшава, 10 Декабря 1902 года.



18467

943.8

TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	VII
Korespondent Stanisława-Augusta	1
Niemcy o Polsce	20
Lauzun	39
Pamiętniki pani Potockiej	54
Szwolężerowie	72
Generał Chłapowski	85
Ferrand	108
Ks. Adam Czartoryski ministrem rosyjskim	119
Sprawa polska przed Kongresem wiedeńskim	140
Pani Lieven	155
Literatura orleańska	184
Stendhal dyplomata	201
Mérimée	225
„Opik“ nienawiści	242
Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej	255
Polityka naukowa	270
Widoki Azyi	285
Pisma Włodzimierza Spasowicza	301
Stosław Łaguna	386
Przypisy	399

PRZEDMOWA.

Ta książka wymaga, być może, pewnego usprawiedliwienia. Dając zgodę na zbiór niniejszy, dalecy byliśmy od przecenienia zawartych w nim przyczynków. To są rzeczy ulotne i przygodne. Powstały raptownie, pod wpływem nastroczonych pobudek zewnętrznych, bardzo rozmaitych. Ale powstały, śmiemy twierdzić, pod jednym wspólnym wewnętrznym kątem widzenia. Powstały z jednego wspólnego poglądu na naukę dziejową i interes publiczny. Miały swego czasu zosobna, teraz mają pospołu, na swój sposób, przyłożyć się do zbudzenia rzeczywistego, rozumnego zajęcia dla spraw historyczno-politycznych doby nowożytnej, i to w najobszerniejszym zakresie. A więc, w zakresie polsko-europejskim. Stają tutaj nasamprzód, oczywiście, na pierwszym planie sprawy czysto polskie. Zaś w organicznym z niemi związku wynurzają się następnie europejskie. Czy będzie chodziło o francuskiego pretendenta czy o angielskiego męża stanu, o rosyjskiego profesora czy o niemieckiego powieściopisarza, byle tylko dobrze się rozejrzeć, wszędy ujawniają się doty-

kalnie żywotne interesy i rachunki — polskie. Świadomość tego organicznego związku należy utrzymywać i rozwidniać. Należy pielęgnować i umacniać obszerne poczucie europejskie na gruncie czysto polskim. Należy w ogólności, na sposób wszechstronny i ścisły, rozwijać i kształcić samowiedzę historyczno - polityczną w obrębie zjawisk nowożytności dziejowej. Do takiego celu, obok uczonego szlaku, wolno pewnie i przystępniejszej spróbować drogi. Wolno czasem popróbować nie z ciężkiej erudycyjnej armaty, lecz z lekkiej impresyjnej flinty. Koniec końcem, chodzi o to — aby trafić.

Z powodu artykułów niniejszych, po pierwszym ich ukazaniu się z druku, odbieraliśmy częstokroć reklamacje i wyjaśnienia od osób, stojących bliżej omawianych tu ludzi i rzeczy. O ile te uwagi dostarczały nowego materiału faktycznego, chętnie uwzględniliśmy je w edycji obecnej.

A.

Korespondent Stanisława Augusta.

Polityka i dyplomacja było to zazwyczaj rzemiosło niekoniecznie schludne. Nigdy nie było mniej czystem, jak w XVIII wieku. A było to także częstokroć rzemiosło dosyć zyskowne. Nigdy nie było bardziej popłatnem, jak w XVIII wieku. To też w ówczesnej płodnej dobie rozległych a ślizkich operacji politycznych i dyplomatycznych, jeśli istniał z konieczności wielki popyt na zdalnych pracowników w tym zawodzie, przecie większa jeszcze podaż zawsze stała na usługi. Wytworzyło się nawet pośród owej obfitej podaży pewne zjawisko szczególne, odtąd zatraczone niemal zupełnie i bodaj niepowrotnie. Wytworzył się mianowicie w XVIII wieku pewien osobny gatunek wędrownych w tym fachu zawodowców, osobliwszy gatunek polityczno - dyplomatycznych obieżyświatów. Nieznane jeszcze było, albo w każdym razie niedość uświadomione, dzisiejsze pojęcie wyłączności narodowościowej. Ta okoliczność oczywiście nader sprzyjała

rozpowszechnieniu się tamtego kosmopolitycznego gatunku. Wydawało się całkiem naturalnem, żeby Niemiec robił politykę rosyjską, albo Włoch polską. Gdyż główny trakt wędrowny owych przedsiębiorczych obywateli prowadził wtedy przeważnie z Zachodu ku Wschodowi. Zapewne, chadzali oni nieraz i innemi także drogami. Taki Eugeniusz Sabaudzki rządził w Austrii; taki Maurycy Saski trząśł Francją; taki, podrzedniejszy już nawet, Lucchesini dobrze służył Prusom. Ale to były wyjątki. Naogół, z reguły, tam, na Zachodzie, państwa i rządy europejskie używały sług swoich własnych, rodzimych. Na Wschodzie działało się inaczej. Tędy też, ku Wschodowi tłumnie biegli po zarobek albo po władzę bliżsi i odleglejsi cudzoziemscy przybysze. Przykład dali najbliżsi z brzegu, dali Niemcy w pierwszej połowie stulecia. Zawojowali oni pokojowo Rosję w okresie pomiędzy Piotrem I a Katarzyną II. Rozgospodarowali się niezgorzej w Polsce w okresie Augusta II i III. Za następnego panowania Stanisława-Augusta napłynęła już tutaj dalsza i egzotyczniejsza fala, z Francji, Anglii albo Włoch. Byli to, w ogromnej większości, prości awanturnicy. Byli, prawie bez wyjątku, co najwyżej karyerowicze. W ich liczbie, zresztą jeden z przyzwoitszych, znajdował się Maurycy Glayre.

Przed paru laty ukazał się w Paryżu luźny i nieporządkny zbiór korespondencji ze spuścizny po Glayrze. Obecnie ten zbiór znalazł tłumacza i komentatora polskiego. Czy rzecz warta była zachodu? Mocno

wątpimy. Ani słowa, p. Mottaz *) na każdym kroku objawia dla spraw polskich żywe i szlachetne współczucie. Swoją publikację ogłosił w znacznej i przyjaznej intencji. Taka intencja rzadsza dziś u cudzoziemca, niż kiedykolwiek. Należy się za nią wydawcy tem serdeczniejsza wdzięczność. Ale to w niczem nie zmienia faktu, że jego wydawnictwo nadzwyczaj szwankuje w rozlicznym względzie. W rzekomej „korespondencji“ Poniatowskiego i Glayra dwaj główni korespondenci zaledwo przychodzą do głosu. Przeważną jej treść stanowią natomiast najrozmaitsze papiery, najrozmaitszej wagi, częstokroć błażej albo żadnej wagi, znalezione przypadkiem przez wydawcę i w czambuł podane do druku. Prosta to oczywiście, ale licha metoda edytorska. Daje on zazwyczaj, jak i w obecnym wypadku, więcej słomy, niż ziarna. Publikacje tego rodzaju wymagają ręki umiejętnej a przede wszystkim umiejętnego wyboru. Zdarzyło się nam przegłądnąć w rękopiśmie sporo nieznanych listów Stanisława-Augusta do Glayra, t. j. królewską połowę rzeczywistej korespondencji obustronnej. Lecz oczywiście, jeśli je ogłosimy, to nie w całej zbytecznej i gadatliwej ich pełni, jeno w istotnie nowej i ważnej ich zawartości. Co gorsza, wydawca francuski wadliwą publikację opatrzył w jeszcze wadliwszą z gruntu apologię Stanisławowską. Działał niezawodnie w najlepszej wierze, lecz

*) Eug. Mottaz: „Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre. Korespondencja, dotycząca rozbiórów Polski“.

w najgłębszej oraz nieświadomości rzeczy. Miał w rękę trochę papierów, pochodzących od króla i agentów królewskich. Pod ich wpływem, nie widząc ani widząc nic poza tem, zbudował sobie takie mniej więcej pojęcie o Stanisławie-Auguście, jakie żywił o sobie sam król i ludzie przez niego płatni, — albo raczej jakie on i oni pragnęli, aby o nim żywiono. Gdyż on napewno posiadał zbyt wiele samowiedzy, oni — zbyt wiele sprytu, aby naprawdę mogli wierzyć we własną mistyfikację, jaką narzucali sobie nawzajem i społecznym.

Dzisiejszy wydawca uwierzył. Rozczulił się nad królem. Rozczulił nie tylko nad jego losem, zaiste dosyć tragicznym, lecz oraz nad samą jego indywidualnością, nad jego duszą, zaiste dosyć pospolitą. Tutaj wprowadzając wydawcę francuskiego wziął troskliwie w opiekę komentator polski. Sprostował niektóre za nadto jaskrawe zboczenia sądu, poprawił niektóre za nadto rażące błędy erudycji. Pomiął niejedno, inne uzupełnił. Z tem wszystkiem w rezultacie wskórał niewiele. Nie będziemy go o to winili. Tknął się rzeczy, jednej z najzawilszych i najciemniejszych: dyplomatyczno-politycznej historii panowania Stanisława-Augusta. Tutaj nie tylko nieświadomy Francuz, lecz nawet ukształcony Polak łatwo może, poniekąd musi, potknąć się, zmylić, pogubić. W rzeczy samej, jedynie w ścisłym zakresie dziejów ekonomicznych i administracyjnych tego panowania można już stąpić pewną nogą, śladem jasnych i rozległych badań p. Korzona. Natomiast w zakresie właściwych dziejów politycznych

i dyplomatycznych ciągle jeszcze przychodzi szukać drogi prawie poomacku. Morawski i Szujski, Schmitt i Kalinka, kilku innych jeszcze, dostarczyli tutaj pewnej ilości przyczynków, mniej lub więcej szacownych, lecz pozornie tylko zjednoczonych i pełnych, w istocie skrót przygodnych i ułamkowych. Całość pozostała w oświeceniu, jeśli nie zgoła fałszywem, to przerywanem, zmiennem, migawkowem, nie sięgającym zresztą do głębi, ślizgającym się raczej po wierzchu wypadków, — a właściwie, ze strony najistotniejszej, pozostała w mroku. Naukowa historia polityczno-dyplomatyczna panowania Stanisława-Augusta jeszcze zupełnie nie została napisaną. A koniecznie napisaną być powinna. Lecz właśnie dlatego nie godzi się zaniedbać żadnej okazji, ażeby tamten brak zupełny i tę konieczną potrzebę przynajmniej należycie uprzytomnić i uwydatnić. Nie godzi się też odsunąć nawet tak nieosobliwej po temu okazji, tak nieszczęśliwego pretekstu, jaki narzeczca narazie „Korespondencya Stanisława Poniatowskiego z Maurycem Glayrem“.

Glayre pochodził z ubogiej rodziny mieszczańskiej w Szwajcaryi francuskiej. Dwudziestoletnim młodzieńcem, wprost z cichego szwajcarskiego zakątka, dostał się nagle do Warszawy. Było to w r. 1764, nazajutrz po elekcji Stanisława-Augusta. Skromnego cudzoziemca wyprotegował u króla i wprowadził do kancelaryi królewskiej Franciszek Rzewuski. Rzewuski był rówieśnikiem i przyjacielem Poniatowskiego. Dopiero co, w trudnej walce elekcyjnej, położył dla niego nie-

małe zasługi. Robił mianowicie robotę najdrażliwszą: kupował adherentów. Oglądaliśmy jego kwitki własnoręczne, gdzie ze wzruszającą prostotą potwierdza odbiór pieniędzy na cele przekupstwa. Zasługi młodego Rzewuskiego dla elekta ważyły tem więcej, że głowa jego domu, hetman polny koronny, należał do przywódców opozycji i podczas bezkrólewia stał w polu przeciw stolnikowi litewskiemu. Pod taką egidą Głayre oczywiście odrazu został dobrze postawiony w zaufaniu królewskiem. Zresztą to zaufanie już z samej natury rzeczy skłaniało się łatwo ku cudzoziemcom. Samymi prawie cudzoziemcami zapełniła się od pierwszej zaraz chwili kancelarya królewska. Król nowoobрани nie miał partyi w kraju. Wprawdzie mieli swoją partyę jego wujowie, Czartoryscy, którzy go wynieśli. Ale wynieśli go oni tylko w połowie z własnej nieprzymuszonej woli. Pomiędzy nimi a siostrzeńcem wynikała tajna a głęboka scysya, zanim jeszcze on został królem. Starzy książęta niemal aż do końca łudzili się nadzieją, że zamiast niego potrafią na tron wysunąć, podsunąć którego ze swoich najbliższych, ks. Augusta, albo ks. Adama. Skryta nadzieja zawiodła. Głucha scysya pozostała i przetrwała od pierwszego do ostatniego dnia nowych rządów, napozór prawie niewidzialna, a przecie ciągle skuteczna i dotkliwa, zatruta owym szczególniejszym jadem gryzącym, jaki cechuje wewnętrzne niesnaski rodzinne. Pod względem moralno-politycznym, rzecz można, doznany zawód elekcyjny podniósł Czartoryskich. Starzy książęta, dotychczas

tylko wodzowie stronnictwa i pretendenci, opamiętali się pod koniec, że są także wielkimi obywatelami kraju. Odtąd, niestety po niewczasie, położyli większy i rzetelniejszy nacisk na reformę rządu, na ochronę samodzielności państwowej. Doświadczyli namacalnie, jak obosieczną rzeczą bywa sama intryga. Przekonali się, że w dwuznacznej grze intryg dyplomatyczno-elekcyjnych oni, najwytrawniejsi gracze, mogli zostać zdystansowani przez nowicyusza Poniatowskiego. Czemże był dla nich ten koronowany Poniatowski? Jego ojcu, awanturnikowi, byli dali swoją siostrę, aby w zdolnym i śmiałym człowieku mieć pomocnika i narzędzie. Syn obrócił ich samych na narzędzia i pomocników swego wywyższenia. Wiedzieli dobrze, lepiej niż ktokolwiek, czem był naprawdę ten syn, bez talentów i dzielności ojcowskiej, ten ich siostrzeniec, mimowoli własną ich ręką obleczony w purpurę monarszą: „dobry chłopiec“, wieczny dzieciuch, aż pod siwy włos, aż do śmierci, sentymentalny a niesumienny, subtelny a niemądry, ekspansywny a niewytrzymały, zdolny do słowa i pióra, niezdolny do decyzji i czynu, łatwy do łez i do pocieszenia, do rozpacz i do zapomnienia, urodzony pierwszy bohater z komedyi Marivaux albo romansu Laclosa, a najdziwniejszy elekt, ostatni elekt na walącym się tronie Rzplitej. Król to wszystko czuł wybornie. Zmuszony był względem wujów do respektu, nawet do wdzięczności. Oni dotychczas płacili jego długi, oni poczęści opłacili jego elekcyę. Ale zarazem pojmował doskonale, że zamierzali eskamotować

mu koronę, że mu nie wybaczyli nieudania się tego zamiaru, że go przenikali do głębi, że nie mieli dla niego szacunku. Tak ukształtował się fatalny stosunek między Pałacem Błękitnym a Zamkiem Królewskim. Stanisław-August nazajutrz po swoim tryumfie znalazł się naprawdę osamotnionym, w towarzystwie kilku pięknych kobiet, albo kilku przyjaciół osobistych, zbliżonych do niego wiekiem i sposobem życia, ludzi takiego gatunku, jak Franciszek Rzewuski lub Ksawery Branicki. Zresztą otoczył się cudzoziemcami, zaczął kokietować z bracią szlachtą, nawet z opozycją,— a co główna, oparł się na ambasadorze, ks. Repninie. Repnin to właściwie, wbrew opozycji republikańskiej, a ponieważ także wbrew swemu poprzednikowi Kayserlingowi i Czartoryskiemu, zrobił go królem i teraz pozostał główną jego podporą, radcą i kierownikiem. Z kolei jednak rządzące nici kierownicze zbiegały się oczywiście w Petersburgu. Tam trzymał je w ręku wuj Repnina, minister Panin, który wyforytował Poniatowskiego wbrew woli Orłowów, żywiących dla stolnika bardzo zrozumiałą retrospektywną nieufność i nienawiść. Z względami osobistymi łączyły się najdonioślejsze rachuby polityczne. Panin, guwerner W. Ks. Pawła, prawego sukcesora Piotra III, sprzyjał obróceniu osobistej uwagi i widoków cesarzowej Katarzyny II raczej w kierunku odległej Warszawy. Zarazem był on jeszcze w samej zasadzie nieprzyjacielem myśli podziałowej, oddawna dojrzewającej w Berlinie, a już ostrożnie inspirowanej stamtąd przez Fryderyka Wielkiego.

Wprost przeciwnie, Panin w duchu polityki Piotra Wielkiego, zmierzał jeszcze konsekwentnie do pokojowej a niepodzielnej hegemonii nad wszystką Rzplitą; oczywiście wolał mieć do czynienia zamiast z możliwym królem magnatem Czartoryskim, z bezsilnym, bezwłasnowolnym tworem swojej ręki, z ubogim, osamotnionym, zdanym na łaskę i nieszczęście królem Poniatowskim.

Wobec takich warunków, dla Stanisława-Augusta musiało zaraz z początku być sprawą pierwszej nagłości i wagi ustanowienie oddanego sobie i całkiem zaufanego przedstawiciela i pełnomocnika przy dworze petersburskim. Nie brakło tam wtedy oficjalnych wysłańców z Warszawy, było ich prędkiej za dużo, niż za mało. Wysłany był tam nasamprzód z notyfikacją o bezkrólewii młody Kazimierz Łubieński; potem, z notyfikacją o elekcji i koronacji,— referendarz koronny, Małachowski; wreszcie, w zwyczajnym charakterze poselskim, Franciszek Rzewuski. Ten ostatni przybył już z osobistą misją dziękczynną od swego monarszego przyjaciela. Jednak podzięką nie mogła ograniczyć się, rzecz prosta, do samych czułych wyrazów; musiała bez żadnej zwłoki objawić się w aktualnych sprawach politycznych. Taką była sprawa aliansu polsko-rosyjskiego, narazie zresztą dla rozlicznych względów odłożona; taką przedewszystkiem — nierównie żywniejsza i naglejsza sprawa równouprawnienia dydymentów. Rzewuski, niedość jeszcze przygotowany, okazał się bezużytecznym i już latem 1765 r. odesłany

został z powrotem do Warszawy, po przepisane mu przez Panina pełnomocnictwa i instrukcje. Latem następnego 1766 r. zjawił się znowu nad Newą, w towarzystwie przydanego mu do pomocy protestanta Glayra. Tym razem Rzewuski przygotował się do swojej misji, nawet ponad spodziewanie Panina. Przywiózł porękę pełnej gotowości królewskiej do spółdziałania w sprawie dysydenckiej. Przywiózł pod tym względem całkiem zadawalające, według własnych słów Panina „dokładne i obszerne instrukcje“. Przywiózł nadto poufną radę Stanisława-Augusta dla cesarzowej, aby wysłać oficerów rosyjskich, Karra i Igelströma, na Litwę i do Korony dla poruszenia wyszczególnionych przez króla magnatów i pomniejszych działaczy na rzecz dysydentów; tym wysłańcom, niezwłocznie też z Petersburga wyprawionym, dał Rzewuski na drogę od siebie, a w imieniu królewskim, własnoręczne pisma rekomendacyjne. Zarazem jednak uczynny przyjaciel królewski przywiózł do Petersburga jeszcze jedną rzecz najpoufniejszą: błagalną prośbę Stanisława-Augusta o trochę gotówki. Nie robił żadnych trudności wyrozumiały i ukontentowany Panin; polecił natychmiast wypłacić tolerancyjnemu królowi 50 tys. r. s. Nieco wcześniej już otrzymał był Stanisław-August od Repnina 100 tys. r. s., a miał sobie także zwrócony kwit na inne „wypożyczone“ 20 tys. r. s.

Tymczasem koło wypadków, puszczane w ruch przy bezpośrednim udziale własnej ręki królewskiej, gwałtownym potoczyło się rozpędem. Zaogniła się

nadzwyczajnie sprawa dysydencka. Zakotłowało się w Warszawie. Na wieść o wydarzeniach warszawskich przeraził się Rzewuski. Rozpłakał się. Zaczął żałośnie dopraszać się zwolnienia z urzędu. On był tego samego kalibru *bon garçon*, co i król. Tak samo miał łatwą łzę, skrucę i pociechę. „Żał mi doprawdy Rzewuskiego, — pisał Panin — bardzo go lubię. Jego wrodzona polska czułość, lekkomyślność i uniesienie mącą jego umysł. Z gorzkimi łzami imaginuje on sobie klęskę swego kraju, rozpaczliwie biada nad swoją świętą wiarą katolicką... Wczoraj był u mnie i topił się w nieutulonych łkaniach i płaczu. Dobrze on ma usposobienie i czułe serce, ale Polak, wietrznik“. Ostatecznie niefortunny poseł już w styczniu 1767 r. pośpieszył opuścić swoje stanowisko i wrócił do domu, zostawiając Glayra jako *chargé d'affaires* i tymczasowego zastępcę.

Wśród takich to okoliczności, niekoniecznie zaszczytnych, rozpoczął Maurycy Glayre swoją właściwą karierę polityczną w Polsce. Dodać należy, że po wyjeździe Rzewuskiego z Petersburga, paromiesięczne jeszcze tutejsze czynności jego „zastępcy“ były czysto fikcyjne. Wprawdzie wydawca prawi istne cuda o tej właśnie samodzielnej roli dyplomatycznej Glayra, a więc upewnia, jakoby on wówczas „otrzymał uwierzytelnienie jako minister pełnomocny“, jakoby „w zupełności usprawiedliwiał wielkie zaufanie“, jakoby „umiał zyskać sobie szacunek i łaskę cesarzowej“. Aliści wszystkie te piękne rzeczy są poprostu wyssane z palca. Ce-

sarzowej Glayre najpewniej nigdy nie widział na oczy, póki był tylko sekretarzem Rzewuskiego. Zaś po jego wyjeździe przez cały czas pozostał w Petersburgu, chociaż dwór był wtedy w Moskwie. Tyle tylko mogliśmy stwierdzić, że jego nieciekawe depesze do króla ulegały w Petersburgu perlustracji, lecz nic w nich nie znalazło się godniejszego uwagi. Do Moskwy wyprawiono z Warszawy rezydenta Psarskiego, który dobrze był obznajmiony ze stosunkami miejscowymi i dobrze płatny z kancelaryi Panina. Glayre już w kwietniu t. r. powrócił do Warszawy. Wrócił tutaj do swej pierwotnej służby kancelaryjnej przy królu. Służył mu zresztą, ile sądzić można, z gorliwością a nawet przywiązaniem. Awansował też dość szybko w godnościach i płacy. Wkrótce został zaufanym sekretarzem królewskim, „aktualnym tajnym radcą gabinetowym“. Patrzał się zbliżka, jako świadek naoczny i uczestnik, na rzeczy niezwykle i opłakane. Widział konfederację radomską, konfederację barską, pierwszy podział kraju.

Do tej to mianowicie katastrofy, do spraw pierwszego rozbioru znajdujemy w niniejszej „Korespondencji“ nieco incydentalnych wprawdzie, lecz niepozabawionych pewnego interesu, nowych przyczynków. Dotyczą one rzekomej akcji Stanisława-Augusta, w celu uzyskania pomocy Francji przeciw skutecznieniu podziału. Nie ulega wątpliwości, że dla Stanisława-Augusta znaczyło to zwrócić się pod najniewłaściwszym adresem. Był on obrany królem wprost przeciw woli Francji. Stosunki oficjalne pomiędzy nim a rządem francuskim były

przerwane. Silił się wprawdzie król utrzymywać przy najmniej stosunki etykietałne z dworem wersalskim. Pisywał do Ludwika XV bardzo pokorne listy, na które zwykle bardzo późno odbierał odpowiedzi bardzo lakoniczne. Tak n. p. powinszowanie swego obioru otrzymał od Ludwika dopiero we dwa lata po swojej elekcji. Nie zrażał się tem przecież i skwapliwie korzystał z każdej sposobności, choćby tylko z ewenementów fafamiljnych w domu bourbońskim, aby kondolować z powodu zgonu Delfinowej, albo winszować z powodu ślubu hr. Prowancyi. Ale to wszystko oczywiście nie znaczyło i nie prowadziło do niczego. Obecnie, w 1772 r., zerwał się naraz Stanisław-August, aby w Paryżu szukać — rzekomo — ratunku. Miał on tutaj od dawna pewnego agenta, dobranego do siebie sługę, niejakiego Moneta, którego wydawca nazywa „generałem“, którego znamy skądinąd jako dezentera z Towarzystwa Jezusowego, który sam nazywał siebie dyplomata, i który w rzeczywistości był pospolitym wydrwigraszem. Temu mężowi powierzył król zapoczątkowanie „akcji“ ratunkowej. Dla jej uwieńczenia posłał z „misją“ nadzwyczajną do Paryża Ksawerego Branickiego. Mieliśmy w ręku dosyć pism własnoręcznych Branickiego z tych czasów. Możemy zaświadczyć sumiennie, że on nie potrafił napisać trzech wierszy po francusku, żeby nie popełnić w nich dziesięciu błędów ortograficznych, wołających o pomstę do nieba. O polityce europejskiej, nawet o formach dyplomatycznych nie posiadał najlżejszego pojęcia. Tacy to dwaj ludzie

mieli negocjować z księciem Aiguillonem w sprawie powstrzymania trzech zjednoczonych potężnych mocarstw od wykonania konwencji podziałowych, już szczegółowo umówionych, nieodwołalnie postanowionych i formalnie spisanych, a już nawet wtedy nie będących sekretem dla nikogo, — zaś najmniej chyba dla Stanisława-Augusta. Gdyż stwierdzić jasno potrzeba, że król nie był bynajmniej zaskoczony zniecka przez niespodziankę rozbiorową, — jak to on sam w następstwie dla swego usprawiedliwienia starał się wmówić opinii, — lecz przeciwnie, nawet o rokowaniach przygotowywanych, poprzedzających pierwszą prusko-rosyjską konwencję styczniową, dość wczesne i pewne posiadał wiadomości. Zresztą nieraz mu to później będzie wypominane tak wyraźnie, że wypierać się nie będzie miał sposobu. Wypomni mu, między innymi, z brutalną otwartością, w żywe oczy, wobec zgromadzonych Stanów, ten sam Branicki, przeistoczony tymczasem z serdecznego druha na śmiertelnego wroga, wypomni w swojej głośniejszej mowie sejmowej 1786 r., usuniętej dyskretnie z epurowanych dyaryuszów. A jednak król, uprzedzony zawczasu o zawieszoną nad krajem groźbę, aż do ostatniej chwili nie ruszył palcem dla jej zażegnania. Czegóż więc teraz po niewczasie, prawie już „po łapach“, chciał od Francji? Spóźniona misja ratunkowa paryska wygląda poprostu na farsę. Otóż była nią w rzeczy samej, i nawet podwójnie. A więc, nasamprzód, ta misja, rzekomo trzymana w ścisłym sekrecie przed ambasadorem rosyjskim, Stackel-

bergiem, w rzeczywistości inscenizowana była za jego wiedzą i aprobatą. Stackelberg, który, wedle trafnych słów Aleksandra Woroncowa, „uważał Rzplitą za dojną krowę“, był właściwie, podobnie jak i Panin, w zasadzie przeciwnikiem podziału. Podział przeparty został w Petersburgu w pierwszym rządzie przez Orłowów i Czernyszewa. Panin pod koniec uległ, pozyskany zresztą przez Fryderyka. Ale, bądź co bądź, im wszystkim zależało wiele na tem, ażeby przynajmniej możliwie ograniczyć działy austriacki i pruski. W tym zaś celu chwilowy, bodaj sztuczny nacisk ze strony Francji mógł okazać się nader użytecznym, a mianowicie chwilowa, bodaj pozorna ewentualność rosyjsko-polsko-francuskiego porozumienia mogła korzystnie wpłynąć na pomiarkowanie austriacko-pruskich zapędów okupacyjnych. Rzecz była zbyt drażliwa, ze względu na Berlin i Wiedeń, aby tykać się jej na własną rękę; a zatem najdogodniej było użyć usługowej ręki polskiej. To jedno. A druga strona farsy na tem polegała, iż owa paryska wyprawa ratunkowa miała ratować nie tyle kraj, zagrożony podziałem, ile finanse królewskie, zagrożone bankructwem. „W braku innej pomocy, — tak instruował król Branickiego — staraj się skłonić (dwór wersalski) do przyznania mi subsydyów“. Trzeba to jednak zrobić jak najrzęczniejsz i jak najostrożniejsz, żeby czasem, broń Boże, ministrom francuskim „nie nasunąć myśli, — zaudto niestety naturalnej i namacalnej, — że subsydy są zbyt cenne, ponieważ złe jest już nieuniknionem“. „Wszystko, o co proszę — pisał jeszcze Stanisław-Au-

gust — jedyna rzecz, którą mogą tam dla mnie uczynić, jest wydobyć mnie przez tajemne subsydia pieniężne z ostatecznej nędzy, którą nieprzyjaciele nasi uznali, z pewnem uzasadnieniem, za skuteczny środek, aby mnie doprowadzić do zdania się na ich łaskę“. Należy dobrze rozważyć i ocenić te znamienne wyrazy: „z pewnem uzasadnieniem“ (*avec quelque fondement*). Król nie wahał się położyć ich na papier. Nie wahał się przyznać przed obcym ministeryum, przed zagranicą, przed światem, że „uzasadnionem“ było przypuszczenie, iż on dla braku pieniędzy gotów jest na wszystko. Widocznie zatracił już nawet poczucie konwenansu. Zatracił nawet poczucie śmieszności. Gdyż oczywiście przedewszystkiem była kapitałnie śmieszna ta osobliwsza pretensya, ten osobliwszy — żeby rzeczy nazwać po imieniu — rodzaj szantażu, z jakim król zwracał się do obcego rządu: dajcie tu zaraz pieniądze na moje prywatne potrzeby, bo inaczej — zaakceptuję podział mego własnego kraju. Wszakże ks. Aiguillon nie kwapił się pieniędzy francuskich wyrzucać za okno. „Misy“ paryska Branickiego, podobnie jak i pokrewna jej współczesna misya londyńska Bukatego, skończyła się na niczem.

Ale król inaczej dał sobie radę. Niedługo opierał się naleganiom mocarstw. Opierał się akurat tak długo, i, co najważniejsza, w tej mianowicie rzeczy, póki i gdzie wymagał tego własny jego interes osobisty. Albowiem dwie, zgoła odrębne, rzeczy miał on przed sobą na sejmie podziałowym warszawskim: sankcję podziału

i nową organizację rządową w kraju, zostawionym z podziału. Królowi nietylko pierwsza, ile właśnie druga sprawa leżała na sercu. Chodziło mu mianowicie o skutki nowej organizacji rządu dla niego osobiście. Pod tym najaktualniejszym dla niego względem, rychło, już w grudniu 1773 r., doszedł do porozumienia ze Stackelbergiem. Wtedy od razu zgodził się na resztę. Wziął zaraz kilka tysięcy dukatów ze wspólnej kasy poselskiej. Jeszcze czas jakiś udawał opór dla zachowania pozorów. Mówił, jak ów komendant twierdzy do oblegających: „*mais tirez moi donc des coups de canon, pour que je puisse me rendre avec honneur*“. Podał się wprawdzie nie z honorem, ale bez najmniejszego dla siebie szwanku. Pozostał przy swojej „nędzy“, t. j. przy siedmiomilionowych z górą dochodach. Uzyskał nadto zapłatę swoich długów, które zresztą — zwracamy uwagę na tę niedopatrzoną okoliczność, w znacznej części podał fikcyjnie, do wypłaty podstawionym przez siebie fikcyjnym wierzycielom, własnym swoim kreaturom. Uzyskał wreszcie sutą indemnizację za wyrzeczenie się dystrybucyj starostw. Koniec końcem, można twierdzić bez ochyby, że na pierwszym podziale kraju Stanisław-August zrobił wcale niezgorszy interes.

Maurycy Glayre musiał bezpośrednio dotykać się tych wszystkich operacji. Szwajcar zbyt był przenikliwy, zbyt dobrze umiał liczyć, aby mógł naprawdę zachować jakiegokolwiek złudzenia co do moralnej wartości swego monarszego protektora. Nie przeszkodziło

mu to jednak bynajmniej służyć bez złudzeń królowi jeszcze przez lat kilkanaście. Służba jego polska naogół, jak rzekliśmy, była gorliwa, nawet uczciwa, jakkolwiek nie zawsze przezroczysta. Używany był niekiedy do funkcji raczej dwuznacznych. Taką, nader dwuznaczną rolę odegrał on, między innymi, w ówczesnym wolnomularstwie polskim. Około 1780 r. objawiło się niezwykle ożywienie organizacji wolnomularskiej w Warszawie. Została ona poprowadzona, pod inspiracją wielkiego mistrza, Ignacego Potockiego, w kierunku skoncentrowania wszelkich łóż polskich pod zwierzchnictwem Wielkiego Wschodu warszawskiego. „Niebawem jednak — opowiada baron Heyking, jeden z najczynniejszych wolnych mularzy, a świadek skądinąd całkiem bezstronny i wiarogodny — pojawiły się w łóżach dwie przeciwne partye: niejaki Glayre, Szwajcar, był głównym siewcą rozdwojenia i tajnym przywódcą jednej partyi. Umiał on wmówić słabego króla, że Potocki zamierza, przy pomocy wolnomularstwa, stworzyć sobie potężne stronnictwo w Rzplitej... Król się zatrwożył, uwierzył w tę bajkę, zaś Glayre podjął się wybadania całej tajemnicy, dostawszy się w tym celu do związku. Zwrócił się on też do samego Potockiego, który, nie podejrzewając niczego, obiecał go przyjąć... Glayre prosił, aby go przyjąć odrazu na mistrza. Uzyskał istotnie pierwsze stopnie, lecz wkrótce musieliśmy żałować naszej wyrozumiałości. Wywołał on rozterki i nieufność pomiędzy braćmi i, jakkolwiek trzymał się za kulisami, przecie bardzo dawał się we znaki“.

Glayre popasał jeszcze w Warszawie aż do początku 1787 r. Wysiedziało on w Polsce lat dwadzieścia kilka, posiadał nawet indygenat. Ale się nie spolszczył, jak niektórzy wyjątkowi jego towarzysze, jak Deboli albo Laroche. Przeciwnie, miał już zupełnie dosyć i króla i Rzplitej. Oszczędnie żyjąc, dobrze płatny, zebrał tutaj trochę grosza, z którym śpieszył wynieść się cało do domu. Powiedzieliśmy, że był on jednym z przyzwoitszych pośród pstrej napływowej czeredy owoczesnej. Wszakże po tylu latach pozostał zgola cudzoziemcem. Śród onych obieżyświatów on należał do typu obieżysasa, który z uciulanym dorobkiem wraca w rodzinne zagony. Wrócił do swojej Szwajcaryi, zdaleka już tylko utrzymując coraz radsze stosunki z ginącą Polską i patrząc zdaleka, jak ten ginący okręt, w samą porę opuszczony, szarpał się, pękał i zatonał.

Niemcy o Polsce.

Wiemy dosyć dokładnie, jak względem siebie postępują państwa. Mniej wiemy, co o sobie myślą narody. Narody, nie rządy. Narody w swojej wielkiej nieśmiertelnej całości, nie w pewnych tylko odłamach, albo jednym śmiertelnym pokoleniu. Ani słowa: ważnać to rzecz i zasadnicza tamten materyalny stosunek wzajemny państw. Ale niezmiernie ważny jest również ten duchowy stosunek wzajemny narodów. Ważny zwłaszcza, kiedy istność narodowa przeżyła państwową. To też nie dość wiedzieć, co z polskiem miały do czynienia obce państwa. Dobrzeby także wiedzieć, co o polskim myślały obce narody. Tego szukać nie w urzędowych traktatach, dekretach, ani ustawach, nie w samych dziejach politycznych, ale w pomnikach uspołecznionej myśli i słowa, w dziejach kultury i piśmiennictwa. A poszukać warto i nawet potrzeba. Taka ankieta w dziedzinie czysto cywilizacyjnej powinna stanowić właściwe dopełnienie trzeźwej samowiedzy politycznej, a tem samem, — zgoła nie osłabiając jej jakimś fałszywym sentymentem, lecz podwyższając punkt widzenia i roz-

suwając widnokrąg — powinna klarować ją, miarkować i uszlachetnić.

Dr. Arnold takiej ankiety podjął się dla Niemiec *). Dał wprawdzie nie rzecz samą jeszcze, lecz dopiero przyczynek. Dał książkę, niewolną od błędów, a obfitującą w przeoczenia. Jego „Historia literatury niemieckiej w rzeczach polskich“ jest właściwie tylko rozumowaną bibliografią. Bibliografią zresztą dosyć niekompletną, w dwóch zwłaszcza działach arcyważnych: dla doby humanizmu oraz dla doby saskiej. Jednak taka, jaką jest, ta książka pracowita, treściwa, dogodna w użyciu, a przedewszystkiem nawskróś przedmiotowa, zrodzona z czystych pobudek naukowych, wykonana w duchu oświeconym, pogodnym i bezstronnym, jest to książka dobra i pożyteczna, która niejednego nauczca i niejedno daje do myślenia.

„Póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Od tego starego przysłowia rozpoczyna rzecz swoją dr. Arnold. Wszak rozpoczyna po to tylko, aby zaraz zastrzedz się, iż ono mieści w sobie nie więcej, jak jedną część prawdy, nie całą prawdę, iż szczególnie w zakresie kulturalnej wymiany i rozwoju obu narodów bezwzględnego zastosowania mieć nie może. I tak jest niewątpliwie. Uczciwe zastrzeżenie dobrze myślącego Niemca można, we właściwych granicach, chętnie przyjąć i spokojnie potwierdzić ze strony polskiej. A nawet

*) Dr. Robert Arnold: „Geschichte der deutschen Polen-Literatur von den Anfängen bis 1800“.

można je pojaśnić i pogłębić z wyższych, rozleglejszych założeń dziejowych, wznosząc się ponad poziom ciężkich i bolesnych doświadczeń społecznej doby.

Narody, sąsiadujące o miedzę, rzadko żyją ze sobą jak bracia. Nie było też zgoła braterskim pożycie polsko-niemieckie. Jednakże, wszystko razem biorąc, przecież pierwotnie nie było ono bynajmniej wyłącznym wpływem prawdziwej, powszechnej i przyrodzonej nienawiści plemiennej. Gdzieindziej, z drugiego końca Niemiec i Europy, taką nienawiść istotnie wytworzyły dzieje. Tam, od ściany południowo-zachodniej, gdzie stara Germania styka się ze starszą Italią, tam to, na gruncie plemiennym i cywilizacyjnym, wyrosła rzeczywistość, żywiołowa nienawiść narodowa germańskich zdobywców dla jadowitych, choć bezsilnych *falsche Wälsche*, a tych znowu nawzajem — dla niezmożonych, żarłocznych, barbarzyńskich najeźdźców, płynących *della Magna*. Jakże odmiennie w porównaniu z tamtym straszliwym pojedynkiem włosko-niemieckim, ciągnącym się bez zmiłowania przez szereg stuleci, przedstawiają się natomiast stosunki polsko-niemieckie. Zapewne, i tutaj, od ściany północno-wschodniej, były długie i srogie zaiargi sąsiedzkie. Były najprzód, w przeddziejowej pomroce powszechnego falowania ludów w tej części Europy, zacięte walki polsko-germańskie, tak samo aliści jak polsko-litewskie, bez żadnej wyjątkowej wyłączności takich lub innych czynników nieprzyjaźni plemiennej. Była potem jedna, najwyłączniejsza, na śmierć i życie, walka z Zakonem. To znaczę atoli, nie-

tyle walka z samą niemczyzną jako taką, ile z jedną potężną instytucją, która, jakkolwiek zrodzona u źródeł rzymsko-germańskiego imperyum, przedstawiała się przedewszystkiem jako zamknięte przedsiębiorstwo kosmopolityczne, jako rodzaj zbrojnych jezuitów we wschodnio-europejskim Paragwaju, która zarówno wydawała na rzeź słowiańskie wsie, jak i niemiecki Gdańsk, zarówno ciemżyła i wysyłała podbitych osadników niemieckich, jak i tępiących tuziemców słowiańskich, i która też, podcięta polsko-litewskim orężem, została ostatecznie złamaną i zwaloną przy dzielnej pomocy samychże duszonych przez nią Niemców, oddających się pod opiekę polsko-litewskiego państwa. Ten akt dobrowolnego oddania się pod opiekę korony polskiej, uczyniony z pełną, dojrzałą i samoistną świadomością przez spokojne żywioły osadnicze, reprezentujące, na przeciw grabieżczych żywiołów krzyżackich, prawdziwie twórczą i zdrową treść kultury niemieckiej, jeden z najpiękniejszych i najrzadszych aktów dziejowych, był zarazem wskaźnikiem tych zdrowych kulturalnych stosunków sąsiedzkich, jakie mogły i powinny były istnieć pomiędzy dwoma wielkimi narodami, należącymi jednakowo, z różnego prawa, acz z rozmaitych tytułów, do wielkiego zespołu cywilizacji zachodnio-europejskiej. Takie też stosunki wzajemne wytworzyły się niebawem i rozwijały w ciągu dwóch następnych stuleci. I wszędzie, pośrodku tych stosunków, objawiła się na równych prawach i z jednakową mocą, a ciągle w drodze czysto pokojowej, wysoka, samorodna, współ-

mierna sąsiedzkiej, potęga asymilacyjna narodu polskiego. Jeśli niemczył się Śląsk, natomiast skorzej jeszcze i szczerzej polszczyło się mieszczaństwo niemieckie po miastach polskich. Zaś nadewszystko polszczyły się tamte Prusy Królewskie, i one to, urastając w dobrobyt pod polskiem berłem, a zarazem coraz bardziej przejmując się, z własnego instynktu, nieprzymuszonym, nienarzuconem uczuciem wiernopoddanego przywiązania i wdzięczności dla Najjaśniejszej Rzplitej, w pierwszym rządzie były powołane objąć pośrednictwo w dziedzinie cywilizacyjnego obcowania pomiędzy ówczesnymi Niemcami a ówczesną Polską.

To kulturalne obcowanie sąsiedzkie, pod każdym względem dobroczynne, było przecież — stwierdzić zaraz potrzeba — z obustronnym nakładem i z obopólną korzyścią. Dużo z niego wyniosła Polska, ale dosyć także do niego wniosła. Nie z samych tylko Prus Królewskich, lecz z dalekich oraz krajów niemieckiego imperyum godni mężowie i młodzieńce garnęli się po strawę i po swobodę duchową do oświeconej Polski wieku złotego. Pełno nazwisk żaków niemieckich znać się w księgach matrykularnych gościnnej Jagiellońskiej Wszechnicy. Tutaj, w murach starego Krakowa, sławny Niemiec Celles swoje łacińskie układał ody, tutaj, jego śladem, zjawiali się zdaleka liczni jego rodacy, i nie po to tylko, aby uczyć, lecz także aby swój kaganek zapalić u światła erudycji i ogłady polskiej. — Wprawdzie i z drugiej strony, młodzi Firleje, Zamoyscy, Sapiehowie, skwapliwie śpieszyli po naukę na

wszechnice niemieckie w Pradze, Lipsku, Strasburgu, wprawdzie niejeden erudyta polski ukształcił się na dziełach humanistów niemieckich, niejeden także mógł szczycić się przyjaźnią i korespondencją uczonych Melanchthonów i Erazmów Rotterdamskich. Jednak, naogół, do samego raczej źródła wiedzy ówczesnej, do Bononii, Padwy, Rzymu, do błogosławionych Włoch Odrodzenia, albo też do Paryża, do świetnej Francji Walezych i uczonej Etiennów, przeważnie udawano się z Polski; i nieraz nowe objawienia renesansu, wprost stamtąd wyniesione przez polskich pielgrzymów, dopiero okólną drogą na Wisłę przychodziły do Niemców, którzy poznawali piosnki Anakreonta z transkrypcji Kochanowskiego, albo też z rozmyślań Maryckiego i Frycza czerpali nauki republikańskie Arystotelesa i Cyserona. Zresztą te Niemcy nieszczęsne XVI i XVII wieku, rozdarte przez walki religijne, pustoszone przez obce najazdy i wojnę domową, nie mogły inaczej, jak z podziwieniem, jak z pewnego rodzaju deferencją, spoglądać na wspaniałą budowę Polski ostatnich Jagiellonów i pierwszych Wazów. Ostatecznie, gdyby z tych czasów ścisły zrobić obrachunek, nie wiadomo jeszcze, po czyjej stronie byłby dług, a po czyjej wierzytelność. To też lepsi Niemcy ówcześni uświadamiali sobie doskonale i wdzięcznem sercem zachowali w pamięci ów dług duchowy, zaciągnięty względem pokojowego sąsiada polskiego. Co więcej: wdzięczność niemieckich dłużników możnej i gościnnej Polski kwitnącej, niebawem, w blizkiej pomroce zawieruchy szwedzkiej zro-

dziła gdzieś tam szczere spólcucie zacniejszych niemieckich świadków katastrofy i klęsk Polski zgnębionej, najebranej i krwawiącej. Z głębi Niemiec odezwały się głosy protestu przeciw nielitościwej inwazji szwedzkiej, przeciw brandenburskiemu uczestnictwu w grabieży. Poczciwy obywatel Frankfurtu nad Menem, pisarz „*Polonia suspirans*“, żałośnie opłakiwał cierpienia „wzdychającej Rzeczpospolitej“; uczony Schuppius przepowiadał z jej upadku opłakane dla Europy skutki. To też wielki wysiłek narodowy, który Rzplitą wydzwignął z potopu, powitany został aplauzem powszechnym światłej opinii publicznej niemieckiej. Niedługo, a już odratowaną Polskę obsypuje komplementami wspaniały Leibnitz, chwala Niemiec i Europy, i, podszyty pod nazwisko polskiego szlachcica, służy swoją radą w bezkrólewiu Polakom, swojego patrona zaleca im na króla. Wreszcie, po niewielu latach, po raz ostatni najświetniejszym, choć przelotnym blaskiem zaświeciła gwiazda Rzplitej polskiej: odsiecz wiedeńska, odsiecz dana Zachodowi, a przede wszystkim niemieckiemu cesarstwu, postawiła Rzplitą u szczytu popularności na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech. W apoteozie zbawiciela ukazała się wspaniała postać Sobieskiego; dokoła jego osoby cała powstała literatura; zaś w pierwszym rzędzie piśmiennictwo niemieckie z niebywałą obfitością, wierszem i prozą, w niezliczonych utworach najrozmaitszego gatunku, w historii i odzie, w dramacie i nawet romansie, głęboki oddało mu po-

kłon. Takim było pożegnanie Niemiec a Polski XVII stulecia.

Koniec tego stulecia oznaczony był nowym wypadkiem, arcydoniosłym dla dalszego rozwoju zobopólnych stosunków. Elektor saski, wikary Świętego Państwa Rzymskiego, najpierwszy po cesarzu książę Rzeszy, potomek jednego z najstarożytniejszych rodów pranie mieckich, został królem polskim. Siedmdziesięcioletnie rządy saskie w Polsce, jakkolwiek w swoich skutkach opłakane i dla Saksonii i dla Rzplitej, musiały przecie sprzyjać niepomatu kulturalnej wymianie polsko-niemieckiej. Istotnie, sama Saksonia wnet wydała obfitą literaturę o Polsce, przeważnie treści historycznej, prawoznawczej albo opisowej, zasilaną wprawdzie przez takich, jak Ranft albo Fassmann, ociężałych pedantów, lecz naogół ludzi życzliwych i uczciwych, którzy np., aczkolwiek Sasi, zdobywali się na apologię ex-króla Leszczyńskiego. Wtedy to także najbujniej zakwitło niemieckie o Polsce piśmiennictwo w starych Prusiech Królewskich. Zaczyna Lauterbach ze Wschowy, uczony Hartknoch z Torunia, nadewszystko zaś znakomity Lengnich z Gdańska, a za nimi legion pośledniejszych, lecz pracowitych i dobrze myślących ludzi nauki i pióra, z niemałym pożytkiem w mowie niemieckiej zasługiwali się polskiej Rzplitej. Ci ludzie bardzo kochali swoją ściślejszą ojczyznę, swoje Prusy, ale nie inaczej, jak Litwin wtedy kochał swoją Litwę, i nie inaczej też, niemniej szczerze, oni już nauczyli się kochać swoją obszerniejszą ojczyznę polską. Nawet w Toruniu, pomimo nie-

szczęsnej sprawy toruńskiej za Augusta II, mocno zresztą rozdmuchniętej z umysłu przez sąsiadów, te uczucia patryotyczne przetrwały aż do końca. Najpiękniej atoli wyrosły i wyszlachetniały w starym Gdańsku. Gdańsk jeszcze za Batorego mocno rozprawił się z koroną, ale odtąd ostatecznie został najwierniejszym jej sługą. Najlojalniej odtąd, w najcięższych potrzebach dziejowych, dotrzymał jej wiary. Zawczasu zamknęli wrota przed Szwedem rozważni Gdańszczanie, i kuszeni od niego, jeszcze od wielkiego Gustawa Adolfa, w imię germańskiej wspólności krwi i protestanckiej wspólności wyznania, do dobrowolnej zgody a zdrady, mocno i godnie powołali się na swoją przysięgę daną Najjaśniejszej Rzplitej, od której ani na religii, ani na wolności, ani na handlu nie znają krzywdy, zdeklarowali się dobrymi Polakami i dobre swoje miasto polskie ustrzegli od wspólnego nieprzyjaciela. Tak samo znowu po upływie stulecia skwapliwie w swoich murach udzielili schronienia wygnańcowi Leszczyńskiemu i kosztem krwi swojej i mienia bronili go do ostatka. I jeszcze pod sam koniec, po drugim podziale, do ostatka bronić będą wstępu pruskim wojskom Fryderyka Wilhelma II. Albowiem oni, starzy Prusacy polscy, najmocniej nienawidzą tych nowych Prusaków brandenburskich, których oni znają najlepiej. Dobrze oni pamiętają ów zbójcecki napad nocny Krzyżaków na ich miasto w początku XIV wieku, rzeź 10,000 bezbronnych mieszczan, kobiet i dzieci, pożogę i jęki, domy i towary puszczone z dymem, mury z ziemią zrównane. A zarazem już w świeżej mają pa-

mięci niesłychane nadużycia fiskalne, otwarty rozbój celny, dławiącą i chciwą rękę Wielkiego Fryderyka. Tem łatwiej przychodzi im przywiązać się do Rzplitej. Gdańsk, zachowując po dawnemu swoją staroświecką odrębność cywilizacyjną, której nikt w Polsce nie myślał tykać, ani gwałcić, jednocześnie duchem połączył się z Polską z własnego popędu. Już w połowie XVII wieku ukazuje się tutaj gazeta w języku polskim. W XVIII wieku, za Sasów, piśmiennictwo gdańskie w rzeczach polskich, choć oczywiście przeważnie w języku niemieckim i łacińskim, rozrasta się nadzwyczajnie i cenne wydaje owoce. Zresztą w tym czasie z tłoczni gdańskich ukazuje się również sporo dobrych druków polskich. Lubili chwalić się wtedy Gdańszczanie, że w ich mieście mówi się i pisze najczystszą mową niemiecką i najlepszą polszczyzną. Wtedy także, z powodu trzechsetnego jubileuszu dobrowolnego przyłączenia Prus Królewskich do Rzplitej, oni to najgłośniej i najwymowniej pośpieszyli uwiecznić słowem i drukiem drogą dla nich rocznicę. Wszakże najpoważniejszy jest w tym okresie plon naukowy i pisarski jednego niepospolitego Gdańszczanina, niezapomnianego Bogumiła Lengnicha. Wielki to uczony i wielki patriota polski. Kiedy wydawał pierwsze swoje dzieło *„Die polnische Bibliothek“*, na karcie tytułowej w tych słowach oznaczył miejsce wydania: *„Tannenberg, wo Vladislaus Jagyello die Creutz-Herren schlug“*. Odtąd, długim szeregiem znakomitych badań historycznych i prawnych, zapisał swoje imię na najzaszczytniejszych kar-

tach nauki polskiej. Jego „Prawo publiczne polskie“ stanowi, zdaniem naszym, po dziś dzień najdoskonalszy i najprzejrzystszy obraz prawno-politycznego ustroju dawnej Rzplitej i stanowić powinno obowiązkową lekturę każdego dzisiejszego historyka polskiego.

Po opłakanej dobie rządów saskich nadeszło nie-
szczęsne panowanie Stanisława Augusta. Król poliglota mówił po niemiecku równie dobrze, jak po francusku albo włosku. Jednak wołał osobiście otaczać się głodnymi cudzoziemcami awanturnikami z dalekich Włoch, Francji lub bodaj nawet Ameryki. Mimo to, stosunki wzajemne polsko-niemieckie, w dziedzinie piśmiennictwa, nauki i sztuki, żwawo posuwały się naprzód. Wawrzyniec Mitzler de Koloff, doktor, szarlatan, dziwak i erudyta, zaczął wydawać w Warszawie obszerny zbiór przekładów z polskiego p. t.: „*Warschauer Bibliothek*“, dla zapoznania Niemców z literaturą polską, przedsięwzięcie, później dalej prowadzone przez Steinera. Gorąco powstawał krewki Mitzler na niesłuszny przesąd, jakoby mowa polska była zanadto „surowa“ dla ukształconego zachodniego ucha; „napewno można — wołał w przedmowie do swojego wydawnictwa — równie pięknie i czule wysłowić się po polsku i równie też dobrze pisuje się w tym języku, jak po francusku albo niemiecku“. Wielu tłumaczy, a między nimi zasłużony na innem polu Linde, poszło za tym przykładem. Najobficiej był tłumaczony ze współczesnych Krasicki; niemal wszystkie jego utwory: „*Myszeis*“ i „*Doświadczyński*“, „*Bajki*“ i „*Pan podstoli*“, ukazywały się niezwłocz-

nie w niezgorszych przekładach niemieckich. Sam sławny Herder nie pożałował trudu, aby klasyczną łacinę Sarbiewskiego oddać wytwornym wierszem niemieckim. Z niemieckiego „*Leksykonu* żyjących uczonych Polaków“ spolszczonego Niemca, kanonika Jänischa-Janockiego, bibliotekarza Załuskich, dowiadywano się na Zachodzie o poważnej społecznej reprezentacji nauki polskiej. Przyzwyczajono się też rachować się z nią sumiennie i na seryo. W *Minerwie* Archenholtza, *Przeglądzie* Schlözera, *Zapiskach Getyngenskich*, zaczęto najskrupulatniej zdawać sprawę z ruchu piśmienniczego w Polsce. Niemalą jest zasługą owych polskich Niemców, czyli raczej niemieckich Polaków, owych Lengnichów, Lauterbachów, Mitzlerów, Janockich, iż tak skutecznie wywiązali się ze swojej roli pośredniczej. Zastąpić ich, prawdę rzekłszy, nie potrafilibyśmy po dziś dzień. Żadną miarą nie możemy się łudzić, żebyśmy dzisiaj tak systematycznie, konsekwentnie i rozumnie — jak to oni byli czynili przed stuleciem, — umieli dzisiaj przypominać i przyswajać Zachodowi własną naszą kulturalną robotę, a tem samem do liczenia się z nią zmuszać i należny jej budzić szacunek. Jeśli dzisiaj taki Mommsen wyrывa się z ryczałtowem potępieniem polskiego „barbarzyństwa“, to napewno twierdzić można, że sto lat temu sama niemiecka *Respublica litterarum*, przed wszelką protestacją polską, pierwsza byłaby zamknęła mu usta. Prawda: i wówczas znalazł się w Niemczech wielki człowiek, który barbarzyńcami ogłaszał Polaków i dowodził, że oni nie mieli, nie mają i nigdy

mieć nie mogą ani prawdziwej ogłady, ani prawdziwej literatury. Ale ten człowiek nazywał się Fryderyk Wielki. On zaś, rozczytany w Wolterze, rozpisany we własnych niegramatycznych bazgrołach francuskich, tak samo swoich własnych Niemców nazywał barbarzyńcami, tak samo dowodził, że nie masz literatury niemieckiej, a nie znał i znać nie chciał społecznych sobie Lessingów i Kantów: z takim sędzią, rzecz prosta, o sprawę polską spierać się żadnego niema powodu.

Oświecone społeczeństwo polskie doby Stanisławowskiej umiało jednak czynić różnicę pomiędzy Berlinem a Niemcami, pomiędzy Fryderykiem a kulturą niemiecką, i tej ostatniej nie omieszczało odpłacić się wzajemnością. W Warszawie śledzono bacznie postępy piśmiennictwa niemieckiego. Wprawdzie naogół, w myśl gustów króla Stanisława albo szambelana Trembeckiego, w myśl głębokich, zadawnionych tradycji krajowych i powszechnego wtedy w całej Europie kierunku, zapatrywano się raczej na świetne wzory francuskie. Ale też bynajmniej nie zaniedbywano niemieckich. Dość zajrzeć do „Rymotwórstwa“ Krasickiego, aby się przekonać, iż biskup nie tylko znanym był u Niemców, ale także sam doskonale był obeznany z ich literaturą. A świetny książę poetów, — który coprawda zanadto bawił się w dworaka i *bel-esprit* przy boku króla wierszoklety w Berlinie i Sanssouci, — nie był wcale wyjątkiem. W Warszawie ukazały się z kolei liczne przekłady polskie z niemieckiego. Chętnie tłómaczono i naśladowano idylle Gessnera i bardzo widać czczono miłego sie-

lankowego poetę, skoro w jednej wielkopańskiej bibliotece warszawskiej spotkaliśmy się niedawno z wiązką własnoręcznych jego listów, z pietyzmem przechowanych. Bogusławski, „ojciec teatru“, obznajmiał publiczność stołeczną, często z własnych przekładów, z Lessingiem, z początkującym Schillerem, którego „Zbójców“ co rychlej pośpieszył wystawić, a nawet z Kotzebuem albo Ifflandem. Uczono się także dużo po niemiecku, jak świadczy już ta okoliczność, że słynna gramatyka niemiecka Gottscheda doczekała się w Warszawie trzech wydań u Grölla. Skorośmy jego wymienili nazwisko, godzi się choćby jednym słowem zaznaczyć tutaj, w tym związku, jego niemałe zasługi. Warszawski przemysł księgarski i wydawniczy utrzymał się od owych czasów przeważnie w rękach polsko-niemieckich. Ale Michał Gröll pozostał najwybitniejszym z tego szeregu typem księgarza-wydawcy w wielkim stylu, na sposób europejski, na sposób Cottów, albo Perthesów, Brockhausów albo Dunckerów, Plonów albo Murrayów, typem nietylko księgarza-kupca, ile księgarza-obywatela, od którego też niejednej rzeczy mógłby nauczyć się niejeden z jego dzisiejszych sukcesorów w zawodzie.

Nadeszła tymczasem wielka katastrofa podziałowa. Walki barskie i pierwszy rozbiór nie znalazły odpowiedniego echa w Niemczech. Opinia publiczna była tutaj jak gdyby zaskoczona wypadkiem, nie mającym precedensu, a była także zbита z tropu kunsztownem pomieszczeniem spraw polityki a tolerancji, sprawy podziałowej a dysydenckiej. Schubarta elegia do „*Polonii*“, Wie-

landa pochwała dla Reytana, to było narazie wszystko. Natomiast dokonanie rozbioru ułatwiło wyprawy podróżników niemieckich, szczególnie do działów pruskiego i austriackiego. Mnóstwo też pojawia się teraz opisów podróży po ziemiach polskich, a z nich niewątpliwie najświetniejsza, jeśli nie najlepsza, „Podróż Infantczyka” dowcipnego Schultza, nieraz niesprawiedliwego sprawozdawcy, kiedy maluje kraj, ludzi, a zwłaszcza warszawskie salony, lecz zawsze bystrogo spostrzegacza, który czytał Sterna „Podróż sentymentalną” po Francji i sam podobnie umie patrzeć nie tylko oczyma, ale i sercem, podróżnik-amator, w którym wewnątrz siedzi poeta. Ale i największy z poetów niemieckich trafił wtedy do Polski: Goethe piękny tydzień jesienny spędził na oglądaniu Olkusa, Krakowa i Częstochowy — niestety, po to tylko, aby ze swoich wrażeń podróżnych wynieść materyał do lichego memoriału na użytek rządu pruskiego, jakim sposobem sprusaczyć Polaków za pomocą — wędrowną trupę aktorów niemieckich, za polityczną pomocą filozofujących Wilhelmów i wdzięczących się Philin. Dodajmy jednak zaraz, że później, kiedy doczekał się Kościuszki, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, kiedy poznał osobiście ks. Adama Czartoryskiego i Mickiewicza, twórca „Fausta” nie poprzestał na komplementach dla pięknych dam polskich w Maryenbadzie, albo dla gry pani Szymanowskiej, lecz osamym narodzie i jego losach, wyższe, godniejsze siebie, wyrobił sobie pojęcie. Mógł on zresztą w tym względzie brać inspirację nie tylko od Polaków

lecz od równego sobie Niemca, od wielkiego swego przyjaciela, od natchnionego, przeczystego Schillera. Schiller nigdy nie stąpał po ziemi polskiej, ale domysłnością geniuszu potrafił wyczuć zdaleka prawdziwe tętno ducha polskiego: wspaniała postać Lwa Sapiehy, we fragmencie Schillerowskiego „Dymitra”, pozostanie w piśmiennictwie wszechświatowym, jako nieśmiertelna pamiątka polska, wyrzeźbiona ręką niemieckiego arcy-mistrza.

Dwa ostatnie rozbiory Rzplitej: drugi, poprzedzony wielką sejmową robotą, trzeci, poprzedzony większym powszechnym wysiłkiem, całkiem już inaczej, do samej głębi, wstrząsnęły opinię publiczną niemiecką. Fala sympatii i spótcucia podnosi się naraz ze wszystkich krańców Niemiec, ogarnia i elektryzuje wszystkie lepsze sumienia i umysły, bez różnicy narodowości lub stanowiska. Imię naczelnika staje się równie popularnem nad Dunajem i Renem, nad Elbą i nawet — nad Sprewą. Oddaje mu hołd taki Seume, choć zgryźliwy malkontent z urodzenia, a oficer Igelströma z urzędu. Taki Werner, pruski dygnitarz kameralny w Płocku, w chwili gdy nad Warszawą rozlega się grzmot armat obłączniczych pruskich, ostrzeliwujących Wolę, pisze wspaniały swój poemat „Do Narodu”, gdzie w ognistych, wzniosłych i prawdziwie natchnionych strofach, przeciw własnemu królowi, przeciw Fryderykowi-Wilhelmowi II, daje błogosławieństwo orężowi polskiemu. Gorący Frankończyk Rebmann, tak wyjątkowo sympatyczny, a przecie zgoła u nas nieznany, całe życie poświęca namiętnej obronie

sprawy polskiej. Ten rozpęd szlachetny przenosi się bezpośrednio z końca XVIII do początku XIX wieku. Niemcy, złudzeni przez swoich Franciszków i Fryderyków-Wilhelmów, po wielkich ofiarach wojen Napoleońskich, odnalazłszy siebie pod jarzmem ery Metternichowskiej, z tem większą sympatją spoglądają w górę ku Aleksandrowi I, a mianowicie ku tej niewyczerpanej potędze duchowej, którą, w jednym tylko szczątku, z taką energią i powagą reprezentowało wzniesione przez niego Królestwo Kongresowe. Z zajęciem przysłuchiowano się głosom, przychodzącym z trybuny sejmowej warszawskiej, gorączkowo śledzono rozwój spraw publicznych nad Wisłą. Ogromne miał wtedy powodzenie słynny melodramat Holteia; jego łzawą piosenkę „*Tapferer Lagenka*“, śpiewaną wtedy po całych Niemczech i całym świecie, niejeden ze starszych czytelników naszych mógł jeszcze słyszeć w dzieciństwie przy czułym akompaniamencie sędziwego klawikordu. Wypadki listopadowe wzmogły zainteresowanie w stopniu niebywałym. Wprawdzie echo odezwało się i gdzieindziej, a zwłaszcza we Francji zadźwięczały energiczne rytmy Bérangerowskie. Ale nigdzie to echo nie było tak potężnem, jak w piśmiennictwie niemieckiem. Romantyzm młodo-niemiecki tutaj swoje najpiękniejsze znalazł akcenty. Heine, choć wylał swój jad na szumowiny emigracyi, — czego mu zresztą nie bierzemy zanadto za złe, gdyż on własnych nie szczędził rodaków, — umiał przecie na wielu najcenniejszych swoich kartach uchylić czoła przed narodową niedolą. Boerne rzeczom polskim poświęcił najwymow-

niejsze swoje „Listy“. Wytworzył się specjalny rodzaj poczyti, „*Polenlyrik*“, w osobie tak świetnych przedstawicieli, jak Lenau, Hebbel, Platen, Auersperg, później Freiligrath i wielu innych. Odtąd poczęły słabnąć te głosy. Raz jeszcze odezwały się mocniej w 1848 roku z parlamentu frankfurckiego, z kościoła św. Pawła, potem po raz ostatni przed czterdziestu laty. I odtąd zamikły.

Bez wątpienia: to wszystko należy do przeszłości. Jaką jest terazniejszość — wiemy aż nadto dobrze. Słyszemy codziennie jej odgłosy z Berlina. Oglądamy codziennie jej dzieła w Poznańskim. Streszcza się ona tam w jednym haśle: tępienia. Powołuje tutaj do jednego obowiązku: samoobrony. Trzeźwa i twarda samoobrona — takie jest dzisiaj najpierwsze przykazanie życiowe kultury polskiej wobec pruskich Niemiec. Wszakże, wypełniając najściślej surowe a nieodzowne przykazania doby terazniejszej, godzi się od czasu do czasu obejrzeć się także za przeszłą. Takie spojrzenie retrospektywne nie może w niczem umniejszyć świadomości samozachowawczej i odpornej. Może ją tylko uwolnić od zbyt czynnych naleciałości, oczyścić ją i rozjaśnić, a nawet przydać jej mocy, bo przydać otuchy. Dzisiejszy Berlin, dzisiejsze Prusy, nawet dzisiejsze prusko-niemieckie cesarstwo, to jeszcze nie Niemcy. Dzisiaj sięją tam wiatr i zbiorą też burzę. Ale ten posiew im należy zostawić. Śród nas samych — poza tem, co niezbicie konieczne, — dla zawodowych, dla zanadto gorliwych i zanadto usłużnych domorosłych siewców tego rodzaju nie powinno być miejsca. Albowiem to nie leży w interesie kraju.

Interes kraju nie polega tutaj na rozmyślnej jednostronności. Polega on raczej na systemacie mądrej równowagi. Samoobrona kulturalna stać powinna na męskiej, spokojnej i rozważnej samowiedzy, nie na naśladowniczej, krótkowidzkiej, albo zgoła ślepej nienawiści. Nienawiścią nie stoją dzieje wielkich i wiecznych kultur społecznych. Wielkie narody, jak Antyгона klasyczna, nie po to żyją, „by nienawidzić społeczeństwa, lecz by kochać społeczeństwo“. Dobrą i zdrową jest rzeczą, godną zdrowej i żywotnej, świadomej i pewnej siebie społeczności, przywieść sobie czasem na pamięć tę wielką i niepożytą prawdę, chociażby w chwili najcięższych doświadczeń i najcięższej, narzuconej walki. A wierzyć także potrzeba, że ta prawda nie jest niepowrotnie zatraconą i dla Niemiec, dla prawdziwych Niemiec, że one do niej nawrócić będą musiały, i że w tym nawrocie znajdą jedyną właściwy wskaźnik dla stosunków polsko-niemieckich.

L a u z u n.

Monografie francuskie, dotyczące historii obyczajowej końca zeszłego wieku, mnożą się w ostatnich czasach sposobem iście niepokojącym. Nadążyć za nimi, mimo najlepsze chęci, staje się niepodobieństwem. Tak obfitość produkcji nietylko odpowiada większemu zapotrzebowaniu, ile jest skutkiem uproszczenia procedury. Jest to zastosowanie postępów przemysłu do literatury. Jak w innych gałęziach piśmiennictwa, podobnie w danej specjalności znaleziono kilka przepisów fabrykacji, praktycznych, tanich, a niezawodnych. A mianowicie, dla użytku producentów monografii obyczajowych o Francji XVIII stulecia, znaleziono następującą prostą i przystępną receptę. Bierze się kilkadziesiąt pamiętników i korespondencji z tej epoki, nie czyniąc wielkiej różnicy między autentycznymi a apokryfami, byle tylko nie w nich nie było nudnych rozpraw o finansach, stanie ludu wiejskiego, parlamentach i polityce, byle tylko było w nich jak najwięcej salonowych plotek, sekretów sypialnianych i oklepanych kalamburów. Tę mieszaninę przesypuje się obficie ciętym aforyzmem

Chamforta, wesołym conceptem Ligna, drastyczną anegdotą Casanovy. Jeżeli się pragnie zabłysnąć wyjątkową erudycją, należy nadto powołać listy paryskie Horacego Walpola albo lady Craven. Jeżeli się liczy na odznaczenie przez Akademię francuską, oraz na popyt u niewieściej publiczności, dobrze jest zapewnić sobie współpracownictwo panny Herpin, sławniejszej pod imieniem Lucyana Perey. Od pierwszych z brzęga książąt, markizów czy baronów wydostaje się trochę *inéditów* do ogłoszenia i jaką starą miniaturę do uwiecznienia na czele dzieła sposobem fototypowym; w przedmowie dziękuje się z wylaniem tym dobrodziejom, łaskawym mecenasom nauki, starannie wypisując pełne ich tytuły margrabiowskie i książęce, co wielce podnosi ornamentykę całości. Wynika stąd książka o trzydziestu arkuszach wielkiego *octavo*, drukowana na grubym papierze, osobno w kilkudziesięciu egzemplarzach liczbowych odbita dla amatorów na papierze chińskim, japońskim i holenderskim. Fabrykat gotów, nauka historyczna zbozogacona nowym nabytkiem.

Nie inaczej od dłuższego czasu płodził p. Maugras, do spółki z „Lucyanem Perey“ duże tomy o „Młodości pani Epinay“, o „Starości pani Epinay“ itp. arcydzieła. Obecnie występuje, na własny już rachunek, a podług tej samej recepty, z obszerną monografią o Lauzunie *).

*) Gaston Maugras: „*Le duc de Lauzun et la cour intime de Louis XV*“.

którego żadnego nie mamy przekonania, traktującej o człowieku, któremu żadnego nie przypisujemy znaczenia — gdyby nie jedna okoliczność. Spodziewaliśmy się znaleźć tutaj nowy przyczynek do starej, a po dziś dzień nie zamkniętej, sprawy oślawionych Pamiętników Lauzuna, — które zresztą same przez się, jak wiadomo, niecałkiem są obojętne i dla dziejów obyczajowych polskich na schyłku XVIII wieku.

Trzeba jednak nasamprzód objaśnić czytelnika, o co w tej sprawie chodzi. Po raz pierwszy rozeszła się wieść o Pamiętnikach Lauzuna w 1811 r. Był to czas, kiedy Napoleon, ożeniony z arcyksiężniczką austriacką, z upodobaniem odzywał się: „mój wuj, Ludwik XVI“. W zapiskach Lauzuna srodze była skompromitowana „ciotka“ cesarska, gilotynowana królowa Francyi. Więcej jeszcze były skompromitowane rozmaite panie o historycznym nazwisku, — i nie tylko gilotynowane, lecz nawet żyjące jeszcze — które nie tak dawno jaśniały w Wersalu w otoczeniu Maryi Antoniny, a których córki obecnie pełniły w Tuileryach urząd dam dworu cesarzowej Maryi-Ludwiki. Cesarz skandalu nie lubi. Dowiedziawszy się o istnieniu rachunków sercowych książęcego lowelasa, rozkazał je skonfiskować w interesie porządku publicznego. Rękopis miał zostać spalony w obecności ministra policyi, Savarego. Na nieszczęście, królowa Hortensya, pasierbica cesarza, której niczego nie umiał odmówić, była ciekawą. Wydostała do przeczytania skazaną na zagładę Lauzunową odyseję i w sekrecie poleciła sporządzić kopię. Aliści ciekawość nigdy nie była

wyłącznym przywilejem królowych. Damy dworu i przyjaciółki Hortensyi wypraszały sobie od niej „sekretną“ kopię i odpisywały ją na własną rękę. Przyjaciółki przyjaciółek wypożyczały ją sobie i odpisywały z kolei, ciągle oczywiście w największym sekrecie. Takich odpisów namnożyło się więcej za restauracyi. Czytywano je z równem zajęciem w salonach legitymistycznych i opozycyjnych.

Póki tą drogą niedyskretny pamiętnikarz święcił zagrobowe sukcesy towarzyskie w tym zamkniętym „świecie“, którego był ongi ozdobą, nie widać było zgorzelenia ani słyhać protestu; dopiero, kiedy poczęto przebąkiwać o ogłoszeniu Pamiętników drukiem, o dopuszczeniu do sekretu nieświątowych śmiertelników, ze wszech stron uderzono na trwogę. Pierwszy w obronie zagrożonej cnoty dawnego społeczeństwa, którego pozostał najwydatniejszą ruiną, zabrał głos stary książę Talleyrand. W liście, ogłoszonym w „Monitorze“, uroczyście oświadczył, iż jego serdeczny przyjaciel, nieboszczyk Lauzun, jemu przed laty sam był czytał swoje autentyczne pamiętniki, lecz zgola odmiennej treści od obiegających obecnie — zapewne były wzorowane na św. Augustynie albo św. Teresie; iż przypisywanych mu teraz okropności Lauzun „nie napisał, niezdolen był napisać, czułby wstręt do ich napisania“; iż, jednym słowem, to „dzieło ciemności“ (*oeuvre de ténèbres*) jest niczem innym, jak występny, rozmyślnym falsyfikatem. Talleyrand tyle razy kłamał, że jego świadectwo osobiste najmniej nie przedstawia wartości dowodo-

wej. Nadto, w danym wypadku nasuwało się przypuszczenie, że dymisyonowany minister Ludwika XVIII, wypadły z łaski pańskiej, rad był za jedną okazyą, biorąc rycersko w obronę sponiewierany cień Maryi-Antoniny, — której nienawidził, którą jadem oblewał za życia, — przysłużyć się tanim kosztem Bourbonom. Takie przypuszczenie uczynił pewnikiem Sainte-Beuve, ogłaszając list pani d'Es (*trées*), pisany do Talleyranda nazajutrz po jego wystąpieniu, z podziękowaniem w imieniu księżny d'Angoulême za fałszywe świadectwo.

Mimo wszystko, Pamiętniki Lauzuna ukazały się z druku w końcu 1821 r. Zawierała ta pierwsza edycja pewne luki i niedopowiedzenia, gdyż, bądź co bądź, trzeba było liczyć się z rządem i względami dla wielu osób żyjących; jednak wymieniała dosyć nazwisk znacniejszych, kilku nieujawnionych łatwo pozwalała się domyślać. Podniesiono *larum*. Talleyrand po raz wtóry wystąpił w roli stróża moralności, z większą jeszcze powagą, bo z mównicy Izby parów. Ks. Choiseul, w imieniu rodziny, założył protest publiczny i rozpoczął kroki sądowe przeciw wydawcy. Dla zdyskredytowania wydawnictwa puszczone pogłoskę, że Savary był zachował u siebie sfalszowaną kopię rękopisu, skonfiskowanego przed dziesięciu laty, i podał ją teraz do druku, aby dopiec rządowi i rojalistom. Zapewne, fałsz i szantaż nie były to rzeczy bez precedensu w pracowitym żywocie księcia Rovigo, lecz w tej aferze istotnie nie miał on nic do roboty, był tylko obrany kozłem ofiarnym ze względu na swoją reputację. Zresztą, mielibyśmy powód do

przypuszczenia, że posądzenie Savarego wyszło wprost od Talleyranda, któremu należał się odwet za świeże właśnie, a bardzo niemiłe rewelacje księcia Rovigo w sprawie zabójstwa księcia Enghien. W rzeczy samej ks. Rovigo jeszcze z dawnych czasów, kiedy jeszcze nazywał się poprostu Savary, miał bardzo dokładne informacje o owych tajnych sposobach machiawelowych, jakich był użył niegdyś Talleyrand, aby wydobyć od Bonapartego rozkaz nocnej egzekucji nieszczęśliwego Enghiena. Ujawnienie tych kompromitujących informacji w obliczu przywróconych rządów Bourbonów, to był cios dotkliwy, który istotnie domagał się odwetu. Jakkolwiekby, pewną jest rzeczą, że tym razem, w sprawie rzekomego sfalszowania Lauzunowych Pamiętników, Savary oskarżony był najdowolniej. To też ks. Rovigo, gdy zdarzyło mu się wyjątkowo w tym przypadku mieć prawie czyste sumienie, oburzył się tak żywo, jak gdyby człowiek uczciwy. Swoją drogą, edycję wycofano z obiegu. Dopiero za drugiego cesarstwa znalazł się śmiałek, znany z sumiennych prac wydawniczych bibliofil, Ludwik Lacour, który się odważył ogłosić dokładny tekst Pamiętników, podług kollacji odpisu, przechowywanego w paryskiej Bibliotece publicznej, z uzupełnieniami, drukowanymi dawniej w *Revue retrospective*. Nie obeszło się i tym razem bez skandalu. Wytoczono proces wydawcy; w pierwszej chwili książkę skonfiskowano, lecz ostatecznie przywrócono jej obieg. Odtąd przedrukowywana była bez przeszkody.

Z rozmysłu rozpisaliliśmy się tak szeroko o tej sprawie, gdyż posiada ona znaczenie ogólniejsze. Wyciąga się z niej morał, iż hipokrycka wstydlivość w rzeczach historii na nic się nie zda dzisiaj. Dawniejszymi czasy, kiedy archiwa państwowe zamknięte były na siedm pieczęci, przecież pod pewnymi względami większą objawiało tolerancję. Zapiski Retza, Bussy-Rabutina, kawalera Gramonta, odślaniające anarchię obyczajową XVII stulecia, nie były przecie nigdy pociągane przed kratki sądowe wieku XVIII. Natomiast wiadome cnoty domowe XVIII wieku znajdują jeszcze od czasu do czasu niefortunnych opiekunów na samym schyłku sceptycznego wieku XIX. Winniśmy bowiem dodać, że dla niektórych społecznych „uczonych“ polskich Pamiętniki Lauzuna są do dnia dzisiejszego złośliwym falsyfikatem. W rzeczy samej jeszcze niezbyt dawno na łamach krakowskiego „Przeglądu polskiego“ spotkaliśmy się ze stanowczym oświadczeniem, iż ten niecny apokryf jest niczem innym, jak dziełem osobistej zemsty damy polskie. Oczywiście, chodziło tutaj nie o naukowe przeświadczenie, oparte na naukowej znajomości rzeczy, lecz jedynie o osłonięcie osoby innej polskiej damy, o której zbyt wiele szczegółów drastycznych mieściło się w Pamiętnikach Lauzuna. Tymczasem o autentyczności okrzyczanych Pamiętników nigdy nie żywiliśmy najmniejszej wątpliwości i żywić jej nie będzie nikt, kto je uważnie czytał, kto wie cokolwiek o Lauzunie i jego epoce, kto kiedykolwiek miał do czynienia z rzeczywistymi falsykatami tego rodzaju. W istocie, jaki Hieronim Vignier

mógł z powodzeniem podrobić dokumenty z V wieku i na długie lata oszukać naukę, gdyż w tej odległości, przy braku innych sprawdzianów, zorientować się trudno. Lecz żaden Soulavie, ani Feuillet de Conches całą swą sztuką nie potrafił długo utrzymać w błędzie co do wartości swych fabrykatów z zeszłego wieku, który tak jest bliski, tak obfitujący w źródła niezawodne, tak dobrze znany we wszystkich szczegółach. Pamiętniki Lauzuna nigdy nie zostały zakwestyonowane w żadnym najdrobniejszym bodaj szczególe przez żadne postronne świadectwo. Zupełna ich autentyczność oddawna jest rzeczą pewną dla bezstronnych i znawców. Obecnie nie będzie mogła być zaprzeczana dłużej nawet przez nieświadomość i uprzedzenie: i to stanowi główną zasługę zbytecznej może skądinąd monografii, jaka dała nam pochoch do uwag powyższych. P. Maugras, czerpiąc z licznych, dotychczas niedostępnych zbiorów prywatnych, między innymi z archiwum rodziny Lauzuna (obecnie ks. Gontaut-Birona), a więc jak najdokładniej informowany, zmuszony jest uczynić następujące wyznanie: „Autentyczność Pamiętników Lauzuna nie może dłużej ulegać dyskusji (*n'est pas discutable*)... We wszystkich, nader licznych punktach, gdzie mogłem poddać je kontroli przy pomocy dokumentów prywatnych, nie wykryłem nigdzie najmniejszej niedokładności, ważne wypadki, drobne szczególiki, daty, wszystko okazało się bezwarunkowo ściśle i prawdziwie (*d'une précision, d'une vérité absolue*). Lauzun niezawodnie jest autorem Pamiętników, gdyż tylko on jeden był w stanie je napi-

sać". Jest to, zdaje się, dosyć wyraźne. Nie można też, zdaje się, wymagać w tej sprawie lepszego świadka, niż p. Maugras, którego nikt chyba nie posądzi o nieostrożność i brak należnych względów, któremu raczej zarzucilibyśmy zbytek usługnej deferencji względem utytułowanych właścicieli archiwów, z jakich czerpał. Nie pozostaje tedy, jak powtórzyć dobitne słowa Sainte-Beuva: „Nikt nie jest inocen unicestwić uczynionych raz wyjawień, chociażby przynosiły ujmę całemu stanowi społecznemu. Pamiętniki Lauzuna istniały przed denegacją Talleyranda; po jego zaprzeczeniu istnieją i wąż po dwakroć, gdyż ich doniosłość lepiej została uwydatniona; i nauka historyczna wciągnie je do swych akt, śród dowodów obciążających w wielkim procesie przeciw XVIII stuleciu“.

Po tak długiej dygresji o Pamiętnikach Lauzuna niewiele znajdziemy do powiedzenia o nim samym. Starczy przypomnieć w paru słowach znane dzieje niepokojnego, a zgoła bezużytecznego żywota tej typowej postaci zaginionego niepowrotnie rodzaju. Ojciec pamiętnikarza, Gontaut, „biały eunuch“ pani Pompadour, ze swoich łask u faworyty dobrodusznie pozwalał ciągnąć korzyści sprytniejszemu i więcej przedsiębiorczemu szwagrowi, margrabiemu Stainville, późniejszemu księciu Choiseul, z którego rodziną siostrą był żonaty. Czy wyrozumiałości szwagra nadużywał Choiseul jedynie u ulubienicy królewskiej? Nie podejmujemy się rozstrzygać tej kwestyi, aż nazbyt drażliwej. Tyle pewna, że Talleyrand czyni Lauzuna owocem kazirodztwa, synem

Choiseula. Albowiem biskup z Autun, który publicznie z cnotliwym oburzeniem piętnował mniemanych fałszerzy Pamiętników swego „przyjaciela“, sam w tym samym czasie, kiedy gromy moralisty ciskał ze szpalt „Monitora“ i trybuny parowskiej, u siebie w gabinecie spisywał wspomnienia, gdzie w jednym rozdziale o Filipie Orleańskim albo o Choiseulu więcej zawarł skoncentrowanego jadu obmowy, aniżeli się mieści w całości autobiografii Lauzuna. Chowany na kolanach pani Pompadour, Lauzun wcześniej zaczął się bawić i niebawem w sztuce bawienia się najdoświadczeńszych przesiąknął. Ośmnastoletniego bałamuta ożenili przymusem rodzice z dzieckiem czternastoletniem, kobietą ujmującą i dobrą, której nie był wart i z którą nie żył. Szukał rozgłosu w coraz innych wybrykach, zarazem sentymentalnych i cynicznych, jakich sekret posiadało towarzystwo francuskie owej doby. Sam zresztą w gruncie rzeczy był człowiekiem sympatycznym, dużo w nim było szlachetności; lecz uczuciowy aż do histeryi, więcej miał dowcipu, niż rozumu: gubił go brak charakteru. Opiekował się nim nasamprzód i mentorował mu w pohulanekach ks. Conti, pod siwym włosiem amfitryon wszystkich gwiazd opery, przez chwilę kandydat do korony polskiej, stary nicpoń, o którym cudownie powiada pan Maugras, iż „jego wielkie zalety zaćmione były przez fałszywy sąd ó rzeźbach, konfuzyę pojęć i nieusprawiedliwioną ambicyę“ — rodzaj charakterystyki znakomity, który chciałoby się żywcem zastosować względem talentów pisarskich samego autora. W krótkiej a krwawej

wyprawie korsykańskiej wziął Lauzun chlubny udział. Za powrotem zastał wielkie zmiany u dworu. Pani Dubarry, którą, rzecz prosta, znał oddawna z balów opery, jak znał wszystkie ladacznice stolicy, zaawansowała w tym czasie na uznaną faworytę starego króla. Choiseul próbował się jej oprzeć i upadł. Lauzun dał pierwszy przykład lojalnej opozycji. Pozostał on wierny wujowi — a raczej jego drugiej siostrze, pani Gramont, gdyż ten siostrzeniec, czy też — jak chce Talleyrand — syn Choiseula cieszył się jawnie łaskami swojej ambitnej ciotki. Lecz znowuż nie podejmujemy się wchodzić w te nazbyt ślizkie genealogiczno-romansowe kombinacje, gdzie doprawdy łatwiej można by się pogubić, niż w „Dyabelskich Eliksirach“ fantastycznego Hoffmanna. Nic to jednak nie szkodzi, choćby tylko ukośnie rzucić okiem na te niestychane brudy obyczajowe w najpierwszym ówczesnym społeczeństwie europejskim, nic nie szkodzi zachować je w pamięci — ażeby następnie zachować sobie sprawiedliwą miarę porównawczą dla słusznego ocenienia opłakanych zapewne, lecz nierównie łagodniejszych złożeń w społecznym społeczeństwie polskim. Tak, czy owak, z czułości dla wuja, czy też dla ciotki, Lauzun śmiało i otwarcie stanął przy upadłym Choiseulu. Ostentacyjnie odwiedzał go w Chanteloup, gdzie dymisjonowany minister przesiadywał i srożył się ponieważ całkiem podobnie, jak później ks. Bismark w Varzinie. Skutek był taki, że sam Lauzun popadł w niełaskę. Zbliżył się wtedy do urodzonego przywódcy

wielkiej opozycji przeciw tronowi bourbońskiemu, do głowy domu orleańskiego, księcia Chartres, późniejszego Filipa Egalité—przyjaźń feralna, którą miał opłacić głową.

Tymczasem bawił się dalej w najlepsze. W Londynie, zimą 1772/3 r. poznał księżnę generałową ziem podolskich, Izabellę Czartoryską i Repnina. Towarzyszył im obojgu latem do Spa. Tutaj Repnin ustąpił z placu, zaś Lauzun, po wyjeździe Repnina do Rosyi, udał się za księżną do Paryża i zaprzyjaźnił się tutaj z jej małżonkiem, ks. Adamem. W kwietniu 1774 r. odprowadził księżnę Izabellę, wracającą do kraju; we wrześniu nagle powołany, wśród warunków dość dramatycznych, przyjechał na krótko do Warszawy, gdzie za drugim nawrotem bawił do marca 1775 r. Wrócił do Paryża zgryziony. „Widziałem nareszcie ślicznego naszego duczka polskiego — pisze o nim w tym czasie Sapieha — zowią go teraz Lozańskim... musiano go okropnie w Polsce traktować, bo z niej wcale nie kontent.“ Nosił się wtedy z rozległymi planami, myślał o ambasadzie francuskiej w Warszawie, korespondował z cesarzową Katarzyną, miał sobie ofiarowane dowództwo w wojsku rosyjskiem, lecz ostatecznie wszystkie te przedsięwzięcia skończyły się na niczem.

Zresztą, głowę wietrznika inne już zaprzętały myśli. Próbował niebezpiecznego flirtu z królową Maryą-Antonią. W tem, co sam opowiada o tej sprawie, zapewne nie brak dodatków i upiększeń, dyktowanych przez próżność zawodowego uwodziciela; jednak wątpliwości

nie ulega, że królowa, szukając rozrywki, wdała się z nim w grę hazardowną i czas jakiś ulegała jego wpływowi. Sielankę przerwała katastrofa finansowa. Wiek XVIII przyzwyczajony był do „krachów“: widział już dawniej niewypłacalność rządu, „najjaśniejsze bankructwo“, za Regencyi; teraz (1777) był świadkiem skandalicznej ruiny majątkowej pierwszych magnatów Francyi, ks. Guemenée, Fitz-Jamesa, wielu innych, a wśród nich nieopatrznego Lauzuna, który nigdy nie umiał się rachować. Jednocześnie jego nazbyt śmiałe nagabywania otrzymały surową odprawę od królowej. Nieborak skorzystał z wybuchu wojny z Anglią, by na pewien czas usunąć się z widowni. Skoczył najprzód do Afryki, potem aż na drugą półkulę. Bił się odważnie w Senegalu i Ameryce, lecz niczem wyjątkowem się nie odznaczył, nic nie miał w sobie materiału na Lafayette'a. Wegetował za powrotem, pozbawiony możliwości, aby żyć i błyszczeć po dawnemu.

Wybiła tymczasem feralna godzina wielkiego rewolucyjnego przewrotu. Słaby Lauzun od pierwszej chwili dał się porwać szalonemu wirowi wypadków. Wtedy to zupełnie poddał się wpływowi Filipa Orleańskiego, z którym łączyła go głęboka uraza ku Maryi-Antoninie; związał się z Talleyrandem, dla Mirabeau uzyskał misję berlińską i trochę pieniędzy. Mniemamy wszakże, że pustak Lauzun był więcej *mouche du coche*, niż istotnym uczestnikiem sprzysiężenia orleańskiego, które tyle ułatwiło pierwsze kroki rewolucyi. Obrany do Konstytuanty, niewiele się odzywał. Wia-

dome są obecnie oplakane perypetye jego misyi londyńskiej w 1792 r., kiedy, przydany Talleyrandowi, ledwie nogę postawił na ziemi angielskiej, jak aresztowany został i wtrącony do więzienia za stare długi, o których zapomniał. Później, na czele armii nadreńskiej, nieświeźnie się spisał. Przynajmniej Dumourier i Lafayette bardzo niepoehlebie odzywają się o jego talentach wojskowych. Myślał bawić się w przestarzałe sztuki taktyczne Villarsa i Eugeniusza Sabaudzkiego, za przykładem generałów austriackich, których miał naprzeciw siebie. Nie rozumiał nowego ducha, jaki był w legionach rewolucyjnych. Nieświeźny generał, nielepším okazał się dyplomata. Czynił wówczas żywe starania w celu przeciągnięcia Prus na stronę Francji. Sam ongi, jeszcze w 1774 r., był spotkał się z Wielkim Fryderykiem i teraz, już pośrodku wojny z austro-pruską koalicją, pozostał zwolennikiem pruskiej polityki doradzanej przez Mirabeau. Naostatek, a również niefortunnie, dowodził w Wandei przeciw powstańcom. W każdym razie, najwyżej nieudolność, nigdy zdrady nie można było mu zarzucić. Bez wszelkiej też słusznej zasady, jedynie pociągnięty przez upadek Filipa Egalité, postawiony został w stanie oskarżenia, uwięziony i na śmierć skazany przez Trybunał rewolucyjny. Do ostatniej chwili pozostał wiernym sobie. Mallet du Pan opisuje go, jak w więzieniu spędzał czas, leżąc w łóżku, sypiąc dowcipami i zapijając wytrawnem bordeaux; kiedy mu ofiarowano możliwość

ucieczki, odmówił, gdyż nie opłaca się narażać na niewygody tułactwa zagranicą; kawa, który po niego przyszedł, poczęstował szklanką wina. Umiął umrzeć z dobrym smakiem, jak umiał żyć: jedyna umiejętność, jaka pozostała społeczności zdegenerowanej, do której należał, a nad którą oddawna już widniał napis: *morituri*.

Pamiętniki pani Potockiej.

Jeśli istnieje jaka osobna muza pamiętnikarska — a byłaby wcale na miejscu, gdyż sztuka pisania pamiętników łączy między sztuką historyczną a poetycką, mając pewną, sobie właściwą, od obudwu odrębność — jeśli istnieje taka pośredniczka pomiędzy Klio a Euterpą, czy też Kaliopą, gotowimy przypuścić, iż owa dziesiąta, nadetatowa muza wdzięcznie uśmiechnęła się do Francuzów, od innych narodów wzgardliwie odwróciła się plecami. Wprawdzie można by od tej reguły znaleźć parę wyjątków. Mają Włosi ponure wyznania Alfieriego, tętniące namiętnością i bólem, mają Anglicy sceptyczny i drwiący dziennik Walpola, mają Niemcy rzeźbioną misternie Goethowską autobiografię, mamy i my od biedy lapidarną gaskondę pana Paska. Ale to są tylko wyjątki. To wszystko jest bardzo skromne, ubóstwo w porównaniu z rozrzną obfitością francuskiej literatury pamiętnikarskiej. Od rycerskich zapisek Villehardouina i Froissarta aż do wojennych wspomnień generała Ségura i kapitana Coigneta, od surowych rozmyślań kanclerza Thuana aż do poważnych dyskusji kanclerza Pasquier'a, od lekkich

rysunków subtelnej pani Motteville aż do ostrych sylwetek, kreślonych piękną ręką pani Rémusat, od bezwstydnego spowiedzi szalonego kardynała Retza aż do gorzkich konfesyji biednego Jana-Jakóba, od bezlitosnych zgrzytów moralisty Saint-Simona aż do zagrobowych odwetów Atali-Chateaubrianda i tak dalej, bez liku, bez końca, aż niemal po dziś dzień, ciągnie się tutaj nieprzerwany łańcuch utworów pamiętnikarskich, niekiedy wspaniałych, najczęściej żywych i barwnych, prawie zawsze zajmujących i przyjemnych w czytaniu, bez względu na to, czy autor był cnotliwcem lub łotrem, panem lub lokajem, Napoleonem lub sierżantem, wielkim pisarzem lub ciurą literackim. Można by doprawdy mniemać, że w każdym Francuzie siedzi urodzony pamiętnikarz. Czemu się tak dzieje? w jakiej zależności pozostaje to zjawisko piśmiennicze od owej wrodzonej ciekawości i rozmowności galijskiej, która uderzyła już Cezara? w jakim pozostaje związku z temperamentem, wrażliwością, próżnością francuską? jak dalece jest uwarunkowane już przez samą naturę lotnej, potocznej, przejrzystej prozy francuskiej? — tego nie podejmujemy się bynajmniej zgłębiać na tem miejscu. Stwierdzamy tylko poprostu sam fakt niewątpliwy, a stwierdzamy z powodu nastrożonej dość niezwykłej sposobności: z powodu jeszcze jednych nowych pamiętników francuskich, pisanych piórem — polskiem. Mówimy o „Memoirach“ pani Potockiej.¹⁾

¹⁾ „*Mémoires de la comtesse Potocka 1794—1820*“, publiés par Cas. Stryński.

W zakresie ostatnich dwóch stuleci nie brak utworów pamiętnikarskich polskich, spisywanych w języku francuskim. W tym języku jeszcze w dobie saskiej kreślił swoje wspomnienia polityczne ruchliwy wojewoda Antoni Potocki; później stary ex-król Stanisław-August, podczas dłużących się dni grodzieńskich i petersburskich — swoje wielotomowe zapiski, przechowywane obecnie w Głównym Archiwum państwowym rosyjskim; później jeszcze, na obczyźnie, sędziwy ks. Adam Czartoryski — ułamkowe zarysy pierwszych wybitniejszych momentów swego trudnego życia i zawodu. Są zresztą i inne jeszcze liczne podobne przykłady, bądź drukiem ogłoszone, bądź to znane nam z rękopisu, — a nawet i kobiecego również pióra, jak np. pani z Tyzenhauzów Choiseul-Gouffier, choć już tylko Polki z pochodzenia, nie z ducha. Jednakowoż najnowsze Pamiętniki pani Potockiej prześcigają podobno to wszystko pod względem swojej poczytności, całkiem wyjątkowej. W najkrótszym czasie rozchwytane w oryginale francuskim, ukazały się już w przekładzie polskim, niemieckim, nawet angielskim. Świetny i rzadki to sukces, któremu trzeba przyklasnąć — ale trzeba także potrochu, bodaj jak najpobieżniej w nim się rozpatrzeć.

Anna z Tyszkiewiczów Aleksandrowa Potocka, a po rozwodzie, w powtórny związek, generałowa Wąsowiczowa, była po matce wnuczką Kazimierza Poniatowskiego, rodzonego brata króla Stanisława-Augusta. Niezwykle sędziwego doczekawszy się wieku, przeżyła

kilka generacji i największe w losach narodu przewroty. Urodzona jeszcze pod panowaniem swego stryjecznego dziada w pierwszej zaledwo dobie podziałowej, zmarła dopiero przed trzydziestu paru laty, w połowie panowania cesarza Aleksandra II, a już pośrodku namiestnikowskich w kraju rządów hr. Berga. Mimo to, pozostała jednak nieznaną szerszemu ogółowi naszemu. To jest zresztą w porządku rzeczy. Wiadomo o niej tyle, że układała rysunki do Śpiewów historycznych Niemcewicza, że była dobrą matką i posiadała ujmujące zalety towarzyskie. Ani kobietą polityczną nie była nigdy, ani też w społeczeństwie nie zajmowała wybitniejszego stanowiska przewodniczki. To też jej Pamiętniki już z góry o tyle tylko mogą interesować szerszą naszą publiczność i przedstawiać wartość przyczynku historycznego, o ile w nich mowa nie o samej autorce, lecz o tych ludziach i rzeczach dziejowych, którym miała sposobność przyglądać się osobiście w długim swoim życiu, na wyżynach towarzyskich pędzonym.

W rzeczy samej, niniejsze Pamiętniki pani Potockiej, acz nie ogarniają całości jej dziewięćdziesięcioletniego żywota, obejmują przecie ćwierćwiekową epokę, niesłychanie ważną w dziejach kraju naszego i w powszechnych dziejach europejskich. Obejmują wszakże więcej z tytułu, z zapowiedzi na okładce i w nagłówkach rozdziałów, niż z istoty rzeczy, ze źródłowej treści świadectw naocznych pamiętnikarki. W dodatku, te jej świadectwa nie zostały poddane żadnej zgola

kontroli przez wydawcę. „Nie mając wcale możności—przyznaje się wydawca—sprawdzać informacji, jakich udziela hrabina, należy jednak przyjąć je za wiarogodne, albowiem jej miłość prawdy stanowi pod tym względem wystarczającą rękojmię“. Dosyć to chyba nierozważna zasada edytorska. Dokument historyczny, od kogokolwiekby pochodził, sam dla siebie nigdy nie może stanowić poręki, krytycznego zawsze wymaga sprawdzianu. Spróbujmy na chwilę zająć się za wydawcę tym, może niemiłym, lecz bezwarunkowo nieodzownym, weryfikacyjnym obowiązkiem.

Niedługo szukając, bierzemy dla przykładu zaraz pierwszy z brzegu ustęp. Z pietyzmem, zupełnie zresztą zrozumiałym i stosownym, wspomina tutaj pamiętnikarka o swoim domu rodzicielskim. Lecz przy tej okazji nieco przydłużej zatrzymuje się nad swoim ojcem, hetmanem litewskim. Przedstawia go jako wzorowego, ofiarnego patriotę. Upewnia, że on „przyłączył się do nielicznej garstki, która odmówiła położenia swego podpisu na krzywdzących kraj aktach, podyktowanych przez Rosyę obrzydłej (*abjecte*) Konfederacji targowickiej“. Upewnia dalej, że skutkiem tej patriotycznej odmowy zajęto mu dobra. Upewnia nadto, że jeszcze „w kilka lat później“ udał się on osobiście do Petersburga w celu uratowania zagrożonego Statutu litewskiego, że tam ostro stawiał się cesarzowej Katarzynie i że wtedy dopiero, oddając hołd najwyższej jego obywatelskiej odwadze, zdjęto mu sekwestr. Tymczasem w rzeczywistości to wszystko podobno

wygląda trochę inaczej. Ów mniemany zelant, Ludwik Tyszkiewicz, hetman wielki litewski, jakkolwiek napewno nie należał do najgorszych ludzi tej smutnej epoki, przecież napewno też nie należał nigdy do najlepszych. Był oddawna narzędziem partii rosyjskiej, kawalerem św. Andrzeja, przez żonę, matkę pamiętnikarki, a siostrzenicę Stanisława-Augusta, związany najściślej ze Stackelbergiem i Bułhakowem. Według własnych swych słów „od samego początku był przeciwnikiem ustawy Trzeciego maja.“ W Grodnie wprowadzie naraził się przelotnie na gniew Sieversa i chwilowy sekwestr, który wszakże prawie natychmiast odwołano. Został też zaraz w Grodnie członkiem delegacji podziałowej. Nagrodzony hojnie wraz z Moszyńskim, Zabiellą i innymi, wysłany był do Petersburga — nie „w kilka lat później“ i nie dla ratowania Statutu — lecz wnet, przez ten sam sejm podziałowy grodzieński dla wyrażenia podziękii Katarzynie II. Otrzymane od ambasadora i cesarzowej podarki zwrócił dopiero w maju 1794 r., pośrodku powstania, po aresztowaniu Moszyńskiego i towarzyszy. To wszystko są rzeczy powszechnie wiadome i nieulegające najmniejszej wątpliwości. Mogła o nich zapomnieć córka, pisząc o ojcu: rzecz ludzka. Ale powinien był pamiętać wydawca, powinien być ostrzeżony czytelnik.

Pani Potocka, jak sama powiada w późniejszym widać ustępie, zaczęła kreślić niniejsze swoje wspomnienia pod wpływem lektury Pamiętników margrabiny Baireuth, które tak ją zainteresowały, że po-

stanowiła za przykładem siostry Fryderyka Wielkiego spisywać własne obserwacje i przygody życiowe. „Byłam jeszcze wtedy bardzo młoda“, dodaje autorka. Dla osoby bardzo młodej nie były zapewne najodpowiedniejszą lekturą pieprzne zapiski dowcipnej Zofii-Wilhelminy. Ale Pamiętniki margrabiny Baireuth ukazały się w roku 1810; pani Potocka, urodzona w 1776, liczyła wtedy lat trzydzieści kilka. W tym więc wieku dojrzałym przystąpiła do skreślenia swoich wspomnień. Rozpoczyna je od wypadków warszawskich 1794 r., których była świadkiem naocznym. Natychmiast po wybuchu powstania przeniosła się z matką do Zamku. Można by zatem oczekiwać niejednego ciekawego szczegółu o tem, co się działo w otoczeniu najbliższym Stanisława-Augusta w tych nadzwyczajnych, krytycznych chwilach, kiedy król drżał o własne życie. Niestety, tyle tylko donosi z tego okresu pamiętnikarka, że „rano i wieczór niania kazała mi odmawiać modlitwę za powodzenie naszego oręża“; zresztą zaś „wszystko, co się działo wówczas, zupełnie ulotniło się z mojej pamięci“, z „dziecięcego serca“ (*mon coeur d'enfant*). A jednak nie trudno się dorachować, że liczyła wtedy lat ośmnaście.

Po trzecim podziale kraju przeniosła się autorka z matką, za ex-królem, do Grodna. Nie podaje wszakże znowu żadnych nowych szczegółów z tamiecznego pobytu. Po wstąpieniu na tron cesarza Pawła i sprowadzeniu króla do Petersburga, na stałe osiadła w Białymstoku, u Izabelli Branickiej, siostry Stanisława-Au-

gusta. „Nikt na tym padole płaczu nie da lepszego wzoru możliwej doskonałości ludzkiej,“ powiada o niej z uniesieniem pamiętnikarka. Zapewne, w owej epoce wdowa po ostatnim z Gryfów była już poważną i dobroczynną matroną. Zresztą, samiśmy kiedyś z wyrazem należnego spótcucia ogłaszali rozpaczne listy nieszczęśliwej pani Krakowskiej. Jednak oczywiście nawet w spótcuciu, nawet w uznaniu powinna być pewna rozsądna miara. I oczywistą jest rzeczą, że powyższe, tak panegiryczne określenie nie daje właściwego pojęcia o młodej małżonce starego Branickiego, o późniejszej — w sekrecie — pani Mokronowskiej. Szczegółowy opis trybu życia w zamku białostockim jest niepozbawiony interesu, jako przyczynek obyczajowy, choć widziany przez mgłę wspomnień młodości w nieco upiększonych, być może, konturach. Przynajmniej w znanym nam pamiętniku rękopiśmiennym jednego z najbliższych sąsiadów, a częstego podówczas gościa pani Branickiej, pożycie białostockie przedstawia się w barwach znacznie mniej pociągających. Zresztą, zaraz dodać należy, że w późniejszym czasie, jako spótsukcesorka Białegostoku, pani Potocka, niestety, nie umiała zapobiedz opłakanej ruinie tego pięknego „Wersalu podlaskiego“.

Wkrótce po przybyciu do Białegostoku miała autorka sposobność oglądać drugiego z kolei króla *in partibus*, Ludwika XVIII, który tutaj zawitał po drodze do udzielonego mu w Mitawie schronienia. Dowiadujemy się też zarazem nader ciekawego szczegółu, że przy

tej okazji monarcha francuski jakoby dopraszał się ręki Tyszkiewiczówny dla swego synowca, księcia Berry. Byłaby to okoliczność, dotychczas nikomu w świecie nieznaną, a przecie nadzwyczaj interesującą. Ks. Berry był następcą tronu po bezdzietnym Ludwiku. Że po dwudziestu latach będzie zaszytletowany na paryskim Placu Opery—tego naturalnie nikt nie mógł wtedy przewidzieć na pokojach białostockich. Wtedy był on niewątpliwie predestynowanym królem Francji. Zatem pamiętnikarka byłaby królową Francji, drugą Maryą Leszczyńską. Niestety, Tyszkiewicz, wbrew naleganiom Bourbonów, odmówił wprowadzenia Polki na stopnie francuskiego tronu. „Moi rodzice nie chcieli o tem słyszeć“ i grzecznie wymówili się względami na „moją wielką młodość“ (*ma grande jeunesse*), zaś „sama nie byłam jeszcze w takim wieku, aby mieć własne zdanie“. Ponieważ podróż Ludwika XVIII odbyła się w marcu 1798 r., liczyła więc wtedy autorka lat dwadzieścia i dwa i była starszą od księcia Berry, którego nawet nie było wcale w Białymstoku, gdyż bawił wówczas w Szkocyi. Być może, będzie lepiej nie brać nadto na seryo tej całej „propozycji“ matrymonialnej. Dodajmy, że o podobnych propozycjach autorka chętnie wzmiankuje i gdzieindziej. Już „w czternastym roku życia miałam zaślubić ks. Stanisława Poniatowskiego, brata mojej matki. Ale miał on około pięćdziesiątki, był sztywny i poważny, więc nie chciałam o nim nawet słyszeć“. Ponieważ Stanisław Poniatowski urodził się w 1754 r., jasnem jest, że do-

chodził pięćdziesiątki w tym samym czasie, kiedy autorka dochodziła trzydziestki.

Pani Potocka udziela nam także skazówek, skądinąd wcale zajmujących, o swojej niepowszedniej i różnorodnej kulturze duchowej. Czytała dużo i zwłaszcza czas, spędzony w zaciszu białostockim, obracała na zapoznanie się z arcydziełami piśmiennictwa, zwłaszcza francuskiego. Okazuje się atoli, że pani Krakowska nie dość miała baczenia nad lekturą młodej czytelniczki. Jakaż to jednak książka dwuznaczna mogła zabłąkać się na półki poważnej białostockiej biblioteki? Tą książką szkodliwą—nigdy w świecie nie bylibyśmy tego domyślili się sami—było *Génie du christianisme* Chateaubrianda. „Geniusz Chrześcijaństwa — pisze pani Potocka — właśnie świeżo ukazał się z druku. Lecz, niestety, moralność i imaginacja są to dwie rzeczy, nie idące z sobą w parze. Ostrzegam matki, które chciałyby swoim córkom dawać do czytania tę religijną poezję. Autor umieścił tu mianowicie jeden ustęp z Nowej Heloizy... Ten jeden ustęp zrobił mnie smutną i rozmarzoną. Pan de Chateaubriand niezawodnie miał najlepsze intencje..., a przecież ta jego cytacja była niebezpieczną dla piętnastoletniej panienki“. Kilka wierszy Roussa, o których tutaj mowa, są czyste, jak łza. Są to ciche wyrazy żalu jego zrezygnowanej Julii. Nie umielibyśmy nawet przez lupę dopatrzeć się w nich grzechu. Co prawda, jesteśmy może niezdolni zdać sobie należycie sprawy z subtelnej psychologii piętnastoletniego panieńskiego serduszka?

Alc — „Geniusz Chrześcijaństwa“ wyszedł z druku w r. 1802. Liczyła więc wtedy autorka lat dwadzieścia i sześć i można tuszyć, że ani Chateaubriand ani Rousseau nie wyrządzili jej szkody zbyt dotkliwej. Jakkolwiek bądź, tyle wydaje się dosyć pewnem, że absolutna ścisłość chronologiczna nie jest najsilniejszą stroną jej Pamiętników.

Po kilkoletnim pobycie w Białymstoku, wydana za Aleksandra Potockiego, syna znakomitego mowcy i męża stanu, przeniosła się pamiętnikarka do wspaniałej rezydencji wilanowskiej. Zaznacza jednak od pierwszej niemal chwili pewne rozdziwki pomiędzy własną, żywszą raczej i lżejszą naturą, a poważniejszym nastrojem rodziny męzowskiej. Dość nieżyczliwie też odzywa się w szczególności o teściowej, pani Stanisławowej Potockiej, Lubomirskiej z domu, którą wszakże zaliczamy do najpoważniejszych dam w towarzystwie ówczesnem. Zresztą pamiętnikarka wydaje się naogół nieco zbyt pochopną do surowego sądu o starszej od siebie generacji. Tak np. niebardzo jest łaskawą na księżnę Izabellę Czartoryską, której nie przepomina grzechów młodości, której wytyka stare śmieszności i dla której zaledwo zdobywa się na określenie, że „była osobą nie bez wartości“ (*non sans mérite*). Nie zaliczamy się bynajmniej do ślepych wielbicieli księżny generałowej, ale wysoko cenimy jej obywatelskie dla kraju zasługi i nie innemamy zgola, żeby pani Potocka była istotnie powołana do traktowania tak z góry matki ks. Adama i pani Puław. Tutaj, w Wilanowie, miała

pamiętnikarka sposobność w r. 1805 ugaszczać u siebie cesarza Aleksandra I, podążającego na pierwszą swoją rozprawę z Napoleonem, na bitwę pod Austerlitz. Niezmiernie cennym były każdy przyczynek do tej znamiennej chwili historycznej, każde świadectwo, oświetlające ciągłą zmianę ówczesnych wpływów i nastrojów w duszy cesarza. Od tych zmiennych nastrojów wtedy zależał los kraju i świata. Cesarzowi już tylko było ręką sięgnąć do pruskiej Warszawy, po Warszawę. Czy wjechać do miasta? Wszystko na to było przygotowane. Rachowano z pewnością i poniekąd nie bez zasady, że byłby powitany aklamacją przez mieszkańców, doczekujących się niecierpliwie zwolnienia od twardych rządów pruskich. Lecz wieleż względów niesłychanie drażliwych i doniosłych wypadało tutaj brać w rachubę. Pokazać się w Warszawie znaczyło to zerwać z Prusami. Wprawdzie cesarz już szedł ku zerwaniu. Ale jeszcze zostawiał sobie odwrót. Jeszcze nie chciał rzeczy nieodwołalnych. A jeszcze ciągle miał przed sobą groźnego, piorunowładnego Napoleona. Nie dziw, że był zmienny w nastroju z dnia na dzień. Nie dziw, że musiał być innym wtedy w Wilanowie, niż po paru dniach w Puławach. Ale te wszystkie rzeczy nie zostawiły najmniejszego śladu w Pamiętnikach niniejszych. Dowiadujemy się tyle tylko, że cesarz za stołem wilanowskim był bardzo uprzejmy i że był w bardzo obcisłym uniformie. O ważnych wypadkach następnego roku, o pojawieniu się Francuzów, o pobycie Napoleona w Warszawie, o powstaniu Księstwa Warszawskiego, również nie

znalazła autorka nic nowego do powiedzenia. Napoleona po raz pierwszy widziała na balu w Zamku królewskim. „Włożyłam suknię czarną aksamitną, obszytą złotem i perłami *à la Mathilde*, kryzę otwartą *à la Van Dyck*... kostium szlachetny i nieco surowy, kontrastujący z moim świeżym i uśmiechniętym wyglądem“. Należy podziwiać znakomitą w tym wypadku pamięć autorki, lecz żałować przychodzi, że nie utrzymała w niej także społecznych wypadków dziejowych, niemniej zasługujących na uwagę. Co najwyżej zapisała tu jeszcze parę bardzo ostrych uwag pod adresem pani Walewskiej i Napoleona: „byłyśmy wszystkie zrozpaczone, że osoba, dopuszczona do towarzystwa, okazała tyle łatwości“. Ktokolwiek bliżej jest wtajemniczony w ówczesne życie i obyczaje towarzyskie, gotów byłby zapewne uznać tę „rozpacz“ za nieco przesadzoną. Żeby nie sięgać daleko, stosunek rodzonej ciotki pamiętnikarki z francuskim ministrem spraw zagranicznych był w tym samym czasie w Warszawie publicznym sekretem i nie brakło wcale dobrych dowcipów na temat czułych sentymentów pani Wincentowej Tyszkiewiczowej o jednym szklanem oku dla ks. Talleyranda o jednej kulawej nodze. Zresztą była to wszak ta sama wczorajsza Warszawa z Pod Blachy, z panią Vauban i ze wszystkimi akcesyorami. Cokolwiekby sądzić o pani Walewskiej, niepodobna chyba jej właśnie w stosunku do Napoleona odinowić niektórych przynajmniej okoliczności łagodzących.

Od tego też mniej więcej miejsca i od tej chwili przeważną część Pamiętników poświęca autorka wspomnieniom czysto osobistym, a ściśle uczuciowym. Dotyczą one młodego francuskiego oficera huzarów, który z awangardą wielkiej armii przybył do Warszawy. Wydawca nie wymienia jego pełnego nazwiska, „gdyż byłoby niedyskrecją podnieść tę przejrzystą zasłonę“. Zgadza się najzupełniej, ale pocóż w takim razie wydawca sam uczynił ową zasłonę tak „przezroczystą“, kładąc pierwsze i ostatnie litery nazwiska? Domyśli się z nich łatwo każdy czytelnik, że ukrywa się pod nimi Karol Flahault, generał pierwszego i dygnitarz trzeciego cesarstwa, syn kliwej romansopisarki, pani de Souza, znany zresztą bardziej jako domniemany syn Talleyranda, przyjaciel królowej Hortensyi i ojciec księcia Morny. Co się tyczy spraw publicznych z r. 1807, zapowiada tu wprowadzić autorka, że ma od teścia „niektóre szczegóły ciekawe i mało znane o zjeździe tyłżyckim“, lecz tą interesującą zapowiedzią sprawia, niestety, rozczarowanie, gdyż wszystko kończy się na paru starych i błędnych anegdotach o królowej Luizie pruskiej i na mylnej wiadomości, że Stanisław Potocki wezwany był do Tyłży dla ułożenia konstytucji Księstwa Warszawskiego — która przecież, jak wiadomo, podyktowana była przez Napoleona dopiero w Dreźnie, znacznie później. W 1810 r. zjechała autorka na kilkomiesięczny pobyt do Paryża, nie dla samej tylko rozrywki, lecz w sprawie odszkodowania od sztabu francuskiego, o które słusznie upominali się Potoccy, tytułem znacznych szkód,

zrządzonych podczas przemarszu wojsk francuskich. Dostała się tutaj w świetny wir ówczesnego życia dworskiego i towarzyskiego stolicy Francji, będącej wtedy, więcej niż kiedykolwiek, stolicą świata. Obyczaje, panujące w sferach wielkoświatowych pierwszego cesarstwa, spotykają się z nader surowym sądem autorki. Opowiada z oburzeniem, jak sama bywała przedmiotem natarczywych wzdychań lekkomyślnych Francuzów, a to Narbonna, a to Murata — ba, pozwala domyślać się, że była narażona na niebezpieczeństwo nawet ze strony samego Napoleona. Była mianowicie razu jednego proszona na obiad galowy do Saint-Cloud i przy tej okazji wyróżniona nieco dłuższą rozmową z cesarzem. „Najjutrz drzwi moje były w oblężeniu. Proponowano mi najpiękniejsze hotele w Paryżu. Śmiano mnie namawiać, abym nie odpychała tego, co nazywano zaszczytnym faworem“. Owóż to wszystko działo się w czerwcu 1810 r. Jeśli uwzględnić, że dla cesarza już wtedy ciężkie otwierały się kłopoty, że mianowicie otwierały się niebezpieczne komplikacje z Rosją w rzeczach polskich, że właśnie traktował z Petersburgiem w niezmiernie drażliwej sprawie konwencji polskiej, że tembardziej starał się akcentować swoje zainteresowanie dla wszystkich wybitniejszych Polaków przebywających w Paryżu i informować się od nich bezpośrednio o nastroju umysłów w Księstwie, że w dodatku wtedy od niewiele zaledwo tygodni był mężem młodej Maryi-Ludwiki i mężem najczulszym, że zresztą autorka, jak wiadomo, nie odznaczała się urodą: to może nie byłoby

wyłączone przypuszczenie, że nie miała ona właściwie powodu niepokoić się zanadto i że raczej zbyt podejrzliwie tłómaczyła sobie życziwe intencje Napoleona. Poza tem ogranicza się pani Potocka na obszernych opisach wizyt, spacerów i festynów paryskich; nie masz tu jednak niczego, co mogłyby się równać z takim np. świetnym obrazem obyczajowym i przenikliwą analizą psychologiczną, jaką znajdujemy w Pamiętnikach pani Rémusat, albo nawet z lekką i barwną opowieścią księżny Abrantès.

Z okresu ciężkich przejść 1812 i 1813 r. podaje pamiętnikarka szczegóły, bądź ogólnie znane, bądź błędne. Nawet kiedy chodzi o ostatnie czyny ks. Józefa Poniatowskiego, którego wszak była bliską krewną i sukcesorką, niedokładnie jest informowana: tak np. każe mu wyjść z Warszawy z wojskiem już w styczniu 1813 r., kiedy zasługę rzadkiej stałości księcia stanowi właśnie ta okoliczność, iż wytrwał aż do samego końca, tj. aż do lutego i ostatni opuścił nasze miasto przed objęciem go w posiadanie przez zwycięskie wojska rosyjskie. Niczego też nie dowiadujemy się o interesujących szczegółach tej, tak doniosłej w skutkach, okupacji rosyjskiej, skąd miało wyłonić się Królestwo Polskie i wszystek, aż po dziś dzień, przebieg losów krajowych. Można by jednak gdzieindziej znaleźć niektóre dość ciekawe szczegóły, pominięte przez pamiętnikarkę. Tak więc z Dziennika generała angielskiego, Wilsona, który wtedy jeden z pierwszych, wawangardzie rosyjskiej, wkroczył do Warszawy, dowiadujemy się, że natychmiast, zaraz

w lutym 1813 r., w Wilanowie i Natolinie urządzone były przyjęcia dla niego, Nowosilcowa i innych, i to, w nieobecności właściwego gospodarza, prezesa ministrów, Stanisława Potockiego, będącego z ks. Józefem i armią w drodze do Krakowa — urządzone przez samą pamiętnikarkę, której wspaniałych pereł i uprzejmej gościnności dla zwycięzców nie umie się dość nachwalić grzeczny Anglik.

Luźne wiadomości pani Potockiej o Kongresie wiedeńskim, czerpane przez nią wyłącznie z cudzych opowiadań, są też z konieczności raczej błahе i przeważnie opaczne. Treść końcowych wspomnień z pierwszych pięciu lat Królestwa Kongresowego również nie zawiera godniejszych uwagi przyczynków, a dosyć natomiast nieścisłości. Skądinąd wiadomo, że w Warszawie owoczesnej nie cieszyła się autorka żywszą sympatją. „Nikt nie zaprzeczy pani Aleksandrowej Potockiej — tak wyraża się o niej pod te czasy zacny generał Kołaczkowski — wrodzonego dowcipu, wielkiego gustu w sztukach nadobnych, osobiwie w rzeźbiarstwie i malarstwie. Lecz uchodziła za cierpką, obmowną, skąpą, dlatego też nie była lubianą, a raczej wzbudzała obawę towarzystwa”. Rozwiedziona już wtedy z pierwszym mężem, zamieszkała we własnym pałacu na Nowym Świecie, gdzie zbierało się u niej nieliczne grono znajomych, stałe na wista przychodził Chłopicki, zjawiał się często Niemcewicz. Naogół w tym czasie nadawała swemu salonowi charakter potrosze opozycyjny, choć ta opozycyjność wyrażała

się więcej w ogólnej ostrej krytyce salonowej, niż w jakiegokolwiek konkretnej dążności politycznej.

Ale zastrzeżyliśmy z góry, że pani Potocka kobietą polityczną nie była. Co więcej, musieliśmy dodać, że nie była wybitniejszą działaczką społeczną. W rzeczach publicznych należała poniekąd do nieobecnych. I to jest powód główny i istotny, dla którego jej Pamiętniki — aczkolwiek, [niepozbawione ujmujących rysów czułości macierzyńskiej i domowego przywiązania, mogą stanowić drogą pamiątkę rodzinną, aczkolwiek, niepozbawione żywności i gracyi, mogą mile zająć cudzoziemca — nie mogą jednak budzić głębszego zainteresowania wśród oświeconego naszego ogółu.

Szwolężerowie.

Olbrzymia księga, którą mamy przed sobą, jest nie tylko piękną książką, jest także pięknym czynem *). Jest poważnym i stosownym aktem petyzmu. Przynosi ona zaszczyt wydawcy i nakładcom. Wydawca nie szczędził nadzwyczaj mozolnego trudu, aby zgromadzić, uporządkować i opracować materiał aż nadto obfity. Nakładcy nie żalowali wyjątkowo znacznych ofiar, aby swoją publikację przyodziać w godną, aż nawet zbyt kowną, szatę zewnętrzną. Nie trzeba wcale być rzeczoznawcą, żeby ocenić już na pierwszy rzut oka, jak wiele zachodu wymagać musiało wydanie tych tysiąca źródłowych stroniec dużego oktawu, oraz jak wiele kosztów musiał pochłonąć nakład tego wspaniałego tomu, z mnożstwem portretów, akwareli, podobizn, odtworzonych w najdoskonalszym i najnowszym technicznym sposo-

*) „*Źródła do historii pułku polskiego lekkokonnego gwardyi Napoleona I.*” Wydał Aleksander Rembowski. Biblioteka Ordynacyi Krasieński. Muzeum Konst. Świńskiego.

bie. Lecz nie w tem istota rzeczy. To byłaby raczej strona podrzędną. Dalecy jesteśmy od cenienia produkcji piśmienniczych według ilości jednostek sześciennych zadrukowanego papieru, a tem mniej — według wysokości kwoty, zapłaconej drukarzowi. Nie brak doprawdy publikacji, równie, czy nawet jeszcze więcej pracowitych, i równie, czy nawet jeszcze więcej kosztownych, których istotna potrzeba i wartość w żadnym przecie nie są stosunku do zużytego „czasu i atlasu”. Inaczej, na szczęście, stało się w obecnym wypadku. Mrówcza pracy wydawcy, hojna ofiarność nakładców, pobudzona i kierowana sympatyczną chęcią uczczenia i upamiętnienia rzeczy, wartych czci i pamięci, złożyły się tym razem na całość, istotnie pożądaną i szacowną. Tak powstało niniejsze imponujące dzieło o pułku szwoleżerów. Jedyne niezawodnie w specjalnem piśmiennictwie polskiem, nawet w zagranicznem byłoby ono napewno zaliczone do wytworniejszych rzadkości edytorskich. Nie sądzimy, aby którykolwiek regiment którejkolwiek broni mógł pochwalić się pomnikiem świetniejszym od tego, jaki tutaj wystawiono lekkokonnym polskim. I jakkolwiek w genealogii wojskowej jeden z najmłodszych i najkrótszego żywota, zasłużył sobie wszakże na taki pomnik i oddawna dopominał się go od swoich polski pułk szwoleżerów napoleońskich.

Główną zawartość książki niniejszej stanowi szczegółowa „*Notice historique sur le régiment des chevaliers polonais*” przez generała Dautancourta. Piotr Dautancourt, zaciągnąwszy się jako młody chłopak do

armii rewolucyjnej, w celniejszych kampaniach republikańskich i napoleońskich z prostego żołnierza dosłużył się szefostwa szwadronu, kiedy, w 1807 r., przeznaczony został od cesarza na drugiego grosmajora do formującego się pułku szwoleżerów. Odtąd w charakterze instruktora, a przedewszystkiem głównego administratora, pozostał przy pułku aż do jego rozwiązania w 1814 r. Człowiek prosty, lecz wypróbowanej zacności, waleczny żołnierz, administrator wzorowy, wkrótce zyskał sobie serdeczne przywiązanie polskich towarzyszy broni. Obdarzyli go oni popularnym przydomkiem „papy regimentu“, na co dobrze zasłużył sobie swoją niezmordowaną pieczołowitością administracyjną. Rzeczywiście, pocziwy Francuz całą duszą zrośł się z doborowym pułkiem polskim. Sam następnie, z własnego dziennika i papierów kancelaryi pułkowej, zestawił wyczerpującą „Zapiskę historyczną o regimencie polskim lekkokonnym“. Już Zygmunt Krasiński, syn pułkownika szwoleżerów, przed samą swoją śmiercią nosił się podobno z myślą ogłoszenia tego ciekawego dokumentu. Rzecz wtedy została jednak zaniechana, zapewne ze względu na niepomyślne wypadki krajowe, i dziś dopiero, po czterdziestu przeszło latach, doprowadzona do skutku w książce niniejszej. Nie straciła nauka na tem opóźnieniu. Zbogaciły „Zapiskę“ Dautancourta obfite i cenne uzupełnienia: nowa przedmowa wydawcy; słowo wstępne generała Chłapowskiego, pisane zapewne około 1860 r.; stan służby oficerów i spis alfabetyczny żołnierzy; treściwa: „*Notice pour servir à l'histoire du*

corps“, wyjęta z matrykuły pułkowej; rozprawka generała Krasińskiego „O użyciu lancy“, powtórzona z pierwodruku francuskiego 1811 r.; wiadomość o umundurowaniu szwoleżerów: wreszcie zbiór marszów, pieśni wojennych i wierszy, odnoszących się do pułku w ogólności i szarzy pod Somo-Sierą w szczególności.— Wszystko to razem, obficie w dodatku ilustrowane, utworzyło monumentalną i wszechstronną monografię źródłową o pułku lekkokonnym.

Pułk szwoleżerów zrodził się z gruzów potęgi pruskiej, obalonej ręką Napoleona. Zwycięstwo jenajskie z końcem 1806 r. zaprowadziło cesarza, na Berlin i Poznań, do Warszawy. Wszakże po łatwej kampanii pruskiej rozpoczęła się dopiero ciężka czwarta kampania koalicyjna, a „pierwsza kampania polska“. Zaraz za pierwszym pojawieniem się cesarza tworzyły się w Poznaniu i w Warszawie gwardye honorowe z młodejszłachty przy jego osobie. Jednak właściwa organizacja siły zbrojnej krajowej odbywała się według zasad ogólnych, prowadzona w Wielkopolsce przez generała Dąbrowskiego, w stolicy — przez ks. Poniatowskiego, pod kierunkiem Komisji Rządzącej Tymczasowej.

Naraz, dosyć późno, po półrocznych czynnościach wojennych, a sposobem wyjątku z organizacyi ogólnej, postanowione zostało przez Napoleona stworzenie oddzielnego pułku szwoleżerów polskich w służbie gwardyi francuskiej. Dekret cesarski, wydany z kwatery głównej w Finckenstein 6 kwietnia 1807 r., włączał do tej nowej formacyi gwardyę narodową warszawską, już

istniejącą, a powoływał nadto młodą szlachtę polską, właścicieli lub synów właścicieli ziemskich, obowiązując ich ekwipować się kosztem własnym; zresztą warował dla nowego pułku wszelkie prawa i przywileje gwardyi cesarskiej francuskiej. Równocześnie pułkownikiem szwoleżerów mianowany został przez cesarza Wincenty Krasiński, nominalny wtedy dowódca pułku strzelców, znajdujących się przy sztabie głównym francuskim.

Żałować należy, że rzeczone dekrety erekcyjny i nominacyjny — pominięte zresztą w „Korespondencyi Napoleona I“, — oraz, co główna, ich właściwa geneza i znaczenie, nie zostały dostatecznie wyświetlone przez uczzonego wydawcę. Nie podejmujemy się oczywiście w przygodnem sprawozdaniu rozstrzygnąć tej, bądź co bądź, zasadniczej sprawy. Pozwalamy sobie jedynie niektóre incydentalne wyrazić uwagi.

Położenie Napoleona w tej samej właśnie chwili było niezmiernie trudne i niebezpieczne. A było nadto szczególnie drażliwe ze względu na sprawę polską. Po krwawej „rzezi“, jak sam zgębiony wykrzyknął Napoleon, pod pruską łławą (luty 1807), mógł on w każdym momencie dostać się już nie między dwa, lecz między trzy ognie, na wypadek przewidywanego przystąpienia Austrii do koalicji. Gorączkowe w tym względzie rokowania prowadzone były już oddawna, zaś ze szczególną natarczywością od świeżej daty łławskiej, pomiędzy kwaterą główną rosyjską i gabinetem pruskim, a ośmieronym dworem wiedeńskim. „Z dnia na dzień — tak pod tą samą właśnie datą stwierdzał w swoich zapiskach ge-

nerał Bennigsen, wódz naczelny armii rosyjskiej — oczekiwaliśmy sukursu od Austryaków, którzy w jednym mgnieniu mogli rzucić z Czech gotową 80 tysięczną armię na tyły Napoleona“. Z drugiej, północnej strony również zbierały się śpieszące na odsiecz sprzymierzeńcom świeże kilkunastotysięczne wojska szwedzkie i dwudziestotysięczny korpus angielski. Natomiast siły Napoleona, nadwergzone długą i morderczą kampanią, szybko topniały. Od chwili przekroczenia Renu aż do wiosny 1807 r. stracił on, według umiarkowanego rachunku, do 100 tysięcy ludzi, ubyłych z szeregu, czy to z ręki nieprzyjaciela, czy też z chorób i wyczerpania. Zapewnianie rozluźnionych kadrów, na tak znacznej odległości od Francji, w uciążliwej porze zimowej i wiosennej było połączone z niezmiernymi trudnościami. Zaprowiantowanie armii na ubogich i zniszczonych ziemiach polskich wiele pozostawiało do życzenia. W dodatku — i na tę mianowicie okoliczność pragnęliśmy pod koniec położyć nacisk osobliwszy na tem miejscu, — usposobienie umysłów w tych ziemiach polskich, jakkolwiek naogół nader przychylne, nawet entuzjastyczne, względem Napoleona zwycięzcy, cudotwórcy, zbawcy od jarzma pruskiego, — jednakowoż nie było jeszcze zupełnie jednolitem ani zupełnie ugruntowanem. Kraj ten, wczora pruski, dziś francuski, jutro warszawski, ostatnimi czasy był przechodził koleje zbyt gwałtowne i zbyt raptowne, ażeby w nim opinia publiczna już zdążyła ostatecznie i nieodwołalnie wyklarować się i ustakować. Przeciwnie, były tam niektóre wpływy dość

znaczące, niektóre usiłowania wcale wyraźne, pociągające opinię w zgoła odmiennym kierunku, mące ją i wytrącające z równowagi. Nie mogło być zresztą inaczej. Zbyt doniosłe sprawy, byt kraju, może byt samego narodu, ważyły się na szali dziejowej. Któż mógł wyprorokować napewno, zwłaszcza po ławie, czy fortuna napoleońska nie ugrzęźnie w obnażonych trzęsawiskach litewskich? Któż mógł napewno przewidzieć Frydland? Nie dziw przeto, że w tej krytycznej, przełomowej chwili musiano również brać na uwagę możliwość klęski francuskiej; nie dziw, że można było poniekąd dawać ucho widokom i propozycjom, przychodzącym z wprost przeciwnej strony i przeciwnego obozu. Zaś takie propozycje i widoki nie były bynajmniej nowością. Dopiero niedawno, przed półtora rokiem zaledwo, były nadchodziły one do pruskiej jeszcze wtedy Warszawy z kwatery głównej cesarza Aleksandra w Puławach, jesienią 1805 r. Obecnie, na wiosnę 1807 r., przychodziły do francuskiej Warszawy z kwater rosyjskich w Tawrogach i Bartoszycach. W otoczeniu cesarza Aleksandra, znów jak przed kilkunastu miesiącami, najśmielsze planowano zamysły. Z polecenia ks. Adama Czartoryskiego zaufany jego pomocnik, Stanisław Ursyn Niemcewicz, wygotował kompletny projekt złączenia wszystkich ziem polskich pod berłem Aleksandra. Sam Czartoryski wygotował już nawet w tej materii wymowne pismo okólne, do „znamienitszych w Polsce obywatelów“. Dawny legionista, generał Kniaziewicz, pośpiesznie został powołany do kwatery głównej Aleksan-

dra w Tawrogach i usłyszał tutaj z własnych ust cesarza najdalej sięgające zapowiedzi. Bennigsen w obozie bartoszyckim łada chwila zamierzał „na własną swoją odpowiedzialność“ ogłosić cesarza Aleksandra królem polskim. Tak sprzeczne, tak nadzwyczajne ewentualności, nie mogły pozostać całkiem bez wpływu na nastrój umysłów w Warszawie, ani nawet na działalność Rządu Tymczasowego warszawskiego ustanowionego przez Napoleona. W rzeczy samej, w zapiskach Bennigseny znajdująmy nader zastanawiające wyznanie, że „najdokładniejsze i najwiarogodniejsze informacye (o ruchach wojsk francuskich) otrzymywaliśmy (t. j. komenda rosyjska) z Warszawy, skąd nadsyłane były regularnie, dwa razy w tygodniu, z bardzo dobrego źródła“. Lecz nawet już niezależnie od takich szczegółów, aż zanadto drażliwych, sama najniezbędniejsza akcja prowiantowa i rekrucka Komisji Tymczasowej warszawskiej była oczywiście w pewnej mierze krępowana pośród takich wyjątkowych warunków, zaś w ogólności nastrój opinii publicznej, zwłaszcza w wyższych kołach społecznych, nie mógł przyjąć do pożądaney pełnej i trwałej równowagi.

Te wszystkie rzeczy, bardzo interesujące a bardzo mało znane, z marca i kwietnia 1807 r., spodziewamy się jeszcze w swoim czasie i miejscu szczegółowo wyjaśnić. Obecnie stwierdzamy tylko, że musiały one w wysokim stopniu niepokoić Napoleona, i to tem bardziej, że nie mogły one nie wpływać poniekąd na osłabienie tempa organizacyi rządowej i wojennej w War-

szawie. Próbował i on na swój sposób jąć się stosownej dywersyi. Jeszcze z iławskiego pobojuwiska wypuścił generała Bertranda z misją pokojową do Fryderyka-Wilhelma III. Bertrand między innemi miał ofiarować królowi pruskiemu koronę polską. Król odmówił. Wtedy zwrócił się Napoleon do Aleksandra z propozycją zwołania kongresu pokojowego do Drezna. I tu otrzymał odprawę. Wypadało tedy gotować się na ostateczną, na śmiertelną rozprawę. W takim położeniu cesarzowi Francuzów musiało wiele zależeć na tem, aby jak najpełniej i jak najdotykalnej utrzymać w swoich rękach ducha publicznego polskiego. Owóż właśnie stworzenie polskiego pułku szwoleżerów przybocznej gwardyi cesarskiej, wcielenie młodzieży najpierwszych domów polskich bezpośrednio do zaciągu służby francuskiej, wydało się niezawodnie środkiem nader po temu skutecznym. Myśl ta, zdaje się, powstała nagle i natychmiast została urzeczywistnioną: przynajmniej we wcześniejszych zleceniach cesarskich dla Talleyranda do Warszawy nie spotykamy żadnego jej śladu. Czy powziął ją sam Napoleon, czy podali Sapieha albo Krasiński, nie chcemy przesądzać. Mamy powody do przypuszczenia, że ani ks. Poniąkowski, ani nawet Dąbrowski nie zapalali się bynajmniej do tego pomysłu w pierwszej chwili, kiedy został powzięty. Przeciwnie, cesarz odrazu wziął tę sprawę nadzwyczaj do serca. Tegoż samego dnia, zaraz 6 kwietnia, kiedy podpisał dekret, wyprawił wieczorem Dautancourta do Warszawy dla niezwłocznego wykonania. „Będziesz pan popierał na wszelki sposób,

pisał cesarz do Talleyranda, formację tego pułku. Pragnę mieć pierwszy szwadron w ciągu dwóch tygodni“. Talleyrand w rzeczy samej z nadzwyczajną energią wystąpił w tej sprawie, zarówno wobec ks. Poniąowskiego, dyrektora wojny, jakoteż Stanisława Małachowskiego, prezydenta Komisji Rządzącej. Chodziło tu widocznie nie tylko o formację wojskową, lecz także poniekąd o akt polityczny.

Odrębny charakter polityczny i stanowy, dający się spostrzegać przy samem poczęciu pułku szwoleżerów, mógłby zapewne nastęczyć niektóre uwagi krytyczne co do samej genezy tego sławnego pułku. Podnosimy atoli z naciskiem, że te zastrzeżenia odnosić się mogą wyłącznie do samego genetycznego momentu, a natomiast zgółła nie dotyczą następnej, rzeczywistej historii służbowej szwoleżerów, otwierającej się śród zdeklarowanych już warunków po zwycięstwie frydlandzkim. Od tego też miejsca aż do kresu można tylko pisać się w zupełności, jeśli nie we wszystkich może poszczególnych argumentach, to napewno w głównych wnioskach ostatecznych, na wymowną i przekonującą apologię pułku szwoleżerów, ogłoszoną przez wydawcę, a skierowaną przeciw uprzedzonym detraktorom zagranicznym oraz przeciw zbyt jednostronnym sędziom swojskim. Góruje ona w tej myśli przewodniej, niewątpliwie najściślej prawdziwej, iż ożywczą sprężyną duchową i moralną, która jedynie potrafiła uzdolnić szwoleżerów polskich do tylu, w tak krótkim czasie, niezwykłych i znakomitych dzieł wojennych, była nie ambicya osobista,

nie chcieć usłużenia obcemu mocarzowi, chociażby nawet takiemu geniuszowi, jak Napoleon, lecz było przede wszystkim i nadewszystko głębokie przywiązanie do własnego rodzinnego społeczeństwa i nieodstępna świadomość pełnionego bez żadnej przerwy, na najdalszej bodaj obczyźnie, własnego, krajowego obowiązku.

Jednakowoż, jeśli w pięknej książce niniejszej spotykamy się z ciepłą i sprawiedliwą apologią, nie spotykamy się przecie z panegirikiem. „Brałem w rachubę i ten wzgląd — objaśnia wydawca — że pułkiem szwoleżerów gwardyi od początku do końca jego istnienia dowodził generał Wincenty Krasiński, pierwszy ordynat. Z tem wszystkiem decydującym powodem, który mnie skłonił do wydawnictwa, było wyjątkowe stanowisko i wyjątkowe dzieje regimentu, na które się składało nieporównane męstwo, ale i gorliwa służba obywatelska, płynąca z płomiennej miłości kraju”. Ten trafny punkt wyjścia niezawodnie obrócił się na dobro wydawnictwa. A więc, jakkolwiek wyszło ono niejako z domu dowódcy regimentu, przecież zachowało charakter rzeczy publicznej, nie prywatnej, stało się pomnikiem pułku, nie pułkownika. Wydaje się to ze wszech miar właściwem i uzasadnionem. Generał Wincenty Krasiński, zasłużony zapewne szwoleżer, lecz uzdolnień wojskowych co najwyżej miernych, powagi politycznej — żadnej, postacią pomnikową bynajmniej nie był i nie jest. Ani też nie będzie on kiedykolwiek, jak mniemamy, miał wiele do zyskania na przyszłych badaniach dziejopisarskich. Posiada on swój słuszny, lecz zupełnie dostateczny i ściś-

le ograniczony, udział we wspólnym monumencie, wzniesionym zbiorowej pamięci szwoleżerów.

Niepodobna nam na tem miejscu, choćby nawet najpobieżniej, wertować wszystkich, tak świętych kart dziejowych pułku szwoleżerów. W kampanii 1807 r. pierwsze, ledwo sformowane szwadrony nie zdążyły wziąć czynnego udziału; już jednak były prezentowane w Tylży. Tem świetniej odznaczył się pułk w kampanii hiszpańskiej 1808 r. Skądinąd zapewne możnaby ubolewać, że Polakom wypadło przyłożyć się do zwalczania broniących niepodległości Hiszpanów. Ale skoro tak chciała wyższa konieczność dziejowa, ten ciężki obowiązek z największą chlubą wypełniony został przez broń szwoleżerską. Wtedy to mianowicie przypało sławne wzięcie wawozu pod Somo-Sierrą, epizod, nie mający sobie równego w całej nowoczesnej historii wojskowej. Niemniej wybitny był udział pułku lekkokonnego polskiego w kampanii austriackiej 1809 roku, a zwłaszcza w decydującej rozprawie pod Wagram. W kampanii moskiewskiej 1812 roku szwoleżerowie, w pomniejszych oddziałach rozrzućeni pomiędzy rozliczne jednostki operacyjne Wielkiej armii, wszędzie wykazali pierwszorzędne zalety bojowe i zwłaszcza podczas straszliwego odwrotu z pod Moskwy znamienite oddali usługi. Do najczynniejszej może i najkrawawszej roboty powołany był pułk w ciągu kampanii saskiej 1813 roku i francuskiej 1814 r., i tutaj też najbardziej wyczerpującą staje się „Zapiska“ Dautancourta, naocz-
nego świadka i uczestnika tych nieszczęśliwych walk

ostatnich. Aż do samego końca dotrwali szwoleżerowie przy Napoleonie. Dopiero w kwietniu 1814 r., zwolnieni od przysięgi aktem abdykacyjnym cesarza, razem z innymi niedobitkami polskimi powierzyli swoje losy w ręce Aleksandra I, jako predestynowanego monarchy przyszłego Królestwa Polskiego. W czerwcu t. r. na równinie w Saint-Denis pod Paryżem odbyli rewję przed W. Ks. Konstantym, jako tymczasowym wodzem naczelnym wojska polskiego, i stąd skierowani zostali do Warszawy, gdzie częściowo weszli do nowych formacji armii Królestwa. Jeden atoli szwadron pod Jerzmanowskim na własne życzenie towarzyszył Napoleonowi na Elbę, powrócił stamtąd następnie razem z cesarzem, uczestniczył we wszystkich walkach Studniowych, bił się pod Waterloo i wyniósł na lancy szwoleżerskiej ostatni promień legendy napoleońskiej.

Generał Chłapowski.

Poważna i niezwykła postać Dezyderego Chłapowskiego znana była dotychczas niemal wyłącznie z cudzych o nim głosów. Te głosy między sobą skróś były sprzeczne. Odezwały się nasamprzód namiętne lub potwarcze oskarżenia Mochnackiego i Wrotnowskiego, lekkomyślne zarzuty Dembińskiego, lekceważąca opinia Prądzyńskiego, surowe zdanie Barzykowskiego. Potem przyszła kolej na rehabilitację, na gorącą obronę Macieja Mielżyńskiego, a po zgonie sędziwego generała przyszły hyperbole nekrologowe i biograficzne Pawła Popiela i Kalinki. Sam Chłapowski nic o osobie ogółowi nie mówił. Od oskarżeń się nie bronił, wyrzutów ani podejrzeń nie odpierał. Samochwalstwem brzydził się zawsze. Popularności nie szukał nigdy. Jednak jedynego jego krótkie pismo publiczne, gdzie mówił o wypadkach, w których brał udział, pismo, skreślone w chwili powszechnego pomieszanego i gorączki, a dziwnie spokojne, dorzeczne i zwięzłe, nacechowane przedmiotowością zimną, jasną i bezwzględną, od razu dawało miarę człowieka, świadczyło, że jest to jeden z tych ludzi, co

bez pośredników obchodzą się najlepiej, i nakazywało przypuszczać, że własne jego słowa najlepszym będą kluczem do własnych jego postępów i własnej duszy. Teraz, w rzeczy samej, z własnych „Pamiętników“ Chłapowskiego możemy go poznać dokładnie i sprawiedliwie ocenić *). Powiemy więcej. Te „Pamiętniki“ są nie tylko niezbędnym przyczynkiem dla oświecenia wybitnej postaci publicznej. Jest w nich tyle panowania nad sobą, tyle przetrwionego doświadczenia, tyle jędrnej prostoty, tyle lapidarnej wymowy samych nagich, faktycznych szczegółów, że wypadnie odtąd te ułamkowe zapiski wojenne zaliczyć do piękniejszych kart naszej literatury pamiętnikowej. Ogłoszeniem „Pamiętników“ Chłapowskiego jego rodzina zasłużyła się zarówno i jego imieniu, i czytającemu ogółowi.

Złą atoli przysługę wyrządzono generałowi, kiedy dzisiaj, w przedmowie do wspomnień niniejszych, sięgnięto dla nich po porównanie aż do zapisków Cezara i dyktand Napoleona. Równie złą, jak kiedy przed dwudziestu laty, w krasomówczych nekrologach i życiorysach, chciano z tego niepospolitego człowieka zrobić wielkiego człowieka. Są, istotnie, w Chłapowskim niepospolite rysy ducha. Jest duże i ofiarne poczucie obowiązku, charakter zgoła czysty i prawy, wola jednolita, prosta i silna. Jest trzeźwy rozsądek, wrodzony zmysł

*) Generał Dezydery Chłapowski: „Pamiętniki. Część I. Wojny Napoleońskie 1806—1813. Część II. Wojna roku 1830—1831“. Nakładem synów.

realny, wstręt do pozorów, poufałości, gadaniny, instynkt porządku i karności, zespolony z rozkazującym instynktem naczelnika. Ale to poczucie obowiązku jest wtłoczone w pewną sztywną formułkę, zamknięte ściśle w kole pewnych pojęć, niedopasowanych do natury wyjątkowej owoczesnej doby. Ten charakter, wola, rozsądek nie są w tym gatunku, nie są tej najwyższej próby, jakiej wymagały okoliczności. Talent, jednym słowem, jest drugorzędny. Ambicya zbyt wielka zarazem i zbyt mała. Zbyt wielka, jak na człowieka prywatnego, który samem wzięciem się swojem chciał i mógł imponować osobiście, ale w którym nie było bynajmniej dosyć istotnej potęgi duchowej, ażeby ten autorytet osobisty wprost przenieść do sfery publicznej i narzucić ogółowi. Zbyt mała, jak na człowieka, powołanego do wydatnego stanowiska publicznego, a który nie umiał nagiąć swojej indywidualności prywatnej do niezbędnych wymagań powszechnego położenia. Stąd wynikła dysproporcja pomiędzy tem, czego oczekiwano od Chłapowskiego, czego on sam po sobie oczekiwał, a tem, co on dał w istocie, głęboka dysproporcja pomiędzy dużą, rzeczywistą wartością człowieka a znikomem znaczeniem jego rzeczywistych usług i roli historycznej.

Pochodził z dobrej i wybitnej szlachty wielkopolskiej. Ojciec, obywatel i gospodarz nieosobliwy, nadzarpnął majątek przez pańskie, nad swój stan, fantazyje i zachcianki; wcześniej też pogodził się z nowym rządem pruskim, syna zapisał na korneta do pruskiego pułku dragonów i wysłał na edukację do szkoły artyleryjskiej

w Berlinie. Przerwała nauki wojna 1806 roku. Dotychczas, pośrodku powszechnej zawieruchy napoleońskiej, jedne Prusy stały w pokoju, nietknięte i, zdawało się, nietykane. Naraz klęska jenańska od jednego zamachu zwałałi wszystkich gmach Fryderykowej potęgi.

Z podziwem i zachwytem młody Chłapowski, w kilkanaście dni zaledwo po rozpoczęciu kampanii, ujrzał awangardę francuską, wstępującą do Berlina. Gorący chłopak w ten moment skoczył na konia i popędził cwałem do Poznania z wieścią nadzwyczajną, która, oczywiście, wypłoszyła natychmiast z Wielkopolski garnizony i urzędy pruskie. Zjawili się na ich miejsce Dąbrowski i Wybicki. Niebawem stanął w Poznaniu Napoleon. Utworzono dla niego gwardyę honorową z synów obywatelskich; dostał się do niej Chłapowski. Cesarz konno rekognoskował okolice Poznania; słońca grudniowa zepsuła wszystkie drogi i jednego razu wjechano w takie bagno, że sztabowcy francuscy, wyprzedzający cesarza, utknęli bezradnie. Chłapowski, jadący z tyłu z eskortą, na ten widok wyrwał się naprzód z okrzykiem: *un Polonais passe partout*, przesadził błotnisty rów na łące i wskazał przejazd cesarzowi. Napoleon zwrócił uwagę na żwawego młodzieńca, zatrzymał go tego dnia na obiedzie, a że miał w zwyczaju uczyć się wszędzie i od każdego, zaraz wziął go na indagację. „Zdawało mi się — opowiada Chłapowski — że go już dawno był widział, tak portrety jego były podobne. Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać; tak były ciągle w ruchu, że niepodobna było im się przypatrzeć; zdawały mi się

naówczas ciemne, zapewne dlatego, że były głęboko osadzone; później widziałem, że były bardzo jasne. Mówiąc, nie patrzył w oczy temu, z kim mówił, ale na dół lub na bok; czasem tylko spojrzał prosto w twarz... Obiad nie trwał dłużej nad pół godziny. Przez te pół godziny cesarz pytał się jednak o bardzo wiele rzeczy. Szybko zadawał mi pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin... O Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Rzplłą połączyła. Musiałem mu to opowiadać. Wogóle naszą historię mało znał, a pruską, jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka II... O stan chłopów także się pytał. Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy Książęce elektorowi brandenburskiemu się dostały“.

Napoleon z Poznania wyruszył wprost do odebranej Prusakom Warszawy. Tymczasem rozpoczęła się ciężka kampania 1807 roku. Dąbrowski pośpiesznie formował dywizję wielkopolską. Wstąpił tutaj Chłapowski w stopniu porucznika do pułku piechoty ks. Sułkowskiego, z którym był spowinowacony. W potyczce pod Tczewem wytrzymał pierwszy chrzest ogniowy i zaraz zasłużył sobie na czerwoną wstążkę Legii honorowej. Wkrótce jednak, już w marcu, przy oblężeniu Gdańska, wpadł w zasadzkę i wzięty został do niewoli. Młody, zupełnie nieznany chłopak odebrał wtedy pierwszy pochlebny dowód wyjątkowej pamięci i łaskawości cesarskiej. Napoleon, który przecie naówczas miał zaiste dość i za dużo spraw ważniejszych na skłopotanej swej głowie, zasłyszawszy o wzięciu młodego porucznika przez

Prusaków, nie zaniedbał wstawić się osobiście za jego uwolnieniem. „Żywię szczególniejsze zainteresowanie dla tego młodego człowieka“, — pisał sam z kwatery głównej do dowódcy korpusu oblężniczego, marszałka Lefebvra, rozkazując mu niezwłocznie zwrócić się bezpośrednio do komendanta Gdańska, generała pruskiego Kalkreutha, z żądaniem zamiany Chłapowskiego. Nie mógł nie wiedzieć pamiętnikarz o tej osobistej reklamacyi Napoleona; wszakże w swoich zapiskach pomija ją milczeniem, podobnie jak przemilcza z zasady, z właściwą sobie wstrzeźliwością, wiele innych zaszczytnych dla siebie szczegółów własnej służby i kariery. Zresztą wstawiennictwo cesarskie przyszło tym razem zapóźno. Zanim mogło ono osiągnąć skutek, Chłapowski z Gdańska już został wywieziony do Rygi, gdzie kilka miesięcy wysiedział aż do pokoju w Tylży. Skorzystał z odzyskanej wolności dla odwiedzenia i poznania Wilna i Warszawy. Kilka dni bawił w Wilnie; objeżdżał i uważnie zrekonoskował okolice miasta, nauczony przykładem cesarza w Poznaniu; nie przewidział, że ten objazd przyda mu się kiedyś w najważniejszej i najcięższej chwili jego życia. W Warszawie widział ks. Józefa Poniatowskiego i odebrał od niego nominację na adjutanta przy generale Dąbrowskim. Lecz już po kilku miesiącach nowe, niespodziane i zaszczytne otrzymał przeznaczenie. Napoleon, który wśród swoich trosk światowych umiał pamiętać o najmniejszej rzeczy, rozkazał przysłać sobie do Paryża „tego małego Polaka

co to wszędzie przejedzie“, i mianował go oficerem ordynansowym przy swoim boku.

Zaczął się dla Chłapowskiego nowe, gorączkowe życie, nowa, pięcioletnia bez wytchnienia służba, niezmiernie wyczerpująca, ale też niezmiernie kształcąca. Był jeszcze bardzo młody. Zachował się portret jego z tej epoki; smągła, śmiała twarz, rysy regularne, suche i czyste, oko bystre, gęsta, nieco zwichrzona czupryna, piękny, dwudziestoletni chłopak, małego raczej wzrostu, szczupły, ale bardzo kształtny, znać, że zwinny do konia i szabli, że wytrzymały i sprawny, typ nawskrós rasowy. Taki typ, oddany do szkoły napoleońskiej, musiał udoskonalić się i większej jeszcze nabrać tęgości. Ciągła teraz bliskość cesarza, ciągły jego widok, ciągła pod nim służba, niezatarte piętno wyryły na duszy Chłapowskiego. Świadomie czy bezwiednie, przejmując on się naturą tego nadzwyczajnego pierwowzoru. Tylko nie posiada w sobie dostatecznych danych dla skutecznego naśladownictwa. Tak wyrobiła się w nim owa skoncentrowana energia, odtąd cecha w nim górująca, będąca przecie wytworem nie samej tylko siły ducha, ale też duchowego wysilenia, starcząca dla mniejszych rzeczy, wobec wielkich zagadnień bezpłodna.

W Paryżu nasamprzód trzeba było się uczyć. Oficer ordynansowy cesarza musiał umieć więcej, niż kornet pruski. Chłapowski z zapałem zaczął uczęszczać do szkoły politechnicznej paryskiej. Zbyt krótko jednak, kilka miesięcy zaledwo, mógł prowadzić te ważne nauki. Będzie mu to później brakowało dotkliwie wobec

byłych elewów szkoły aplikacyjnej warszawskiej, co to, jak Prądzyński albo Kołaczkowski, prawie społecznie, w domu, inaczej się uczyli, trzeźwiąc się kawą czarną po nocach spędzanych nad kursami i planami wojskowymi. Do takiej pracy, gdyby nawet i miał właściwą zdolność, nie miał wszakże sposobu Chłapowski, wcześniej odwołany ze szkoły i w Paryżu do swoich obowiązków ordynansa. Jednak w tym samym czasie, przed wyjazdem, zdążył jeszcze odwiedzić Naczelnika, który zamieszkiwał wtedy w okolicach Paryża, w cichym ustroniu Berville pod Fontainebleau. „Zastałem go w ubiorze wieśniaka francuskiego, w słomianym kapeluszu, półfraczkę szaraczkowym, miał krótkie spodnie i mocne trzewiki. Zęby zwierchnie już był potracił, co mu wymowę psuło. Powiedział te dla mnie pamiętne słowa: „Dobrze, że służysz i że się uczysz... przy boku cesarza możesz nabierać wiele wiadomości i doświadczenia... Ale on tylko o sobie myśli... nic dla nas nie zrobi“. Wielki i zasłużony człowiek to mówił, ale zastygły w minionej już dobie, odwrócony od społecznej; poważne i szczere były jego słowa, ale błędne i niesprawiedliwe.

Chłapowski z Paryża wezwany był dla czynnego objęcia swojej służby do Bajonny, gdzie od wiosny 1808 roku bawił Napoleon. Odbynał się wtedy w Bajonnie gwałtowny akt bezprawia, jeden z opłakańszych aktów napoleońskich, uwięzienie królewskiej rodziny hiszpańskiej, złożenie jej z tronu, wyniesienie Józefa, brata cesarskiego, na tron zabrany. Prawie natychmiast powsta-

ła cała Hiszpania. Tutaj Chłapowskiemu wypadło wywiązać się z pierwszego polecenia cesarza, zawieźć pilny rozkaz marszałkowi Muratowi do Madrytu. Trzeba było stanąć z Bajonny w Madrycie na trzeci dzień, nie zatrzymując się, jak tylko dla zmiany koni. Chłapowski stanął wcześniej jeszcze, niż mu kazano: „ale prowadzić mnie musiano do marszałka, bom się na nogach utrzymać nie mogłem, miałem gorączkę w całym ciele, zdawało mi się, że się głowa karku nie trzyma, ale myśl była wyraźna i bardzo przytomna“. Odtąd, od tej pierwszej próby, stale był używany przez cesarza do zleceń najpilniejszych i najtrudniejszych. Stale też wywiązywał się z nich z jednakową gorliwością, a w Pamiętnikach zdaje z nich sprawę z jednakową prostotą. Pod tym względem jego Pamiętniki pięknie odbijają od całej społecznej literatury pamiętnikarskiej francuskiej, w rodzaju słynnych wspomnień Marbota, gdzie wszędzie pełno przechwałek, „renomazu“, „gaskonady“, a często i wierutnego kłamstwa. Dla Chłapowskiego bezwzględne poświęcenie i bezwzględna odwaga oficera są to rzeczy tak naturalne i konieczne, że zawsze jak najkrócej tylko wzmiankuje, a często wprost pomija liczne okazy, gdzie jemu osobiście jak najświetniej odznaczyć się wypadło. O swoich szalonych jazdach ordynansowych w kraju nieprzyjacielskim wspomina dlatego tylko, aby dodać naukę, że w takich wypadkach należy mieć buty bardzo szerokie, kulbakę długą, nie jeść przed wyjazdem i płukać usta po drodze wódką francuską. Kiedy indziej tak się tłumaczy: „W powrocie, na wężkiej dro-

dze, zastąpił mi żołnierz angielski, konia za cugle uchwycił i zamierzył się bagnetem, musiałem go przebić pałaszem; jedyny to raz byłem zmuszony zabić nieprzyjaciela, zawsze starałem się tylko zastrzelić. Niewielu pamiętnikarzy potrafi tak opowiadać; z francuskich, ile wiemy, żaden. Dodać jednak musimy, że w tem miejscu daty wypadków, zapisane przez Chłapowskiego, nie są dość ściśle; dołączony zaś przez wydawców „z oryginału” rozkaz Napoleona (z Bajonny dnia 3 czerwca 1809 r.!?), t. j. kiedy cesarz był w Ebersdorfie, pod Wiedniem, w kampanii austriackiej) oczywiście datowany jest fałszywie. Żałować wypada niezmiernie, że tego rodzaju szacowne pamiętki dziejowe, jak wspomnienia Chłapowskiego, bywają u nas ciągle wydawane po dyletancku, bez należytej pieczołowitości naukowo-krytycznej, która dopiero byłaby należytyym objawem prawdziwego pietyzmu.

Koniec lata i jesień 1808 roku spokojnie spędził Chłapowski w Paryżu przy boku cesarza, z krótką przerwą we wrześniu, kiedy towarzyszył mu do Erfurtu, na spotkanie z Aleksandrem I, — epizod ciekawy bardzo, lecz, niestety, w Pamiętnikach ledwó dotknięty. Zresztą i o życiu dworskim w Paryżu niewiele rozpisuje się pamiętnikarz. Skądinąd, z relacji francuskich, wiadomo, że młody ordynans polski cieszył się szczególną łaską cesarza i że również na dworze cesarzowej Józefiny był pieszczonym „cherubinkiem”, jak wyraża się o nim w tym czasie minister saski hrabia Senfft. Niedługo jednak trwał wypoczynek. Groźny wzrost powstania

narodowego w Hiszpanii już w listopadzie powołał cesarza za Pireneje. Zaś jednocześnie za plecami Napoleona, zagłębiającego się w Hiszpanii, już zbroidła się w skrytości piąta koalicja, już Austria, niedawno poskromiona, gotowała się tajemnie do wojny i odwetu. Przeczuwał tę groźbę cesarz. A baczną na wszystko, niczego nie spuszczając z uwagi, w tejsze chwili, gdy sam maszerował na Madryt, miał na oku niebezpieczeństwo zagrażające Warszawie. W połowie stycznia 1809 roku wypuścił Chłapowskiego jednym pędem z Valladolidu do Warszawy. Rozkaz cesarski polecał wysłańcowi „zabawić w Warszawie dni ośm, obaczyć wszystko, co się tam dzieje, jaki duch panuje w Księstwie, co się mówi i czyni w Galicyi”. Chłapowski odbył tę podróż w dzień i w noc, rozejrzał się na miejscu, ściągnął dokładne wiadomości o dyslokacji wojsk austriackich w Galicyi, a za powrotem zastał już cesarza w Paryżu, śpieszącego na zachód, na wojnę austriacką, która w rzeczy samej wybuchła wcześniej jeszcze, niż było do przewidzenia. Wypadło zaraz znów sięść na konia i towarzyszyć cesarzowi, doganiającemu awangardę Wielkiej armii, już w pełnym marszu na Wiedeń. Pod Ingolstadtem, w Bawarii, dopędzono forpocząty. Nie możemy się powstrzymać, aby nie umieścić w tem miejscu tej barwnej sceny obozowej z własnych słów pamiętnikarza. „Cesarz na otwartem polu zsiadł z konia i ogień kazał rozpaść, już bowiem dzień się kończył. Nadeszła dywizya Davoust'a i kolumnami przemaszerowała tuż przed cesarzem. Żołnierze, poznawszy go,

a myśleli, że był jeszcze w Hiszpanii, takie poczęli wznosić wiwaty, jakich jeszcze nie słyszałem. W tejże samej chwili kilkunastu kirasyerów przeprowadzało z drugiej strony cesarza całą kolumnę niewolników, których nad wieczorem zabrano. Dostał się też do niewoli pułkownik sztabu generalnego, którego przywiedziono przed cesarza. Cesarz kazał mu usiąść przy sobie i zaczął wypytwać o stanowisko i siłę korpusów austriackich. Odpowiadał z początku, ale potem rzekł, że nie można żądać, aby oficer sztabowy informował nieprzyjaciela. „Nie obawiaj się pan, rzecze cesarz, wiem i tak wszystko“, i zaczął szybko z największą dokładnością wymieniać stanowiska korpusów i pułki. Zdziwiony Austriak, że oficer na forpocztach tak informowany, rzekł: „Z kim mam honor?“ Na to cesarz podniósł się trochę, uchylił kapelusza i rzekł: „Monsieur Bonaparte“. W czasie tej rozmowy, piechota francuska tak głośno okrzyki wydawała. Piękny to był obraz“. Istotnie jest to jak gdyby żywcem wzięte które arcydzieło pędzła Raffeta.

Całą kampanię austriacką odbył Chłapowski przy boku cesarza. Już we wstępnych walkach, po raz pierwszy tutaj dowodząc szwadronem, kilka świetnych wykonał szarży. Na polu bitwy pod Eckmühl, w liczbie najwaleczniejszych obdarzony tytułem barona cesarstwa. Podstąpiono pod Wiedeń, gdzie jeszcze trzymał się arcyksiążę Maksymilian. „Tutaj— opowiada Chłapowski— ukazał mi się widok trudny do uwierzenia, i żebym nie był widział memi oczyma i na własne słyszał uszy,

możeby i sam nie uwierzył. Na wałach stało bardzo wielu mieszkańców, porządnie ubranych. Cesarz podjechał na sam *glacis*, tak, że tylko rów dziesięcio-prętowy przedzielał go od tych ludzi. Oni, poznawszy cesarza (bo już był w Wiedniu w 1805 roku), poczęli wszyscy zdejmować kapelusze i wiwaty wznosić. Cesarz jechał stępa jakie pół godziny i niekiedy na odgłos wiwatów zdejmował kapelusz, jak gdyby objeżdżał Paryż wkoło; szwadronowi kazał pozostać w tyle i tylko pikietą szła za nim i to w odległości dwustu kroków“. Kiedy niebawem po wycofaniu się Austriaków, wkroczone do Wiednia, mocno uderzyła Chłapowskiego i zgorszyła zupełna obojętność ludności, widok pełnych teatrów, pełnego powozów Prateru, a nawet dam z towarzystwa, bawiących się swobodnie z Francuzami. Wiadomo skądinąd, chociażby z romansowych w tym samym czasie doświadczeń innego napoleońskiego oficera, Stendhala, w najlepszym towarzystwie wiedeńskim, jak mało brano sobie tutaj do serca klęski krajowe. A tak samo, dodajmy, i gorzej jeszcze działo się w Berlinie podczas wejścia Francuzów w 1806 r. „Nie tak— spostrzega trafnie Chłapowski— działo się w Warszawie, gdy ją Austriacy zajęli; smutek był ogólny, od najwyższych do najniższych“.

Wszakże powtórne już zajęcie stolicy austriackiej przez Napoleona nie rozstrzygało jeszcze bynajmniej tej ciężkiej kampanii. Jeszcze wypadło wytrzymać straszliwe zmaganie się pod Aspern i Essling, jeszcze chwiały się gwałtownie wstrząsane szale fortuny wojennej, zanim

nareszcie przeważało je ostatecznie walne zwycięstwo wagramskie. Chłapowski po swojemu zwięźle i dobitnie skreślił cenniejsze momenty tych zaciętych zapasów, których był świadkiem naocznym i uczestnikiem. Musimy jednak w tem miejscu położyć jedną nastrożającą się nawiasową uwagę. Jak wiadomo, ks. Kalinka, w swoim życiorysie Chłapowskiego, korzystał w rękopisie z niniejszych jego Pamiętników. Otóż biograf całkiem niepotrzebnie dopuścił się zbyt częstych niewłaściwości, ubiegając się za niepotrzebną ornamentyką, bez której doskonale obchodzą się poważne i proste „Pamiętniki“ generała, obecnie dla ogółu dostępne. Opowiada np. właśnie w tem miejscu Chłapowski, jak pod Wagram z uchylonym kapeluszem słucha rozkazów cesarza, jak w tej chwili kula armatnia porywa mu kapelusz, jak cesarz „się roześmiał, powiedział mi: dobrze, żeś nie wyższy, a potem dokończył rozkazu“, i dodaje: „żart cesarza najlepiej jego zimną krew maluje“. U Kalinki, przeciwnie, Chłapowski w tej chwili raportuje cesarzowi, kula go mija, on, Chłapowski, „kończy najspokojniej, co miał powiedzieć... Zimna krew Chłapowskiego uderzyła cesarza; „ten młodzieniec zajdzie daleko“ odezwał się i popatrzył za odjeżdżającym“. (!) Podobne amplifikacje i parafrazy, dobre może w powieści, lecz nieprzydatne w historii, zdarzają się u Kalinki na każdym kroku i to nie tylko w drobnostkach, a oczywiście wpływają ujemnie na jego sposób użytkowania tekstów, nieraz zgoła nie czyniący zadość surowym wymaganiom ścisłości naukowej. Wspominamy przy tej okazji, że

podobnież w nowej edycji niemieckiej „Sejmu Czteroletniego“ ujawniony został długi szereg uderzających sprzeczności pomiędzy brzmieniem oryginalnem tekstów, użytkowanych przez Kalinkę, a podaną przez niego wersją tych samych tekstów. Musimy, niestety, i tym razem stwierdzić całkiem otwarcie, że wyrobienie naukowe Kalinki niezawsze stało na wysokości jego pięknego pisarskiego talentu.

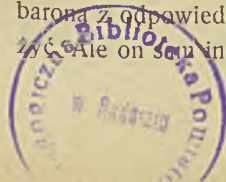
Po wielkiej wygranej pod Wagram nastąpiło nareszcie zawieszenie broni, niebawem pokój zawarty. Miał wówczas ważną misję Chłapowski: posłany był do Krakowa, do ks. Józefa Poniatowskiego, z wiadomością o rozejmie. Stały tam, obok siebie, naprzeciw siebie, w najdziwniejszej w świecie sytuacji, dwa „sprzymierzone“ korpusy, polski ks. Poniatowskiego i rosyjski ks. Golicyna. Kiedy Chłapowski wrócił stąd z relacją do cesarza do Schoenbrunn, zaraz cesarz „zwrócił całą mowę na korpus Golicyna. Musiałem mu wyznać, że u Golicyna nie byłem. Rozgniewał się szczerze i kazał mi iść do kozy, kilka razy powtarzając: „mogłeś się domyśleć, jak interesującym dla mnie byłby raport o korpusie rosyjskim“.

Wrócono do Paryża. Małżeństwo Napoleona z arcyksiężniczką austriacką zdawało się być rękojmią trwałszego odtąd pokoju. Było to złudzenie. Już wisiała w powietrzu ogromna z Rosją rozprawa. Chłapowski niedługo zażywał spoczynku. Tutaj w jego Pamiętnikach jest luka albo zapomnienie. Niema tu mianowicie żadnej zgoła wzmianki o doniosłej jego misji do War-

szawy, we wrześniu 1810 r. Rozkaz cesarski brzmiał tym razem: „zasięgnąć wiadomości o Księstwie, o jego stanie i duchu publicznym, zasięgnąć też, jakie tylko będzie można, wiadomości o stanie i duchu publicznym na Litwie“. Wysłaniec cesarski, jak lotna mewa, wyprzedzał burzę, przed rokiem austriacką, teraz—rosyjską. Jednak jeszcze kilkanaście miesięcy zeszło na przygotowaniach. Nadszedł nareszcie straszny rok 1812. Chłapowski, przedtem mianowany szefem szwadronu w pułku polskim lekkokonnym (szwoleżerów) gwardyi cesarskiej, uczestniczył w całej wyprawie do Moskwy. Tutaj w całej pełni objawił swoje rzadkie zalety wojskowe, a przede wszystkim nadzwyczajną sprawność w prowadzeniu walki kawaleryjskiej. Nie możemy jednak na tem miejscu wchodzić w szczegóły jego relacji pamiętnikarskiej, osobliwie zajmującej do tego właśnie okresu. Wyjmujemy jedną tylko arcyważną uwagę ogólną. „Późne wybranie się na wojnę — tak streszcza Chłapowski ogólne swoje wrażenie o kompanii 1812 roku — i cały rozkład wojska widocznie wskazywał, że cesarz chciał tylko cesarza Aleksandra zastraszyć. I dlatego może Prusaków i Austriaków pozostawił na skrzydłach, a przecież musiał wiedzieć, że na szczery ich współudział rachować nie mógł. Żeby był pragnął i miał pewność wojny, byłby ich pewnie trzymał w środku między korpusami francuskimi i polskimi“. Jest to postrzeżenie proste i trafne. Nie potrzebujemy tłumaczyć, iż jest ono w zupełnej harmonii z całym poglądem zasadniczym na

przyczyny i naturę wielkiej wojny 1812 r., który gdzieindziej rozwinać mieliśmy sposobność.

Zbliżała się już agonia epopei napoleońskiej. Lecz jeszcze w tej agonii była wspaniałość niezrównana. Z końcem 1812 r. cesarz bez armii był wrócił do Paryża; po niewielu tygodniach z nową groźną potęgą stanął napowrót w samym sercu Niemiec. Zdradziły go tymczasem Prusy. Miał naprzeciw siebie szóstą z kolei koalicję prusko-rosyjską. Wszystko zależało teraz od zachowania się Austrii, cesarza Franciszka II, od zachowania się teścia względem zięcia. Kampania wiosenna 1813 r., zwycięstwa majowe pod Lützen i Bautzen, objawiły raz jeszcze blask geniuszu napoleońskiego. W tych walkach jednak mocno dokuczał cesarzowi brak dotkliwej kawalerii, zniweczonej zupełnie podczas wyprawy moskiewskiej. Tem większe usługi oddawali mu teraz szwoleżerowie polscy, Chłapowski zaś, dowodzący tym razem dwoma ich szwadronami, spisywał się jak najdzielniej w ciągu tej całej kampanii wiosennej w Saksonii. I tutaj nagle, w czerwcu, podał się do dymisji i opuścił szeregi. Mówiono wówczas i potem, że był rozżalony niedość szybkim awansem. Byłby to żal zgoła nieusprawiedliwiony. Chłapowski był dotychczas ordynansem cesarskim, t. j. zajmował jedno z najbardziej pożądaných i najlepiej uposażonych stanowisk w całej armii. Obecnie liczył lat 24, a miał legię, krzyż *virtuti militari*, stopień podpułkownika gwardyi, tytuł barona z odpowiednią dotacją. Nie mógł się tedy skarżyć. Ale on sam inne wskazuje powody swojego kroku.



Opowiada mianowicie, iż z końcem maja odebrał rozkaz eskortowania wielkiego koniuszego Caulaincourta i sekretarza cesarskiego Faina do forpocztów, dla układów o rozejm — nie „o pokój“, jak on pisze — z generałem Szuwałowem. Owóż Fain, „który miał mnie tak, jak za Francuza“, przypadkiem, a przecie „pod sekretem“, „pokazał mi propozycje do układów: zaraz na wstępie ofiarował cesarz cesarzowi Aleksandrowi całe Księstwo Warszawskie i pozwalał, albo żeby przyjął tytuł króla polskiego, albo żeby Księstwo wcielił do swojego cesarstwa“. Uderzyło to niezmiernie Chłapowskiego i zaraz, w kilka dni później, podał się do dymisji. Są w tej relacji pamiątkowej niektóre nieścisłości, które łatwo stwierdzić, choćby tylko przez zestawienie z odpowiednią relacją Faina oraz znanymi dziś dosłownie instrukcjami Caulaincourta. Nie mamy oczywiście sposobu rozwijać tutaj szczegółów tej nadzwyczaj zajmującej i nadzwyczaj zawilej materii. Stwierdzamy tylko w dwóch słowach, o co właściwie chodziło w owej chwili krytycznej. Chodziło przedewszystkiem cesarzowi o zyskanie na czasie i o zyskanie neutralnej jeszcze Austrii. Pierwsze zaś żądanie Austrii wobec cesarza, to było — zniszczenie i podział Księstwa. Wtedy cesarz nawiązał układy z Rosją. Nawiązał je głównie w tej myśli, aby postrachem swojego porozumienia z Rosją wziąć w kluby Austrię i ściągnąć ją do swojego obozu. „*Pardieu* — woła wielkim głosem do wysłańca austriackiego — oddam Księstwo Warszawskie cesarzowi Aleksandrowi i ułożę się z nim na wasz rachunek“. Nie krył się więc

z tą myślą Napoleon. Nie była to zgola myśl hańbiąca. Owszem, oprócz chyba zupełnego zwycięstwa, był to jeszcze jedyny ratunek dla Księstwa. W świetle tych faktów niewątpliwych krok Chłapowskiego nie daje się niczem usprawiedliwić. „Oburzenie Chłapowskiego — słusznie postrzega wydawca najnowszej „Historii pułku lekkokonnego“, p. Aleksander Rembowski — było zbyt obcesowem“. W rzeczy samej nie może być dwóch zdań pod tym względem. Jakże miał prawo zwykły oficer decydować o zastyszanych przypadkiem i ułamkowo działaniach politycznych naczelnego wodza? Jakże miał prawo potępić je tak surowo, aż do niezwłocznego odmówienia służby? Ale niedość na tem. Chłapowski o swoim odkryciu zawiadomił kolegów i niektórzy — między innymi także Chłopicki — zaraz za jego przykładem porzucili służbę. Co najgorsza zaś, i na tem się nie skończyło. Po paru miesiącach w całym korpusie polskim objawił się szkodliwy rozłam wewnętrzny, jawne odezwały się głosy za porzuceniem sprawy cesarza. Na czele tego ruchu stanął ks. Sułkowski, osobiście blizki Chłapowskiego, który prawdopodobnie przed krewnym nie ukrywał wiadomości, udzielonej kolegom. Tym sposobem dymisja Chłapowskiego, choć zapewne postawiona w najlepszej wierze, podyktowana zapewne przez pobudki szlachetne, bądź co bądź nietylko skrzywdziła jego samego, gdyż pozbawiła go szczytu walczyć pod Lipskiem i być świadkiem wielkiej śmierci Poniatowskiego, lecz w dodatku ukazuje się jako jedno z ogniw ogólniejszego zjawiska, pod każdym względem

godnego pożałowania, bo pod każdym względem przeciwnego ówczesnym rzeczywistym interesom krajowym.

Przeczekawszy na stronie ostatnie odgłosy wojenne, Chłapowski wrócił do siebie w Poznańskie. Zmienił zgoła tryb życia. Odpasał szablę i wziął się do pług. Wziął się, młody jeszcze człowiek, z zadziwiającem zaparciem się i wytrwałością. Dobra ojcowskie znalazł mocno zadłużone i zagrożone zupełną ruiną. Postanowił je uratować. Zaprowadził u siebie najściślejszą oszczędność. Tarczę herbową nad pałacem uprzętnął, na jej miejscu zawiesił wielki zegar, niby symbol porządku, rachunku i pracy. Nie znał się nic na rolnictwie. Pojechał tedy nauczyć się do Prus, Anglii, Szkocji, jakby prosty praktykant, pracował od dnia do nocy z folwarczną czeladzią, ze świetnego oficera uczynił się w krótkim czasie wykwalifikowanym agronomem i całą nabytą wiedzę, całą wrodzoną energię włożył w ratowanie ojczystego zagonu. Zrobił to z tak dobrym skutkiem, że w ciągu lat dziesięciu znaczne swoje dobra całkiem z długu oczyścił i uczynił z nich prawdziwy wzór gospodarstwa krajowego. Obrócił też uwagę na sprawy ekonomiczne prowincyi, został wtedy wice-marszałkiem sejmu prowincjonalnego, dyrektorem miejscowego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, zasiadał w radzie Towarzystwa kredytowego poznańskiego. Wtedy też znalazł sobie najgodniejszą towarzyszkę życia, poślubił Antoninę Grudzińską. Były to onego czasu trzy najpiękniejsze kwiaty Warszawy, te trzy siostry Gru-

dzińskie, uroczą złotowłosa Joanna, śliczna ciemnowłosa „Józia“ i najmłodsza Antonina, ujmująca rzadką prostotą i słodyczą. Najstarsza z nich, Joanna, przed rokiem została małżonką W. Księcia Konstantego i księżną łowicką. Ze swoim dostojnym szwagrem odrazu na stopie naprężonej stanął Chłapowski. Zrzadka też tylko pokazywał się w Warszawie. W ogólności, należy stwierdzić, iż pochłonięty wyczerpującemi zajęciami praktycznemi, przez cały ten czas z zasady, z konsekwencyą wyraźną, całkiem odsunął się od powszechniejszych spraw publicznych. Miał w niedalekiem sąsiedztwie, w Winogórze w Poznańskim, innego jeszcze krewnego: gen. Henryka Dąbrowskiego, żonatego powtórnie z Barbarą Chłapowską, siostrą stryjeczną Dezyderego. Dąbrowski, przyciśnięty wiekiem, ustąpił był ze służby czynnej w Królestwie, lecz najściślejsze z niem stosunki utrzymywał aż do zgonu. Myśli swoje otwierając przed podpułkownikami Prądyńskim i Krzyżanowskim, Dąbrowski przecie, ile sądzić można, wstrzymywał się zgoła od udzielenia ich Chłapowskiemu.

Na pierwszą wiadomość o niespodzianych wypadkach listopadowych 1830 r. Chłapowski natychmiast pośpieszył do Warszawy. Ale był tutaj prawie obcy. Inaczej być nie mogło. Chodził w stroju cywilnym i rozglądał się. Tak niegdy, przed Marengo, chodził po Paryżu generał Bonaparte w cywilnym stroju członka Instytutu. Jest portret Chłapowskiego także i z tej epoki. Zmężniały i jeszcze wyszlachetniały rysy, wzniosło się bardziej myślące czoło dojrzałego już zupełnie,

czterdziestoletniego mężczyzny. Są o nim postrzeżenia i świadectwa społecznych. Na wszystkich podobne czynił wrażenie ten człowiek małowówny, odosabniający się chętnie, pański w ułożeniu, wstrzemięźliwy i chłodny w obejściu, imponujący ludziom, a niedość silny, aby ich opanować. „Budził respekt i obawę“, mówią Rosyanie, Kołzakow, Dawydow, Smitt. „Więcej imponować niż rozkazywać zdolny“, powiada Barzykowski. „Nie brakowało mu odwagi ani zdolności, — wyraża się Prądzyński — ale daleko więcej jeszcze miał pretensyi, miał pragnienie i nadzieję odegrać wielką rolę, zając swoją osobą Europę“. Niezawodnie, tych głosów zbyt ostrych nie należy brać dosłownie. Ale, powtarzamy, Chłapowski nie był na swoim miejscu. A jednak byłby mógł oddać znaczne usługi. O położeniu rzeczy miał zdanie najzdrowsze. Świadczy o tem dowodnie memoryał, jaki niezwłocznie złożył Chłopickiemu. Z tem wszystkim, pełen najlepszych chęci, siedział bezczynnie parę miesięcy. Otrzymał wreszcie, w lutym, dowództwo brygady jazdy, ze zwykłą sobie dzielnością uczestniczył we wszystkich pierwszych walkach. Ciężcy mu przecie musiało to stanowisko trzeciorzędne. W maju chwycił się z zapałem pomysłu samodzielnej odległej wyprawy. Ta śmiała, tyle obiecująca, wyprawa litewska skończyła się, jak wiadomo, najopłakaniej, lecz nie z jego winy. Wina główna, najniezawodniej, obciąża nieszczęśliwego Giełguda, który pokrzyżował pierwotne rzutki intencje Chłapowskiego, zepchnął go z przywództwa, sprowadził z drogi i sam własne błędy

przyplacił życiem. Był ciężki zawód. Była nieprzewidziana od Chłapowskiego, przedwczesna zapewne, rezygnacya. Ale winy jego nie było. Świadectwo generała Puzyrewskiego usuwa pod tym względem ostatnie wątpliwości. Nie może też ulegać nadal żadnej wątpliwości, że Chłapowskiemu, zbyt surowo i nieśluszenie potępionemu od swoich, ciężka stała się krzywda.

Ale postrzegamy się, że nie piszemy biografii człowieka, jeno przegląd książki. Jednak, dotarłszy do tych chwil najtrudniejszych w życiu Chłapowskiego, czujemy się w obowiązku przypomnieć zaraz o pięknym zachodzie jego długiego żywota. Był to jeszcze kilkudziesięcioletni żywot niestrudzonej i użytecznej pracy obywatelskiej. Można nie podzielać bynajmniej ani kierunku, ani nastroju tych dążeń i tych poglądów na dobro publiczne, których ogniskiem stał się w późniejszych latach dom jego w Poznańskim; lecz niepodobna nie uchylić czoła przed tym szanownym starcem, który nie tak dawno, w wieku wyjątkowo sędziwym, poważną, zaciętą i spracowaną głowę ułożył do zasłużonego wiecznego spoczynku. Piękna postać Chłapowskiego i piękne jego „Pamiętniki“ zachowają poczesne miejsce w trwałej pamięci ogółu.

Ferrand.

„Towarzystwo Historii Spółczesnej“ jest jedną z wielu podobnych instytucji, kwitnących dziś zagranicą, a będących poniekąd wyrazem i miarą nadzwyczajnego postępu, jaki tam dokonał się i dokonywa ostatnimi czasy w specjalnym zakresie dziejów nowożytnych,—postępu, niedostrzegalnego, niestety, ani w tym, ani nawet w przybliżonym stopniu, na równoległym terenie nauki historycznej polskiej. „Towarzystwo“ paryskie, w ciągu kilkoletniego swego istnienia, wydało szereg nowych i zajmujących przyczynków źródłowych, odnoszących się do historii francuskiej XIX wieku, a ogłaszanych naogół w nader starannej szacie edytorskiej. Jeden z ostatnich tomów obejmuje „Pamiętniki Ferranda“ *). Rzecz ta nie może być i dla nas całkiem obojętna, nie tyle już dla samej swojej treści, ile ze względu na osobę autora. Należy on bowiem do szczupłego grona uczo-

*) „Mémoires du comte Ferrand, ministre d'état sous Louis XVIII“. Publiés pour la Société d'Histoire Contemporaine par le vicomte de Broc.

nych francuskich, którzy szczegółowiej trudnili się dziejami polskimi. Jest to mianowicie nikt inny, jak pisarz trzytomowego dzieła o „Trzech rozbiorach“, ogłoszonego przed ośmdziesięciu laty. Nie będzie chyba od rzeczy, z powodu niniejszych nowych Pamiętników bourbońskiego ministra, poznać nieco bliżej starego historyka spraw podziałowych polskich.

Kłaudyusz Ferrand, w przededniu rewolucji, był rozpoczął karierę pisarską od kilku lichych tragedii, wystawionych w „Teatrze Francuskim“, a karierę publiczną od kilku opozycyjnych przemówień, wygłoszonych w parlamencie paryskim. Kiedy jednak, po zwołaniu Stanów Generalnych, zanosło się na poważniejsze zatargi z koroną, przerzucił się z opozycji do stronnictwa czysto dworskiego, zaś niebawem, jeden z najpierwszych, już w 1789 roku, emigrował z kraju. Stawił się wnet w Turynie, głównej kwaterze emigranckiej, u boku braci królewskich. Zaskarbił sobie ich ufność, ogłaszając pamflet przeciw Zgromadzeniu Narodowemu paryskiemu, ozdobiony znamienitym wergilowym epigrafem: *monstrum horrendum, cui lumen ademptum*. Przeniósłszy się z książętami do Koblencji, służył w armii Kondeusza przeciw armiom Rewolucji; po ścięciu Ludwika wszedł do książęcej Rady regencyjnej. Nie zaniedbując pióra, ogłaszał w tym czasie rozliczne pisma polityczne w obronie sprawy bourbońskiej. Najciekawsze z nich, pod tytułem: „Duch historii“, zawierało osobliwsze napomnienie dla Bonapartego, ażeby, nie zwlekając dłużej, sprowadził z powrotem na tron ojcowski

wygnanego Ludwika XVIII, jak ongi sprowadzono w tryumfie wygnanego — Chilperyka. Gdy pierwszy Konsul oczywiście nie poszedł za tą historyzoficzną wskazówką, Ferrand wołał skorzystać sam z amnestyi, udzielonej emigrantom, i wrócił do kraju bez swego Chilperyka. O tym okresie swego życia pod rządami „Korsykanina“ jak najkrócej napomyka w swoich Pamiętnikach. Skądinąd jednak posiadamy wskazówkę, że w tymto właśnie czasie, dostawszy się do spuścizny pisarskiej po Rulhièrze, rozpoczął swoje prace nad historią polską, i nawet, jak się zdaje, wtedy, na przymusowych czasach politycznych, wykończył w pełnym zarysie, jeśli nie w ostatecznej redakcyi, swoje obszernie dzieło o trzech rozbiorach byłej Rzpltej.

Ilekoć zdarza się nam, jak w tym wypadku, natknąć się na nazwisko Rulhièra, zawsze mamy mimowoli przykre poczucie jak gdyby niewypełnionego obowiązku i niespłaconego długu. To jest człowiek, to jest uczony niedoceniony i nienagrodzony wedle zasług. Takim był za życia i pozostał też po śmierci. Był człowiek honoru i sumienia, był *galant'homme* w najczystszej znaczeniu słowa. Był nadto jednym z najrzadszego gatunku, bo był także miłośnik i znawca życia, był wytrawny estetyk życiowy z urodzenia, upodobał i kultury: zaś takim najtrudniej przychodzi zachować niewinność, nieskończenie trudniej, niż duszom równie, ale taniej uczciwym, bo bardziej prostackim i mniej kuszonym. Żył w wielkim świecie polityki i towarzystwa, miał ambycję i namiętność, a wracał do siebie na swoje

poddasze, aby pisać historię. W salonach czytał paniom swoje zgrabne wiersze i lekkie komedyjki: w domu dla siebie pisał historię upadku Polski. A był wielkim historykiem. Był nim, nie wahamy się oświadczyć, z wiedzy, z metody, z talentu i z sumienia. Do sposobu pisania historii, jaki zastał, on wniósł coś nowego. Wniósł nieznaną na owe czasy gruntowność i obfitość bezpośredniego źródłowego badania. Wniósł przenikliwą ocenę i dobór krytyczny zgromadzonego źródłowego materiału. Wniósł także to, co on nazywał „poetyką historii“. Wniósł wreszcie czystą i głęboką sympatię dla nieszczęścia. Zarzucano mu to nieraz. Własny jego niepowołany dziejopisarski następca i samozwańczy legataryusz literacki, ów nieciekawy Ferrand, z którym tutaj mamy do czynienia, wyrzucał mu później, że „zanadto identyfikował się z Polakami, zanadto dzielił wszystkie ich uczucia“. Jeśli tak było, czynił to Rulhière nie tylko całkiem bezinteresownie, ale i całkiem samoistnie, z niczyjej namowy ani wpływu, z własnego wyboru i natchnienia. Znał wielu panów i pań polskich, ale nikomu nie dworował, z nikim nawet się nie przyjaźnił. Był przyjacielem Rzpltej. Należałby mu się za to niezawodnie jakiś trwalszy dowód pamięci. Wprawdzie istnieje staranna edycja jego dzieła, wydana przez Ostrowskiego jeszcze z inicjatywy ks. Adama Czartoryskiego. Ale to nie wystarcza. Godziłoby się biograficznie oświetlić jego niedość znaną postać, a wartoby także rozejrzeć się w jego obszernej spuściźnie dyplomatycznej i pisarskiej, do której mnóstwo

przyczynków nietkniętych spoczywa po dziś dzień w paryskim Archiwum spraw zagranicznych. Byłoby to wdzięczne zadanie a dla nauki polskiej ze wszech miar stosowne.

Ale wracamy do Ferranda. Powiedzieliśmy, że położył on rękę na szacownych materyałach, pozostałych po Rulhièrze, i w najkrótszym czasie wykroił z nich i własnymi dodatkami skompletował swoje własne dzieło o epoce rozbiorowej. Dlaczego jednak książka Ferranda o Polsce, skoro istotnie była gotowa już w 1808 r., nie ukazała się z druku zaraz wówczas, lecz jeszcze przez lat kilkanaście pozostała w rękopisie? Powody tego opóźnienia dosyć są ciekawe. Rzucają one pewne szczególniejsze światło i na książkę, i na autora. Zaś skądinąd, ze strony dość niespodzianej, uwydatnia się raz jeszcze i przy tej okazji wszechobecna czujność cesarza Napoleona.

Rzecz tak się miała. Podczas trwania „pierwszej kampanii polskiej“ w 1806 i 1807 roku, Napoleon, stawiony wobec konieczności podniesienia sprawy polskiej w obszernym zakresie wojennym i politycznym, uznał za właściwe podnieść ją równocześnie w zakresie historycznym i naukowym. Szczegół to ze wszech miar nauczający. Wielki wódz i polityk, jak wiadomo, przy swojej intytulacji urzędowej, zaraz obok godności „Cesarza Francuzów“, nakazywał umieszczać godność „*membre de l'Institut*“: nikt lepiej od niego, najpotężniejszego reprezentanta siły materyjalnej, nie zdawał sobie sprawy z niezmiernego znaczenia siły duchowej.

Wtedy też zwrócił uwagę na ogromną pracę Rulhièra, zapoczątkowaną jeszcze niegdyś z polecenia Choiseula, kontynuowaną przez autora w ciągu lat trzydziestu, a po jego śmierci przechowywaną w rękopisie w Archiwum francuskiego ministerium spraw zagranicznych. Dzieło Rulhièra, jak wiadomo, przeniknione najczystszą sympatią dla spraw polskich, zostało tedy, na rozkaz Napoleona wydobyte z archiwalnej kryjówki i staraniem członka Instytutu, Daunou, a na koszt rządowy, ogłoszone drukiem w 1807 roku pod tytułem: „Dzieje anarchii polskiej i podziału Rzpltej“. Owóż czterotomowa książka Rulhièra w tej pierwotnej postaci doprowadzoną została dopiero do 1769 roku, to jest do przedwstępnych rokowań, dotyczących pierwszego podziału. Zostały się jednak w spuściźnie autora całe stosy najszacowniejszych materyałów, zbieranych przez niego aż do śmierci (to jest do 1792 roku) i obejmujących dalsze dzieje Rzpltej aż do Sejmu Czteroletniego włącznie. Do tych mianowicie papierów dobrał się Ferrand, ułożył z nich kontynuację pracy Rulhièra, aż do trzeciego podziału, to jest do 1795 roku i, widocznie zachęcony nadzwyczajnem powodzeniem, jakim cieszyła się świeżo wydana „Historia anarchii polskiej“, zamierzał niezwłocznie po jej ukazaniu się ogłosić swoją własną dalszą kompilację. Kiedy jednak złożył ją, wedle ówczesnych przepisów, paryskiej cenzurze, wtedy — jak sam użala się z goryczą — „napotkał pewne przeszkody“. „Przeszkody“ sprowadzały się do tego, że cenzura cesarska, zapewne z inspiracyi samego Na-

poleona, zwróciła uwagę Ferranda na tę okoliczność, że nader jest pożądanem, ażeby w jego dziele, podobnie jak u Rulhiéra, została należycie uwydatnioną strona prawnopanstwowa i dziejowomoralna opisywanych przez niego wypadków. Była to okoliczność, na którą, oczywiście, nie mógł być naówczas obojętny Napoleon, twórca i protektor Księstwa Warszawskiego. Lecz była to także okoliczność, która mniej była na rękę Ferrandowi, ex-emigrantowi, legitymiście, budującemu przyszłość swoją i bourbońską na współdziałaniu i pomocy Europy koalicyjnej. Wśród takich to warunków, pomiędzy autorem a cenzorem, — którzy w tym wypadku wyjątkowym jak gdyby zamienili swoje role, — nie mogło, rzecz prosta, dojść do porozumienia, i w ten to sposób osobliwszy książka o „Trzech podziałach“ nie mogła narazie dostać się do tłoczni drukarskich i musiała cierpliwie oczekiwać się swojej kolei aż dopiero po Lipsku i Waterloo. Tak nieraz małe rzeczy wiążą się i wikłają z wielkimi.

Upadek Napoleona wyprowadził znowu Ferranda na widownię polityczną. W 1814 roku miał on sobie powierzoną, razem z Chateaubriandem, misję polityczną do zwycięskiego Aleksandra I, z wymownem wstawieniem za restauracją Bourbonów. Obsypany nagrodami i zaszczytami przez przywróconego Ludwika XVIII, został Ferrand w jednej chwili ministrem stanu, dyrektorem poczt, komandorem Ducha Św., kawalerem Św. Ludwika, parem i hrabią, a nawet, z nominacji królewskiej, członkiem Akademii Francuskiej. Zdat-

ny widocznie do wszystkiego, został niebawem ministrem — marynarki. W tym charakterze zajął się gorliwie urządzeniem ścisłego nadzoru nad wyspą Elbą, za pomocą umyślnego krzyżownika, — lecz, jak się wnet miało okazać, marynarskie uzdolnienie uczonego akademika nie było wystarczającym, aby zapobiedz tryumfalnemu powrotowi więzionego cesarza. Podczas Stu Dni ulotnił się oczywiście z kraju, zaś za drugiej Restauracji, skompromitowany nieco swoją ministeryalno-marynarską dekonfiturą, nie obejmował już żadnego stanowiska czynnego w wyższej administracji. Podczas procesów o zdradę stanu, wytoczonych współwinnym doby Studniowej, występował z wielką zaciętością; w szczególności oburzył wtedy na siebie opinię publiczną swoim nienawistnem i obciążającym zeznaniem w charakterze świadka w głośnym procesie przeciw generałowi Lavalette, któremu też i w niniejszych Pamiętnikach nie szczędzi zaciekłych inwektyw. Wegetował odtąd beczynnie na parowskim fotelu, w najlepszych aż do końca osobistych stosunkach ze swoim królewskim dobroczyńcą, Ludwikiem XVIII, który, — jak powiada wydawca w przedmowie do Pamiętników niniejszych, — „mądrością swego panowania zasłużył sobie na pochwałę historii“. Nie możemy, rzecz prosta, razem z wydawcą ani rozczulać się nad dworacką układnością Ferranda, ani unosić nad „mądrością“ ostatniego Ludwika. Zaznaczamy tylko nawiasowo, że legitymistyczne i wicehrabiowskie upodobania p. De Broca nazbyt jednostronnie występują w przedmowie do niniejszego wy-

dawnictwa, co niewątpliwie też odbiło się niekorzystnie na zbyt pochlebnym i apologetycznym sądzie wydawcy o samym pamiętnikarzu. Ferrand w późnym wieku zmarł w 1825 roku.

Wracamy jeszcze w paru słowach do punktu wyjścia obecnego sprawozdania, do Ferrandowej „Historii trzech rozbiorów”. Ta książka doczekała się drugiej, nader starannej edycji, kollacyonowanej z rękopisem staraniem Ostrowskiego w 1865 roku. Otóż wtedy dopiero wykazana została przez Ostrowskiego cała osobliwsza metoda pisarska Ferranda. Okazało się mianowicie, że Ferrand poprostu zrabował nieboszczyka Rulhièra, że nie tylko wyzyskał w całości nagromadzone przez niego olbrzymie i jedynie drogocenne materiały źródłowe, sam od siebie nic literalnie nie dodawszy, oprócz bezwartościowych, z trzeciej ręki, wyciągów i wypisów ze starych druków i gazet; lecz, co gorsza, że przepisał bądź całkiem dosłownie, bądź też z lekką zaledwie parafrazą, całe gotowe rozdziały, zupełnie już w ostatecznej redakcyi wykończone przez Rulhièra. Tak więc na przykład pierwsza księga „pracy” Ferranda, gdzie mowa o rokowaniach podziałowych między Fryderykiem II a Józefem II w Nisie i w Nowem Mieście w 1769 i 1770 roku, albo o misyi ks. Henryka pruskiego do Petersburga, jest to ani mniej, ani więcej, jak tylko ostatnie, nieogłoszone przez Daunou, może przez niego prześlepione, rozdziały księgi XII „Historii Anarchii polskiej”. Wprawdzie Ferrand w słowie wstępnem do swojej książki i w licznych notach nie żałował ogół-

nikowych pochwał dla Rulhièra, wygłaszanych protekcyjnym tonem akademickiej i ministeryalnej wyższości; lecz zapomniał zupełnie uprzedzić czytelników, jakim to właściwie szczególniejszym sposobem „identyfikował się” z pracą chwalonego poprzednika. W ogólności, przepisał, co się dało, a resztę skompiłował dość zęcznie, lecz wszędzie w takim duchu, że wszelkie momenty „drażliwe” uległy znacznemu, ministeryalno-akademickiemu, złagodzeniu. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby Ferrand nie żywił, lub nawet nie okazywał pewnej sympatii dla traktowanych przez siebie nieszczęsnych dziejów polskich. Miał on zapewne wewnętrzne poczucie prawdy i słuszności. Ale, charakter i umysł jednakowo słaby, legitymista i dygnitarz przede wszystkim, był on z natury rzeczy jak najmniej powołany do podejmowanego przez siebie zadania. W istocie, jakże były pamflecista, uderzający na Zgromadzenie Narodowe paryskie, mógł należycie ocenić Sejm Czteroletni warszawski? Jakże były emigrant francuski mógł należycie osądzić emigrantów polskich? Jakże były członek Rady Regencyjnej w Koblencji mógł należycie wyrokować o Radzie Konfederackiej w Targowicy? To też żadną miarą niepodobna mu przyznać jakiegokolwiek istotnej kompetencyi w doniosłych sprawach historycznych, które opisać sobie przedsięwziął. Niestety,—rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa,—jego książka po dziś dzień, po ośmdziesięciu latach, jest jedynem monograficznem opracowaniem doby trójpodziałowej. Jedynem, nie tylko w piśmiennictwie

zagranicznym, lecz oraz i w polskim. Tem to gorzej, im mniejsza jest wartość tej „monografii“ zarówno pod względem swego ducha, jakoteż metody naukowej. Pod obydwoma tymi względami trzeba raz na zawsze ustalić kapitalną różnicę pomiędzy pisarzem „Anarchii polskiej“, a jego „kontynuatorem“, pisarzem „Trzech podziałów“. Rulhière, tylekroć karcony za rzekomą swoją powierzchowność, był naprawdę wielkim historykiem. Ferrand, tylekroć wychwalany za rzekomą swoją powagę, był naprawdę małym kompilatorem. Ale jakże to być może? Wszak pierwszy tryska dowcipem i daje się czytać z przyjemnością? Wszak drugi jest przykładnie nudny i pisze stylem dosyć usypiającym, jak na akademika-ministra przystało? To prawda. Lecz ponieważ niema reguły bez wyjątku, trzeba tedy pogodzić się z tym gorszącym wyjątkiem: że można czasem, jak Rulhière, być dowcipnym, a jednak uczonym, i że można także niekiedy, jak Ferrand, być nudnym, a jednak nieukiem.

Ks. Adam Czartoryski ministrem rosyjskim.

Do najdotkliwszych braków we współczesnej produkcji naukowej polskiej, zarazem zaś, co ważniejsza i gorsza, społecznej kulturze duchowej polskiej, należy bezprzykładne zaniedbanie nowożytnych i najnowszych dziejów krajowych. Bezprzykładne zaiste, gdyż równocześnie, w oczach naszych, historyografia rosyjska, niemiecka, francuska, angielska, — ba, nawet węgierska albo szwedzka, włoska albo bodaj fińska, — każda w swoim właściwym zakresie, z chwalebną troskliwością, czujnością i energią, dąży do zestrzelenia swoich poszukiwań badawczych dokoła ogniska blizkich i najbliższych dziejów ojczytych i każda tem samem przykłada się zbawiennie do kształcenia i oświecenia swojskiej samowiedzy publicznej. Czemuż u nas dzieje się inaczej? Czemu nauka nasza, z nielicznymi wyjątkami, uparcie zamyka oczy na najżywotniejsze zagadnienia wczorajszej i onegdajszej doby? Czemu, cofając się raczej z pewną ostentacyjną predylekcyą do epok odleglejszych, wyraźnie stroni od tej właśnie, tak ważnej, doby nowoczesnej i od tych mianowicie, tak aktualnych, nowo-

czesnych zagadnień? Czemu wyrzeka się podwójnego obowiązku rozwidnienia ich co rychlej i co jaśniej ku pożytkowi wiedzy i ogółu? Czemu pozwala opinii błąkać się tutaj poomacku i stopniowo zatracać pamięć i poczucie tych ostatnich i przedostatnich ogniw przeszłości, skąd bezpośrednio wyłania się teraźniejszość i przyszłość? Czyliżby dla polskich rzeczy dziejowych, wbrew wszelkim prawom przyrodzonym, siła przyciągająca, zamiast rosnać, przeciwnie miała słabnąć odwrotnie proporcjonalnie do kwadratów odległości? Czyliżby te rzeczy miały być jak wino, smakowite dla poważnego historycznego podniebienia wtedy dopiero, kiedy się przez kilka wieków wystaty? Czyliżby dla nich istniał i obowiązywał jakiś nadzwyczajny, nieznany gdzieindziej, termin dziejopisarskiego przedawnienia? I czyliżby, poniżej takiej nietykalnej preskrypcyjnej granicy, nie były one jeszcze dostatecznie „dojrzałe“ naukowo? Albo może jeszcze zanadto „drażliwe“ politycznie? Czyliżby wchodziły tutaj w grę jakoweś „głębsze“ względy pseudo-naukowe, których nie umieli dopatrzeć się Tucydides ani Ranke, kiedy pisali o społecznych sobie wypadkach i ludziach greckich lub pruskich? Albo może jakieś „wyższe“ względy pseudo-polityczne, których nie umieli wyczuć Tacyt ani Taine, kiedy pisali o społecznym sobie Rzymie lub Francji społecznej? Zapewne, oprócz tych fikcyjnych, istnieją inne realniejsze trudności. Są one nam dobrze znane, może lepiej niż komukolwiek. Przecie, zdaniem naszym, mogą one co najwyżej stanowić okoliczność łagodzącą, lecz

bynajmniej nie mogą uchodzić za wystarczające tłómaczenie. Jakkolwiekbyż zresztą, — nie chcemy obecnie zgłębiać racji i pobudek dziwnej niepłodności czy obojętności, dziwnego niedołęstwa czy znieczulenia naukowej historyografii polskiej w dziedzinie nowych i najnowszych dziejów domowych. Stwierdzamy tylko ponownie — jak to czyniliśmy już nieraz — sam fakt oczywisty i oplakany. Stwierdzamy zarazem ponownie — jak to czyniliśmy już potylekroć — naglący obowiązek niezwłocznej naprawy tak rażącego i ujemnego zjawiska.

Do wygłoszenia niniejszego *ceterum censeo*, dały nam pochop dwie książki wyszczególnione poniżej. Są to dwie książki niemieckie, napisane przez niemieckiego profesora, na uniwersytecie niemieckim, a omawiające spuściznę pamiętnikarską i działalność ministeryalną wielkiego męża stanu — polskiego *). Być wielkim statystą polskim — trzeba wyznać — nie należało nigdy do zawodów zbyt łatwych ani zbyt fortunnych. Do najcięższych i najniewdzięczniejszych należało oczywiście w dobie nowoczesnej, a zwłaszcza w okresie przedstuletnim, pośrodku samej agonii i nazajutrz po dokonanym upadku państwa polskiego. Jednak kraj w tak twardych, tak nadzwyczajnych przeprawach wydał dosyć mężów niepospolitych, którymi śmiało mog-

*) H. U l m a n n : „*Ueber die Memoiren des Fürsten Adam Czartoryski*“. Tenże: „*Russisch-preussische Politik unter Alexander I und Friedrich-Wilhelm III bis 1806*“.

łaby pochlubić się historia polska przed swoimi i obcymi. Mogłaby, powiadamy w trybie warunkowym, gdyż w istocie wołała puścić ich w niepamięć. W rzeczy samej, owi mężowie — jeśli za życia dźwigali niepomierne brzemię odpowiedzialności, — za to po śmierci pokryci zostali tem głębszem i upartszem milczeniem. Zapewne, bywają im jeszcze przy okazji oddawane szablonowe honory, bywają przyczepiane do ich nazwisk szablonowe wykrzykniki i frazesy pochwalne. Lecz nie takim tanim kosztem można uiszczyć się względem nich ze społecznego i naukowego długu. Ten dług społeczności, z którego oddawna winna była wywiązać się nauka, został im niespłacony po dziś dzień. Nieutrwalone pędzlem historyka wybitne rysy ich słusznych i znacznych postaci zacierają się i blakną, niewybadane sondą badacza celne świadectwa ich obszernych i doniosłych zatrudnień w proch rozsypują się w pyłe archiwalnym i ulatniają się doszczętnie ze świadomości potomnych. Nie tak, doprawdy, dzieje się gdzieindziej. Gdzieindziej, gdziekolwiek, u społeczeństw nie tylko większych, lecz nawet nierównie mniejszych, nie tylko starszych od nas, lecz nawet dużo młodszych pod względem kulturalnym, inaczej, lepiej i mądrzej umie ścisła nauka dziejowa czuwać nad imieniem i dziełem wydatnych przewodników lub pracowników krajowych.

Weźmy Niemcy. O każdym bez wyjątku wybitnym działaczu publicznym z ostatnich dwóch stuleci istnieją tutaj osobne wyczerpujące prace i wydawnictwa mono-

graficzne; częstokroć o jednej postaci istnieje cała osobna literatura źródłowa. Taki zaś minister Stein albo kanclerz Hardenberg, taki generał Scharnhorst albo Gneisenau, żeby już nie wspominać o Bismarckach i Moltkych, posiadają ogromne, wspaniałe mauzolea biograficzne, wzniesione przez najpierwszych architektów-dziejopisów, przez Ranków i Pertzów, Lehmannów i Delbrücków. Weźmy Francję. W samej chociażby nieprzebranej erze rewolucyjnej i napoleońskiej, wśród wielotysięcznej obsady tak rozległego dziejowego dramatu, żadna niemal postać celniejsza, lub bodaj tylko ciekawsza, nie została pominięta przez nieustrudzone badania historyografii francuskiej. Od aktorów najgłówniejszych aż do podrzędnych komparsów, od trybuna Mirabeau aż do dyrektora Barrasa, od księcia Talleyranda aż do księdza Pradta, od marszałka Davoust'a aż do „pierwszego grenadyera“, o wszystkich tutaj pamiętano, każdemu wyznaczono właściwą kartę w wielkiej księdze dziejów narodowych, która wszak na swój sposób jest poniekąd *Grand livre de la dette publique*. Weźmy Anglię. O Walpolach albo Pittach, o Burkach albo Foxach, o Wellingtonach albo Palmerstonach, istnieją formalne biblioteki życiorysów, poszukiwań i publikacji archiwalnych. Tutaj zresztą historyografii zawodowej przychodzi zazwyczaj z dzielną pomocą chluby pietyzm rodzinny: przedstawiciele magnackich domów angielskich, skąd wyszli ci wielcy statysci, nie tylko łożą znaczne fundusze na kosztowne wydawnictwa spuścizny politycznej po swoich znakomitych przod-

kach, lecz częstokroć do tych wydawnictw przykładają się osobiście własną naukową pracą edytorską. Weźmy Włochy. Paoli albo Melzi, Confalonieri albo Azeglio, Manin albo Cavour, byli i są przedmiotem niezliczonych specjalnych dociekań; ogłaszano ich pamiętniki, listy prywatne, korespondencję polityczną; zbadano w najdrobniejszych szczegółach ich żywot i działalność. W szczególności cała epoka *Risorgimento*, t. j. kilkadziesiąt lat środkowych XIX stulecia, stała się w ostatnich czasach punktem wyjścia wprost niewyczerpanej, a ze wszech miar budującej, twórczości naukowej. Weźmy wreszcie Rosyę. Tutaj, jeżeli sobie uprzytomnimy, jak późno, jak niedawno wzięto się do dzieła, ogrom imponujących rezultatów, tak raptownie osiągniętych, poprostu wprawia w zdumienie. Wprawdzie produkcja dziejopisarska rosyjska pod względem technicznym, pod względem ścisłości i wytrwałości metody naukowej, jeszcze przeważnie pozostawia wiele do życzenia. Ale rozpęd, rozmiar i owocność tej produkcji jest istotnie nadzwyczajna. Kipi tu wprost, pali się w rękę, wszechstronna robota badawcza monograficzna, a zwłaszcza edytorska. Setkami, tysiącami woluminów ogłaszane są z archiwów publicznych i prywatnych dokumenty dziejowo-polityczne najpierwszej wagi, ze szczególnem, z wyjątkowem uwzględnieniem właśnie doby nowożytnej i nowożytnych działaczy państwowych. To też ci działacze, czy to Münnich, Suworow lub Paskiewicz, czy Bestużew, Bezborodko lub Potemkin, czy Kurakinowie, Paninowie lub Woroncowowie, mają swoje włas-

ne niezliczone pomniki naukowe, trwalsze i użyteczniejsze od kamiennych albo śpiżowych, gdyż każdy taki papierowy i drukowany pomnik wdzięczności publicznej jest zarazem jak gdyby pośmiertną mównicą, skąd tamci działacze ofiarują swój rozum, swoje doświadczenie i swoje dążności na użytek dzisiejszych i przyszłych pokoleń swoich spółrodaków.

Możnaby te przykłady łatwo mnożyć w nieskończoność. Lecz nie potrzeba ich chyba więcej, ażeby we właściwym, w najjaskrawszem świetle, obok cudzej wokół obfitości, postawić własne nieprawdopodobne historyograficzne ubóstwo. Rzecz w istocie nie do wiary: u nas ani Szczuka i Załuski, ani Konarski i Staszic, ani St. Małachowski i Ign. Potocki, ani Tad. Mostowski i Ksaw. Lubecki, ani Józef Poniatowski i Kniaziewicz, ani Dąbrowski i Ad. Czartoryski, ani tyłu, tyłu innych użytecznych, niepospolitych, lub nawet wielkich sług krajowych nie zarobiło sobie po dziś dzień na żadne, chociażby w przybliżeniu wystarczające, uwzględnienie i opracowanie naukowe. Istnieje podobno akademie i uniwersytety polskie, istnieją nareszcie może domy polskie, mające, zdawałoby się, najbliższe obowiązki dla tych szanownych imion. A jednak ani wiedza fachowa, ani pietyzm rodzinny nie objawiły się dotychczas na tem polu w pożądaney, twórczej mierze, w poważnym konsekwentnym sposobie, o ile wogóle objawiły jakikolwiek znak życia. I tak stało się, że dzisiaj potrzeba dopiero inicjatywy cesarskiego uczonego prusko-niemieckiego, profesora wszechnicy gryfijskiej, do-

ktora Heinricha Ulmanna, ażeby przypomnieć nauce historycznej osobę księcia Adama Czartoryskiego.

Nie po raz pierwszy przyczynki naukowe o ks. Adamie Czartoryskim przychodzą do nas ze źródeł obcych. W szczególności, najcenniejsze o nim materiały archiwalne, ujawnione ostatnimi laty, zawdzięczamy publikacyom rosyjskim. Nasamprzód, w „Zbiorze Towarzystwa Historycznego” w Petersburgu, ogłoszono jego korespondencję zamlodu z Repninem, część jego korespondencji ministeryalnej, zwłaszcza z poselstwem rosyjskiem w Paryżu, oraz niektóre jego memoryały polityczne. Następnie w „Archiwum ks. Woroncowa” ogłoszono wiele jego listów i depesz do członków tej rodziny, a zwłaszcza do posła rosyjskiego w Londynie. Wreszcie niedawno, staraniem petersburskiego ministeryum oświaty, ogłoszono zbiór dokumentów, dotyczących jego kuratorstwa wileńskiego. W Niemczech już dawniej Ranke ogłosił część ważnych jego negocyacji z kanclerzem Hardenbergiem. We Francyi świeżo p. Pingaud w zajmującej pracy monograficznej zużytkował jego niewydaną korespondencję ministeryalną z tajnymi agentami dyplomacji rosyjskiej. Żadnej polskiej pracy naukowej o ks. Czartoryskim, zasługującej na to miano, niema dotychczas wcale. Niegdyś, przed laty, część ułamkową jego pamiętników i listów powierzono do ogłoszenia niepowołanemu i nieumiejętnemu francuskiemu dyletantowi, de Mazade, który też całkiem po dyletancku i całkiem niezadowolająco wywiązał się z tego zadania, przechodzącego jego siły i kompetencyę. Bro-

niśław Zaleski długo gotował się do wielkiego dzieła biograficznego, lecz koniec końców dał tylko drobny i słaby ułamek i utknął na samym progu. Interesujący, lecz oderwany przyczynek ogłosił niezbyt dawno p. Gadon. I to, mniej więcej, byłoby wszystko.

Obecnie prof. Ulmann, podejmując ważne poszukiwania historyczno - polityczne w zakresie stosunków prusko-rosyjskich w zaraniu XIX wieku, natrafił na kierowniczą w tej sferze działalność ks. Adama Czartoryskiego, bądź to jako zaufanego doradcy cesarza Aleksandra, bądź też jako oficjalnego naczelnika rosyjskiego ministeryum spraw zagranicznych. Tym sposobem, badanie uczonego autora, przedsięwzięte zapewne w myśli zarówno historycznej jakoteż politycznej, zarówno w celu wyświetlenia zawilego epizodu dziejowego, jakoteż w celu objaśnienia spółczesnej dyplomacji pruskiej o nauczającym precedensie międzynarodowym, stało się zarazem poniekąd obszerną monografią o czynnościach i dążeniach polskiego statysty w kilkoletniej jego roli sternika polityki rosyjskiej.

Jednym z najpierwszych odruchów cesarza Aleksandra I natychmiast po objęciu rządów (marzec 1801 r.) było przywołanie do swego boku Adama księcia Czartoryskiego. Już wtedy od lat kilku między nimi dwoma zadzierzgnięty był węzeł najściślej przyjaźni. Znalazłszy się nagle na najpotężniejszym z tronów, młody, dwudziestokilkuletni monarcha najbliższym swoim doradcą uczynił trzydziestoparoletniego przyjaciela. Czartoryski, zaskoczony wezwaniem monarszem na dalekim po-

łudniu włoskiem, wnet pośpieszył z Neapolu do Petersburga i tutaj od pierwszej chwili znalazł się w gronie najzaufańszych doradców monarchy. Jednak polityka nowego panowania, a w szczególności polityka zagraniczna, była jeszcze w stadium przejściowym, nieustalonym i nieklarownym. Cała Europa z niespokojnem zaciekawieniem miała oczy skierowane na nowego samowładcę Wszech-Rosyi. Najwięcej niepokoiły się sąsiednie Prusy. Od stulecia już z górami było aksyomatem dyplomacyi berlińskiej, iż losy Prus zależą od ich stosunku względem Rosyi. Niezwłocznie też z Berlina podjęto starania, ażeby obecnie ten stosunek zawczasu należycie zabezpieczyć, ażeby mianowicie odrazu oprzeć go na fundamencie osobistych sympatyj monarszych. Tak doszło, już w czerwcu 1802 r., do zjazdu cesarza Aleksandra I w Kłajpedzie z królem Fryderykiem-Wilhelmem III i piękną królową Luizą. Zjazd odbył się wbrew przeciwnej opinii ministrów Koczubeja i Stroganowa, a zwłaszcza wbrew stanowczym ostrzeżeniom Czartoryskiego. Tutaj jest punkt wyjścia rozstrząsań prof. Ulmanna. Oczywiście, iż ze swego stanowiska nie pisze się on na ostrzegawczy głos polskiego męża stanu. Wszakże stwierdzić trzeba, iż równocześnie dzisiejszy historyk rosyjski, gen. Szylder, całkowicie podpisuje zdanie pamiętnikarskie Czartoryskiego, że „zjazd kłajpedzki był w swych skutkach jedną z najcięższych klęsk dla Rosyi“. W rzeczy samej, nawiązanie wówczas nici sympatyj osobistej miały niebawem skrzepować inicjatywę polityki rosyjskiej w kilku arcy-

doniosłych przedsięwzięciach; stąd to, z Kłajpedy, drogą na Iławę i Friedland, miała następnie Rosya zostać sprowadzoną do ciężkich i niepraktycznych ofiar *pour le roi de Prusse*; i tędy, jeszcze znacznie później, aż do czasów najnowszych, z rzadką zręcznością i szczęściem, miały Prusy założyć dźwignię najwyższych swoich ambicyi. Przecie odmienne w tym wypadku zdanie, z całą wyrażone otwartością, nietylko nie zaszkodziło Czartoryskiemu, lecz owszem umocniło go w zaufaniu monarchy. Wymawiał się on długo od ofiarowanych sobie godności urzędowych: wreszcie, ulegając woli cesarza Aleksandra, został najprzód pomocnikiem przy kanclerzu Woroncowie, niebawem sam na własną rękę objął ministeryum spraw zagranicznych — ze zwolnieniem wszakże, na własną prośbę, od pensyi i odznaczeń, oraz zachowaniem sobie możności ustąpienia na wypadek kolizyi rozlicznych swoich obowiązków. Od początku swego urzędowania został cierniem w oku dyplomacyi berlińskiej. Prof. Ulmann pod tym względem dostarcza wielu nowych, nader zastanawiających szczegółów. Okazuje się, że ministeryum berlińskie przez swego posła w Petersburgu, Goltza, przez profesora dorpackiego Parrota, i przez inne jeszcze osoby, umiało obrócić przeciw Czartoryskiemu wpływy cesarzowej wdowy, Maryi Teodorówny. Między innymi, aż z Paryża, pracował w tym duchu znany nam dobrze Lucchesini, posługujący wtedy od Prus u Napoleona. Inne jeszcze ciekawe odkrycia wychodzą na jaw przy tej okazji. Jeden z ludzi wysoko cenionych przez Czarto-

ryskiego, przed którym też zwierzał się on z całym zaufaniem ze swoją nieprzychylną dla Prus dążnością, był to generał rosyjski Wintzingerode. Owóż okazuje się, iż ten Niemiec w służbie rosyjskiej, generał-adjutant cesarza Aleksandra, wszystkie poufne wynurzenia rosyjskiego ministra spraw zagranicznych donosił potajemnie rządowi austriackiemu, — jak przekonał się o tem dowodnie prof. Ulmann w archiwum wiedeńskim, — skąd znowu dostawały się one do Berlina. Ostatecznie, skutkiem tych wszystkich podziemnych machinacji, stanowisko Czartoryskiego z końcem 1804 r. było mocno zachwiane. Jednak jeszcze tym razem nie udało się wysadzić go z siodła. Przeciwnie, pośród wynikłego w tym czasie powszechnego przesilenia europejskiego, w przededniu trzeciej koalicji, zdołał on raz jeszcze utwierdzić się mocniej niż kiedykolwiek w zaufaniu cesarza Aleksandra i rozpocząć wielkie przedsięwzięcie polityczne, — które wszakże, wbrew jego pierwotnym intencjom zwichnięte, nie jego już ręką i nie wedle jego planu kierowane, miało narazić Rosyę na klęski austerlicką i frydlandzką, i utknąć w końcu na połowicznym rozwiązaniu tyłżyckim.

Już od połowy 1804 r.—odkąd, skutkiem rozstrzelania ks. d'Enghien, zerwane były stosunki dyplomatyczne między Rosyą a Francją, — powszechna wojna europejska wisiła w powietrzu. Czartoryski, jakkolwiek osobiście był od początku raczej przeciwnikiem ówczesnego systematu francuskiego, a zwłaszcza nieprzychylniej był usposobiony dla Napoleona, rozu-

miął wszelako, że sama wojna z daleką Francją nie może przynieść Rosyi żadnych bezpośrednich korzyści realnych. Ale przy Francji od lat dziesięciu, od haniebnego pokoju bazylejskiego, stał sojusznik pruski, sojusznik w najwyższym stopniu interesowny, który poprzednio w Bazylei był pogodził się z Francją rewolucyjną, aby mieć wolne ręce dla zagarnięcia Warszawy, a który teraz wysługiwał się Francji napoleońskiej, aby wziąć upragnioną zapłatę w Pomorzu szwedzkim, w ziemiach nadreńskich, w Hanowerze angielskim. Rozumiał tedy Czartoryski, iż bezpośredni, realny, a nader żywotny interes Rosyi na tem właśnie polega, żeby w gotującej się walce powszechnej punkt ciężkości ze strony rosyjskiej położyć nie na bezpłodnych zapasach ze samą Francją, lecz na gruntownej rozprawie z tym sąsiedzkim sekundantem Francji—z Prusami. Wyobrażał sobie akcyę rosyjską w sposób następujący: zaofiarować Prusom akces do rosyjsko-austriacko-angielskiej koalicji przeciw Francji, zażądać od nich takiego akcesu, wytrącić je z ich ulubionej, dogodnej a nawskróś dwuznacznej roli pośredniczącej, zmusić je do zrzucenia maski, do jawnego, interesownego zdeklarowania się za Francją i wtedy całą potęgą rosyjską na nie uderzyć, odebrać im ich zdobycze polskie i w ten sposób, przez połączenie wszystkich dawnych ziem polskich pod berłem rosyjskiem, podnieść Rosyę na najwyższy stopień potęgi światowej. Wielki ten zamiysł pozyskał zupełną aprobatę cesarską. Wszelkie przygotowania dyplomatyczne i wojskowe zawczasu były zarządzone.

Za pośrednictwem posła rosyjskiego w Wiedniu, Razumowskiego, nawiązano rokowania o Galicyę, ewentualnie wzamian za obietnicę powrotu Śląska pruskiego do Austrii. W połowie września 1805 r. armia rosyjska pod Kutuzowem w 50,000 ludzi miała uderzyć na pruską Warszawę; druga armia, pod Buxhoevedenem, miała w 100,000 ludzi z Grodna wtargnąć do Prus Wschodnich; dwie armie rezerwowe Essena i Bennigsen miały poprzec pierwsze natarcie. Równocześnie, we wrześniu, cesarz Aleksander z Petersburga, drogą na Brześć, udał się do Puław. Tutaj, w pałacu starych książąt Czartoryskich, zamienionym na główną kwatery cesarską, zgromadzili się dokoła cesarza Aleksandra I przedstawiciele wszystkich dawnych ziem polskich, już niejako z wienopoddańcem homagium.

Te niezwykle puławskie dni jesienne 1805 r., z rozlicznych względów zaciekawiające i znamienne, były już powielekroć opisywane przez licznych świadków naocznych, polskich i rosyjskich. Jednakowoż jeszcze po dziś dzień wiele szczegółów kapitałnych i zasadniczych przedstawia się niedość jasno i wymagałoby dokładniejszego wyświetlenia. Kładziemy tutaj narazie jedno wcale nowe, a oryginalne i dające do myślenia świadectwo. Znaleźliśmy je w powierzonych nam Pamiętnikach rękopiśmiennych jednego z licznych gości, albo raczej reprezentantów, sprowadzonych wtedy do Puław z najrozmaitszych stron kraju. „Patryoci złożyli cesarzowi listę, pokrytą setkami podpisów. Cesarz zachował ją u siebie... Zażądano również i ode mnie

położenia mego podpisu na projekcie. Aliści — dodaje satyrycznie pamiętnikarz, który zresztą naogół, w długim swoim życiu umiał unikać ryzykownych uniesień i *faux-pas* a kierować się raczej praktycznymi względami roztropności, w tym wypadku co prawda ze wszechmiar uzasadnionej, — mądrość Konfucjusza nakazywała mi zachować powinną wierność memu monarsze, t. j. Fryderykowi-Wilhelmowi III, i ustanowionym władzom. Wymówiłem się tedy od podpisu a dałem natomiast słowo honoru, że i bez podpisu stawię się z bronią w czasie i miejscu, jakie mi będą wskazane... Później, w Berlinie, w chwili serdeczności, została królowi pruskiemu zakomunikowana czy też wydana owa lista osób, które w Puławach ofiarowały Rosyi koronę polską. Rząd pruski wnet wydał potajemne rozkazy, ażeby z temi osobami postąpić bez żadnej względności, jako ze złe myślącymi felonami i zdrajcami stanu“.

Ale tak przykrych, a tak blizkich ewentualności nikt z początku nie przewidywał w Puławach. Cesarz Aleksander był jak najlepszej myśli. Jego otoczenie, nietylko polskie, lecz w równej mierze i rosyjskie, oczekiwało z niecierpliwością i upragnieniem gotujących się wielkich wypadków. Wprawdzie nie brakowało oczywiście jednego lub drugiego malkontenta. Takim był przede wszystkim młody ks. Dołgorukij, osobisty nieprzyjaciel ks. Adama Czartoryskiego, a stąd przeciwny w zasadzie całej akcji podejmowanej przez ministra. Lecz inni Rosyanie, co najmniej równie patryotyczni jak Dołgorukij, a bezstronniejsi od niego, doświadczeni i głę-

biej patrzący, najzupełniej godzili się na tę akcję, skierowaną przeciw Prusom, a już zdawało się, nieodwołalnie postanowioną przez cesarza Aleksandra. Nadeszła przecie szczęśliwa pora, tak pisał stary kanclerz Woroncow do Czartoryskiego, aby nareszcie naprawić błędy stuletniej polityki względem Prus. Lada dzień, lada godzina winno było z kwatery puławskiej wypaść hasło do rozpoczęcia wielkiej akcji, do zbrojnego uderzenia na Prusy. Dla Rosyi był to moment wyjątkowo obiecujący. Dla Prus był to moment najgroźniejszego niebezpieczeństwa, w jakim znajdowały się kiedykolwiek, bodaj aż od straszliwych przepraw wojny siedmioletniej. Teraz zaś nie posiadały Wielkiego Fryderyka. Niszcząc i, zdawało się, nieodwołalna burza zawisła nad monarchią Hohenzollernów.

To jest ów sławny plan Czartoryskiego z roku 1805. „*Czartoryskis Mordplan gegen Preussen*“ — mówi z oburzeniem historyografia pruska. Plan w najwyższym stopniu odpowiadający interesom Rosyi — mówili z wdzięcznością najdojrzałsi ówcześni statyscy rosyjscy i mówią dzisiaj z uznaniem najświadosi historycy rosyjscy. Prof. Ulmann z większą bezstronnością od swoich współrodaków, od Treitschków, Onckenów i innych, wstrzymuje się od fałszywego moralizowania nad tym planem „morderczym“, będącym niewątpliwie, cokolwiekby zresztą o nim sądzić, owocem niepospolitej myśli stanu, a będącym w każdym razie niczem więcej, jeno zasłużonym aktem odwetowym. Należy podnieść tę chlubną bezstronność uczonego autora. Lecz niepo-

dobna skądinąd akceptować jego wykładni samego przebiegu wypadków puławskich 1805 r. Usiłuje on mianowicie całą inicjatywę przygotowanej akcji przypisać wyłącznie Czartoryskiemu i przedstawić rzecz w ten sposób, jakoby cesarz Aleksander I w sprawie tak arcydoniosłej odgrywał drugorzędną, czysto bierną rolę wobec swego własnego ministra. Jest to oczywiście pogląd od początku do końca błędny. Z jednej strony istnieją niezbité, konkretne dokumenty piśmienne, — wskazujemy chociażby tylko źródła, ogłoszone przez ks. Wasilczykowa, a świeżo uzupełnione przez gen. Szyldera, wykazujące w całej pełni osobistą, czynną inicjatywę cesarza w niniejszych, najcelniejszych działaniach przygotowawczych. Z drugiej zaś strony, trzeba by całkiem chyba niedocenić niezwyklej w istocie inteligencji i samodzielności cesarza Aleksandra I i pominąć zarazem całą rozległość i komplikację niezbędnych w tym wypadku olbrzymich i trudnych czynności przedwstępnych, wojskowych i dyplomatycznych, aby przypuścić na chwilę, że przedsięwzięcie takiej miary i takich konsekwencji mogło być podejmowane i już napóły urzeczywistniane pod obojętnem okiem biernego monarchy.

Jednakowoż potężny atak na Prusy, gotujący się w kwatrze głównej rosyjskiej w Puławach, w ostatniej godzinie został powstrzymany, a wnet całkiem odwołany. Przyczynił się do tego ujemnego rezultatu niefortunny zbieg okoliczności. Przyczyniło się chwilowe wahanie cesarza Aleksandra. Z okoliczności i z waha-

nia umiały w mgnieniu oka skorzystać Prusy. Jak wykazuje prof. Ulmann, stwierdzając ostatecznie zasadność podejrzeń, wyrażonych swego czasu przez samego Czartoryskiego, ówczesny poseł rosyjski w Berlinie, Alopeus, zdradził kanclerzowi pruskiemu Hardenbergowi sekret zamysłów puławskich cesarza Aleksandra. Autor odnalazł w archiwum berlińskim kopie najpoufniejszych depeesz ministerjalnych, posyłanych Alopeusowi. Z drugiej strony Dołgorukij wysilił wszystką swą wymowę i wpływy, aby zachwiać cesarza Aleksandra. Tyle zrobił, że wysłany został z Puław do Berlina. Tutaj, rzecz prosta, przyłączył swój przyjacielski głos ostrzeżenia do rewelacji Alopeusa. Gabinet berliński, uprzedzony jeszcze zawczasu o grożącym niebezpieczeństwie, zdążył zażegnać je w lot przez zręczną dywersję. Fryderyk-Wilhelm III pośpieszył zapowiedzieć swoją gotowość przystąpienia do koalicji, i zarazem w najserdeczniejszych wyrazach zaprosił cesarza do swojej stolicy. Od jednego zamachu zupełnie odmieniło się położenie.

Aleksander I, wprost z Puław, omijając Warszawę,— gdzie go już oczekiwano, a gdzie oczywiście bardzo byliby nieradzi widzieć go Prusacy,— podążył do Berlina. Król Fryderyk-Wilhelm wysilił całą swą uprzejmość, królowa Luiza cały swój wdzięk, aby godnie przyjąć i ująć sobie nicocenionego gościa. Na wszelki sposób, aż z ostentacyjną przesadą, honorowano cesarza nad Sprewą; wtedy to jego imieniem ochrzczono wspaniały *Alexanderplatz* berliński, wystawiano jego

biusty po wystawach sklepowych, sprzedawano na ulicach jego wizerunek z alegoryczną gwiazdą północną, przebijającą chmury, opiewano go czułymi rymami w gazetach i pismach ulotnych. Śród tych wylewów gościnności, tem bardziej upokarzające, przykre i fałszywe było stanowisko Czartoryskiego, który w świetle cesarskiej znalazł się w Berlinie. Był on pobity na głowę przez dyplomację pruską, a przewidywał z góry, że koszta tego pruskiego zwycięstwa będzie musiała niebawem zapłacić Rosya. Teraz to mianowicie rząd berliński śród swego tryumfu nie zapomniał także wywieźć się na stronie jak najdokładniej o nazwiskach Polaków z Warszawy i Poznania, którzy dopiero co stawili się w Puławach z hołdem dla Aleksandra: na nich wszystkich obecnie spadły surowe prześladowania ze strony władz pruskich, jako na zdrajców królewskiego rządu. Tymczasem w Berlinie już po kilku dniach doszedł traktat prusko-rosyjski, warujący przyjacielską medycynę Prus, a właściwie ich sprzymierzeńczą interwencję przeciw Napoleonowi. Nazajutrz po podpisaniu traktatu, o samej północy, zaprowadzono cesarza Aleksandra do podziemi kościoła poczdamskiego, gdzie spoczywały prochy Fryderyka II: tutaj odbyła się słynna scena pożegnalna, nad trumną wielkiego króla podano sobie ręce i zaprzysiężono wieczyste braterstwo obu państw i dynastji. Cztery tygodnie zaledwo minie od przysięgi Fryderyka-Wilhelma III, a nastąpi klęska austerlicka, i w te pędy Prusy, nie dobywając broni, opuszczą pobitą Rosję, ułożą się ze zwycięskim Napo-

leonem i tym sposobem najdobitniej usprawiedliwią pierwotną politykę Czartoryskiego.

Na tym punkcie przełomowym zamyka się niniejsze badanie prof. Ulmanna. Mogliśmy tylko jak najkrócej wskazać główne zarysy jego pracy, dotyczącej jednego z najciekawszych, a nawet poniekąd niepozbowionych żywej doniosłości aktualnej, momentów politycznych doby nowożytnej. Wprawdzie w licznych szczegółach, a nawet w niektórych kwestiach ogólniejszych, nie możemy podzielać wywodów autora, choć zresztą, rzecz prosta, na tem miejscu niepodobna podnosić trudnych i obszernych kontrowersyi naukowych. Lecz z rzetelną przyjemnością przychodzi nam stwierdzić bezstronną i spokojną metodę uczonego niemieckiego w całym traktowaniu tak drażliwych dla Niemca materii. Ten spokój i bezstronność, podwójnie rzadkie w nowszej historyografii niemieckiej, ilekroć zwłaszcza wypada zawadzić o sprawy i postaci polskie, pozwoliły też autorowi, po raz pierwszy bodaj w piśmiennictwie niemieckiem, wznieść się, w pewnej przynajmniej mierze, do właściwego sądu o Adamie ks. Czartoryskim, będącym dotychczas prawdziwym kozłem ofiarnym pruskiego politycznego dziejopisarstwa. Nareszcie, po raz pierwszy, oddaje świadectwo czystości i bezinteresowności Czartoryskiego, jako ministra rosyjskiego, zaświadczonej już oddawna przez najpowołaniejsze głosy rosyjskie, za przykładem samego cesarza Aleksandra I. Przyznaje i poświadcza prof. Ulmann, o czem oddawna winna była wiedzieć nauka i opinia, że w ministeryal-

nej działalności Czartoryskiego nie masz ani śladu owej karyerowiczowskiej *curée*, cechującej tyłu jego poprzedników niemieckich, Münnichów, Ostermannów, Loewenwoldów i najdalszych ich sukcesorów, poszukujących własnego obłotu w obcym państwie i rządzie; że nie masz tu także ani śladu owego rzekomego podstępnego walenrodzizmu, który potwarcze denuncyacye Bernhardich, Onckenów i innych historyografów pruskich usiłowały przyczepić do osoby nienawistnego im Polaka w służbie rosyjskiej. Daleki od tej taktyki denuncyatorskiej, prof. Ulmann, widząc w Czartoryskim jednego z najgroźniejszych przeciwników potęgi pruskiej, uznaje w nim wszakże przeciwnika ze wszech miar godnego szacunku, i w ostatecznej konkluzji sąd swój o polskim mężu stanu, jako ministrze spraw zagranicznych rosyjskich, zamyka oświadczeniem, iż jego działalność „przynosi mu zaszczyt zarówno jako mężowi stanu i jako człowiekowi charakteru”—*„ehrt ihn als Staatsmann und als Charakter“*. To uczciwe wyznaczenie, przychodzące z nieprzyjacielskiego obozu, posiada wartość niepoślednią. A być może— jak nader byłoby do życzenia — przyczyni się ono także do tego, aby przypomnieć badaczom swoim, przypomnieć też najbliższej stronie depozytorskiej, zaniedbane obowiązki naukowe względem historycznej postaci Adama ks. Czartoryskiego.

Sprawa polska przed Kongresem wiedeńskim.

Kongres wiedeński 1814 — 1815 roku zajmuje miejsce zupełnie wyjątkowe w nowoczesnych dziejach międzynarodowych. Tutaj to na najpełniejszym, jakie widziano kiedykolwiek, pokojowym zgromadzeniu mocarstw cywilizowanych nie tylko przywrócona została narazie równowaga powszechna po gwałtownem zwaleniu rządów napoleońskich, lecz nadto z góry, na długi okres czasu, niemal na całe XIX stulecie, poniekąd aż do doby dzisiejszej, uwarunkowana została pod wielu względami dalsza ewolucja polityczna europejskiego świata. Przewodnicze stanowisko Rosyi wśród mocarstw, wywyższenie Prus pośród Niemiec, rozbieżne i zawiste położenie Austrii, zdystansowanie Francyi, przewaga kolonialna W. Brytanii — te i inne zjawiska kardynalne, odtąd coraz dobitniej i wszechstronniej występujące na jaw w kolejnym rozwoju wypadków, wtedy to, za stołem kongresowym wiedeńskim, już zostały wyznaczone w swoich zarysach wytycznych. I mimo ogromne od tej pory dokonane zmiany, ciągle jeszcze

w wielu zasadniczych zagadnieniach międzynarodowych przychodzi nawracać do tamtych wytycznych rozstrząsań i uchwał wiedeńskich. Jednakowoż rzeczywiste dzieje Kongresu wiedeńskiego po dziś dzień są znane w nader niedostatecznej mierze. Znana raczej scenerya zewnętrzna, strona czysto formalna, przeznaczona na pokaz. Znane ostentacyjne rokowania, urzędowe protokoły, publiczne rozprawy, pisma i sankcje. Natomiast główna, zakulisowa strona rzeczy, istotne sprężyny, przebieg i znaczenie negocjacji wiedeńskich pozostały w znacznej części w dyskretnym cieniu. Ostatnimi dopiero czasy i ten cień stopniowo pierzchać poczyną. Kilka nowszych doniosłych publikacji uchyliło rąbek dyplomatycznej zasłony. Pamiętniki głównego reżysera, ks. Metternicha, korespondencje wiedeńskie Castlereagha i Talleyranda, dziennik kongresowy Steina rzuciły sporo światła. Po Austriaku, Angliku, Francuzie i Prusakowi stawili się także inni wybitni świadkowie. Będąc w toku znakomite wydawnictwo petersburskiego ministerium spraw zagranicznych, ogłaszane przez prof. Martensa, dorzuciło nieco nader pożądaných świadectw rosyjskich. Wszystko to przecie razem są dopiero pojedyncze ułamki, z których prawie niepodobna złożyć pełnej i jasnej całości. Jeszcze brak wielu głosów najniezbędniejszych. Jeszcze w wielu szczegółach znaczne są luki i poważne wątpliwości.

To też każdy nowy nabytek naukowy nabiera tutaj podwójnej ceny. Z wdzięcznością przeto rejestrujemy natychmiast jeden taki najnowszy nabytek, przyniesiony

pod postacią studium p. Fourniera, prof. wszechnicy wiedeńskiej, znanego z dawniejszych sumiennych prac nad epoką napoleońską: „Z dziejów sprawy polskiej w r. 1814—1815“ *). Wprawdzie to studium, jak już wskazuje sam skromny tytuł, nie ma i istotnie nie może mieć zgoła pretensyi do wyczerpania tak doniosłego i skomplikowanego przedmiotu. To nie dzieje, to zaledwo epizod „z dziejów“ tego przedmiotu. W dodatku autor oparł się prawie wyłącznie na papierach Archiwum wiedeńskiego, skąd zresztą zużytkował drugorzędny raczej materiał a nie umiał wydobyć dokumentów najciekawszych, które, jak mieliśmy sposobność sami skonstatować w temże archiwum, zawierają mnóstwo drogocennych, całkiem dotychczas nietkniętych świadectw w niniejszej właśnie, arcyważnej materii. Poza tem autor gdzieniegdzie tylko, zupełnie przygodnie i pobieżnie, posiłkował się źródłami archiwalnymi Berlina i paru pomniejszych zbiorów. Zresztą najwidoczniej nie zdążył opanować należycie nawet odpowiedniej literatury drukowanej. W szczególności nie uwzględnił licznych odpowiednich publikacji polskich i rosyjskich, które przecie w tym wypadku w pierwszym rzędzie spożytkować wypadało. Ale za te wszystkie braki nie będziemy zanadto winili p. Fourniera. Rzecz, roztrząsana w jego monografii, należy właściwie do historii polskiej. Wszakże jak i wiele innych najży-

*) Aug. Fournier: „Zur Geschichte der polnischen Frage 1814—1815“.

wotniejszych zagadnień w obrębie dziejów nowożytnych, podobnież i niniejsze zostało zgoła zaniedbane przez społeczną naukę polską. Skoro więc sami nie zrobiliśmy nic, nie krytkujmyż zbyt ostro cudzoziemca, że za nas nie zrobił wszystkiego. Zamiast tedy czynić tanie zarzuty oświeconemu i życzliwemu Austryakowi, który nas tutaj próbował wyręczyć, wolimy wdzięcznie wziąć do wiadomości i zużytkować jego bądź co bądź pożądany i przydatny, choć niedoskonały i epizodyczny przyczynek do dziejów własnych spraw naszych w przededniu Kongresu wiedeńskiego.

Z chwilą obalenia Napoleona przez sprzymierzoną Europę wynikła sama przez się nieodzowna konieczność wielkiej narady kongresowej zwycięskich sprzymierzeńców w celu podziału pomiędzy sobą wielkiej spuścizny po dotychczasowym panu Francyi i Europy. Traktat paryski pokoju z maja 1814 roku, wnet po wejściu koalicji do Paryża, darował pokój pobitej Francyi — za cenę kilkunastu milionów poddanych, oderwanych z powrotem od napoleońskiego imperyum. Zarazem, bez traktatów, na mocy samego tylko faktycznego prawa wojny, przysły odrazu wszystkie owe efemeryczne nowotwory polityczne, powołane do życia przez Napoleona, odrazu runęły królestwa Hiszpanii i Włoch, Związek Reński, a najwcześniej Księstwo Warszawskie. Trzeba było rozrządzić całym tym niezmiernym łupem podwójnym: byłymi posiadłościami francuskimi i byłymi lennami francuskimi. A trzeba było to uczynić w ten sposób, ażeby pogodzić wszystkie spórzawod-

nictwa, wszystkie rachuby, wszystkie apetyty. Podział zdobyczy: to był ostatecznie sens moralny wielkiej krucjaty antynapoleońskiej. Zdobycz była ogromna. Tem trudniejszy oczywiście był podział. Tem niezbędniejszy przeto był kongres. To też już w tamtym traktacie pokojowym paryskim zapowiedziane było zwołanie powszechnego kongresu do Wiednia w jak najkrótszym terminie, bo już na początek sierpnia. Jednakowoż skutkiem wynikłych rozmaitych trudności, na życzenie cesarza Aleksandra I, otwarcie kongresu odroczone zostało jeszcze na dwa miesiące, aż do początku października 1814.

Kongres wiedeński miał przed sobą zadanie olbrzymie. Miał przywracać jednych królów i detronizować innych, stanowić i znosić ustawy rządowe, podnosić i zatwierdzać sekularyzacje, wymierzać odszkodowania, obliczać koszty wojenne, odmieniać prawo publiczne i międzynarodowe. Miał przeobrazić z gruntu kartę Europy. Od Bałtyku aż do Śródziemnego morza, od Atlantyku aż do Niemna, miał wykreślić nowe granice, wzniesić nowe instytucje, stworzyć nowy rzeczy porządek. Miał do załatwienia jednocześnie sprawy napoleońskie i szwedzkie, weneckie i holenderskie, portugalskie i westfalskie, szwajcarskie i illiryskie. Wszakże ponad wszystkimi temi sprawami, jakkolwiek były zawile, nagłe i ważne, górowała jedna, najtrudniejsza, najaktualniejsza i najdonioślejsza: sprawa Księstwa Warszawskiego, sprawa polska. Można o tem przekonać się w sposób namacalny. Weźmy do ręki ostateczny

owoc długich, mozolnych i różnostronnych prac kongresowych, ów ogromny dokument, zawierający w ostatecznej redakcyi wszystkie wieloliczne uchwały kongresowe, wielki „Akt zamknięcia“, słynny *Acte final du Congrès de Vienne*. To jest uświęcony kodeks prawodawczy Kongresu. Obejmuje on ośm rozdziałów w stu kilkudziesięciu artykułach. Owóż okazuje się, że w tym kodeksie, pośród tych sankcyi ostatecznych i najwyższych, rozdział najpierwszy nosi tytuł: *De la Pologne* i w najpierwszych czternastu artykułach urządza sprawę polską przed wszystkimi innemi sprawami lądu i morza, nawet przed palącą i arcyważną sprawą urządzenia Niemiec, która dopiero na drugim przychodzi miejscu. To pierwszeństwo formalne w samym akcie końcowym jest ścisłym i konsekwentnym wyrazem takiego samego pierwszeństwa w istotnym przebiegu negocjacyi i w pierwotnym punkcie wytycznym Kongresu. Wynikało ono z samej natury rzeczy. Kongres wiedeński 1814 r. był bezpośrednim wynikiem wyprawy do Moskwy 1812 r. Tej wyprawy osią była sprawa Księstwa Warszawskiego, t. j. sprawa polska. Ona też z natury rzeczy musiała zostać osią Kongresu.

Superarbitrem, głową Kongresu był dotychczasowy wódz naczelny koalicyi, cesarz Aleksander I. W jego to ręku spoczęły teraz losy tamtej najpierwszej sprawy kongresowej.

Stanowisko cesarza Aleksandra było tutaj całkiem wyjątkowe. Dwaj obecni jego sojusznicy, a dwaj wcześniejsi uczestnicy traktatów rozbiorowych, już oddawna,

w czasie minionej zawieruchy napoleońskiej, byli zmuszeni w znacznej mierze odstąpić od onych pierwotnych traktatów podziałowych, już byli postradali w znacznej części zyskane wtedy nabytki polskie. On jeden był pozostał nietykalnym posiadaczem obszarów, przydzielonych jego państwu przez trzy rozbiory Rzplitej. W dodatku, do tych obszarów, do pierwotnych trzech działów rosyjskich, wnuk cesarzowej Katarzyny przyłączył wszystkie bez wyjątku odłączone działy sąsiedzkie, potracone przez sukcesorów Fryderyka i Józefa. A więc nasamprzód był przyłączył część działu pruskiego z trzeciego rozbioru, obwód białostocki, oderwany od Prus i jemu ustąpiony przez Napoleona w 1807 roku. Następnie przyłączył podobnie część działu austriackiego z pierwszego rozbioru, obwód tarnopolski, oderwany od Austrii i jemu ustąpiony przez Napoleona w 1809 r. Nareszcie obecnie, od półtora roku, od początku 1813 r. był posiadaczem całego Księstwa Warszawskiego w pełnej onego rozciągłości, jak było stworzone przez Napoleona w 1807 i rozszerzone w 1809 r. Księstwo obejmowało teraz mianowicie: dwa działy pruskie z Poznaniem i Warszawą z drugiego i trzeciego rozbioru, oraz część działu austriackiego z Krakowem z trzeciego rozbioru. Tym sposobem w obecnej chwili cesarz Aleksander I, stanąwszy na czele Europy, jako tryumfator, jednocześnie rozkazywał, jako władca, w Poznaniu i Wilnie, w Toruniu i Tarnopolu, w Krakowie i Warszawie. Brakowało już tylko Gdańska i Lwowa. Zresztą był panem całej nie-

mał dawnej Rzpltej. Nigdy, ani wcześniej, ani później, Rosya, krępowana przez współzawodnictwo sąsiadów, nie potrafiła w sprawie polskiej posunąć się tak daleko, jak w tej właśnie chwili. Urzeczywistniała się poniekąd w tej chwili pierwotna idea kierownicza polityki rosyjskiej względem Rzpltej: idea Piotrowa. Piotr Wielki był zamyślał pierwotnie o objęciu całej Rzpltej, bez żadnego udziału sąsiadów. Dopiero w późniejszym okresie, ostatecznie zaś za Katarzyny II, ci sąsiedzi, Prusy i Austria, przeparli inną, mniej rozległą a łatwiej wykonalną ideę rozbiorową. Obecnie samo położenie rzeczy nawracało Aleksandra I do podjęcia idei Piotra I. Sprowadzało się to narazie, praktycznie, do dwóch dezyderatów cesarza Aleksandra w sprawie polskiej wobec głównych mocarstw kongresowych, zwołanych do Wiednia. Po pierwsze pragnął on nie dać sobie wydrzeć niczego ze swojej zdobyczy wojennej, okupionej kosztem tylu nadzwyczajnych wysiłków, t. j. pragnął zastrzymać całe Księstwo Warszawskie. Powtórze zamierzał zaokrąglić je w sposób pożądaný a ostateczny, t. j. zamierzał traktować z Austryą o Lwów. Co się tyczy Gdańska, to tymczasem, po długiej bohaterskiej obronie generała Rappa, na mocy zaszczytnej, lecz niestety niedotrzymanej kapitulacji, to wielkie, jedyne miasto portowe polskie, znalazło się również w ręku załogi rosyjskiej, znalazło się faktycznie również w posiadaniu Rosyi. Wielka była szkoda wypuścić z ręki tak drogo-cenną zdobycz. Ale trudno ją było utrzymać. Ostatecznie, co do Gdańska, o ile nie dałoby się w myśl

dawniejszych propozycji angielskich i świeżej praktyki napoleońskiej pozostawić go na stopie wolnego miasta, Aleksander był zrezygnowany wraz z pierwszym pruskim działem fryderykowym zostawić na własność Prusom, jako niezbędne połączenie między Berlinem a Królewcem. Ale — nie więcej.

Zresztą główna podstawa całej tej wielkiej kombinacji polegała oczywiście przede wszystkim na ściślej porozumieniu się z dworem berlińskim. Takie też porozumienie zawczasu zostało dokonane. Traktaty prusko-rosyjskie, zaraz na samym początku wyprawy 1813 r. podpisane w Kaliszu i Wrocławiu pomiędzy Aleksandrem I a Fryderykiem Wilhelmem III, warowały z góry: że Prusy wrócą do poprzedniego „stosunku” (*proportion*), nie zaś do poprzedniej tożsamości swoich granic przed-napoleońskich, że mianowicie otrzymają one odpowiednie „odszkodowania” (*équivalents*), nie zaś restrykcję dawniejszych swoich posiadłości. Znaczyło to innymi słowy, że Prusy wyrzekały się Księstwa Warszawskiego, t. j. swojego drugiego i trzeciego działu polskiego, na rzecz Rosyi, a natomiast z rąk Rosyi miały otrzymać „ekwiwalent” w odpowiednim „stosunku” pod postacią Saksonii. Istotnie na tej to właściwie zasadzie władze rosyjskie w Warszawie przystąpiły do nowej organizacji Księstwa, następnie zaś w samym przededniu otwarcia Kongresu wiedeńskiego władze pruskie w Dreźnie przystąpiły do nowej organizacji Saksonii. Jednocześnie prowadzone były rokowania z dworem wiedeńskim względem drugiego zasadnicze-

go dezyderatu w sprawie polskiej, dotyczącego Lwowa i reszty Galicyi. Z tej strony wyłoniło się kilka najrozsądniejszych projektów, zmierzających do ewentualnego odszkodowania Austrii za Galicyę. Takiego odszkodowania poszukiwano w Illiryi, we Włoszech, a nawet na początku 1814 r. zrodziła się myśl wyszukania go nad Renem: za Lwów — Strasburg, za Galicyę — Alzacya miała wynagrodzić Austryę. Jednakowoż, kiedy tamta negocyacya pruska odrazu była znalazła pomyślne rozwiązanie pod postacią traktatów wrocławsko-kaliskich, natomiast ta negocyacya austriacka jakoś ciągle nie wychodziła z dziedziny projektów i zgoda nie posuwała się naprzód. Nie dość na tem. Utknięcie z tej strony zamierzeń cesarza Aleksandra w sprawie polskiej miało swoje głębsze, zasadnicze powody, które w ostatecznym wyniku miały nadać zupełnie odmienny obrót całej tej sprawie, a tem samem wpłynąć decydująco na cały przebieg wypadków na Kongresie wiedeńskim.

Istnieje po dziś dzień rozpowszechniona legenda o stosunku mocarstw kongresowych względem sprawy polskiej w 1814 i 1815 r. Według tej legendy niemal wszystkie owe mocarstwa ożywione były najgorętszymi sympatjami dla tej sprawy. Jakimże więc sposobem ona nie wzięła skutku w najrozleglejszym znaczeniu? Byłaby to osobliwsza zagadka. Ta zagadka rozwiązuje się najprościej. Rozwiązuje się mianowicie przez absolutną nicotę i bezpodstawność tamtej legendy. W rzeczywistości ani jedno z wielkich mocarstw kongresowych nie potrafiło w tym wypadku wznieść się na

wyższe stanowisko dziejowo-polityczne. Wobec ujawnionych dzisiaj dokumentów jest to prawda oczywista i niezbita. Okazuje się to przede wszystkim w zastosowaniu do mocarstw zachodnich, które później, po piętnastu latach, po niewczasie, miały zgłosić się ze spóźnioną, platoniczną czułością. Tutaj była nasamprzód Francja. Tej w obecnym wypadku chodziło głównie o Saksonię. Ludwik XVIII, przez matkę wnuk naszego Augusta III, urodzony z królowny polsko-saskiej, był kuzynem Fryderyka-Augusta. Francja żadną miarą nie chciała dopuścić aneksyi Saksonii przez Prusy, wzmocnienia Prus na Zachodzie, skierowania ich frontem naprzeciw Renu. Francja, po doświadczeniach Lipska a niebawem Waterloo, nauczyła się obawy przed Prusami. Następnie szła Anglia. Ta przeciwnie dawała zgodę na aneksję Saksonii, gdyż owszem rada była wzmocnić groźbę pomsty przeciw Francji, lecz natomiast żadną miarą nie chciała dopuścić aneksyi całej Polski, a zwłaszcza Galicji, przez Rosję, a tem samem skonsolidowania z tej strony potęgi rosyjskiej i rozwiązania jej rąk na Wschodzie. Anglia po doświadczeniach sojuszu Napoleona z Aleksandrem, po projektach rosyjskich wyprawy do Indji, po ostatniej kampanii rosyjsko-tureckiej, nauczyła się obawy przed Rosją. Nareszcie przychodziła Austria. Ta, wepchnięta w sam środek pomiędzy Prusami a Rosją, żadną miarą nie chciała dopuścić nadmiernego wzmocnienia żadnego z tych sąsiadów, gdyż oddawna nauczyła się jednakowo obawiać się ich obu. Tym sposobem Francja była prze-

ciwna wynagrodzeniu Prus w Saksonii, Anglia — panowaniu Rosji w Księstwie Warszawskim i Galicji, Austria — jednej i drugiej połowie całej kombinacji polsko-saskiej. Tak więc ta kombinacja ze strony Zachodu wisiała w powietrzu. Co się tyczy samych głównych filarów tej kombinacji na Wschodzie, t. j. Prus i Rosji, to i tutaj pod pozorami dokonanego porozumienia tkwiły ukryte, zgoła odmienne intencje. Prusy najchętniej wzięłyby Saksonię z rąk Rosji a zarazem zatrzymałyby jak największą część Księstwa. Rosya, odwrotnie, najchętniej wzięłaby Księstwo, dając Prusom jak najmniej w Saksonii. Zresztą sama operacja aneksyi Księstwa a ewentualnie i Galicji przedstawiała się dla Rosji pod podwójnym kątem widzenia. Przyłączyć — to było jedno; organizować — to było drugie. Nie brakowało w Rosji głosów, które przyłączenie, pod nazwą Królestwa, tak znacznych obszarów polskich uważały za rzecz wprost niebezpieczną i przeciwną interesom rosyjskim. Te głosy nie były bez wpływu na cesarza Aleksandra, te ostrzegawcze zapowiedzi nie przestawały zaprzętać go i we własnym jego, już z natury tak dziwnie wrażliwym i giętkim umyśle budziły niejedną poważną wątpliwość co do własnej, tak śmiałej i obszernej a ciągle odsuwanej i nieustatkwanej koncepcji politycznej.

Śród takich warunków cesarz Aleksander z Paryża udał się, drogą okólną na Londyn, do Petersburga, ażeby tutaj po tylu nadzwyczajnych tryumfach ukazać się swemu narodowi, położyć rękę na pulsie opinii

publicznej i stąd dopiero z ostateczną decyzją wyjechać na Kongres wiedeński. Rząd austriacki postanowił niezwłocznie zużytkować tę podróż petersburską cesarza, ażeby tutaj, na miejscu, dla zapobieżenia tamtej koncepcji cesarza Aleksandra, wyzyskać wszelkie, przeciwnie jej, miejscowe żywioły stolicy nadnewskiej. Do Petersburga, w tropy cesarza, natychmiast, we wrześniu 1814 r. wysłany został z Wiednia generał austriacki, baron Koller, ze specjalną w tej mierze misją poufną. Relacje petersburskie Kollera, ogłoszone obecnie częściowo przez p. Fourniera, a które mieliśmy sposobność przeglądać w oryginale w Archiwum wiedeńskim, rzucają światło nader ciekawe na sytuację owoczesną. Sam cesarz Aleksander przyjął wysłańca austriackiego dosyć zimno: dawał mu do zrozumienia, że w najgorszym tylko razie zdobędzie się na wydanie z powrotem obwodu tarnopolskiego, będącego już od lat pięciu w prawnym jego posiadaniu, że jednak natomiast bezwarunkowo będzie żądał zachowania przy byłym Księstwie, t. j. przysłem Królestwie, miasta Krakowa z okolicą. W całkiem innym atoli duchu były wynurzenia poufne, jakie odbierał Austriak od najbliższego otoczenia cesarza. „W. Ks. Konstanty—tak donosił Koller z Petersburga do Metternicha—który nie ma dla mnie żadnych sekretów, generał Arakczew, będący osobistym moim przyjacielem, i generał Uwarow, pokładający we mnie pełne zaufanie, zapewnili mnie, że cesarz Aleksander całkiem wyrzeka się ulubionego swojego projektu, który byłby zgubny dla interesów Rosyi“.

Takie samo zresztą wrażenie wyniósł podpułkownik Ostrowski, w tym samym czasie wysłany przez Dąbrowskiego do Petersburga: Cesarza osobiście znalazł nader łaskawym, natomiast ze strony najwybitniejszych dostojników, jak Rumiancew, Sałtykow, Łopuchin i wogóle całe otoczenie cesarzowej-wdowy po Pawle I, spotkał się z jawną podejrzliwością i wprost z nieprzyjaźnią.

Wśród podobnego nastroju stolicy cesarz Aleksander z końcem 1814 r. opuścił Petersburg, udając się do Wiednia, gdzie już był oczekiwany przez innych uczestników Kongresu. Drogę obrócił na Puławę, lecz już omijając Warszawę, dokąd pierwotnie wstąpić był zamierzał. W Wiedniu natychmiast po swoim przybyciu przekonał się o niezwykle trudnościach sprawy polsko-saskiej. Zaraz w pierwszych dniach wydarzyły się gwałtowne w tym względzie sceny pomiędzy cesarzem z jednej strony a z drugiej, kolejno: Talleyrandem, Castlereaghem, Metternichem. Sprawa przybrała odrazu obrót zły i najgorszy. Najrozmaitsze czynniki spiknęły się jednocześnie na niekorzyść b. Księstwa Warszawskiego. Już nie tylko obszar terytorialny przysłego Królestwa został zakwestyonowany, lecz, co najważniejsza, sama jego organizacja ustawodawcza podana została w wątpliwość. W tej chwili krytycznej, w sprawy wiedeńskie, wklajające się coraz bardziej, wdał się z powagą i stanowczością Komitet Wojskowy Organizacyjny warszawski, wtedy właśnie powołany do życia pod prezydencją W. Ks. Konstantego. Mądre, dojrzałe i mocne memorały Komitetu Wojskowego,

złożone W. Ks. Konstantemu w listopadzie i grudniu t. r., aprobowane następnie przez cesarza Aleksandra, wyniesione na stół Kongresu wiedeńskiego, niepomalu przyłożyły się do pomyślnego, chociażby w części, zdecydowania losów b. Księstwa Warszawskiego i do wzniesienia nowej budowy Królestwa Polskiego.

Ograniczamy się do kilku powyższych spostrzeżeń, usuniętych przez omawianą pracę p. Fourniera. Nie możemy, rzecz prosta, na tem miejscu wdawać się w szczegółowe roztrząsanie wszystkich perypetyi sprawy sasko-polskiej na Kongresie wiedeńskim. Pozwalamy sobie tylko raz jeszcze wyrazić życzenie, ażeby ten ważny i skomplikowany przedmiot spotkał się z gruntownem i wyczerpującem opracowaniem ze strony najpoważniejszej w tym względzie, własnej naszej historyografii, i ażebyśmy co rychlej mieli do czynienia już nie z austriacką, nie z cudzoziemską, ale z polską monografią o jednym z najciekawszych i najdonioślejszych momentów dziejów nowożytnych.

Pani Lieven.

Jeżeli istotnie, jak głosi utarta sentencja klasyczna, „książki miewają swoje fatum“, to najprawdopodobniej niezaktłócony spoczynek na półkach bibliotek lordowskich będzie przeznaczeniem wydanej zbyt kownie i po pańsku „Korespondencji księżny Lieven z hrabią Greym“. Brak w niej bowiem napozór owej nuty sensacyjnej, której przedewszystkiem poszukuje czytająca publiczność w wydawnictwach autobiograficznych. A jednakowoż, za nieco bliższem i przenikliwszem w rzecz wejściem, w tej korespondencji pomiędzy typową „kobietą stanu“ a znakomitym inwalidem politycznym mieści się treść wcale niepowszednia, aczkolwiek nie wpadająca w oko, mieści się nawet morał godny uwagi i zastanowienia, zarówno pod względem dziejowym, jak politycznym, i bodaj, jeśli kto ciekaw,—psychologicznym *).

*) „Correspondence of princess Lieven and earl Grey“. Edit. by Guy Le Strange.

Darya, czyli właściwie Dorota, Benckendorfówna, urodzona w Rydze, ze starego, lecz podupadłego domu kurlandzkiego, była czystej krwi Niemką nadbałtycką. W bardzo młodym wieku poślubiła znacznie starszego od siebie spółrodaka, Krzysztofa Lievena. Małych zdolności, lecz wielkiego sprytu, umiał Lieven nie tylko dostać się do łask cesarza Pawła I, lecz nawet, co było dużo trudniej, trwale w nich się utrzymać. Piastował on wtedy mianowicie niepoczesny, ale niezmiernie wpływowy urząd naczelnika korpusu feldjegrów. Wtedy jeszcze, za Pawła, nie znano korpusu żandarmów. Wszakże Lieven, na trudnym stanowisku stałego ulubieńca Pawła, potrafił dokonać trudniejszej, jeszcze rzeczy. Potrafił siedzieć na trzech naraz stołkach: osobiście pielęgnować zmienną łaskę cesarza, zyskiwać sobie przez młodą żonę względy cesarzowej Maryi-Teodorówny, a zarazem zasługiwać na zaufanie W. Ks. Aleksandra Pawłowicza. Wreszcie potrafił wywinąć się najzręczniejszym z najtrudniejszej, najkrytyczniejszej przeprawy: nie przeszkadzać knowaniom swego rodaka, Pahlena, a jednocześnie oględnie od niego się odstrychnąć. Tym sposobem dokonał tej rzadkiej, prawie bezprzykładnej sztuki, że pośród wszystkich ulubieńców dotychczasowej doby Pawłowskiej, fortunnym, prawie jedynym wyjątkiem, utrzymał się na powierzchni za następnych rządów Aleksandra I. Trzymał się zresztą w początkach nowego panowania z roztropną ostrożnością na uboczu, w ściślejszej będąc zażyłości ze stronnictwem cesarzowej-wdowy, a zarazem wiążąc się pocichu z par-

tyą przeciwną ks. Adamowi Czartoryskiemu, Kocubejowi i innym młodszym doradcom cesarza Aleksandra. Podczas pierwszej wojny z Napoleonem znalazłszy się w kwaterze głównej cesarskiej, należał do tych szkodliwych żywiołów, które umiały najprzód wstrzymać, w końcu całkiem skrócić zamierzoną akcję wojenną przeciw Prusom, a natomiast na wszelki sposób popychały Aleksandra w ramiona dworu berlińskiego. Jeszcze po porażce austerlickiej a przed samą klęską frydlandzką, kiedy Czartoryski, Strogonow, Nowosilcow, nawet sam wódz naczelny Bennisgen, nawoływali do wstąpienia na konieczną drogę pokojową, Lieven razem z następcą Czartoryskiego Budbergiem i innymi zwolennikami polityki berlińskiej, nie przestawali naglić cesarza do dalszej walki z Napoleonem — *pour le roi de Prusse*. Odtąd bezustanku w 1808, 1809, 1810 r., wędrował Lieven pomiędzy Newą a Sprewą, wożąc listy przyjacielskie, organizując zjazdy obu monarchów w Królestwie i Petersburgu, używany stale jako zaufany pośrednik pomiędzy tymi dwoma rzekomymi sprzymierzeńcami Napoleona. Mianowany wreszcie urzędownie posłem rosyjskim w Berlinie, przykładał potajemnie rękę do skrytej roboty prowokacyjnej, prowadzonej stąd pod adresem Petersburga, i w ścisłym porozumieniu z dyplomatycznymi muzykantami berlińskimi grał na strunach podejrzliwości i obawy w duszy Aleksandra, popychanego tędy to, z Berlina, do nowej ostatecznej rozprawy z Napoleonem. Kiedy cel nareszcie został szczęśliwie dopięty, podczas wojny 1812 r.,

miał Lieven z kolei swoją rękę we wszystkich robotach w Kurlandyi, ze stojącym tam „sprzymierzeńczym“ korpusem pruskim, który istotnie, jak wiadomo, znowuż najszcześliwiej dał się skłonić do odstąpienia Francyi, a niebawem — do obrócenia „sprzymierzeńczej“ broni przeciw sojusznikom francuskim. Za tyle zasług ruchliwy dyplomata nagrodzony został niebawem nominacją na stałą ambasadę londyńską.

Pani Lieven dotychczas mało brała udziału w pracach i sukcesach mężowskich. W Berlinie, pod różgą napoleońską, było cicho i nudno. Dopiero teraz młoda ambasadorowa odżyła w wielkim świecie londyńskim. Znalazła się tutaj w swoim żywiole. Londyn ówczesny pod względem obyczajowym przedstawiał szczególniejsze widowisko. Od czasów niepamiętnych, bodaj aż od czasów Karola II, nie widziano tu podobnej świetności i podobnego rozhulania się w życiu dworskiem i wielkoświatowem. Król był obłąkany, książę regent był prosty *viveur*. Zdawało się księciu Jerzemu, że naśladował szekspirowskiego księcia Henryka. W rzeczywistości naśladował tylko Falstaffa. Na skoczną nutę, podaną z wysokości tronu, obracało się w szalonym wirze całe „towarzystwo“ angielskie, upojone w dodatku świeżym ogromnym tryumfem nad zwałoną napoleońską potęgą. Do tego świata, do tego kamertonu, umiała dopasować się doskonale pani Lieven. Nieładna, — ile sądzić można z portretu, jak również z kompetentnego zdania Chateaubrianda, — o rysach popoptylitych, lecz nader rozumnym wyrazie oczu, zęcznie

ukrywała brak właściwego wdzięku i wykształcenia pod wielką swobodą towarzyską. Przyswoiła sobie pewną bezwzględną nonszalancję wielkopańską, do której zapewne dość mało miała tytułu nieznana szlachcianka nadbałtycka; akcentowała z rozmyślną przesadą pewien nieprzejednany radykalizm legitymistyczny, do którego napewno najmniej miała prawa powinowata Pahlenów i kompanii. Umiała, jednym słowem, imponować w tym świecie, gdzie może najłatwiej imponować — *toupetem*. Wkrótce w najlepszym towarzystwie angielskiem zdobyła sobie stanowisko wybitne, jeśli nie wyjątkowe. Budziła zainteresowanie owem szczególnem *haut-goût* z dalekiego Wschodu, jakie częstokroć w pewnych sferach na Zachodzie tak przypada do smaku. Nie będziemy wdawali się w wyłuszczenie wielolicznych jej laurów towarzyskich, ani w specyfikację długiej listy jej ówczesnych poufałych przyjaciół, gdzie znajdował się podobno sam książę regent, lord Willoughby, lord Gower, późniejszy ks. Sutherland, ks. Palmella, i wielu innych, — tembardziej że podobno w tem wszystkiem miało jedynie szukać zapomnienia zranione serce, które należało podobno naprawdę — niktby nie zgadł, — ani mniej, ani więcej tylko do ekscelencji Metternicha. Wszakże niezawisłe od tamtych szczegółów i od tej legendy, tyle można stwierdzić z wszelką pewnością, że czuła a roztropna z niemiecka kobieta stanu nie zapominała nigdy, sławnym wzorem, łączyć wybryków sentymentu z wymaganiami polityki praktycznej.

Powszechna polityka europejska, po doszczętnem już obaleniu napoleońskiego kolosu, niedługo utrzymała się w stanie sztucznej równowagi i spokoju. Po upadku i usunięciu Napoleona, spojrzali sobie wprost w oczy Anglia i Rosya. Było to jakby opadnięcie i odsunięcie zasłony. Nowożytna rywalizacja anglo-rosyjska, istniejąca już oddawna w postaci utajonej, przyszła naraz do zupełnej samowiedzy. Owóż, niezmiernie musiało na tem zależeć, ażeby ten proces uświadomienia możliwie złagodzić, opóźnić, powstrzymać. Zależało zwłaszcza, odkąd wielkie powstanie greckie obnażyło nanowo odwieczną, nigdy dobrze niezamkniętą ani zgojoną ranę sprawy wschodniej. Gdyż na tym to mianowicie terenie wschodnim musiały uderzyć o siebie najmocniej dążenia wytyczne dyplomacy rosyjskiej i angielskiej, tutaj właśnie interesowane najsilniej, a biegunowo sobie przeciwne. Śród takich warunków ambasada londyńska była oczywiście nadzwyczaj ważnym posterunkiem w rozpoczętej kampanii dyplomatycznej. Ten posterunek, jak się okazało, był w dobrym i sprawnym ręku, i to właśnie nie w oficjalnym ambasadora, ale w niewieścim, nieurzędowym ręku ambasadorowej. Pani Lieven sama później opowiadała Guizotowi o początkach swojej dzielnej służby w tej ciężkiej kampanii, o znamiennych słowach, wyrzeczonych do niej przez cesarza Aleksandra: „*Madame, il me faut une Grèce*”. Trzeba przyznać, że zrobiła ona wszystko, co było w jej mocy, a nawet dużo więcej, dla ziszczenia tak doniosłego i trudnego dezyderatu.

Ale niedość było stworzyć Grecyę. Trzeba było koniecznie zapobiedz, ażeby ta Grecya nie popadła pod wyłączne wpływy zachodnie, a przedewszystkiem pod wpływy angielskie. Trzeba było nasamprzód przeszkodzić solidarnemu skupieniu się Zachodu w tej sprawie, a następnie zosobna pociągnąć ku sobie rozstrzelone mocarstwa zachodnie. Zadanie nie było łatwe, ale było wykonalne. Wprawdzie przed kilku laty, na Kongresie wiedeńskim, staraniem Talleyranda a przy pomocy to-rysowskiej, dokonało się chwilowe zbliżenie między Anglią a Francją, zwrócone pośrednio przeciw Prusom i Rosyi. Ale donkiszoterya legitymistyczna, jaka odtąd zapanowała w Paryżu, znacznie wpłynęła na ochłodzenie tego stosunku, tembardziej, że równocześnie mocniły się w Londynie postępowe poglądy wigowskie. Zresztą ciągle tliło pod spodem starodawne współzawodnictwo anglo-francuskie, niezgaszone wszak bynajmniej świeżą krwią, przelaną pod Waterloo, a zaognione najświeższym zatargiem interesów obustronnych w Hiszpanii i Portugalii. Lieven, z dworu berlińskiego przeniesiony do Anglii, miał sobie oczywiście za główne zadanie przywrócić tutaj, z rozlicznej strony, dawniejsze, przedkongresowe stosunki koalicyjne, a więc zapobiedz bezpośredniemu skoncentrowaniu się Anglii z Francją, dążąc natomiast do sprowadzenia jednej i drugiej do porozumienia się wprost z Rosyą w wielkich sprawach europejskich, a nadewszystko, jak narażenie, w sprawie wschodniej. Podwójnie też znaczącem było w tym czasie ze strony francuskiej wyprawienie

w te same tropy Chateaubrianda, podobnież odwołanego z poselstwa w Berlinie do ambasady londyńskiej. Antagonizm między obydwojema ambasadorami z powodu wspólnego ich pożycia nad Tamizą uwydatnił się w bardzo drastyczny sposób i tłómaczy poniekąd niepoehlebne, choć dosyć podobne rysy portretu, jakie znajdujemy w „Pamiętnikach Zagrobowych“, nakreślone ostrem piórem mściwego poety. „Pani Lieven, — pisze Chateaubriand — o twarzy śpiczastej i niemiłej, jest to kobieta nużąca, bezpłodna, pospolita. Przypisywano jej dowcip, ponieważ nie znajdowano go u jej męża... Posiada ona tylko jeden rodzaj konwersacji: politykę wulgarną, zresztą nic nie wie o niczem... Swoją nicość umysłową ubiera w jakiś wyższy ton udanego znudzenia, jak gdyby jej wolno było nudzić się... Utrzymuje korespondencje potajemne i wydaje się być bardzo mocną na punkcie chybionych małżeństw“. Ta ostatnia strzała odnosiła się do rozlicznych wielkosiążących projektów matrymonialnych, bądź to z dworem anglo-lanowerskim, bądź też z bourbońskim, między innymi nawet z samym księciem Berry, następcą tronu francuskiego, które przez długi czas zajmowały bardzo panią Lieven, a nie powiodły się jej w zupełności. Z tem wszystkim, nie ulega żadnej wątpliwości, że powyższy lekceważący wyrok Chateaubrianda, jeżeli nawet trafnie odmalował kobietę, to przecież całkowicie niedocenił dyplomatkę.

W rzeczy samej, dyplomatką najpierwszego rzędu miała objawić się pani Lieven w Londynie we wszyst-

kich perypetyach swojej działalności tamecznej, zaś szczególnie w kapitalnej sprawie greckiej. Miała nie tylko zamatować ze wszelką łatwością tego rodzaju dyletantów, jak Chateaubriand, co ostatecznie nie było rzeczą trudną, gdyż tego rodzaju mężowie stanu z przypadku, a poeci z zawodu, zazwyczaj nie umieją sobie dobrze radzić na szachownicy politycznej. Ale miała nadto swoim kobiecym sprytem pomieszać i pobić grę wytrawnych i znakomitych ministrów angielskich i to tak arcydowcipnie i arcymisternie, że ci rzekomi mistrze, ciągle czyniąc inspirowane przez nią posunięcia i ciągle pewni swojej wygranej, dopiero wtedy odkrywali swoją własną haniebną fuszerkę, kiedy nie pozostawało już nic innego, jak poddać się. „Pani Lieven — powiada jej niewczesny wielbiciel, Guizot, najwidoczniej nie zdając sobie wcale sprawy z moralno-politycznej strony tych osobliwych jej sukcesów w cudzym kraju, które on z takim prostodusznym admiruje respektem, — wzięła się do rzeczy bez hałasu. Jej to wpływy, używane z równą energią jak i sprytem, bądź pośród artystokracji angielskiej, bądź też wprost u naczelnich mężów stanu londyńskich, nie były obce tym kombinacjom ministeryalnym, które przyczyniły się wtedy do zupełnej odmiany, na rzecz Greków, dotychczasowej, bardzo tureckiej, polityki gabinetu angielskiego“. Już w czysto torysowskiem ministerium lorda Liverpoola potrafiła pani Lieven wyróżnić i wyłowić jedynego człowieka przyszłości, biednego Canninga. Odtąd nie wypuściła go z ręki. Kiedy zaś, po samo-

bójstwie ministra spraw zagranicznych, Castlereagha, Canning sam stanął na czele rządów, potrafiła mądra ambasadorowa prowadzić go aż do końca na pasku własnych jego szlachetnych lecz krótkowidzących porywów i od wypadku do wypadku chwycić go na wędkę pięknie brzmiących lecz fikcyjnych haseł wolności i niepodległości greckiej. Póki żył cesarz Aleksander I, pograżony pod koniec panowania coraz głębiej w ponurę, biernej rezygnacji, niechętnę dla wszelkiej śmielszej akcji zaczepnej i wojennej, póty nie było jeszcze sposobu wyzyskać należyte korzystnego położenia i świetnych szans, nadarzonych na Wschodzie. Lecz po wstąpieniu na tron Mikołaja I wybiła nareszcie godzina zebrania żniwa z pracowitego posiewu. Niepomąłu w tym posiewie była uczestniczyła ręka ambasady londyńskiej. Stąd to niejedno rzucone ziarno było weszło bujnym plonem na klasycznej, użyźnionej potokami krwi, ziemi Hellady. Stąd też wyszła teraz ostatnia sankcja dojrzewającego już dzieła. Dał Canning zgodę na protokół petersburski 1826 roku w sprawie greckiej, zdążył jeszcze dać zgodę na protokół londyński 1827 r.; na szczęście dla siebie w sam raz nie dożył pierwszego wnet, najbliższego owocu tych aktów: rzezi nawaryńskiej. Na obu protokółach położył zasłużenie swój podpis Lieven, — choć właściwie jeszcze zasłużeniej winna była swój położyć pani Lieven. Gdyż, w rzeczy samej, jej w tem wszystkim główna była zasługa. Tak dalece, że nawet urzędową korespondencję poselską w tym czasie naprawdę prowadziła ona sama: sama

redagowała depesze do ministra spraw zagranicznych, hr. Nesselrodego, zaś mężowi dawała już tylko do przepisania i podpisania. Czemuż Canning nie mógł czytać tych depesz? Byłby w nich znalazł dosyć rzeczy takich, które byłyby niewątpliwie napełniły go gorzkim rozczarowaniem, lecz może byłyby także otworzyły mu oczy na przyjaźń przyjaciółki. „Próżność p. Canninga — pisał Lieven, a raczej Lievenowa do Nesselrodego — czuje się nieskończenie pochlebioną na widok deferencyi, z jaką przyjmujemy jego zamiary. Jest on nader wrażliwy na zaufanie, jakie staram się mu okazywać... Nie waham się wziąć na siebie gwarancyi osobistej za szczerść jego postanowienia, ażeby razem z nami spółdzielał ostatecznemu ziszczeniu naszych zamysłów w sprawie greckiej“.

Ale nie stało Canninga. Rządy w Anglii objął znów wojowniczy gabinet czysto torysowski starego Wellingtona. Wojowniczość i toryzm tego gabinetu były w najwyższym stopniu nie na rękę w ówczesnej właśnie krytycznej dobie. Była to właśnie doba nowej wielkiej wojny tureckiej. Ta wojna była koniecznym, bezpośrednim wynikiem tamtych protokółów. Ale wzięła ona w pierwszej chwili obrót całkiem niespodziany, a nader niefortunny. Skutki stąd mogły być fatalne. Europa mogła pomyśleć o wrogiem wyzyskaniu nieprzewidzianych kłopotów Rosyi na półwyspie bałkańskim. Pomyślała o tem istotnie Austria. Kanclerz wiedeński, ks. Metternich, ten sam, który tak boleśnie zranił serce pani Lieven, zamierzył się do zadania dużo

boleśniejszego ciosu reprezentowanej przez nią polityce. Zwrócił się on jak najpoufniej do ks. Wellingtona z propozycją wspólnej interwencji w zatargu wschodnim i wojnie rosyjsko-tureckiej. Ks. Wellington wnet zapalił się do tego projektu austriackiego i osobiście, ciągle w najściślejszej tajemnicy, zajął się ułożeniem szczegółów wspólnej akcji, z imienia medyatorskiej, zaś naprawdę mającej potężnie wesprzeć zagrożoną Portę Otomańską i nadługo położyć tamę postępowi Rosji na Wschodzie. Łatwo zrozumieć, jak fatalne skutki mogło pociągnąć za sobą takie wystąpienie w chwili, kiedy armie rosyjskie tkwiły uwięzione w ciężkiem, prawie rozpaczliwym położeniu pod Szumłą i Warną. Na szczęście udało się w samą porę zapobiedz niebezpiecznym austro-angielskim knowaniom. I znowuż nie mała, jeśli nie główna okazała się w tem zasługa wszechobecnej i wszechwiedzącej pani Lieven. Ona już zdążyła opłakać przedwczesną śmierć Canninga. Już zdążyła zawrzeć nową, jeszcze idealniejszą przyjaźń z żywym lordem Greyem. Minister przyjaciel umarł, — tak widocznie rozumowała bystra pani, — niechaj żyje przyjaciel minister. Co więcej, jej nowa korespondencya przyjacielska z Greyem, zaraz na samym wstępie, w parę tygodni zaledwo po zgonie Canninga, mieściła takie niespodziane wynurzenie nekrologowe, że nieboszczyk w gruncie rzeczy był przecie tylko „awanturnikiem politycznym“. To też poważny lord Grey natychmiast postarał się udowodnić na swój sposób, że on żadną miarą nie powinien być podejrzewany o „awanturnic-

two“. Dał pod tym względem natychmiast nader oryginalną rękojmię. A mianowicie, poprostu, w najpoufniejszym piśmie do pani Lieven, odkrył jej najszczegółowiej sekretne zamysły interwencyjne Wellingtona i jego konszachty z Metternichem. To odkrycie, rzecz prosta, było wagi nieoszacowanej. Z najczulszem wyłaniem podziękowała pani Lieven angielskiemu mężowi stanu za to usłużne odsłonięcie planów angielskiego rządu. Obsypała go pochwałami, uznała „wielkim statystą, stworzonym na to, aby samemu rozkazywać i rządzić“, a nie na to, aby przyglądać się zbrodniczym rządóm Wellingtonowym, zachęcała do obalenia gabinetu torysów, do sięgnięcia własną ręką po władzę. Istotnie, ten cel upragniony niebawem został dopięty. Wellington upadł, wigowie objęli rządy. Trudno dzisiaj dać pojęcie o tych gorących sympatyach, jakie w owych czasach potrafiła wzbudzić ambasadorowa w sercach wigowskich dla polityki wschodniej cesarza Mikołaja I. Lady Aberdeen, małżonka ówczesnego ministra spraw zagranicznych, w listopadzie 1828 roku, zapraszając do siebie na wieczór lorda Johna Russella, młodą wtedy, wschodzącą gwiazdę wigowską, pisała mu nie bez złośliwości: „jeśli pan przyjdzie, będziesz miał sposobność powinszować pani Lieven wzięcia Warny, z czego zapewne niemniej od niej się cieszysz, — choć nie wiem doprawdy dlaczego?“ Odtąd znikły wszelkie obawy, spokojnie odbyła się druga kampania turecka, spokojnie dotarły armie zwycięskie aż niemal pod same mury Stambułu, spokojnie w obozie Dybicza Zabałkań-

skiego podpisane zostały artykuły adryanopolskiego pokoju. Spokojnie też pani Lieven mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Latem 1830 r. zjechała na sejm do Warszawy, brała udział w uroczystościach tutejszych, i pełne rozmyślnego optymizmu listy posyłała z nad Wisły do Greya, którego nawet zdaleka utrzymywała w powinienem posłuszeństwie zapomocą częstej, nieprzerwanej epistolarnej sugestyi.

Spokój i wypoczynek przerwała jednak nagle najprzód rewolucya lipcowa w Paryżu, potem rewolucya listopadowa w Warszawie. W te pędy na swoim posterunku londyńskim znalazła się czujna pani Lieven. Zdawało się jej, w pierwszej chwili, nazajutrz po wypadkach paryskich, że nadszedł czas dla nowych wielkich przedsięwzięć. Marzyła o nowym przymierzu świętem przeciw niepoprawnej burzyielskiej Francyi, o nowej powszechnej wyprawie krzyżowej w imię zdeptanych nad Sekwaną nietykalnych zasad legitymizmu. W tym samym czasie hr. Grey, jako pierwszy lord skarbu, stanął na czele ministerium wigowskiego, podejmującego arcydoniosłą sprawę reformy parlamentarnej na wielką skalę. Oczywiście, w takich okolicznościach, częściej musiała pisywać przyjaciółka do premiera, niż dawniej do członka parlamentu. Grey ze swojej strony, pomimo nawału zajęć, starannie utrzymywał z nią korespondencyę. Dostyc wprawdzie luk, zaznaczonych tylko kropkami, poczynił tutaj dyskretny wydawca dzisiejszy. Ale dostyc zostawił, i to, co zostało, starczy zupełnie dla oświecenia uważnego czy-

telnika. Nadzwyczajny to widok: premier wigowski, który silne swoje stanowisko w najważniejszych sprawach polityki wewnętrznej zawdzięczał przedewszystkiem wypadkom francuskim i nieodpartemu ich oddziaływaniu na opinię publiczną angielską, jednocześnie w swojej polityce zagranicznej, całkiem ulegając obcym wpływom kobiety, uczynił się, wbrew logice i zasadom własnego stronnictwa, zaciętym Francyi nieprzyjacielem. Argumentem głównym, jakim bojowała tutaj zręczna dyplomatką, było ustawiczne niecenie obaw angielskich o Belgię, dokąd wnet, pierwszym zaraz odruchem, była sięgnęła, paryska fala rewolucyjna. Straszono Anglię usadowieniem się Francyi rewolucyjnej w Brukselli, tak samo w 1830 r., jak niegdy straszono w 1793. Jednak przerachowała się pani Lieven, jeśli zaudało na swego Greya liczyła; nie wzięła w rachubę opinii publicznej angielskiej, całkiem odmiennie usposobionej teraz, niż przed czterdziestu laty. Talleyrand, wysłany przez Ludwika-Filipa w tym samym czasie do Londynu, a pamiętający jeszcze, jak go przed czterdziestu laty z taką samą misją pokojową był wyprawili do Londynu Danton, lepiej tę różnicę uchwycił. Ciche jego odtąd nad Tamizą walki z panią Lieven, których ślad występuje wyraźnie w częstych jej skargach do Greya, skończyły się zupełnem zwycięstwem wytrawnego dyplomaty nad kobiecą intrygą. Niestety, praktyczny Talleyrand miał tylko swoją Francję na widoku, o resztę świata nie dbał wcale. To też w pozostałej

swej robocie owoczesnej miała pani Lieven ręce rozwiązane.

Otóż, owa pozostała robota uboczna stała się dla niej niebawem najpierwszą, a naprawdę jedynie interesującą, i to tak dalece, że pierwotna główna akcja w rzeczach francuskich była odtąd używana wyłącznie jako środek pomocniczy dla późniejszej, nierównie żywotniejszej akcji w rzeczach polskich. Odtąd przedewszystkiem zależało na tem, ażeby uwagę Anglii tembardziej obracać ku Brukselli, im więcej wypadało odwracać ją od Warszawy. W stopniu, jeszcze nieskończenie wyższym, niż niedawno, czasu wojny tureckiej, musiało obecnie, czasu polskiej, na tem zależeć, ażeby Wielka Brytania nie dała wytrącić się z przyzwoitej bierności postronnego widza. I tym razem cel został w zupełności dopięty, daleko nawet łatwiej i skuteczniej, niż w poprzedniej wschodniej potrzebie. Premier Grey wołał interesować się bliższymi sprawami francuskimi i belgijskimi. Zresztą, był pochłonięty najbliższą domową sprawą reformy wyborczej, która w owej chwili leżała głównie na sercu przewodnikowi wigów. Przeparcie wewnątrz bilu reformy, żadne „awantury“ na zewnątrz, pokój za wszelką cenę: takie były hasła kierownicze jego ministerium. Umacniała go w nich najgoręcej pani Lieven. Unosiła się nad pięknosciami liberalnego bilu. Wykazywała niezbędną złamaną zacofanej przeciw niemu opozycji torysowskiej, i to natychmiast, i to przed wszystkiem innem na świecie. Objawiała się bardziej postępową od lewicy parlamentu

angielskiego, bardziej wigowską od wodza wigów. Skutek odpowiedział oczekiwaniom. Lord Grey zachował się ze skromnością wzorową. Jego poseł w Petersburgu, lord Heytesbury, skromnie zamykał oczy i zatykał uszy na przebieg wypadków wojennych nad Wisłą. Wysłany do Londynu młody jeszcze wtedy i niedoświadczony Aleksander margrabia Wielopolski spotykał się w sferach rządowych angielskich z lodowatą obojętnością. Odmówiono ustanowienia zacnego Ewansa konsulem angielskim w Warszawie. Odmówiono najsłabszego bodaj objawu oficjalnej życzliwości. Po wyjeździe z Londynu Wielopolskiego, zastąpił go tutaj młodziutki Aleksander Walewski, jak wiadomo, syn naturalny Napoleona I i pięknej pani Walewskiej, lecz niestety z twarzy tylko, nie z talentów do ojca podobny. Walewski okazał nad Tamizą większą ruchliwość od Wielopolskiego, lecz ze skutkiem jednakowo ujemnym. Każdy jego krok był bacznie strzeżony i natychmiast paraliżowany przez czujną panią Lieven. Ministrem spraw zagranicznych w ówczesnym gabinecie Greya był początkujący wtedy lord Palmerston. Za pośrednictwem serdecznej swojej przyjaciółki, lady Cowper, późniejszej małżonki Palmerstona, jego również pod swoje wpływy bezpośrednie umiała ściągnąć pani ambasadorowa. Palmerston, przyjmując na audyencji Walewskiego, oświadczył mu bez ogródek: „W tej chwili nie Rosyi, lecz Francyi się lękamy; co więcej, potrzebujemy nawet, aby Rosya mocną była, dla użycia, jej w razie potrzeby przeciw Francyi... Gabinet francu-

ski — w interesie Belgii — oddycha tylko myślą powiększenia granic, duchem podbojów, i dlatego nasze usiłowania nie mogą być inne, jak położyć tamę tym dążeniom i widokom*. Walewski spróbował uderzyć do samego Greya. Zgłosił się do niego z dwoma pismami od ks. Adama Czartoryskiego, gdzie książę apelował wymownie do dawnej swojej przyjaźni osobistej z teraźniejszym premierem, odwoływał się do jego serca i sumienia. Apel zgoła pozostał bez echa. „Nie mogę być kontent — donosił zasmucony Walewski do Warszawy — z rozmowy lorda Greya. Długi wstęp do niej uczynił, oświadczył, że przyjmuje mnie tylko jako osobę prywatną, i zarazem dodał, że prosi, abym oświadczył księciu, że listy od niego, jako od osoby prywatnej uważa i że w pozycji, w jakiej się znajduje, wprawdzie z wielką boleścią dla siebie, odpowiedzieć na nie nie może... Trzymał się w wielkiej rezerwie i nakoniec oświadczył, że — przejrzy jeszcze raz starannie akty Kongresu wiedeńskiego“. Ze swojej strony, jak możemy się obecnie przekonać z Korespondencji niniejszej, Grey natychmiast pośpieszył z przykładową pokorą zdać sprawę pani Lieven z odprawy danej Walewskiemu. Aliści przy tej sposobności ośmielił się, w formie najdyskretniejszej, odezwać się do niej z radą pokojową. Tego nawet drobnego zapomnienia nie przepuściła mu wymagająca przyjaciółka i zaraz w swojej odpowiedzi, zamiast dziękować, ostro głowę mu zmywa: „Proszę Cię, kochany lordzie, nie powtarzaj nikomu, coś mi pisał ostatnio, gdyż cały świat nie jest tak łaskawego

usposobienia, jak ja“. Gorzej jeszcze dostaje mu się w marcu 1831 r., z powodu paru słów nieostrożnych, które jakoby wyrwały mu się publicznie pod wrażeniem nadeszłych wiadomości wojennych: „wszystko tam skończone, niestety“, — a on zaraz z pokorą wzorową zaklina się na wszystkie świętości, że tych słów grzesznych nie wyrzekł, że go spotwarzono. W tym samym czasie pani Lieven, nie bardzo zdając sobie sprawy z tego, że znajdowała się w Anglii, — bardzo zrozumiała zresztą dystrakcja ze strony korespondentki Greya — domaga się od niego, między innemi, aby zakazał drukowania pewnych, nie będących jej na rękę artykułów politycznych w „Kuryerze“ londyńskim. Znakomity wig podziela to oburzenie, lecz tłómaczy jej żałośnie: „nie mamy żadnej władzy nad tem pismem; kiedy istnieje silny prąd społeczny w pewnym kierunku, jak w danym razie, wszelka kontrola staje się niepodobieństwem. Możemy przekupić pismo mało poczytne, lecz niewielki byłby stąd zysk, zaś dochody pism tu-tejszych, bardziej wziętych, są tak znaczne, że niema sposobu ich kusić“. Sam Grey zresztą niebawem doświadczył na sobie niemiłych skutków swobody słowa drukowanego. W kwietniu 1831 r. ogłosiło *Morning Chronicle* list jego wystosowany ongi, w lipcu 1814 r., do Naczelnika, pełen nieopatrznych serdecznych sympatyj. „Bądź pewien — tak przed kilkunastu zaledwo laty wynurzał się ten sam Grey w owym kompromitującym liście, teraz, jak na złość wydobytych z zapomnienia, — że los Twego kraju nikogo silniej dotykać ode

mnie nie może. Przygody tego mężnego a nieszczęśliwego narodu, jego stateczność i cnoty, których wzór znakomity widzimy w Twojej osobie, muszą wzbudzać ku sobie pociąg serc, przenikniętych sprawiedliwością i ludzkością... Te uczucia są zbyt głęboko w duszy mojej wyryte; chciej ufać, iż nie zaniedbam żadnej sposobności do wynurzenia ich jawnie, gdziekolwiek tylko osądzę, że będą mogły być skuteczne". Trzeba było zaiste karygodnej niedyskrecyi, ażeby te stare grzechy teraz przypominać premierowi i wywlekać je na trybunę publiczną. Z widocznem też zakłopotaniem piorunuje nieborak Grey na taką niedyskrecyę w skruszonym piśmie do pani Lieven. Za nadejściem ciężkiego lata t. r. biedny lord w coraz cięższych znajduje się kłopotach. W sierpniu „zmuszony“ przyjąć u siebie Niemcewicza; odbiera zaraz okrutną burę od swojej przyjaciółki i tłumaczy się ze skrucą, że Niemcewicz nie jest znów tak niebezpieczny, że jest to siedmiesięcioletni, schorowany i sterany starzec, że jest to znajomość jeszcze z przed lat czterdziestu, kiedy bawił w domu szlachetnego lorda jako adjutant Kościuszki, że zatem nie można było tak bez ceremonii odpędzić ode drzwi tego niemiłego gościa. To były zapewne okoliczności łagodzące. Zresztą, tymczasem na głównym terenie wszystko się skończyło. „Nareszcie — pisała pani Lieven do premiera angielskiego, donosząc mu o wzięciu Warszawy, — jestem spokojna o Polskę i mogę całkowicie oddać się tutejszym sprawom parlamentarnym". Ale i teraz jeszcze, z czujną swoją wrażli-

wością, nie myślała przepuścić przyjacielowi żadnych niewłaściwych wybryków, chociażby tylko sentymentalnych i towarzyskich. Tymczasem Grey, zimą t. r., tak dalece znów się zapomniał, że — zaprosił do siebie na obiad ks. Adama Czartoryskiego. Tutaj już straciła cierpliwość pani Lieven i posłała swemu lordowi tak pieprzną epistolę, jakiej chyba żaden premier angielski nie otrzymał od nikogo w podobnych warunkach. „Zapominasz, — pisała dosłownie — że przyjmujesz u siebie zbrodniarza". Było to jednak trochę za dużo nawet jak na Greya. Zbudził się w nim nareszcie, nie minister wprawdzie, lecz przynajmniej *gentleman*. „Nie wydaje mi się stosowniem — odpowiedział na daną sobie reprimendę, — abyś mi Pani komunikowała podobne oświadczenia, ani też, abym ja je odbierał. Sądję, że jest to pierwszy wypadek, żeby członek rządu miał sobie kwestyonowane przez obce poselstwo, kogo mu wolno prosić do siebie na obiad". Pani Lieven zrozumiała, że tym razem przeciągnęła strunę. Nie nalegała więcej i przeszła nad tym incydensem do porządku dziennego. Zresztą, wszak były to drobnostki. Zadanie główne zostało rozwiązane sposobem całkiem zadawalającym: niepożądana interwencya Zachodu została skutecznie zażegnana.

Niedługo już jednak wypadło cieszyć się pani Lieven użyteczną służbą ministeryalną angielskiego statysty. Grey już od początku 1834 r. czuł się zachwianym; niezadługo, jeszcze w ciągu tegoż roku, skutkiem burzliwych rozpraw irlandzkich, ustąpić musiał Mel-

bournowi. Właściwie niefortunny premier poprostu przez własnych ministrów wigowskich usunięty został z gabinetu. Prawie jednocześnie Lievenowie zmuszeni zostali do opuszczenia Londynu. Ta ostatnia sprawa nie znajduje wyjaśnienia w Korespondencji niniejszej i przedstawia się dość zagadkowo. Tyle pewna, że głównym winowajcą był nikt inny, jak lord Palmerston. Zatrwożony niebezpiecznym obrotem rzeczy wschodnich po pokoju adryanopolskim, zatrwożony w szczególności protektorską przyjaźnią Rosyi dla Porty Otomańskiej, w swych skutkach wprost nieobliczalną, angielski minister spraw zagranicznych nagle całkiem odmienił dotychczasowy, często bierny kierunek swojej polityki. Równocześnie, pomimo gorącego wstawienictwa Nesselrodego, odwołał z Petersburga miękkiego Heytesburego, który cieszył się tam zasłużonem uznaniem, i na jego miejsce przeznaczył twardego Stratforda-Canninga, który z dotychczasowej swojej energicznej działalności w Stambule był jak najgorzej zapisany nad Nową. Pani Lieven postanowiła nie dopuścić do tego żadną miarą. Puściła w grę wszystkie najmocniejsze swoje sposoby. „Pamiętniki“ Grevilla, to niewyczerpane źródło wiadomości zakulisowych do dziejów panowania Wilhelma IV i Wiktoryi, zawiera kilka kapitalnych szczegółów o tym śpiewie łabędzim tej niebywałej dyplomatkii nad Tamizą. Wpadła ona osobiście do Palmerstona, zaczęła piorunować, nawet wygrażać się, chciała wziąć go „z góry“. Ale *old Pam*, jak nazywają go Anglicy, nie był wcale Greyem. Oświadczył z flegmą,

że jego postem w Petersburgu „nie będzie nikt inny, tylko mr. Stratford“, a na dalsze wybuchy swojej namiętnej interlokutorki zrobił uwagę, że nie ma czasu. Zaś nazajutrz ogłosił w urzędowej *London Gazette* nominację Stratforda na ambasadę petersburską. Jeszcze nie dała za wygraną zacięta przeciwniczka. Tyle wyrobiła w Petersburgu, że stamtąd — wypadek niezmiernie rzadki w nowoczesnej praktyce dyplomatycznej — oficjalnie odmówiono przyjęcia Stratforda. Nie wątpiła, że tym ciosem albo ugnie Palmerstona i zmusi do ustępstwa, albo też skompromituje go i narazi na stratę teki ministeryalnej. Ale Palmerston uparł się i utrzymał. Poprostu zostawił nieobsadzoną ambasadę petersburską. To był znów najdotkliwszy z jego strony odwet, gdyż w ten sposób zmuszał do odwołania z Londynu Lievena. „Lievenowie się wynoszą, — pisał Palmerston z suchym swoim humorem do Williama Templu — nie wiem, czy ich wyjazd będzie wielką stratą. Podejrzynam, że oboje, mąż i żona, daliby sobie obciąć czworo swoich uszu, byle tylko tutaj pozostać“. Co jednak w tem wszystkim najciekawsza, to ta okoliczność, jakim właściwie szczególniejszym sposobem Palmerston, dotychczas adjutant Greya i razem z nim jeden z wiernych przyjaciół wigowskich pani Lieven, został nagle tak z gruntu do niej rozzarowany i zarazem tak gruntownie wyleczony z niewzruszonego dla niej zaufania? Owóż, okazuje się, że otworzyły mu oczy niektóre argumenty najniespodzianejsze a najniezbitsze, bo czarno na białem, mianowicie niektóre nader niezwykle

dokumenty, nader niezwykłą drogą przychodzące z za kulis i wydobyte na pełne światło dzienne. W kancelarii dyplomatycznej w Pałacu Brylowskim w Warszawie znalazły się urzędowe kopie depeesz londyńskich Lievena, t. j. pani Lievenowej, posyłanych do Nesselrodego w ciągu lat ostatnich. Parę bardziej „pikantnych” wzorków, jak się zdaje, przywiózł ks. Czartoryski ze sobą do Londynu. Niebawem ukazały się one nawet w druku w słynnym „*Portfolio*”, w Londynie, Paryżu i Hamburgu, wydawanem przez dzielnego Dawida Urquharta, lecz z natchnienia i staraniem księcia. Tutaj to, w tej samej stylizacji damskiej, w jakiej były pisywane listy, odbierane przez Canninga i Greya z gmachu poselstwa, tylko tym razem w nieco szerszej i wiarogodniejszej wersji, mógł wyczytać Palmerston istotne dążności pani Lieven i istotne jej zapatrywania na „próżność” i krótkowidztwo wielkich statystów angielskich. „Przekonałem się zbyt dokładnie,— pisał z gorzkiem rozczarowaniem lord Palmerston — jaką korzyść moim przyjaciółom przyniosły rady pani Lieven, ażebym miał odtąd z tych rad czynić jakikolwiek bądź użytek. Należy robić to właśnie, czego nie mówi ta pani, i iść w tym właśnie kierunku, którego ona nie zaleca”. Trzeba przyznać, że sens moralny, acz zapewne nieco późno, przynajmniej z całą pożądaną precyzją sformułowany został przez wytrzeźwionego wielbiciela.

Wyparowana z Londynu, osiadła pani Lieven na stałe w Paryżu, skąd jeszcze przez szereg lat nie prze-

rywała korespondencji z wytrwale wiernym Greyem, zupełnie już przecie platonicznej, gdyż oboje pozbawieni byli swoich stanowisk wpływowych. Próbowwała wprawdzie ex-ambasadorowa przebłagać zaciętość Palmerstona, i już po swojej przymusowej eksmisji z Anglii zwróciła się listownie do jego żony, byłej lady Cowper, z prośbą o pośrednictwo; lecz odebrała od miłady bardzo suchą i bardzo wyraźną odpawę. Trzeba było pogodzić się z losem i pozostać w Paryżu. Zresztą pani Lieven, jakkolwiek przebywała w Paryżu w charakterze czysto prywatnym, nie wyrzekła się wszakże bynajmniej gorączkowej roboty politycznej, wykonywanej tylko odtąd w sposób daleko dyskretniejszy, lecz raczej przez to jeszcze bardziej interesujący. Dowiadujemy się mianowicie z nowych rewelacji badaczy rosyjskich, że posyłała ona stale z Paryża tajne własnoręczne raporty polityczne na ręce rodzonego swego brata, którym był nie kto inny, jeno Aleksander Benckendorf, słynny szef korpusu żandarmów w dobie cesarza Mikołaja I. Owóż czynność ta wymagała koniecznie ciągłej bezpośredniej styczności z życiem towarzyskiem i publicznym nad Sekwaną. Wymagała także znacznego materialnego nakładu. Wprawdzie pani Lieven tymczasem, po śmierci męża, została bez żadnych środków majątkowych. Ale potrafiła uzyskać, bez określonego zresztą tytułu, bardzo znaczną pensję roczną, dającą jej możność prowadzić w Paryżu dom na dużą stopę. Otworzyła też tutaj salon nader gościnny, gdzie przyjmowała towarzystwo liczne, choć dosyć

mieszane. Zamieszkała w tym celu w samym ognisku życia światowego, odnajęła wspaniałe apartamenty w antresoli hotelu Talleyranda, z którym zawarła była zgodę za pośrednictwem jego siostrzenicy, pięknej księżny Dino. Talleyrand był już bardzo stary, już dogorywał. Ale jeszcze miał dobre oczy. Francuszczyzna pani Lieven — mówił — jest wcale nienajgorsza; ale wolę jej mowę epistolarną, niż jej konwersację francuską; albowiem w rozmowie wypada ona z dobrego stylu, pograża się mimowoli w zbyt jednostajne zwroty interrogatywne, zasypuje pytaniami, ażeby zaspokoić swoją nienasyconą ciekawość“. Całkiem podobne, choć nieco prostoduszniejsze świadectwo przynosi dzisiaj ks. Broglie, który wtedy był jeszcze bardzo młody, dziś jest już także stary, ale który, jak się zdaje, nigdy nie był Talleyrandem. Wszyscy nasi dyplomaci ówcześni — opowiada autor „Sekretu Króla“, niedomyślający się widocznie po dziś dzień sekretu ex-ambasadorowej, — schodzili się w salonie pani Lieven; „przynosili jej to, co Saint-Simon nazywał zapachem kuchni politycznej, a bez czego ona nie umiała obejść się. Sam zauważyłem, że zaczęła mnie przyjmować daleko łaskawiej od chwili, odkąd miałem możliwość przynoszenia jej z ministerium spraw zagranicznych takich wiadomości, jakich nie mogłaby otrzymywać od nikogo innego“. Nie sądzimy, żeby książę miał zanadto powodu szczyć się takimi łaskami. Ale najciekawsze, najzupełniejsze i najzabawniejsze zwycięstwo święciła tutaj pani Lieven na innym, poważniejszym statystycie. Nie zaniechała ona

i tutaj, na bruku paryskim, bez względu na wiek dojrzały, uprawiania czułych stosunków z wybitnymi mężami stanu: zamieniła jeno szlachetnego lorda na plebejuszowskiego doktrynera. „Śmieszność — powiada Chateaubriand — oczekiwała w Paryżu panią Lieven. Surowy doktryner upadł do stóp Omfali. Amorze, ty gubisz Troję“. Herkulesem w tym wypadku był wielki Guizot. Trzeba poczytać u samego Guizota, jak on, z wielomównymi szczegółami, z naiwnem wzruszeniem opisuje owe pierwsze niezapomniane chwile, kiedy poznał swoją Omfalę i był przez nią ujarzmiony. Zostawszy niebawem prezesem ministrów, został naturalnie równocześnie stałym gościem jej salonów. Maniery wielkopańskie pięćdziesięcioletniej gospodyni olśniły uczonego historyka. Nie mógł on nigdy potem dość odżałować tego „salonu bezstronnego i eleganckiego“, a nigdy nie wątpił, że to jego piękna pretensjonalna dusza, nie zaś jego stanowisko urzędowe, otworzyła mu przystęp do tego cudownego przybytku i do serca królującej tu wróżki. Inaczej na to zapatrywali się inni spółcześni. „Kiedy, po upadku gabinetu Thiersa, Guizot objął ministerium spraw zagranicznych, wówczas pani Lieven — tak pisze niedyskretny jej wielbiciel, Greville, — więcej zbliżyła się do niego, i istotnie, przez całe trwanie jego rządów, stosunek między nimi nosił piętno najściślejszej zażyłości. Oczywiście było dla niej rzeczą niezmierniej wagi posiadać nieograniczone zaufanie ówczesnego kierownika francuskich spraw zagranicznych, który ją trzymał *au courant* wszystkiego, co się

działo w świecie politycznym... Każdą chwilę, wolną od zajęć w ministerium i izbach, poświęcał Guizot pani Lieven; przychodził zwykle do niej trzy razy dziennie". Wypadałoby dodać do tego jeden jeszcze szczegół, drobny zapewne, ale dość przykry. Wiadomo mianowicie skądinąd, że francuski mąż stanu nie odmawiał pobierania od przyjaciółki dość znacznych zasiłków pieniężnych. Wprawdzie działo się to podobno w formie najdelikatniejszej, wprawdzie były to podobno posagi dla jego córek. Zawszeć te trochę przykro. Guizot, surowy, katoński Guizot, akceptował zasiłki od politycznej przyjaciółki, o której nie mógł nie wiedzieć — i w tem właśnie sęk, w tem kłopot, — że nie posiadała sama żadnego absolutnie majątku. Po rewolucyi lutowej 1848 r. musiała pani Lieven z kolei uciekać z Paryża. Schroniła się razem z Guizotem napowrót do ukochanego Londynu, na plac pierwszych swoich tryumfów. Tutaj szczególniejsze wydarzyło się spotkanie: w Londynie zjawił się w tym samym czasie ks. Metternich, który znowuż przed rewolucją marcową t. r. musiał uciekać z Wiednia. Znalazła się podstarzała pani między tymi dwoma żalosnymi rozbitkami: jednym, który ongi zranił jej serce; drugim, który asystował jej obecnie. W ciekawym liście dała wyraz swoim sentymentom: „Metternich tutaj gada i łże bezustanku, przed bardzo szczupłym audytoryum. Guizota, przeciwnie, wszyscy chcą widzieć, on nikomu się nie narzuca". Wróciła jeszcze do Paryża po uciszeniu się burzy rewolucyjnej. Do samego końca nie przestawała „robić"

w polityce. Opiekowała się gorąco piękną panną Eugenią Montijo, pracowała zawzięcie nad jej małżeństwem z Napoleonem III. Nie zebrała jednak stąd pociechy, doczekała się jeszcze wojny krymskiej, ruiny wszystkich swoich robót londyńskich i paryskich. I znowu szczegół wcale zabawny. Życzyła sobie bardzo pani Lieven, aby podczas toczącej się wojny mogła pozostać w Paryżu. Zwróciła się też *sans gêne* z natarciwą prośbą wtym względzie do francuskiego ministra spraw zagranicznych. Tym ministrem był wtedy — w tem dowcip — Aleksander Walewski, ten sam, którego przed dwudziestu laty również *sans gêne* była wykurzyła z Londynu. Liczyła widocznie na jego cnotę ewangeliczną. Niestety, Walewski nie okazał się dość wyrozumiałym i udzielił kategorycznej odmowy. Dopiero po zawarciu pokoju mogła pani Lieven wrócić do Paryża. Niedługo już przyszło jej tutaj wegetować: zmarła w sędziwym wieku 1857 r.

Pani Lieven należy do liczby owych aktorów drugoplanowych, którzy, pomijani zazwyczaj przez historię, mają sobie w obsadzie politycznej wyznaczoną rolę podrzędną, niewidoczną, nieświeatną, lecz doniosłą dla głównego biegu samej akcji.

Literatura orleańska.

Leży przed nami książka miła i nauczająca *). Ujmuje już samym wyglądem zewnętrznym. Nie jest rzeczą zwyczajną, aby królewicze wydawali swoje pamiętniki w formie małej ósemki, wśród plebsu takich samych, żółto obleczonych tomików, kryjących prozę mieszczańską jakiego France'a albo Bazina. Jest zgola nadzwyczajną, aby królewicz wydziedziczony, prawie pretendent, swoje wspomnienia z lepszych czasów minionych, ofiarowane publiczności republikańskiej, kreślił w takim tonie swobodnym, lekkim, facecyjnym, okraszając je nadto własnej dostojnej ręki dowcipną akwarelą, lub drastycznym rysunkiem piórkowym. Tyle jowialności, tyle pogody, najprzód ujmuje, potem zbija z tropu czytelnika. Książka, pierwaj miła, staje się nauczającą, nieprzewidzianym przez autora sposobem, jako znak czasu. Czasów dzisiejszych było potrzeba, potrzeba radykalnych przewrotów dziejowych i duchowych, aby taki biblicik mógł ofiarować zamiast auto-

*) Prince de Joinville. „*Vieux souvenirs 1818—1848. Avec illustrations de l'auteur*”.

biografii człowiek w wieku podeszłym, w takiej sytuacji, z takim nazwiskiem. I tutaj mimowoli nasuwa się porównanie pomiędzy tem kruchem cackiem nowoczesnym, a jednym z najkosztowniejszych starych klejnotów francuskiej literatury pamiętnikarskiej, na którym położył to samo nazwisko inny pamiętnikarz Joinville. Lecz jakąż przepaść między tamtym towarzyszem wypraw Ludwika IX, prostym *sieurem* de Joinville z XIII wieku, ciężką od miecza ręką spisującym rzeczy, godne zapisania, rzeczy, które obchodzą Francję i świat, — a tym ogładzonym św. Ludwika potomkiem, starem *enfant terrible*, które opowiada dwuznaczne *bonmots* i rysuje dekolutowane do pięt Murzynki albo smaczne dziewczęta z Hawanny. Zaiste, gdyby nie uprzedzić o nazwisku autora i opuścić parę zwrotów, wprost wskazujących na syna Ludwika-Filipa, czytelnik długo by się nie domyślił, przerzucając te żartobliwe karty, że ma do czynienia z Orleanem, z odroślą Bourbonów i Walezyci. W tem jest znak czasu, w tem najciekawsza strona niniejszych Pamiętników, w tem ich specyficzna cecha, wyznaczająca im poniekąd osobny kącik nie tylko w literaturze francuskiej wogóle, lecz nawet w „orleańskiej“ w szczególności.

Gdyż w rzeczy samej, istnieje dzisiaj dosłownie taka mianowicie obszerna, najautentyczniejsza literatura orleańska. *Tout arrive*. I to dzisiaj się zdarza, że sukcesorowie św. Ludwika pisują grube, średnie i cienkie tomy, tomiki i broszury *pro domo sua*, a sukcesorowie p. Calmanna Lévy je wydają, po siedm i pół,

po trzy i pół i po jednym franku za egzemplarz. I co właśnie, co przedewszystkiem razi w tej literaturze „Domu Francyi“, to mianowicie ten jej natarczywy charakter *pro domo*. Zapewne, istnieje tutaj także jeden jedyny sympatyczny wyjątek. Taki wyjątek wyobrażał w swojej osobie starszy brat ks. Joinvilla, Orléans-akademik. Ale ks. Aumale pisywał inaczej, niż wszyscy jego krewniacy, na swój własny, poważniejszy sposób. Zaczął on przed wielu laty „Historię Kondeuszów“, a nikt chyba nie był bardziej do tego powołanym, jak on, legataryusz ostatniego, zwyrodniałego potomka rodziny Condé. Był to zarazem najpiękniejszy sposób wywdzięczenia się za legat i zatarcia skazy, jaką skandaliczny proces zostawił na legacie. Tym sposobem, bez pośpiechu, a bez dysonansu, powstało dzieło piękne i szacowne, písane przez historyka, który mógł wydać się jak gdyby uczestnikiem swoich historii, przez obywatela trzeciej Rzeczypospolitej, który wydawał się jak gdyby towarzyszem opisywanych przez siebie ludzi XVII wieku. Kiedy się słuchało tego uczzonego Aumala, prawiącego o „*Monsieur le Prince*“, o „*Monsieur le Cardinal*“, o wielkim Kondeuszu, o Mazarinim,—osobliwe, lecz całkiem szarmonizowane, nastrojowe wrażenie czyniła ta poufała powaga królewskiego pisarza, którego nazwisko nierozłącznie jest związane z wielkimi nazwiskami historycznymi Francyi. Ale takie wrażenie harmonijne tylko dlatego w tym wypadku rodziło się w czytelniku, że tutaj chodziło o historię całkiem przedawnioną, o dzieje nieodwołalnie minione, których

szanowną pozostałość oglądał w odbiciu w osobie pisarza, u którego też nie będzie szukał wyczerpującej erudycji, ani nawet obojętnej bezstronności zawodowego dziejopisa. Zgoła różne natomiast będzie wrażenie, całkiem odmienne wymagania, jeśli przyjdą na stół sprawy doby nowożytnej i bieżącej, gdzie o tradycji nie masz mowy, o aktualne i sporne zagadnienia społeczne, gdzie nie masz mowy o bezinteresowności. Tymczasem w tym to właściwie kierunku rzucili się hurmem wszelakiego rodzaju inni, mniej lub więcej piśmienni Orleanowie i orleańscy klienci. Tędy obrócił się sam najjaśniejszy bratanek książąt Aumala i Joinvilla, król *in partibus infidelium*, hr. Paryża. Stał on w pierwszym szeregu pod protekcyjnym znakiem złotych barw p. Calmanna Lévy. Pisywał obficie o Ameryce i Anglii. Rozwodził się szeroko o sprawie robotniczej i wolności stowarzyszeń. Zaś wszędzie do jednej i tej samej przychodził konkluzji: że należy mu co rychlej przywrócić po dziadku prawą koronę orleańską — t. j. koronę, przez dziadka zabraną przez naród. W tropy za hr. Paryża podążył cały zastęp Brogliech, Noaillów, Haussonvillów i tylu innych dziedzicznych dworaków niedoli orleańskiej. Ich przodkowie niegdyś na polach bitew, ze szpadą w rękę, śpieszyli przelewać krew za jego protoplastów. Oni w ślad za epigonem, uzbrojeni w stalówki, przelewają atrament na szpaltach *Revue des deux mondes*. Dość niepłodna, jak się zdaje, i nieciekawa robota, — która w każdym razie musi wydawać

się taką dla nas, śledzących ją zdaleka, *sine ira et studio*, a z dobrą pamięcią na własne nasze doświadczenia i własne porachunki.

W rzeczy samej, cokolwiekbądź o całej tej robocie mogliby sądzić bezpośrednio interesowani Francuzi, tyle przecie nie ulega wątpliwości, że w duszy dalekiego widza polskiego nie może ona budzić żadnego żywszego współczucia. Nie mamy powodu do żadnych, chociażby platonicznych, sympatii orleańskich. Mamy swoje retrospektywne rachunki z domem Ludwika-Filipa. Wyniesienie tego domu we Francji było głosem pogrzebowego dzwonu dla Królestwa Kongresowego. Dni lipcowe paryskie podały hasło dla nocy listopadowej warszawskiej. Sprytny Orleańczyk, zanim się opatrzone, potrafił skonfiskować na swoje dobro przewrót lipcowy. Czyliżby jednak potrafił utrzymać się przy eskamotowanej koronie? Napewno nie byłby utrzymał się bez ciężkiej walki z Europą. Już Dybicz Zabałkański w Berlinie układał ze sztabem pruskim plany nowej wyprawy koalicyjnej. Tutaj, jak na zawołanie, przypadł wybuch listopadowy. Zamiast wyprawy nad Ren przyszła kampania nad Wisłą. Tak było niegdyś w roku 1792 i 1794. Tak stało się teraz w 1830 i 1831 r. Teraz nawet stało się jeszcze pomyślniej. Ludwik-Filip widocznie w czepku się rodził. Zwolnił się nawet od tego połowicznego niebezpieczeństwa, nawet od tej połowicznej walki, z jaką ongi musiała uporać się pierwsza Republika. Gdyż tym razem Prusy i Austria, widząc Rosyę zajęłą, i bardzo zajęłą, nawet nie pomyślały na

własną rękę uderzyć na Francję. Znamy dzisiaj te rzeczy z wystarczającą ścisłością. Znamy je z najpoważniejszego źródła, zarówno ze źródłowych badań francuskich, jakoteż z bezstronnego świadectwa rosyjskiego, z szacownych rewelacji prof. Martensa i generała Szyldera. Możemy też obecnie ocenić wedle zasług całe postępowanie rządu Ludwika-Filipa, od pierwszych podziemnych rokowań z rządem warszawskim, aż do ostantacyjnej deklaracji Sebastianiego: „*L'ordre règne*“ ... Możemy stwierdzić pozytywnie, że ani przedtem za pierwszej republiki i pierwszego cesarstwa, ani później za Napoleona III, nie zdobyto się w Paryżu na tyle dwuznaczności, a zwłaszcza na tyle wyszukanej hipokryzji w rzeczach polityki zagranicznej, ile wtedy, na samym progu rządów mieszczańskich Ludwika-Filipa I. To też, rzecz prosta, w takim retrospektywnym przeświadczeniu niepodobna znaleźć najłżejszych zgoda pobudek dla rozrzewniania się nad dzisiejszymi bezsilnymi wysiłkami wewnętrznej „polityki“ orleańskiej.

Na szczęście, najmłodszy syn Ludwika-Filipa, ofiarujący nam swoje pamiętnikarskie wczasy, starał się zawsze, i w życiu i w pisaniu, ile tylko było można, trzymać się jak najdalej od wszelkiej polityki. A nawet podobno, ile tylko było można, starał się unikać wszelkiego wogóle zbytecznego suszenia głowy. Nie zapamiętywał się on widocznie ani na brata, ani na synowca. Nie studyował jak ks. Aumale, ani też nie agitował jak hr. Paryża. Nietyle może wzorował się na ich poważnej

prozie historycznej i politycznej, ile raczej — jeśli już koniecznie chodziło o wzory familjne — gustował w wesołych piosnkach, improwizowanych przez podochocnego Franciszka I. Zamiast „Historii Kondesusa” albo „Kwestyi robotniczej” wołał najpewniej brać do ręki śliczny „Heptameron” Małgorzaty z Nawarry i słuchać ślizkich opowieści jej pań dworskich i kawalerów, ich śmiechów szczerych, rubasznych morałów i subtelnych spostrzeżeń. Zadowolił się skromną rolą wykwintnego dyletanta i ten pogodny dyletantyzm prywatnego człowieka przeniósł żywcem, z całą swobodą do niniejszych swoich „Starych wspomnień”.

Księżę, urodzony 1818 r., dobrze zachował w pamięci czasy najmłodszego dzieciństwa. Doskonale pamięta Ludwika XVIII. Wyrysował go, starego sybarytę, wielbiciela Horacego i pani du Cayla, jak usadowiony w głębokim fotelu, w otoczeniu rodziny, z uśmiechem patryarchy, egzaminuje małych Orleanów z łaciny. Pod pozorami patryarchalnymi ukrywał się zatruty jadem podejrzeń i zawiści stosunek domu panującego do orleańskich krewniaków. Dzieciom i wnukom Filipa Egalité nie wybaczyli Bourbonowie grzechów ojca i dziada. Czy mieli do tego prawo? — co najmniej jest wątpliwe. Jeśli Filip wszystko uczynił, aby zgubić nieszczęśliwego kuzyna, hrabiowie Prowancyi i Artois nic nie zrobili, aby uratować brata. To też, czego w gruncie rzeczy nie mogli oni wybaczyć Orleanom, to nie krzywdy, jaką w niedawnej przeszłości Ludwikowi XVI wyrządził książę-jakóbin, gilotynowany Ludwik-Filip ojciec, lecz

tej krzywdy, jaką Ludwikowi XVIII mógł w najbliższej przyszłości wyrządzić popularny żołnierz z pod Jemmapes, żywy Ludwik-Filip syn. Ten siedział cicho, kłaniał się i czekał. Takim kłaniającym się i wyczekującym oglądamy go na rysunkach ks. Joinvilla, który w tekście swoich „Wspomnień” usiłuje pogodzić lojalność dla bourbońskiej głowy domu z pietyzmem synowskim, lecz zdradza werwą ilustratora, co był zastonił wstrzemięźliwością prozy. Nicoszacowaną jest na tych rysunkach powtarzająca się głowa Ludwika-Filipa, z uległą powagą, bokobrodami i schowanym sprytem portyera hotelowego, sławna „głowa-gruszka”, która z pod dowcipnego ołówka ks. Joinvilla wychodzi na swój sposób niemniej charakterystycznie, jak na społecznych karykaturach Philippona.

Cicho zbiegało, pod podejrzliwym rządem Restauracyi, życie rodziny książęcej w Palais-Royalu, starej rezydencji paryskiej Orleanów. Różni tu przecie zachodzili goście: tłusty, wiecznie śmiejący się, udający pocziwca, a sprzedający się na prawo i lewo, Pozzo di Borgo; Alfred de Musset, jeszcze w zaraniu rozgłosu, prawiący madrygały młodemu księżniczkom; Talleyrand, już, zdawało się, u zachodu kariery, z martwą twarzą i okiem, a który odwiedzał ks. Orleańskiego ze świadomym przecuciem przyszłości, gotując sobie miejsce naczelne wśród fundatorów i sług przyszłej monarchii lipcowej. Niekiedy odzywał się „wielki dzwon”: przychodziła z urzędową wizytą Delfinowa, księżna Berry; „i mój ojciec wybiegał krokiem gimnastycznym,

a my wszyscy za nim, aby ją przyjąć na schodach". Nie przeczuwała wtedy dumna pani, że ją po kilku latach, opuszczoną, shańbioną kobietę, usłużny kuzyn będzie trzymał pod kluczem.

Jeszcze jednostajniej schodziły dni w letniej rezydencji orleańskiej, w Neuilly. Ze wzruszeniem wspomina autor lata dzieciinne, spędzone tutaj, w czarownym zakątku wiejskim, pod samą stolicą, gdzie dziś z pięknego zamku, skonfiskowanego przez Napoleona III, sterczą tylko resztki opalonych murów. Pędził tu Ludwik-Filip żywot parafianiński zamożnego szlachcica; zjeżdżało się do niego obywatelstwo okoliczne, paru księży, goście z Paryża; gawędzono, grywano w bilard. Wymalował pamiętnikarz z humorem jedną taką partycję bilardu w Neuilly: goście, paradne typy prowincjonalistów, skupieni dokoła zielonego stołu, — z boku w krzesła gospodarz, cały zastłonięty wielką gazetą, zupełnie w nią wczytany: jest to niezawodnie nadeszły przed chwilą świeży dziennik polityczny paryski, może radykalny *Globe*, może opozycyjne *Debaty*, które od dawna wskazują narodowi na niewiędnący laur żołnierza z pod Valmy i Jemmapes, na liberalnego księcia, wychowawcę pierwszej Rzeczypospolitej, który potrafiłby być razem i najlepszym królem, i „najlepszą republiką“.

Rychle, niż można było oczekiwać, rozstrzygniętą została dwuwiekowa, tem głębsza, że tajona, rozterka rodzinna wewnątrz Domu Francji; sprawdzone wszystkie zazdrosne obawy starszej linii, ziszczone wszystkie

ambitne nadzieje młodszej; strącony z tronu pradziadów ostatni Bourbon, wyniesiony pierwszy — a także, zda się, ostatni, — Orléans. Do wybuchu rewolucji lipcowej 1830 r. znajdujemy u ks. Joinvilla niejedną szczegół ciekawy. Ciekawy jest opis głośnej uczty, jaką wyprawił ojciec autora w Palais-Royal na cztery tygodnie przed katastrofą. Jak wiadomo, przy tej okazji jeden z obecnych, Salvandy, wyrzekł historyczne słowa: „Festyn, iście neapolitański, tańczymy na wulkanie“. Ks. Joinville nakreślił tu obrazek, który wart jest dokumentu historycznego, — jakkolwiek zdawałoby się nam, że pamiętnikarz, wówczas całkiem jeszcze dzieciak, zapożyczył się tym razem tyleż ze znanej relacji Salvandego, co z własnej pamięci. „Po kadrylu kostyumowym, król wyszedł na taras, wznoszący się nad galeryą orleańską. Wkoło krążyły panie w strojach balowych, noc była ciepła, jasność niemal dzienna biła od świetnej iluminacyi. Podwórze pałacowe było zamknięte, lecz w ogrodzie cisnęły się tłumy, zwabione ciekawością. Ja biegłem przed Karolem X, który ze swoją postawą, prawdziwie królewską, zatrzymał się u balustrady od strony ogrodu. Ręką po kilkakroć skinął ku tłumom, które w tak blizkiej odległości i takim oświetleniu nie mogły go nie poznać, a jednak nie wydały żadnego okrzyku... „Dobranoc mój narodzie“ — rzekł wreszcie król pół żartem, pół seryo, i oddalił się. Nigdy więcej nie miałem go ujrzeć. Natychmiast tłum pochwycił krzesła z ogrodu, ułożył z nich stos i pod-

pałi. Trzeba było wezwać siły zbrojnej i ogród opróżnić. Były to pierwsze odgłosy zbliżającej się burzy. Ale znowu lepszym jeszcze od tej anegdoty jest rysunek, jakim ją ilustruje pamiętnikarz: królewski gość, stary Karol X, spoglądający w zamyśleniu na ten swój niesforny Paryż, który już teraz nie oddaje mu ukłonu, niebawem uczyni go wygnańcem, — a z tyłu, pochyłony z deferencyą gospodarz, Ludwik - Filip, ostrożnym wzrokiem szukający już teraz tajnych stronników, być może agentów, w tych czarnych tłumach milczących, które niebawem jego uczynią królem.

Książę Joinville, rzecz prosta, dość jest zakłopotany, kiedy mu wypada opowiedzieć przebieg trzech dni lipcowych i objęcie rządów przez ojca. 25 lipca, przy niedzieli, był z całą rodziną w Saint - Leu, u ks. Bourbon, „który tam prowadził życie wspaniałe i piękne“: tak przedstawia się autorowi ostatni z Kondeuszów, zdzięcinniały starzec, wtedy już całkiem prowadzony na pasku przez pospolitą awanturnicę, niedługo znaleziony wiszącym na stryczku, samobójca czy ofiara, niewiadomo, lecz napewno niegodny wielkiego imienia, które z nim zeszło do grobu. Nazajutrz, 26 lipca przyniesiono do Neuilly wiadomość o zamachu stanu, „ordynansach“ królewskich przeciw prasie. „Wbiegliśmy do salonu, gdzie zastaliśmy ojca; siedział skamieniały, trzymając w ręku *Monitora*. Na widok wchodzących podniósł ręce do góry z gestem rozpacz. Po chwili milczenia rzekł tylko: „Potracili rozum“; potem znów po dłuższej pauzie: „Uczynią się sami raz jeszcze wy-

gnańcami. O, co do mnie, byłem nim już dwukrotnie, nie chcę więcej, zostanę we Francji“. To wszystko byłoby wzruszające; cóż jednak dalej się stało, co czynił Ludwik - Filip tegoż dnia i następnych? — tego ani jednym słowem nie wyjaśnia ks. Joinville. Powiada tylko tyle: „Ojciec mój znikł z Neuilly; jego dalsze kroki pozostały dla nas zupełną tajemnicą i nawet do tej chwili nie są mi dobrze znane; nic też o nich nie powiem“. Zaś w odsyłaczu czyni w tem miejscu następujące oświadczenie: „Nie moją jest rzeczą wydać sąd o przyjęciu korony przez mego ojca w 1830 r. Rewolucya lipcowa była niewątpliwie wielkiem nieszczęściem... lecz mam przekonanie bezwarunkowe, że mój ojciec nigdy jej nie pragnął, owszem, wielce nad nią bolał... Jeśli przyłączył się do powszechnego ruchu, czynił to początkowo niezawodnie li tylko w zamiarze osadzenia na tronie Henryka V. Utraciwszy tę nadzieję, ustąpił namowom, jakimi zaklinano go zewsząd aby powstrzymać Francję na pochyłości fatalnej, prowadzącej przez republikę ku dyktaturze, inwazyi, zaborowi. Potrafił on o lat ośmnaście opóźnić te oplakane konsekwencje, z niebezpieczeństwem własnego życia, pod groźbą codzienną. Pozostanie to jego zasługą w historii, jakkolwiek byłaby niesprawiedliwość ludzka“. Mamy w tych słowach, z ust chyba najpowołaniejszego apologety, obronę urzędową monarchii lipcowej. Nie potrzebujemy tłumaczyć, że jest jeszcze mniej przekonującą od zręczniejszych obron Guizota, Thiersa, albo Renana, które nas również nie przekona-

ły. Że Ludwik - Filip na swą rzecz skonfiskował koronę jedynie w tej myśli, aby ją, jako wierny depozytariusz, zwrócić Henrykowi V, — pewno takiego tłómaczenia ani nawet nie próbował ks. Joinville przed hr. Chambordem, podczas sceny pojednania we Frohsdorfie. Co się zaś tyczy ośmnastoletniego pokoju i bezpieczeństwa, jakie monarchia lipcowa dała Francji, — zbyt dobrze wiemy, pamiętamy zbyt dobrze, jakim kosztem zostało opłacone to bezpieczeństwo wygodne i ten ostrożny pokój.

Był to zresztą spokój wielce niespokojny, jeśli wziąć na uwagę stosunki wewnątrz Francji w epoce rządów orleańskich. W kraju, który się domagał republiki, domagał przedewszystkiem wielkiej akcji europejskiej, nie przestawano burzyć się przeciw mieszczańskiej gospodarce nowego panowania. Napróżno nad uchem królewskiem nawoływał Béranger: *„Un long sceptre au bout d'un bon bras Peut atteindre aux bornes du monde... Hâtons-nous: l'honneur est là-bas“*. Król nie chciał słuchać. Król chciał spokoju. Obwieścił o tem Francji i światu nielitościwy pieśniarz: *„Je veux la paix... Et je vous ai donné pour armes Non pas un coq, mais un chapon“*. Lecz tego, tak pożądanego, tak drogo okupionego spokoju nie było sądzonem długo zażywać królowi „mieszczańskiemu“. Ks. Joinville odtąd na każdej stronicy prawie miewa sposobność wziniankować o rozruchach w Paryżu lub na prowincyi. Opowiada, jak razu jednego, podczas urzędowego obiadu dyplomatycznego u króla w Palais - Royalu, na-

gle rozlega się pod oknami strzelanina; cisza zalega u stołu, jak makiem zasiał; nareszcie wśród tej ciszy słychać szarżę kawaleryi, ucieczkę rozbiegających się tłumów; z odetchnieniem ulgi wracają biesiadnicy do przerwanej konwersacyi. „Kiedyindziej sprawa była poważniejsza. Rokosz, nie pamiętam już który, — było ich tyle! — przez chwilę stawał się groźnym. Wiedziałem jeszcze mego ojca, jak chwytą Kazimierza Périer za ramię i krzyczy mu nad uchem: „Każ pan dać naboje, naboje...“ W tej chwili ujrzałem w kącie salonu, gdzie odbywała się ta scena, jakiegoś człowieka na krześle, z dość kiepską miną. Przechadzał się przed nim adjutant mego starszego brata, generał Marbot, nie spuszczać go z oka. Cóż pan tu robi? — spytałem generała. — Pilnuję tego jegomościa. — Któż to jest? — Prefekt policyi. — A więc cóż? — On podobno zdradza. — Ot w jakim położeniu można znaleźć się nazajutrz po rewolucyach“. Istotnie, położenie było nie do zazdrości, zwłaszcza w pierwszych latach. Oczywiście o ponawiających się rozruchach odzywa się książę z największem oburzeniem i pogardą. Kiedy mówi o powstaniu 1832 r., wywołanem jakoby przez samych złodzieiów i rabusiów, nikt się nie domyśli, że mówi o gorących młodzieńcach z pogrzebu generała Lamarqua, o pięknych i szlachetnych duszach, które uwiecznił Wiktor Hugo w „Nędznikach“. Interesujące szczegóły podaje pamiętnikarz o częstych zamachach przeciw osobie królewskiej, osobiście o strasznym zamachu Fieschego, przy którym był obecny. Te zbrodnicze za-

machy nie dawały chwili spokoju rodzinie Ludwika-Filipa; co dnia oczekiwano nowego nieszczęścia i zewsząd je zapowiadano. „Stary książę Talleyrand, prawie umierający, wezwał do siebie mego starszego brata, aby mu wygłosić własne w tej mierze proroctwo. Podnosząc się na łóżku, z twarzą, naznaczoną już piętnem blizkiego skonu: „Nie zginiecie — wyrzekł — od noża, ani od pistoletu, lecz deszcz kamieni przywali was wszystkich“. Bardzośmy obowiązani za tę przepowiednię; nie sprawdziła się na szczęście“. Czyżby w istocie się nie sprawdziła? Czyż słów wielkiego mistyfikatora nie można tłómaczyć mniej dosłownie, i czyż nie kamienie brukowe, z jakich wzniesiono barykady 24 lutego 1848 r., przywały monarchię orleańską?

Na tej fatalnej dacie 1848 r. zamykają się też „Wspomnienia“ ks. Joinville. Bawił on w owej chwili w Algierze, u brata, ks. Aumala, naówczas gubernatora generalnego prowincyi. Tu otrzymał niespodzianie od byłego swego guwernera, Araga, który przez noc z astronoma został ministrem nowego rządu prowizorycznego, list lakoniczny, zawiadamiający księcia o dokonanym rewolucyjnym przewrocie w Paryżu i wzywający, w imię patryotyzmu, aby nie usiłował załóg floty, którą miał pod swymi rozkazami, skłonić do oporu przeciw Republice lutowej, okrzykniętej przez Paryż i Francję. W tym liście, po raz pierwszy ogłoszonym obecnie, nie masz nic, co by nie czyniło zaszczytu wielkiemu uczonemu a dobremu obywatelowi, jakim był Arago. Lecz książę taki od siebie dodaje komentarz: „Pewność

siebie (*l'aplomb*), z jaką ten człowiek, który dotychczas miał do czynienia z cyframi lub teleskopem, przyswajał sobie autorytet najwyższy, wprawiła mnie w osłupienie“. Dodaje też, że pokazywał to pismo Changarnierowi, naczelnemu dowódcy armii algierskiej, i zażądał oporu przeciw powstańcom paryskim; ten jednak tylko wzruszył ramionami. „Niestety, — konkluduje z goryczą pamiętnikarz, — w naszej epoce postępu religia przysięgi żołnierskiej była pustym dźwiękiem“. Zbyteczne byłyby tutaj wszelkie uwagi; dziwić się tylko należy otwartości autora, który z tak lekkim sercem się przyznaje, że miał szczerzy zamiar wszczęcia wojny domowej, — kiedy dotychczas za największą zasługę poczytywano młodemu książętom orleańskim, że, mając w ręku armię algierską i flotę, nie użyli jej dla rozlewu krwi, lecz posłusznie poddali się wyrokowi kraju. Poddali się, bo nie mogli nie poddać się, bo Changarnier ramionami ruszył, — opowiada dziś otwarcie ks. Joinville. Taka otwartość rozbraja.

Ale to nie są nasze rzeczy. Byłoby zresztą niewdzięcznością same tylko dysonanse wytykać w książce tak przyjemnej, naturalnej, miłej. Miłą jest, — powiedzieliśmy to od pierwszego słowa, — opowieść pamiętnikarska autora wszędzie, gdzie się on nie spotyka z nieszczęśliwą polityką, gdzie natomiast opowiada, jak podróżował, flirtował, polował we wszystkich niemal częściach świata. A istotnie widział i bawił się dużo. Lecz z zabaw prywatnego człowieka nie czujemy się powołani zdawać sprawy. Powtarzamy więc tyle tylko,

że ten człowiek prywatny przedstawia się tym razem sympatycznie, a bez wszelkiej pretensyi, zrzucając z siebie najzupełniej wszelką wprawdzie powagę, ale też i wszelką pompę królewskość. — „Czy pan także jesteś królem?“ — pytało się Kandyda pięciu zdetronizowanych monarchów w weneckiej oberży. „Nie, panowie, — odparł Kandyd, — i nie mam do tego żadnego gustu“. Możliwy tę odpowiedź położyć jako godło nad „Wspomnieniami“ ks. Joinvilla.

Stendhal dyplomata.

Literat dyplomata — a i czemużby nie? Wszak Voltaire woził do Berlina projekty traktatowe, Diderot woził do Petersburga propozycje sprzymierzeńcze. Wszak Chateaubriand przywdziewał frak ministra i ambasadora, redagował noty okólne i podpisywał kongresowe protokoły. Wszak Lamartine przez jedną chwilę, jako naczelnik rządu, prowadził Francję i trząsł Europą. Czemużby więc pisarz „Kronik włoskich“ i „Klasztoru Kartuzów“ nie miał także posiadać znakomitych talentów dyplomatycznych?

Gdyż takie mianowicie talenta, i to podobno zgoła niepospolite, odkrył w nim p. Farges, który z paryskiego Archiwum spraw zagranicznych wydobył i drukiem uwiecznił raporty konsulackie, posyłane przez Stendhala z Włoch w okresie 1830 — 41 roku do kil-

³⁾ „Stendhal diplomate. Rome et l'Italie de 1829 à 1842. D'après sa correspondance officielle inédite“ par L. Farges.

ku z kolei ministrów Ludwika - Filipa *). Wydawca tych osobliwości nie jest całkiem nieznan publiczności polskiej. Dobrze się zaleciwszy przez kilka prac historycznych, — między innymi przez ogłoszenie ciekawej korespondencji poselskiej francuskiej z dworu Henryka VIII angielskiego, — miał on sobie powierzona w wielkim Zbiorze Instrukcyi, wydawanym przez paryskie ministerium spraw zagranicznych, publikację zleceń pełnomocnych, udzielanych posłom francuskim w Warszawie w końcowej dobie Rzpltej polskiej. Z tego ważnego zadania wywiązał się niekoniecznie zadowolająco i wiele, bardzo wiele mielibyśmy do zarzucenia wątpliwej jego erudycyi w rzeczach polskich, częstokroć tak wątpliwej, że poprostu staje się kompromitującą w wydawnictwie naukowem, cóż dopiero urzędowem. Natomiast z przyjemnością można było stwierdzić ze wszech miar bezstronne stanowisko wydawcy względem spraw i ludzi polskiej Rzpltej, odbijające tem sympatyczniej od niektórych innych części tego samego Zbioru. Owóż p. Farges, od ciężkich urzędowych obowiązków edytorskich przerzuciwszy się do znacznie lżejszej roboty na własną rękę, od fachowej korespondencji polityków zawodowców do przygodnej polityka dyletanta, uznał za potrzebne wydobyć na światło dzienne prześlepioną dotychczas spuściznę „dyplomatyczną“ powieściopisarza, nowelisty i autora pewnego traktatu — którego próżnoby szukać w zbiorach traktatów Dumonta albo Martensa, — traktatu „O miłości“. Jest to, w rzeczy samej, niespodzianka. Byłby

to naprawdę Stendhal „niewydany“ — ów „dyplomata“, którego obiecuje pokazać nam wydawca. Czyliż jednak w istocie go pokazał? czy też wogóle mógł go pokazać?

Powołaliśmy sami parę wielkich nazwisk literatów politykujących, które za taką możliwością zdawałyby się przemawiać. Lecz natychmiast z tych samych powołanych przykładów rodzą się pewne wątpliwości. Niezrównany jest Voltaire, kiedy rozpowiada opłakane przygody biednego „Kandyda“; na drwiny się wystawia, kiedy z Fryderykiem prowadzi negocjacje związkowe. Porywający jest Diderot, kiedy obnaża cyniczną duszę „Bratanka Rameau“; jest pocieszny, kiedy na cztery oczy z Katarzyną zapuszcza się w rozprawy o równowadze europejskiej. Świetny pisarz „Atali“ zgola niefortunne czyni wrażenie, kiedy z trybuny parlamentarnej domaga się interwencji zbrojnej w Hiszpanii i broni czystości księżny Berry, albo kiedy w poufnych memoriałach kreśli szerokie plany podziału Turcyi i Niemiec i lekką ręką oddaje Drezno Prusom a Rosyi Konstantynopol. Czuły śpiewak przejmujących załóż nad „Jeziorem“ śmiesznie wydaje się ze swoją wodnistą, nieporadną elokwencją i zupełnym brakiem decyzyi w niestosownej dla siebie roli zbawiciela narodów. Naodwrot, wielkiemu Fryderykowi żadną miarą niepodobna wybaczyć okaleczonych sromotnie aleksandryków w „Konfederatach barskich“, chociażbyśmy nawet wybaczyli mu wszystek jad, zawarty w tym osobliwym królewskim poemacie. Katarzyna II najnieza-

wodniej jako rzewna autorka „Felicji“ jest daleko mniej zajmująca, aniżeli w swoich ukazach i reskryptach monarszych. Zaś nie może być dwóch zdań, że Marengo i Austerlitz lepiej udały się Napoleonowi, niż sonet, w którym uwiecznił piękne oczy aktorki Saint-Huberty. Pisywali więc wielcy mężowie stanu, lecz pozostali ciurami w literaturze nadobnej. Politykowali wielcy pisarze, lecz pozostali fuszerami w polityce. Taką napewno jest niewzruszona reguła. Bywały wprawdzie i od tej reguły wyjątki. Komedyje a raczej farsy Machiavela są może równie zgrabne i dowcipne, jak jego doniesienia poselskie; i można z równą przyjemnością czytać ślizkie sceny z „Mandragory“, jak ponure morały z „Księcia“. Ale to są wyjątki chyba rzadkie — w tej chwili drugiego nie umielibyśmy naprędce przytoczyć. Zaś niechybnie do takich wyjątków nie należał Stendhal.

Dziwne doprawdy były koleje sławy pisarskiej Beyla - Stendhala. Drukował za życia dużo, pisywał jeszcze znacznie więcej. Zaś niemal od pierwszego wystąpienia był już prawie całkiem sobą, posiadał całą swoją odrębną wrażliwość, nawet nadczułość, swoje oryginalne upodobania i wybryki, a także ten swój styl niekształtny, szczególniejsze połączenie samorzutnej swobody i nienaturalnego przymusu, którego nie mógł, czy też nie chciał wyzbyć się aż do końca. Z tem wszystkim za życia pozostał prawie nieznanym. Znali go najbliżsi przyjaciele, czytelnicy *Revue des deux mondes* i garstka wybredniejszych smakoszków literackich i życiowych. U krytyków społecznych nie miał

miru. Był też z nimi ciągle na stopie wojennej. „Pisarz, kiedy zabiera się do pisania — takie gdzieś uczynił oświadczenie publiczne — winien równie mało myśleć o krytyce, jak młody oficer dragoński, idąc na szarżę ze swoim szwadronem, nie myśli o szpitalu“. Jednak w rzeczywistości był podobno pod tym względem dużo wrażliwszy, aniżeli pokazywał po sobie. Znał swoją wartość i miał ambycję. Raz tylko doczekał się pełnego uznania i to od mistrza: Balzac, po przeczytaniu jego „*Chartreuse de Parme*“, wypalił dla tej istotnie niezwyklej powieści jeszcze niezwyklejszy, entuzjastyczny panegiryk. Niestety jednak, jeśli wierzyć zjadliwemu świadectwu Sainte-Beuve'a, był to entuzjazm niezupełnie bezinteresowny, bo podniecony poniekąd przez „dyplomatyczne“ subsydyum pieniężne ze strony chwalonego autora. I później jeszcze, długo po zgonie Stendhala, było ciągle o nim głucho w piśmiennictwie francuskim. Odezwało się o nim serdecznie paru przyjaciół i uczniów, Coulomb, Mérimée; dla ogółu pozostał obojętnym. Odkrył go dopiero naprawdę Taine i przez jedno wspaniałe swoje studium od razu postawił na świeczniku. Odtąd właściwie Stendhal został sławnym. Odtąd jego dzieła, tak niesłusznie zapomniane, zaczęły się pojawiać w coraz nowych edycjach. Jak zwykle w takich wypadkach, spóźnione admiracje pośmiertne przesadziły w przeciwnym kierunku. Nawet najśluszej zapomniana, nigdy nie przeznaczona do druku spuścizna rękopiśmienna po Stendhalu została ofiarowana czytającej publiczności. Polski

jego admirał, jeden z najzarliwszych, a i najniebezpieczniejszych, z niezmordowaną wytrwałością, godną lepszej sprawy, uczynił niejako celem swego życia wydobywanie z niewyczerpanej chyba biblioteki w Grenoble coraz nowych „dokumentów“ Stendhalowskich, a to „Dziennika“, a to „Autobiografii“, a to „Listów poufnych“, itd. bez końca. Bądźco bądź, dzisiaj, w półwieku przeszło po swojej śmierci, jest Stendhal pisarzem europejskim. Jest tłumaczony na wiele języków obcych. Dotarł nawet do piśmiennictwa polskiego, któremu przyswojono w starannym przekładzie najcenniejsze jego powieści. Pisarz, przejęty zawsze pogardą dla tłumów, dla *profanum vulgus*, pisarz, który oświadczył, że pisze dla nielicznej garstki ludzi, „których nie zna, których nie ujrzy nigdy, a których kocha“, liczy dzisiaj na tysiące czytelników i przyjaciół pośmiertnych. Czy to jest istotnie w porządku rzeczy? — możnaby wątpić. Możliwe zapewne bardzo wiele z tej nagłej poczytności i admiracji położyć raczej na karb zaraźliwego literackiego snobizmu, aniżeli istotnego duchowego powinowactwa pomiędzy samotnym pisarzem a wielogłową czytelniczą rzeszą. Byłoby może nieraz środkiem wcale użytecznym, gdyby skłonny do entuzjazmu czytelnik, zanim odda się ekstazie nad czytaną książką, spróbował wyobrazić sobie na chwilę siebie samego w żywym towarzystwie jej autora. Sądzimy, że w wielu wypadkach takie towarzystwo nie sprawiłoby przyjemności żadnej stronie i że taka fikcja mogłaby z pożytkiem zmrozić wiele niedobrych, udanych zachwyków. Są-

dzimy zwłaszcza w danym wypadku, że zamknięty w sobie, nadczuły, przenikliwy i wybredny Stendhal nieszczerze byłby zbudowany widokiem swoich zwolenników dzisiejszych i nie dalibyśmy głowy, azali pośród tysięcy „psychologów“, histeryczek i cherlaków, rozczytujących się z błogą rozkoszą w jego pismach, potrafiłby zebrać ową nieliczną garstkę „nieznanych a kochanych“.

Stendhal, a właściwie Henryk Beyle, pochodził z rodziny mieszczańskiej w Grenoble. Tutaj kończył pierwsze nauki, a gotował się pierwotnie do politechniki paryskiej, gdyż palił się zamłodu do nauk ścisłych, ubóstwiał Pascala, marzył zostać drugim Mongem albo Laplace. Wyrzekł się jednak niebawem tych ambicji naukowych. Wyciągnął dla siebie morał z opłakanych doświadczeń weneckiego nieboraka Jana - Jakóba i wnet, obracając na wspak srogi aforyzm obrażonej Giulietty z „Konfesy“ Roussa, powiedział sobie raz na zawsze: *lascia la matematica e studia le donne*. Nie straciła na tem napewno astronomia, a zyskało piśmiennictwo. Zresztą, trochę matematyki w młodości, zdaniem naszym, może wyjść tylko na dobre każdemu pisarzowi, nawet artyście. Zachował też odtąd Stendhal, jakby się nam zdawało, i nie bez korzyści dla siebie, w swoim sposobie obserwacji i sposobie pisania jakieś tchnienie pierwotnych swoich studyów ścisłych. Tymczasem wstąpił do służby rządowej. Było to nazajutrz po zamachu Brumaira, za pierwszych dni Konsulatu. Otworzył się naraz szeroki upust dla prześcigających się

młodych energii i młodych ambicyi. Zginąłby może w tym wyścigu nieporadny Beyle, gdyby zaraz na wstępie nie znalazł kierownika i opiekuna w osobie blizkiego krewniaka, który odtąd miał zostać życiowym jego mentorem.

Tym mentorem Beyla - Stendhala został jego starszy kuzyn, Piotr Daru, figura nadzwyczaj ciekawa, figura historyczna, bardzo głośna, prawie sławna, a przecież, jak się dziś najniespodzianie okazuje, do niedawna naprawdę nieznana. Daru jeszcze przed samą rewolucją był służył w intendenturze wojskowej jako urzędnik królewski; umiał utrzymać się, po upadku monarchii, jako rewolucyjny komisarz wojenny; przez Talleyranda, z którym był ściśle zaprzyjaźniony, dostał się do zaufania Bonapartego; awansował raptownie za konsulat i cesarstwa; został intendentem zdobytych prowincyi austriackich w 1805 r., a następnie — zdobytych prowincyi pruskich w 1806 i 1807 r. i wtedy też piastował administrację odebranych Prusom ziem polskich, na obszarze późniejszego Księstwa Warszawskiego; był faktycznym wykonawcą, ze strony finansowej i demarkacyjnej, traktatu preszburskiego z Austrią i tyłżyckiego z Rosyą i Prusami; sprawował intendenturę generalną Wielkiej armii w drugiej kampanii austriackiej 1809 i rosyjskiej 1812 r.; został ministrem sekretarzem stanu, jednym z najczynniejszych członków Rady Stanu, otrzymał tytuł hrabiowski, zasiadł w Akademii, zebrał ogromny majątek. I rzecz dziwna, ten człowiek wszechstronny, który, wysunąwszy się jako królewski urzędnik

bourboński i przebrnąwszy przez rewolucję, został prawą ręką Napoleona, który wszystko zawdzięczał cesarzowi, — jednakowoż nie wyrzucił się i później za Restauracyi, lecz przeciwnie, zostawiony był w spokoju przez przywrócone rządy Ludwika XVIII, a nawet zaszczycony przez niego godnością parowską. Niedość na tem. Po tylu świetnych sukcesach służbowych i politycznych, obrócił Daru swoje wczasy na prace literackie i naukowe. Przetłómaczył zřęcznie Horacego i napisał wielotomową, niepozbowioną istotnej wartości „Historyi republiki weneckiej“. To też po dziś dzień był uważany za postać ze wszech miar poważną i szanowną. Cieszył się podwójnym autorytetem nieposzlakowanego męża stanu i tęgiego dziejopisa. Co się nas tyczy, nie mieliśmy nigdy powodu żywić zbyt gorących sympatyj dla pana intendenta. Dał on się nam dobrze we znaki za swojej gospodarki w Warszawie. Nie żałował on Księstwa Warszawskiego, wyciskał z niego bez pardonu ciężkie dostawy dla Wielkiej armii, uczestniczył też w fatalnej umowie o „sumy bajońskie“, jednym słowem, na wszelki sposób, jak się mówi, dał pasy ze zbiedzonego kraju. „Imci Pan Daru — tak żałośnie pisał do Batowskiego prezes warszawskiej Komisji Tymczasowej, zacny Stanisław Małachowski — jak dawniej nie był na nas Polaków łaskaw w sprawiedliwym ocenianiu rzeczy, które dostawiamy wojsku, tak teraz bardziej, gdy doznał przez bytność JW Pana w Gdańsku, iż więcej wystawiłeś zdobyczy dla wojska francuskiego, jak on doniósł cesarzowi, zagniewany

o to doniesienie, swe niechęci większe w podobnych zdarzeniach okazuje, którym ulegamy, lecz zawsze z naszym pokrzywdzeniem“. Co gorzej, skądinąd posiadamy pewne wskazówki, wiele dające do myślenia, a które naprowadziły nas na przypuszczenie, że Daru miał swoją rękę w pewnym bardzo ciekawym i bardzo brzydkim szantażu, gdzie chodziło o wymuszenie na rządzie warszawskim paru milionów napiwnego dla JE. ks. Talleyranda, wzamian za przyobiecanie usługi polityczne dla sprawy polskiej: „ten „interes“ rozbił się o drażliwość Małachowskiego i Stanisława Potockiego i zdaje się, że ten zawód jeszcze zaostriżył niełaskawość pośredniczącego pana intendenta dla Księstwa Warszawskiego. Ale to są dotychczas tylko przypuszczenia. Co do rzeczy pozytywnie stwierdzonych i wycierpianych, mogliśmy nie kochać cesarskiego intendenta, mogliśmy dotkliwie odczuwać jego zarządzenia prowiantowe, jego surową administrację wojskową, ale dotychczas musieliśmy uznawać, że on podobnie postępował na ziemiach austriackich i pruskich, że działał w wyjątkowych warunkach wojennych, że służył Wielkiej armii, że był odpowiedzialny przed Napoleonem. Musieliśmy dotychczas widzieć w nim gorliwego, zbyt może gorliwego, ale oddanego sercem i duszą, sługę cesarza. Taką też opinią aż po dziś dzień cieszył się Daru. Naraz przyszła zadziwiająca niespodzianka. Przed paru laty uczony francuski, prof. Pingaud, w Petersburskim Archiwum spraw zagranicznych znalazł szereg nadzwyczaj interesujących tajnych doniesień

z Paryża, z czasów konsulatu i cesarstwa, posyłanych stamtąd do ks. Adama Czartoryskiego, ówczesnego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Te doniesienia dostarczane były ks. Czartoryskiemu przez Drezno, za pośrednictwem usadowionego tam tajnego agenta, emigranta francuskiego, niejakiego hr. Antraiguesa, jednego z najsprytniejszych i najdłużniczych działaczy ówczesnej dyplomacji zakulisowej. Rzecz cała odbywała się w takiej tajemnicy, że sam ks. Czartoryski nie znał prawdziwego nazwiska swego korespondenta paryskiego, które pośredniczący Antraigues ukrywał nawet przed ministeryum rosyjskim. Tyle tylko nie ulegało żadnej wątpliwości, że ów tajemniczy korespondent był człowiekiem, zajmującym stanowisko wybitne w rządzie konsulackim i cesarskim, że stał blisko samego Napoleona, że był w szczególnej zażyłości z Talleyrandem, że był doskonale informowany o najtajniejszych sprawach i zamiarach rządowych francuskich, że miał wolny przystęp do paryskiego ministeryum spraw zagranicznych, do ministeryum wojny, do Rady Stanu, i że wszystko, co tylko wiedział, co tylko mogło przydać się nieprzyjacielskiemu rządowi, co tylko mogło szkodzić rządowi konsula Bonapartego i cesarza Napoleona — to wszystko ów anonimowy korespondent, ów zagadkowy „ami“ w te pędy, drogą na Drezno, donosił do Petersburga, a jak się zdaje, także i do Londynu, t. j. pod adresem dwóch najgroźniejszych wówczas, śmiertelnych przeciwników Francji. Któż był ten człowiek? Któż był ten tajemniczy zdrajca

stanu, ów niewidzialny szpieg przy samym boku Napoleona? Prof. Pingaud nie umiał rozwiązać tej zagadki, ogłosił tylko w dosłownym brzmieniu pewną ilość tych niezwykle doniesień, które musiały wzbudzić najżywszą ciekawość co do osoby ich autora. Próbowali domyślić się tej osoby inni badacze, tacy znawcy, jak pan Sorel; łamaliśmy i my sobie głowę nad tym twardym orzechem — napróżno. Dopiero niedawno, dzięki szczęśliwemu zbiegowi kilku niespodzianych wskazówek, udało się odsłonić sekret, tak dobrze przez lat sto dochowany, udało się zerwać maskę, tak długo i tak szczelnie okrywającą tajemniczego anonima. I cóż z pod tej maski się ukazało? Ukazała się znajoma twarz wytwornego tłumacza Horacego, uczonego historyka Wenecji, wiernego napoleońskiego służbisty, twarz surowego intendenta generalnego, ministra sekretarza stanu, członka Akademii, hrabiego Daru. On to, w tym samym czasie, kiedy obsypywany był dobrodziejstwami cesarza, kiedy był obdarowany pełnem jego zaufaniem, zdradzał go najhaniebniej, najsystematyczniej i może najszkodliwiej. Nie był on, co prawda, wyjątkiem. Najnowsze badania krytyczne nad epoką napoleońską wykazały cały szereg zjawisk pokrewnych, od zdrady w wielkim stylu, popełnianej przez Talleyranda, aż do podrzędnej roboty donosielskiej i fałszerzkiej, wykonywanej przez Esmenarda i inne podobne nieznane kreatury. Te odkrycia posiadają niemałe znaczenie naukowe, gdyż rzucają światło na niektóre, dotychczas niejasne zagadnienia dziejów napoleońskich.

Wszakże, ze wszystkich najświeższych odkryć zakulisowych tego rodzaju, najbardziej sensacyjnem, bo najniespodzianyszem, było właśnie zdemaskowanie cnotliwego Piotra Daru.

Tutaj jednak samo przez się narzuca się bardzo zabawne spostrzeżenie. Subtelny Stendhal, jak rzekliśmy, od pierwszej chwili dostał się pod skrzydła opiekuńcze swego kuzyna, tego samego Daru, i aż do końca, przez lat kilkadziesiąt, pozostał w najbliższym jego otoczeniu, pod bezpośrednim jego kierunkiem. Siedział u niego w kancelaryi, stale przebywał w jego domu, znalazł nawet okazję przyprowadzić mu rogi i poromansować z jego przystojną żoną. Ale nie domyślił się jego sekretu. Nie domyślił się nigdy zdradzieckich stosunków swego protektora z zagranicą. Gdyby miał choćby najlżejsze w tym względzie podejrzenie, nie wątpimy, że, przy swoich surowych pojęciach powinności i honoru, napewno w zdrajcy nie byłby pożałował protektora i krewniaka. Lecz on istotnie nie domyślił się niczego. Zachłował względem niego aż do końca uczucie wdzięczności dla swego dobroczyńcy, uczucie skrucy dla oszukanego męża, a przedewszystkiem uczucie respektu dla wyższego i nieposzlakowanego statysty. To jest bardzo nauczające. Okazuje się, że można osiągać szczytów subtelności z piórem w ręku, jako analityk psychologii powieściowej, a zarazem w życiu powszedniem zachować zdumiewającą naiwność. Okazuje [się także chyba dość przekonująco już z tego jednego przykładu, jak mało uzasadnione były pretensje dypl-

matyczne Stendhala. P. Farges, a wcześniej jeszcze Balzac, uznają słusność tych pretensyi i mniemają, że w Stendhalu tkwił wielki dyplomata, gdyż był on bardzo subtelny. Był nim zanadto. Był nim w teorii, nie w praktyce. Prowadził przez długie lata najszczerzółowszy dziennik — rzecz zawsze opłakana; co gorsza, prowadził go wyłącznie o sobie samym. Ten „Dziennik” ogromny, od niedawna, dzięki bezwzględnej admiracyi pośmiertnej, oddany również na pastwę ciekawości publicznej, odsłonił wszystkie małostkowe i śmieszne strony swego autora, jego słabość do złej angielszczyzny i pseudonimów, jego serce nierówne, nieraz twarde a nieraz dziecinne, jego nadwrażliwość i nieporadność, a co najdziwniejsza, nie pokazał bynajmniej znawcy ludzi. Zdaje się, że z nadmiaru subtelności niepospolity pisarz poprostu nie umiał postępować sobie z ludźmi; zaś ta uniejętność należy chyba do najpierwszych i najniezbędniejszych kwalifikacyi na dyplomata.

Pierwsze kroki służbowe, w biurze intendenta Daru, zaprowadziły Stendhala, śladem zwycięskiej armii republikańskiej, do Włoch, do Lombardyi, do Medyolanu. Ta chwila zdecydowała o jego życiu. Musimy wyznać, po wszystkich poczynionych zastrzeżeniach, że Stendhal, jako pisarz i nawet jako człowiek, jest nam bardzo miły. Jego powieści wydają się nam nietylko arcydziełami psychologii, ale także arcydziełami powieściopisarstwa historycznego, albo raczej historyczno-społecznego. Zaś może więcej jeszcze od sztuki powieściopisarza ujmują za serce głęboki i trwały, trochę

zapewne gorączkowy i zaślepiony, ale trafiający do przekonania, bo szczery, bo serdeczny, entuzjazm człowieka dla pięknej ziemi i kultury włoskiej. Któż to dusza lepsza i wrażliwsza, przedostawszy się po raz pierwszy za Alpy, nie odczuła na swój sposób tego samego zapalnego tchnienia, nie poddała się mimowolnie tym samym dziwnym czarom? Moc tego wiecznego czaru, spotęgowana jeszcze niezwykłością chwili ówczesnej, niezatarte wyryła ślady na nadczułej duszy Stendhala. Tutaj to, w Medyolanie, nazajutrz po Marengo, młodziutki oficer, zakwaterowany w lepszych domach, pielęgnowany miękką ręką patryotek włoskich, po raz pierwszy był szczęśliwy. Tutaj, wieczorem, podczas baletu, w loży *Scali* medyolańskiej, po raz pierwszy składał raport generałowi Bonaparteniu. Te silne i harmonijne wrażenia młodości przetrwały gorącz wszystkich późniejszych doświadczeń życiowych. „*Arrigo Beyle Milanese*” — takie epitafium sam dla siebie ułożył jeszcze przed śmiercią. Jednak ten Medyolańczyk z wyboru pozostał w gruncie rzeczy dobrym Francuzem. Uczestniczył w kampanii nad Mincio pod generałem Michaud; stykał się wtedy z legionistami polskimi Dąbrowskiego, a byłoby rzeczą wcale ciekawą odszukać bliższe ślady tych stosunków. Niebawem jednak musiał opuścić ukochane Włochy, a nawet całkiem wystąpił ze służby wojskowej. Wrócił do niej za cesarstwa, znowuż pod opieką i kierunkiem Daru; uczestniczył w kampaniach prusko - rosyjskiej 1806 — 7, austriackiej 1809, rosyjskiej 1812 r. Niestety, najcie-

kawsze dla nas kartki jego „Dziennika“ z 1807 i 1812 roku zaginęły podczas strasznego odwrotu z Moskwy. Zostało się jednak w „Korespondencyi“ parę zajmujących wzmianek z kampanii polskich, a zwłaszcza z wyprawy moskiewskiej. Stendhal pełnił wtedy obowiązki kwatermistrza Wielkiej armii w Mińsku, Witebsku, Mohylowie. W tych jego listach, pisanych pod świeżym wrażeniem wypadków, niektóre ustępy, np. opis promenady nocnej po pałacyj się Moskwie, przypominają najlepsze stronicie jego powieści. W Moskwie mieszkał razem z Daru w pałacu Sałtykowskim i nadziwić się nie może zbyt kom nieznanego sobie wschodniego przeprychu. „Tutaj jest mnóstwo osób z milionowym dochodem. W Wiedniu tacy ludzie poruszają się przez całe życie ze sztywną powagą i marzą o krzyżu św. Szczepana. W Londynie tacy mają ambicyę rządzenia krajem. Tutaj zaś pozostaje im tylko przyjemne urządzenie sobie życia“. Niedługo przecie wypadło popasać w zbyt kownych pałacach moskiewskich, niebawem zamienionych w popiół mściwą ręką Rostopczyna. Wypadło przeżyć wszystkie okropności rozpaczliwego odwrotu. Znosił je Stendhal z krwią zimną i spokojem i z tomikiem Voltaira, jedyną zdobyczą, jaką zabrał z Rosyi; „najlepsze w tem wszystkim, pisał z Wilna, że przynajmniej schudłem“ — a zawsze martwił się, że był za szeroki w pasie, tak samo, jak ubóstwiany przez niego lord Byron. Przed samem przejściem Berezyny oddał niepoślednie usługi, zaopatrując wygłodzoną armię w prowiant parudniowy. „Zniosłem dużo cierpień

fizycznych bez żadnej pociechy moralnej, — pisał jeszcze do siostry z Wilna — ale wszystko już zapomniane i gotów jestem rozpocząć na nowo służbę dla J. C. M.“.

Katastrofy pod Lipskiem i Waterloo zamknęły niepowrotnie służbę cesarską. Stendhal znalazł się na bruku paryskim, bez zajęcia, bez środków; został jednym z owych wielotysięcznych rozbitków napoleońskich, odmalowanych tak prawdziwie i ponuro mistrzowskim piórem Balzaca w „Scenach z życia wojskowego“. W ciągu dotychczasowej kilkunastoletniej aplikacji wojskowej za ledwo dosłużył się audytorstwa. Na odwadze mu nie zbywało, odwaga w Wielkiej armii rozumiała się sama przez się: wszakże talentów wybitnych nie okazał bynajmniej. Odznaczył się raz jednego, kiedy z małej mieściny w Brunświckiem, z owego Stendhalu, skąd wzięł swój pseudonim, wycisnął niepomierłą kontrybucyę wojenną: nie było wielkiej sztuki w takiej zasłudze biurokraty i poborcy. Odznaczył się później, jak wzmiankowaliśmy, w Orszy, przed Berezyną. Choć forytowany przez możnego Daru, jednak w ciągu tak długiej kariery wojskowej, obfitującej w najświetniejsze do odznaczenia się okazy, nie potrafił na wierzchu wypłynąć, prześcigany przez sprawniejszych lub zdatniejszych towarzyszy. Nie dziwo, ta zresztą: inni robili karierę, kiedy on tracił czas na kochaniu się, oglądaniu pięknych obrazów i słuchaniu dobrej muzyki. Naprawdę to „tracenie czasu“ było najwłaściwszą drogą do jego istotnego pisarskiego po-

wołania. Ale on długo sam z tego nie zdawał sobie sprawy. Ambitny był bardzo, tem ambitniejszy, że prawie zawsze był bez grosza; lubił podpisywać się z przydawką *de*, do którego nie miał prawa, marzył zostać baronem, bodaj prefektem. Przekonań politycznych nie miał żadnych, albo przynajmniej bardzo niejasne, sprzeczne i chwiejne. Był napoły za parlamentaryzmem na sposób angielski, napoły za samowładztwem na sposób napoleoński. Wprawdzie w owem swoim niezwyklej epitafium „medyolańskim“ położył w końcu słowa: „szanował jednego człowieka — Napoleona“. Jakież jednak było to poszanowanie, o tem można było przekonać się niedawno z niewydanych jego pamiętników o dworze cesarskim: pełno tam zwyczajnych, złośliwych plotek, które z drugich i trzecich ust musiał słyszeć, sam do cesarza rzadki miewając dostęp. Wogóle podobno upodobanie w plotkach częstym bywa kamieniem obrazy dla umysłów zanadto „subtelnych“; tak długo w swojej i cudzych duszach grzebać lubią, tak długo w drobnych rysach anegdotycznych szukają prawdy najprawdziwszej, aż ze zbytku subtelności wpadają w łatwowierne i zgryźliwe plotkarstwo. Sam wielki Taine poniekąd w podobny sposób potknął się w swojej przesubtelizowanej analizie duszy Napoleona. Gdybyśmy zresztą żywili jakiegokolwiek złudzenia na punkcie stałości politycznej Stendhala, ostatecznie rozwiałby je drobny i niepozorny dokument, który wyławiamy wśród ogłoszonych przez p. Farges *ineditów*. Jest to krótki liścik Beugnota do Talleyranda, gdzie po-

leca mu oddawcę, „pana *de* Beyle, który od łaski Waszej Wysokości spodziewa się nominacji na konsula we Włoszech; p. *de* Beyle jest to młody człowiek w pełni dojrzałości, nader oświecony, a przekonań umiarkowanych; zasługuje on na odznaczenie ze strony obecnego rządu“. Jakiż to był rząd? Rząd sług, co sprzedali swego pana. Zaś, pośród tych sług, dwóch było najbardziej zdeklarowanych zaprzaićców obalonego cesarza: Beugnot i Talleyrand; do jednego po rekomendacyę, do drugiego po łaskę przychodzi Stendhal. Biegnie, nie przychodzi: list rekomendacyjny Beugnota datowany jest w sierpniu 1814 r., dziesięć tygodni po abdykacji, po pożegnaniu w Fontainebleau starej gwardyi z cesarzem, którego „jednego szanował“, którego chleb przez lat czternaście jadł „p. *de* Beyle“. Jednak skutek tych zachodów był żaden. Mniej, niż dla kogokolwiekbyż innego, był przydatny dyletantyzm Stendhalowski dla ks. Talleyranda, realnego z krwi i kości męża stanu. I możemy wyobrazić sobie wybornie, jak sceptyczny, wytrawny znawca ludzi popatrzeć musiał swemi bladejmi, szklanemi oczynia na tego zanadto rozumnego, zanadto ambitnego, a przecie całkiem nieprzydatnego pe-tenta i jak z lodowątą uprzejmością, w której celował, odprawił go z niczem.

Ponowił starania Stendhal za następnych rządów Karola X. Swoją doskonałą znajomość powikłanych stosunków włoskich ofiarował na usługi reakcyjnemu ministeryum Martignaca, kiedy po zgonie Leona XII zależało na przeprowadzeniu elekcji przychylnego dla

Francyi kardynała. Stendhal życzył sobie, aby go wysłano z misją specjalną do Rzymu; podejmował się przeprowadzić wybór kardynała Gregorio, który był synem naturalnym Karola III hiszpańskiego, był więc z krwi Bourbonem, oraz pewnym przyjacielem Francyi bourbońskiej. Misja ta do skutku nie doszła. Chateaubriand, który jeszcze królował w literaturze, był wtedy ambasadorem francuskim przy Watykanie; drażliwy poeta żadną miarą nie chciał pozwolić, aby podrzędny kolega-literat brózdził mu w sprawach wielkiej polityki. Jak wiadomo, starania francuskie skutku nie odniosły; kunsztowna przemowa, jaką popisał się Chateaubriand przed zgromadzonem *Conclave*, żadnego nie wywarła wrażenia na kardynałach; obrany został Pius VIII, kandydat austriacki, wedle myśli i starań ks. Metternicha. P. Farges nie żywi najmniejszej wątpliwości, że gdyby skorzystano z usług Stendhala, stałoby się inaczej; nie podzielamy zgoła tego przekonania. Bądźco bądź, były Napoleonczyk w 1829 r. zupełnie nie w porę wybrał się z usługami do dogorywających już wówczas rządów legitymistycznych, które niebawem zmiotła zawierucha lipcowa następnego już roku. Nie stracił jednak kontenansu: nieco dalej w aneksach do jego korespondencji urzędowej znajdujemy nową jego prośbę, przedstawioną hr. Molému w sierpniu 1830 r., a więc nazajutrz po świeżej rewolucyi, kiedy nie zdążył jeszcze obechnąć pokost na nowowzniesionym tronie Ludwika-Filipa. Audytor przy napoleońskiej Radzie Stanu, petent ks. Talleyranda, doradca Martignaca, poleca się z kolei

ministrowi orleańskiemu. Zresztą, zbytnio wziąć mu tego za złe niepodobna, czytając w prośbie do Molégo takie wyznanie: „P. Beyle — tym razem pseudo-szlacheckie „*de*“ opuszczone, które w chwili reakcyi bourbońskiej mogło stanowić rekomendacyę — wyjaśnia, że pomimo 47 lat wieku i 14 lat służby jest obecnie pozbawiony zupełnie wszelkich środków do życia“. Taka brutalna presya życiowa nieraz okrutnie zgina i koszlawi charaktery najtwardsze. Teraz nareszcie biedny Stendhal szczęśliwie dopiął swego, dostał się na skromną posadę konsula francuskiego do swoich Włoch.

Do tych Włoch ukochanych, nieodżałowanych, ciągnęło go oddawna. Tutaj najlepsze zostawił wspomnienia. Tutaj kiedyś, tutaj raz jeden w życiu, był sobą. Jednak jeszcze teraz, w ostatniej chwili spotkał się z przeciwnościami. Już był urzędownie mianowany konsulem w Tryeście, kiedy nagle przyszła z Wiednia wiadomość, że Metternich odmawia mu swego *exequatur*, a nawet przez ambasadę austriacką w Paryżu zakłada formalny protest przeciw jego nominacyi. Metternich, wojując wtedy ciągle z karbonaryzmem, czy to w Lombardyi, czy bodaj w Galicyi, a przewidując ciężkie kłopoty ze strony młodych książąt Bonapartów, rozrzuconych po Włoszech, nie życzył sobie mieć w Tryeście, na stanowisku urzędowem, byłego audytora cesarskiego, którego nie bez powodu podejrzewał o zażyłe stosunki z patryotami włoskimi. Przeniesiono tedy Stendhala do Civita - Vecchia w państwie Kościelnem..

Czy odpłacił się Metternichowi, malując jego portret w osobie hr. Mosca z „Klasztoru Kartuzów“ — pozostaje rzeczą wątpliwą. Takie było zdanie Balzaca, powszechnie przyjęte. Nam by się raczej wydawało, że słynna postać ministra z epoki Restauracji, uwieczniona w tej powieści, wykazuje więcej rysów podobieństwa do innej, mniej znanej, a jednak nader ciekawej figury, do hr. Sauraua, posła austriackiego we Florencji, który później, z Wiednia, swoją działalnością policyjną dał się także dobrze we znaki naszej Galicyi w dobie rządów Metternichowskich.

Dotarliśmy nareszcie do właściwej treści robót dyplomatycznych Stendhala, do jego raportów konsulackich, lecz nie będziemy wielu słów o niej tracił. Mieści się w tych raportach bystrego obserwatora z małej miejsciny włoskiej trochę ciekawych przyczynków — wprawdzie nie do dziejów „Rzymu i Włoch w okresie 1829—42“, jak obiecuje tytuł książki, — lecz do lepszego zrozumienia niektórych rzeczy i ludzi w paru kątach państwa Kościelnego oraz Toskanii w 1832 i 33 r. Jakkolwiek zaś najczęściej konsul-poeta nie umie ujmować samych spraw bieżących z szerszego stanowiska politycznego, natomiast pojedyncze szczegóły miejscowe odślania zazwyczaj ze znakomitą przenikliwością i precyzją. Tak więc z pożytkiem można uzupełnić stopy dokumentów dyplomatycznych w zbiorach Bianchego, Cantù i innych, przy pomocy kilku ostrych a trafnych spostrzeżeń Stendhala o osobie i otoczeniu arcyksięcia Leopolda, tego ostatniego we Florencji pana habsbur-

skiego, którego ospałe rysy odnajdujemy zresztą ponownie na twarzy młodego księcia z „Klasztoru Kartuzów“. Ale takiego, istotnie ciekawego materiału historycznego niewiele mieści się w doniesieniach Stendhala. Wciąż odrywany od zajęć zawodowych przez sprawy czysto osobiste, nieustannie szukając nowych wrażeń, ciągle uwijając się po różnych zakątkach włoskich, po najrozmaitszych towarzystwach, zapełnia on swoje raporty treścią przeważnie anegdotyczną, często oczywistą plotką, kiedy indziej epigramatem. Wypadki doniosłe, których był świadkiem naocznym, wybuchy rewolucyjne w państwie Kościelnem w 1831 i 32 roku, choć często wzmiankowane w korespondencji, żadnego nie zyskują oświecenia. Zaś jakkolwiek konsul niejednokrotnie chwali się przed ministrem, że we wszystkich warstwach ludności, od tragarzy portowych w Civita-Vecchia, aż do książąt i kardynałów rzymskich, posiada wstęp i znajomości, jednak całkiem prześlepił narodziny „Młodych Włoch“ i wschodzącą gwiazdę Mazziniego. Jak dalece zresztą, przy całej swojej wyszukanej finezyi, nie potrafił włożyć się do najprostszych wymagań rutyny dyplomatycznej, o tem świadczy między innemi kapitalna anegdota, opowiedziana gdzieś przez Mérimée'go: okazuje się mianowicie, że Stendhal nieraz, posyłając ministrowi Brogliemu swoje najpoufniejsze cyfrowane depesze włoskie, do tej samej koperty kładł przez dystrakcję klucz swojej cyfry. Nadto, w ogólności, z niektórych jego projektów, dotyczących reformy w Toskanii, oraz z uwag, jakie nastęrcza mu wyprawa

francuska do Ankony, można wyprowadzić niechybny wniosek, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z przebiegu spólczesnej akcji wszechuropejskiej. Można także niechybnie orzec, że zbyt zaślepiony własną dla Włoch sympatią, łudził się on zbyt rzekomą sympatią Włochów dla Francji. Nie wsłuchał się dostatecznie w zięjące nienawiścią strofy gallofoba Alfieriego, nie dosłyszał wymownego ostrzeżenia, jakie spólcześnie wypowiadał Gioberti: „*Temo più gli amici francesi, che i tedeschi nemici*“. Wyobrażał sobie może Solferino i rok 1859; nie wyobrażał roku 1866, ani też, tembardziej, roku 1870, cóż dopiero tróprzymierza włosko-austro-niemieckiego przeciw Francji. Jeśli nie był dyplomata, jeszcze mniej był politykiem. Ostatecznie w całej swojej karierze dyplomatyczno - politycznej jeden tylko szczęśliwy pomysł miał Stendhal, gdy w 1836 r. wystarał się o dłuższy urlop do Paryża. Podczas tego wytchnienia z oficjalnych swoich trudów napisał „Kroniki włoskie“ i ostatnią wielką powieść, napisał kilkanaście stronic, które przetrwają najędrszy memoryał Metternicha.

M é r i m é e.

Prosper Mérimée nie pociąga jako człowiek, nie porówna jako artysta, niewiele nauczy jako historyk. Epikurejski dworak Napoleona III jest często nieprzyjemny, niekiedy jest odpychający. Nowelista przesuwając przed czytelnikiem figurki ciekawe, lecz jak gdyby wycięte ostremi nożycami, poruszane wprawą ręką reżysera teatru marynetek. Dziejopis goni za efektami powieściopisarza, i w dodatku zazwyczaj zapożycza się z drugiej ręki. Jego ostatnia powieść odbywa się na Litwie, ale jakiejś Litwie z tektury i drutów. Jego Maryna Mniszchówna to rodzaj ambitniejszej „Colomby“; jego Chmielnicki żywcem wzięty z Kostomarowa. Jednak mamy pewną słabość do Mérimée. Jest w nim zwężłość i wstrzemięźliwość. Dwie zalety, w piśmiennictwie współczesnym zastąpione przez natętne gadulstwo. Mérimée nie nadużywa czasu i cierpliwości czytelnika. Opowie jaką historię przejrzyście, dobitnie, krótko, i na tem koniec. Nie rezonuje, nie dziwi się łatwo, bo z natury jest podejrziwy i chłodny, bo zresztą

sam żył i widział wiele. Wykwintny i uczony bywalec, który zajmował się poezją, historią, archeologią, który widział rok 1830 i 1848, i przez cały czas trwania trzeciego cesarstwa stał w pobliżu tronu, jest postacią interesującą z wielu względów.

P. Filon, który go znał jeszcze z Tuileryów,—z czasów, kiedy sam był gubernierem nieszczęśliwego cesarzewicza,—napisał o nim książkę wcale ciekawą. Należy tylko żałować, że nie ograniczył się do rzeczy czysto biograficznej i wdał się niepotrzebnie w krytykę i erudycję. Pisząc żywot mistrza przenikliwej ironii, wysadził się na własne *esprit*, na finezyję krytyczną, najniefortunniej i najzbyteczniej, zwłaszcza po świetnem studium, poświęconem Mériméemu przez Taina. Również niefortunnie i zbytecznie popisał się erudycją. Z powodu ślicznej „*Vénus d'Ille*“ uczenie wyłuszcza, że fabuła wzięta jest z „kronikarza X wieku“, a mianowicie z Cornera, skąd odpowiedni ustęp uczoną łaciną dosłownie przytacza w aneksie. Owóż najprzód, „Nowa kronika“ Cornera pochodzi z XV wieku; powtóre, bliżej chyba było Mériméemu sięgnąć po tę bajkę do znanego „*Mons Veneris*“ (skąd już ją wziął Heine); a po trzecie, najprawdopodobniej zaczerpnął ją poprostu z „Grzegorza VII“ Villemaina. Balastem podobnej niepowołanej krytyki i chybionej erudycji obciążył i popsuł biograf swą książkę, lepszą zapewne od cikliwych romanseid, jakich nie przestaje płodzić na dobrowolnem w Anglii wygnaniu, ale która stanowczo byłaby zyskała, gdyby mniej było w niej rozmyślań p. Filona, a więcej

wyjątków z korespondencji Mériméego. P. Filon miał bowiem w ręku nader cenny, nieznany dotychczas materiał biograficzny. Cesarzowa Eugenia, której napisała książkę w wiernopoddaniczej dedykacji, udzieliła mu swoich wspomnień osobistych, oraz długoletniej (od 1839 do 1870 r.) korespondencji swojej matki, pani Montijo, z pisarzem „*Don Pedra*“. Inna interesująca korespondencya Mériméego, szereg jego listów do nieznaney damy, świeżo została ogłoszona drukiem. Nowe te przyczynki biograficzne, po ogłoszonych dawniej „Listach do nieznanomej“ oraz „Listach do Panizzzego“, pozwalają ująć w chronologiczną i logiczną całość żywot i pisma Mériméego *).

Mérimée należy jeszcze do zarania stulecia; lecz nietyle do romantycznej generacyi Mussetowskich „dzieci wieku“, ile raczej do pogrobowców ery „oświecenia“. Nie był nawet chrzczony. Ale nie więcej, jak w katechizm, wierzył w „Przedmowę“ do „*Cromwella*“. Jeśli zamłodu udawał romantyka, to dla żartów, w wybryku dobrego humoru. Miał lat dwadzieścia, kiedy wystąpił z pierwszą mistyfikacją, pysznym „Teatrem Klary-Gazul“, niby przekładem z hiszpańskiej pisarki, którą sam gołowąsy „tłomacz“ wyobrażał na okładce, odrysowany przez Delécluzę w dekoltoowanej sukni, z mantylką spadającą na oczy. Krytyka *Głoba* ogłosiła światu odkrycie żeńskiego Szekspira w Hiszpa-

*) Aug. Filon: „*Mérimée et ses amis*“. — Prosper Mérimée: „*Lettres à une autre inconnue*“.

nii; zupełnie tak samo, jak za naszych czasów krytyka *Figara* odkryła nowego Szekspira w Belgii. Druga mistyfikacja jeszcze lepiej udała się Mériméemu. Chciał z przyjacielem odbyć podróż po Turcyi, ale nie mieli pieniędzy. Oto jak sobie poradził: ogłosił najpierw opis naszego wojażu, a potem na koszt publiczności pojedziemy sprawdzić na miejscu, jak dalece nasz opis był do prawdy podobny. Tak powstała „*Guzla*“ (gęś!) illiryjska, z anagramu tamtej Hiszpanki, zbiór pieśni „ludowych“ Słowiańszczyzny południowej, napisana w dwa tygodnie, bez najlżejszej znajomości kraju i języka, — jak wiadomo, tłómaczona pięknie przez Puszkina, który, podobnie jak inni znawcy, dał się wprowadzić w pole.

Od niechcenia, dla kaprysu, jak wstąpił do literatury, tak samo wszedł Mérimée do nauki historycznej. Podróżował po Włoszech, Grecyi, Azji Mniejszej. Tutaj znalazł pochop do studyów rzymskich. Ale z jednej strony, zaraz wyjaśnia w liście poufnym, że ma na widoku li tylko wysłużenie sobie tytułów do Akademii Francuskiej. Z drugiej strony, interesował się Katyliną, jako obdłużonym rzymskim światowcem, zaś Cezarem dlatego, że też wcześniej wyłysiał i uwodził cudze żony. Z takiej intencji i takiej ciekawości powstało „Sprzyśiężenie Katyliny“ i „Wojna domowa“, pierwsze produkcje historyczne Mériméego, których do końca nie doczyta nikt, kto czytał Sallustyusza i Niebuhra. Obrany szczęśliwie po tym wysiłku do Akademii, dał już pokój Cezarowi. Wrócił do niego dopiero znacznie

później, kiedy Napoleonowi III pomagał, i bardzo pomagał — pomimo zaprzeczeń p. Filona — do napisania „Juliusza Cezara“, którego jeszcze w dodatku musiał nieborak sam pochwalić w *Journal des Savants*. Wszakże, jakkolwiek tak lekceważąco traktował zawód historyczny, posiadał przecież gruntowną znajomość dziejów klasycznych. Na stanowisku inspektora pomników starożytnych położył rzetelne zasługi. Powiedzano o nim, że jego raporty urzędowe i „*Notre Dame*“ Wiktora Hugo uratowały od zagłady resztę najpiękniejszych zabytków architektury rzymskiej i średniowiecznej we Francyi. Nie znamy tych raportów, ale znamy jego drobniejsze pisma archeologiczne, gdzie wszędzie widać nietylko dobry smak, lecz oraz wszechstronne czytanie. Niestety, widać też prawie wszędzie, jak gdyby wstydział się swojej nauki i koniecznie chciał pozować na dyletanta. Uchodziło to w drobnostkach, zaś w każdej większej pracy stawał się Mérimée tym sposobem istotnie tylko dyletantem. Jedyne wyjątek zrobilibyśmy dla „Historii Pedra I“, zajmującej a pracowitej i źródłowej, dla której był zakopał się na dłuższy czas w archiwach Barcelony, — co prawda, oddając się zarazem studyom mniej naukowym w obozach cygańskich na przedmieściach. Ale i tym razem pracował nie dla rzeczy samej, lecz uproszony przez panią Montijo, wielką wielbicielek kastylijskiego „Rzeźnika“, i dla niej też z Don Pedra Okrutnego zrobił prawie sympatycznego bohatera.

Nie myślimy, śladem p. Filona, zapuszczać się w głębokie rozmyślenia nad naturą stosunku Mérimée do matki cesarzowej. Utrzymywał z nią z Paryża stałą i obfitą korespondencję. Zdawał jej dokładne relacje z ewenementów, zabaw, plotek wesołego świata paryskiego, gdzie się wtenczas obracał. Taki jest zajęty temi sprawami, że poza niemi nic zgoła nie widzi. Wolteryanin zdeklarowany, ale dbający co najmniej tyleż o własną wygodę, co o światło powszechne, nie-nawidzący jednakowo Kościoła i Rewolucyi, odzywa się z jednakowym wstrętem i jednakową ślepotą o polityce Thiersa, amnestyi Piusa IX, odczytach Mickiewicza, propagandzie Lamennaisa i Blanca. Sumienny kronikarz salonów przedmieścia Saint-Germain i baletu Wielkiej Opery, nie dostrzega zbliżającego się końca wygodnych rządów orleańskich. Wiadomo, że rewolucya lutowa była większą niespodzianką dla Francyi, aniżeli dla Europy: listy Mérimée z 1848 roku, pisane z dnia na dzień, pod bezpośredniem wrażeniem wypadków, dają w tym względzie nowe, uderzające świadectwo. Wytworny, ironiczny pisarz literalnie stracił głowę. „Cóż zrobić z narodem tak zgangrenowanym, jak Francuzi!“ — w cnotliwym oburzeniu użala się przed swoją hiszpańską Egeryą, przed rodaczką Ferdynanda VII, damą dworu królowej Izabeli, — „...rewolucyę zrobiło paręset osób, które nie wiedzą, ani co robią, ani czego chcą“. Powstanie robotnicze z czerwca t. r. oszołomiło go do reszty. Najwięcej go przeraża, że ci ludzie nie kradną. „Widziałem rzeczy nadzwyczajne“, wynędz-

niałych insurgentów, co nie tykali kosztowności w stojących otworem pałacach królewskich i prywatnych: jest to gorsząca „anomalia“, jest to poprostu skutek „literatury melodramatycznej“, jaką przepojony jest lud prosty. Tego rodzaju wynurzenia w poufnej korespondencji Mérimée z panią Montijo są nadzwyczaj nauczące. Kto wie? może i sam Voltaire, gdyby był dożył wielkich rewolucyjnych przewrotów, a zwłaszcza, gdyby po nich był dożył słodkiej spokojności rządów Ludwika-Filipa, byłby pisywał do swojej pani Châtelet podobnym stylem, w podobnej chwili. Gdyż takie chwile krytyczne życia publicznego zwykle ujawniają rozpaczliwe ubóstwo świetnych umysłów a lichych serc, i pod startą pozłotą wykwintu i finezyi ukazują miedź sceptycznego samolubstwa.

Z objęciem rządów przez nowego prezydenta, nie-bawem cesarza, Ludwika-Napoleona, Mérimée się uspokoił. Wrócił do studyów. „Uczę się po rosyjsku. Może przyda mi się to kiedyś dla porozumienia się z Kozakami w Tuileryach“. Jest on właściwie pierwszym pośrednikiem pomiędzy Francją a Rosyą. Jest poprzednikiem pana Vogüé i jego dzisiejszej szkoły. Ale w intencji nieco odmiennej, — jak widać już z brzmienia słów powyższych. P. Vogüé miał czas wielu rzeczy zapomnieć. Mérimée jeszcze pamiętał; on o Rosyi miał informacye od swego przyjaciela i mentora, napoleońskiego dragona, Stendhala. Autor „Klasztoru Kartuzów“, rozbitek Wielkiej Armii, opowiadał mu o Moskwie, o Berezynie. Z ciekawością, lecz bez entu-

zyazmu, rozglądał się w Mérimée w historii i piśmienictwie rosyjskim. Tłómaczył Puszkina, pisał o Hoholu, Turgeniewie. W szczególności interesowały go dzieje kozactwa. W „Kozakach ukraińskich“ dał barwny obraz Siczy; w „Bohdanie Chmielnickim“, jak zaznaczyliśmy, trzyma się niewolniczo Kostomarowa. Chmielnicki „męnażował“ Rzplitą, „która dwukrotnie leżała mu u nóg“, nie poznała się na nim szlachta; „za Bałorego byłby on niewątpliwie pomógł do zmiany anarchii szlacheckiej na silny rząd monarchiczny“. Znamy dobrze tę wykładnię i wiemy, co o niej sądzić. Druga monografia kozacka: „Steńka Razin“, również jest dość słabą parafrazą z Kostomarowa. Więcej starań włożył Mérimée do książki o „Samozwańcu Dymitrze“, gdzie zużytkował dosyć obficie źródła polskie i rosyjskie; do tej pracy korzystał ze wskazówek Karola Sienkiewicza i czerpał z Biblioteki polskiej w Paryżu; niepotrzebnie tylko rozpisuje się zbytecznie nad dekoracją romantyczną wypadków i usiłuje z Hryszki koniecznie uczynić Polaka. Że zresztą cała jego erudycja polska miała dotkliwe luki, o tem świadczy następujące zapytanie, które znaleźliśmy w „Listach do nieznajomej“: „Staraj się pani dowiedzieć, czy miasto, które po rosyjsku nazywa się Lwow, nie jest czasem (*par hasard*) tem samym, co Lemberg w Galicyi. Wyświadczy mi tem pani wielką przysługę“. Takiej uczonej informacji zasięgał uczony akademik, drukując jednocześnie w *Journal des Savants* swoje uczone badania o kozaczyźnie.

Zresztą, w miarę ustalania się nowych porządków i sposobu życia za trzeciego cesarstwa, coraz mniej pracował i pisywał. Poprostu nie miał czasu. Mniejsza, że został senatorem, bo w senacie rzadko głos zabierał. Ale, zerwawszy z legitymistycznym Faubourg Saint-Germain, ulubieniec cesarzowej, która jeszcze z dziecinnych czasów przywykła widzieć w nim przyjaciela domu, a której potem — jak gdzieś wyczytaliśmy niedawno, bodaj czy nie w Pamiętnikach starego Housaye? — redagował czułe listy narzecznińskie do cesarza, Mérimée stał się niezbędną figurą w jej otoczeniu, przemieszkiwał w Tuileryach, Fontainebleau, Compiègne, pisywał libretta do owych osławionych żywych obrazów, był reżyserem owych dekolowanych żywych szarad, jakie tam urządzano *en petit comité*, jednym słowem, oddał się całkiem w dworską niewolę, pochlebną, wesołą, lecz zawsze niewolę. Wprawdzie zachowywał się względem pary cesarskiej bez uniżoności, ze swobodą dobrze wychowanego człowieka. Jednak tego rodzaju służba dworacka wydaje się być niczem innym, tylko nową odmianą dawnej roli pańskiego trefnisia, wydaje się być poniżeniem dla pisarza i uczonego, bądź co bądź niepowszedniej miary, poniżeniem w jego osobie nauki i literatury. Bezpłodność pisarska była słuszną i nieuniknioną karą za taką dobrowolną degradację.

Senator i domownik cesarski, próbował tykać się polityki. Czynił to najpewniej nie bez inspiracyi z góry. Nad tym epizodem zlekka prześlizguje się dzisiejszy

bonapartystyczny biograf. Można tutaj przecie bez niego się obejść, mając dwa grube tomy „Listów do Panizzzego“. Jeśli „Listy do nieznanym“, malujące trzydziestoletni platoniczny stosunek do odpornej przyjaciółki takiego na punkcie sentymentów realisty, jak Mérimée, są ciekawym dokumentem dla psychologa, — mniej czytane, mniej sercowe „Listy do Panizzzego“ są dokumentem wcale zajmującym dla historyka. Panizzi, patriota włoski, uczestnik rewolucji neapolitańskiej i piemontskiej, zaocznie na śmierć skazany, osiedliwszy się na stałe w Anglii, z polecenia Foscola i łaski lorda Broughama na nowozałożonym wtedy (1812) uniwersytecie londyńskim otrzymał katedrę języka i piśmiennictwa włoskiego, zaś niebawem został dyrektorem zbiorów Muzeum Brytańskiego, które uporządkował, zreformował, zubożył, i gdzie po dziś dzień można oglądać jego wielki biust ponad samem wejściem do czyteln. Niejedną myśl gościowi polskiemu musi nasuwać na tem miejscu widok mądrej głowy fortunego Włocha. O ileż łatwiej tym Włochom przychodziło radzić sobie na obczyźnie angielskiej. O ileż trudniej na francuskiej ich współczesnym towarzyszom polskim. O ileż ciężej Mickiewiczowi było w Sorbonie, niż Panizzemu w Muzeum Brytańskim. Sprytny Modeńczyk w krótkim czasie potrafił wyrobić sobie tutaj znaczne wpływy w stronnictwie wigowskiem, utrzymując zarazem ścisłe stosunki z Włochami, i to nie tylko w sferze robót Cavoura, lecz również, jak nie wątpimy, w obozie Mazziniego. Był to typ owych działających w cieniu,

na drugim planie, a niemniej skutecznie, niezmordowanych, niesłychanie sprytnych i rzutnych sprawców odrodzenia Włoch, typ niezbyt sympatyczny, ale jakże sprawny, karny, użyteczny, którego możnaby pozazdrościć emigracji włoskiej. Początek znajomości Mérimée z włoskim dyrektorem londyńskiego Muzeum był przypadkowy a wcale sympatyczny. Siostra Stendhala, będąc w nędzy do śmierci brata, ofiarowała na sprzedaż kilkanaście foliantów rękopisów łacińskich i włoskich, które dawniej z wielkiem trudem był zgromadził Stendhal, i z których był wysnuł swoje krwawe kronikarskie opowieści. Mérimée, stary jego przyjaciel i uczeń, serdecznie zajął się tą sprawą i podjął starania o nabycie tych rękopisów przez Muzeum Brytańskie. Przy tej właśnie okazji zapoznał się i wkrótce zaprzyjaźnił z Panizzim. Na wizerunkach, przydanych do „Listów“, wyglądają jak dwa kontrasty: Mérimée wychudły, z gładką twarzą aktora, a cierpiący; Panizzego opasła, ponura twarz anglicyzowanego Włocha. Lecz w gruncie rzeczy dosyć do siebie podobni, obadwaj epikurejczycy z przekonania i skłonności, pociągali się nawzajem mocą duchowego powinowactwa tyleż zapewne, co przez względy politycznego interesu. Pełno w tej korespondencji tłustych anegdot, niedwuznacznych dowcipów *à la* Rabelais, gruntownych rozpraw na temat rozmaitych win, sosów, pasztetów; a dopiero pod osłoną lekkiej gawędy przewija się dyalog czysto polityczny dwóch amatorskich dyplomatów. W tym dyalogu dowcip Francuza kapitułuje przed sprytem Modeń-

czyka, zupełnie tak samo, jak w całym historycznym dyalogu Francji a Włoch za Napoleona III.

W rzeczy samej, — i to właśnie najciekawsza, — w całym tym kompromitującym stosunku z Panizzim chodzi nie tylko o samego Mériméego, ale chodzi przede wszystkim o dwór cesarski, któremu on tutaj służył za narzędzie i pośrednika. W istocie ten stosunek oczywiście był inspirowany z Tuilleryów, Panizzi był wzywany do Biarritz, są ślady własnoręcznych do niego listów cesarzowej. Korespondencja z nim Mériméego rozpoczyna się w przeddzień wojny włoskiej, kiedy nie zdawała się być wyłączoną możliwość interwencji pruskiej na rzecz Austrii, kiedy zatem, dla przeciwwagi, bardzo wiele zależało na podnieceniu sympatyj angielskich dla sprawy wolnych Włoch. Co się zresztą tyczy osobiście Mériméego, to ten uczeń „Medyolańczyka“ Stendhala żywi dla Włoch jedynie sztuczną sympatię szperacza i niedowiarka, na którą składa się wstręt do klerykalizmu i chęć dostania się do sekretów watykańskiego archiwum, — i na tej strunie pseudo-liberalnej z niepospolitą sztuką gra Panizzi; — dla samej sprawy wolności i zmartwychwstania wielkiego narodu jest on w gruncie rzeczy najzupełniej obojętny. Na tym punkcie zapewne różni się senator od cesarza. Ale cały nastrój ogólny stosunku dygnitarza francuskiego względem włoskiego wygnańca, nastrój uprzedzający, uległy, prawie pokorny, stanowi doskonałą analogię do szczególniejszego, skrószonego stosunku Napoleona III względem Włochów i sprawy włoskiej. Pokornie

uniewinnia się Mérimée przed Panizzim z powodu preliminarzy z Villafranca. Winni są — nielada to niespodzianka — Polacy. „Polacy gotowi są wszystko popsuć, — zapowiada już w lipcu 1859 roku, — byle zemścić się za obojętność Europy; zajęli oni taką postawę, która pozbawia nas zupełnie poparcia ze strony Rosji a nawet może spowodować Rosję do wystąpienia przeciwko nam“. Pokornie tłumaczy się z aneksji Sabaudyi. Pokornie przeprasza za ciągłą odwołkę ewakuacji Rzymu. Cóż robić? kiedy ci niepoprawni Polacy nie przestają bróździć. To jest właściwy powód, zaiste znów dosyć niespodziany, że mimo najlepsze chęci niepodobna wycofać garnizonu francuskiego z Wiecznego Miasta i podać ręki Garibaldiemu. „Ci dyabelscy Polacy radziby cały świat podpalić“, uskarża się mocno zgorszony dalszym przebiegiem wypadków warszawskich, „oni nie przestają robić głupstw“. „Nie rozumiem i oplakuję propagandę lorda Russella“. Bardzo ostro, a poczęści nie bez zasady, odzywa się o znanej mowie ks. Napoleona w senacie francuskim. „Nie wiem doprawdy, azali, zabierając głos w tej sprawie, książę pragnął istotnie przysłużyć się Polakom. Jest to człowiek znudzony (*blasé*), który poszukuje rozrywki. Chodzi mu o sam efekt, jaki wywoła. O swoich klientów najmniej się troszczy“. Ostatecznie, hałaśliwa mowa książęca „miała ten tylko skutek, że Polacy utracili w senacie czterdzieści głosów“. To wszystko prawda. Ale co w tem znów najciekawsza, to utajony związek przyczynowy, łączący sympatyje włoskie i antypatyje

polskie Mérimée i jego przyjaciół. Ci przyjaciele, ci patrioci włoscy z realistycznej szkoły Cavoura, jeszcze nie mając pod ręką pomocy pruskiej, pragnęli aż do dna wyzyskać francuską; chcieli przeto, aby Francja zachowała na Zachodzie pełną swobodę działania, aby zatem nie angażowała się na Wschodzie. Tą samą dążnością przejął się od nich Mérimée. Przedstawiciel polityki włochofilskiej, stał się zarazem głosicielem prądów antypolskich na dworze Napoleona III. Stał się w zasadzie przeciwnikiem wszelkich w tym względzie usiłowań dyplomacji cesarskiej. Co więcej, nawet energiczna odpowiedź ks. Gorczakowa wydaje mu się zbyt miękka: „ja byłbym innym atramentem odpisać“.

Zwracamy uwagę, że Mérimée, protegowany przez ministra Foulda, był w złych stosunkach z Walewskim. To tłumaczy niejedno. Ale tkwi tutaj rys głębszy. Nazwaliśmy Mérimée pogrobowcem XVIII stulecia. Jest on nim w istocie, lecz tylko pod jednym względem. Jest niedowiarkiem szczerym. Jego niewiara płynie z głębokiego przekonania. Kiedy pobożna a szanowna przyjaciółka usiłuje go nawrócić i każe mu czytywać Pismo święte i ojców Kościoła, on czyta: lecz nad stylem łacińskim św. Augustyna i greckim tekstem ewangelii św. Łukasza czyni dowcipne uwagi wolteryjańskiego egzegety. Istotnie, jest on doskonałym okazem świetnego sceptyka wolteryjańskiego zakroju. Ale nie jest niczem więcej, z XVIII wieku nie wyniósł nic więcej. On całkowicie jest z partii Voltaira, lecz nie z rzęsy Jana Jakóba. Jeszcze mniej, niż w katechizm, wie-

rzy w „Umowę społeczną“ a daleko więcej się jej boi. Boi się polityki plebsu. Widzieliśmy, jakie nim miały uczucia w roku 1848. Teraz przed Panizzim, który mu potakuje, choć napewno myślał inaczej, wynurza się z serdecznym życzeniem, aby nareszcie udało się rozstrzelać tego awanturnika Mazziniego. Boi się nawet demokratycznych Amerykanów, i piorunuje na nieogłédnego Palmerstona, że nie przyjął propozycji Napoleona III uznania Stanów Południowych i tym sposobem opuścił okazję zdruzgotania niebezpiecznych Yankesów, którzy teraz wspierają burzycieli wszystkich krajów, Irlandczyków, papistów i fenianów. By należyście zrozumieć i ocenić wszystkie te żale i obawy napoleońskiego senatora, trzeba pamiętać nadto, że jest on bardzo podejrzliwy, i że do całej awanturniczej fortuny trzeciego cesarstwa nie ma szczególnego zaufania. Już w 1864 roku dyskretnie zapytuje swego przyjaciela, Panizzego, o warunki ulokowania renty dożywotniej w Anglii, bo we Francji ostatecznie wszystko jest niepewne; dla tego samego powodu nie może się zdecydować na nabycie willi w Cannes. A więc jest rzeczą bardzo naturalną, że żywi wstręt do podejrzanych poruszeń plebsu wszelkiej narodowości, że drży na samą myśl o „komplikacyach“, że głosuje za abstynencyą, że niecierpliwie wyczekuje „zapanowania porządku“.

Śród trosk i niepokojów, jakie sprawiało Mériméemu „awanturnictwo“ Polaków oraz „lekkomyślność“ Walewskiego i Palmerstona, znalazł on przyjemność i ulgę w znajomości, którą zrobił w Biarritz, jesie-

nią 1864 roku, z obiecującym, z prawdziwym mężem stanu. „*C'est un grand Allemand* — pisze do panny Dacquin (do swojej „nieznajomej“), — *qui n'est point naïf. Il a l'air absolument dépourvu de Gemüth, mais plein d'esprit. Il a fait ma conquête*“. „Wydał mi się człowiekiem zupełnie *comme il faut*, — zachwyca się w innym liście, — jest dowcipniejszy, niż możnaby się spodziewać od Niemca, jest jakby Humboldtem dyplomacy“. Któż jest ten sympatyczny mąż stanu, który tak trafia do przekonania senatorowi Napoleona III? Nikt inny, jeno pan von Bismarck. Jeszcze w czerwcu 1866 r. znajdujemy w listach Mérimée'go pobożne życzenie, oby tylko nieba strzegły drogocennego zdrowia p. Bismarcka, bo gdyby on, broń Boże, przedwcześnie zeszedł z tego świata, Prusacy z Austryakami niechybnie podaliby sobie dłonie, a wtedy nie będzie wojny, a wtedy Włochy nie dostaną Wenecyi. Nie wytrzeźwiony nawet po Sadowie, tryumfująco woła w lipcu t. r.: „Pan v. Bismarck jest moim boliaterem“. W 1868 roku pisze: „jedyny Bismarck powstrzymuje partycję najeźdźczą w Prusach; podobno jest chory; oby tylko nie umarł, gdyż wtedy położenie stałoby się poważnem“. I jeszcze po wypowiedzeniu wojny, którą zresztą z początku bierze dziwnie lekko, jeszcze w liście z 25 lipca 1870 r., subtelny, przenikliwy, sceptyczny pisarz „*Lokis*“ i „*Don Pedra*“ z naiwnością iście dziecięcą wyraża ubolewanie, że w Emsie u króla nie było pocziwego hr. Bismarcka, gdyż on napewno byłby wszystko załagodził i nie dopuścił do zerwania.

Ale oto rozpoczyna się wojna. Straszliwe ciosy w straszliwie chyżem następstwie spadają na Francję. Przychodzi Seden. Mérimée w imieniu cesarzowej zmuszony zebrać rady, ratunku, u tego samego „małego Thiersa“, którego nazwisko, z przydatkiem złośliwych dowcipów, tak często napotyka się w jego korespondencji. Prezydent Thiers sam zdał sprawę z tego epizodu, z nagłych błagań wysłańca cesarzowej, któremu oczywiście odmówił, bo musiał odmówić, bo nie było już ani komu radzić, ani kogo ratować. Jakże teraz sam musiał czuć się małym Mérimée, kiedy z tą beznadziejną misją wypadło mu stanąć wobec kolegi po piórze, który był naprawdę historykiem i naprawdę mężem stanu. Mérimée, zgnębiony, śmiertelnie chory, wyjechał do Cannes. Jego ostatnie listy—a ciągle do włoskiego przyjaciela, który teraz może być kontent, bo teraz wejdzie do Rzymu, zostanie senatorem Włoch zjednoczonych, przeżyje swoich francuskich protektorów,— tchną rozpaczą. W tych listach już niema epigramatów, są jednym jękiem. „*Finis Galliae*“ pisze drżącą ręką do Panizzzego. Wtedy okupił długie życie szczęśliwego samoluba. I wtedy, stary, sam na sam z pustką błyskotliwej przeszłości, skruszony do głębi duszy, złamany nieszczęściem swego narodu, w agonii duchowej, gorszej od fizycznej, stał się sympatycznym Prosper Mérimée.

„Epik“ nienawiści.

Kiedy niedawno, w wieku sędziwym, syt uznania i rozgłosu, zamknął oczy Gustaw Freytag, nie żałowano mu w całych Niemczech pogrzebowego kadzidła. Rozległy się zewsząd panegiryki pozgonne, na wysoką, gdzieś tam na najwyższą, nastrojone nutę. Jednocześnie zaręczono mu nieśmiertelność. Wskazano mu honorowe miejsce wieczyste we wspinałym Panteonie literatury niemieckiej. A nawet przy tej okazji wyznaczono dokładniej owo miejsce pośmiertne, które do tychczas, za życia pisarza, pozostawało dosyć nieokreślonym. Czem on był w istocie? Czy artystą? Przecież odżegnywali się od niego prawdziwi poeci niemieccy. Odmawiali mu natchnienia—podobno całkiem trafnie,—a kłaniali się przed jego głęboką nauką i odsyłali go do historii. Czyli zatem uczonym? Aliści z kolei odżegnywali się od niego rzetelni historycy niemieccy. Odmawiali mu wiedzy—znów podobno wcale zasadnie—a wielbili jego twórczą wyobraźnię i odsyłali go do poezji. Teraz nareszcie zagadka została rozwiązana. Zgodzono się nad grobem Freytaga na polubowne roz-

strzygnięcie. Ogłoszono go wielkim „epikiem“ wielkich Niemiec społecznych. Nie będziemy spierali się o tytuł. Ale eposowe twory tego wszechniemieckiego epika w przeważnej części pisywane były na polskiej skórze. To jest okoliczność, dla której warto obejrzeć, chociażby jak najpobieżniej pisarza i jego dzieło, ogromne, beznadziejnie ogromne, dwudziestotomowe z górą, dzieło piśmiennicze Gustawa Freytaga *).

„Wspomnienia“ Freytaga, umieszczone na czele jego „Pism Zbiorowych“, zaczynają się aż od — XIII wieku. Wtedy mianowicie nad Prosną pojawił się antenat, osadnik rdzennie germański z nad Renu, przywołany przez barbarzyńskich Piastów dla ogładzenia Śląska, i przyniósł rdzennie germańskie nazwisko „Freytag, t. j. Fridutag“. Jeden z potomków tego teutońskiego męża poślubił prawowitą Germankę, godną niewiastę, zowiącą się „Wütherich, t. j. Wuotanrich“. I tym sposobem, na dalekiem pograniczu wschodniem, „dwoje prastarych bogów germańskich, Freya i Wodan, podało sobie ręce do chrześcijańskiego związku“, skąd po szeregu wieków miał wykwitnąć *Hofrath* gotajski. Trzeba przyznać, iż z takim *Hofrathem* niema żartów. Paprocki, dla swoich magnatów, cofał się po koligacye do Gedymina, najdalej — do którego patrycyusza rzymskiego. Radca dworu niemiecki wyższą żywi ambicję.

*) „*Gesammelte Werke*“ 22 Bande. — Osobno wydane pośmiertnie: „*Vermischte Aufsätze aus den Jahren 1848—1894*“.

On sięga aż na Walhallę. Jest atoli obawa, że w tym przybytku eddyjskim nie znajdzie spokojnego przytułku ambitny pamiętnikarz-genealog, kiedy tam obecnie po śmierci zapuka. Chociażby prześlepili szalbięstwo rzekomi praojcowie, zadumany Odyn i niespokojna Freya,— niezawodnie szyderczy Loki, „mądry syn Lowei“, bóg sprytu i obłudy, co sam umiał przebierać się za dziewczę, pozna się na sfalszowanym rodowodzie nowego przybysza, pod gotajską suknią dworską i orderami pruskimi pozna tego potomka śląskiego Piąta i Wścieklicówny, i tego przebranego *Wasserpólaka* sromotnie wygna z Walhalli.

Nie odrazu trafił Freytag na właściwą drogę. Zaczął od docentury we Wrocławiu, gdzie uczciwego Stenzela miał za kierownika, zacnego Roepella miał za kolegę. To byli ludzie niedzisiejszej daty. Przystępował Stenzel jako człowiek sumienia do swoich dziejów Prus nowoczesnych. Przystępował Roepell jako wielki uczo-ny do swoich dziejów starożytnej Polski. W takim otoczeniu, pod takim wpływem, młody docent wrocławski, postępowy Ślązak Freytag odzęgnywał się jeszcze od rządowego absolutyzmu pruskiego, a nawet przyznawał się ostentacyjnie do szczerych sympatii polskich. Zdarzało mu się wtedy popełniać czułe wiersze polonofilskie, które pewnie tylko przez niedopatrzenie dostały się do zbioru „Pism“. Gdyż oczywiście nie pasują one wcale do tego zbioru i dziwnie tutaj rażą. Zaś nie dlatego rażą, że lichy, bo dość w tych dwudziestu kilku tomach lichoty, niema zgoła arcydzieła. Ale

te wiersze nie rymują się z prozą. To są wstydlive grzechy młodości, kiedy autor jeszcze grzesznym, nieopatrznym był chłopakiem. Takim grzechem jest łzawy poemat o „Żebraku polskim“, który we wrocławskiej katedrze oplakuje zabitego syna, spaloną chałupę, ziemię utraconą, napróżno przed obcymi ludźmi się żali, napróżno na ścianach obcego kościoła szuka swojej „*Mutter von Czenstochau*“, i wreszcie pada trupem od nadmiaru niedoli: — niefortunna imitacja Heinowskiej „Pielgrzymki do Kevlaaru“ i niektórych pieśni Plate-na, lecz pomyślana w intencjach najczulszych, zgoła nie tępiciejskich. Początkujący docent i pisarz jeszcze wówczas był czuły, przyjaźnił się z demokratami, w ich wydawnictwach ogłaszał pierwsze próby pióra. Był jeszcze w obłędzie. Był na fałszywej drodze. Ta droga nie prowadziła do zaszczytów, o jakich marzył ambitny młodzieniec.

Przełomowy rok 1848 nie pozostawił pod tym względem żadnych wątpliwości. Demokracja niemiecka została pobita na wszystkich punktach. Ci, co wyszli nieskompromitowani, — inną drogą podążyli odtąd. Należał do nich Freytag. Przeniósł się do Lipska, poznał z nowymi ludźmi, zaczął wydawać pismo „*Grenzboten*“, gdzie propagował już czysto pruskie idee zaczepne. Grono młodych działaczy, jacy się tutaj skupili, to był rodzaj dzisiejszych liberałów narodowych „w jajku“. Upominali się o praktyczność, o realizm, w sztuce i w życiu. W literaturze uderzali zarówno na ostatnie przebliski romantyzmu, podejrzanego dla mniemanych

sympatyi klerykalnych, a w szczególności katolickich, jakoteż na luźną, zapalną twórczość Młodych Niemiec, podejrzaną dla swoich sympatyj francuskich a w szczególności polskich. W polityce zwalczali gwałtownie republikańców z Frankfurtu, starannie podkopali dążenia austriackie, przedewszystkiem zaś bojeowali za wszechniemiecką misję Prus. Tu w Lipsku, na najczystszej ziemi saskiej, niegdy tak ściśle związanej z polską, oni podjęli i ugruntowali robotę ultra-pruska i antypolską, — która istotnie do dziś dnia z Lipska zrobiła drugą zaraz po Berlinie kwaterę główną hakatyizmu. Już tutaj, w długim szeregu „Artykułów politycznych“, poczynił Freytag wtrącać denuncjacje przeciw „hrabiom z kosynierami“ i ostrzegać, aby nie tykano polskiego „trupa“. „Co najwyżej w tym trupie można wywołać kilka wstrząśnień galwanicznych“, pisał w chwili krytycznej, stając śmiało, wbrew ówczesnej opinii niemieckiej, w obronie konwencji lutowej 1863 r. Co jednak najwięcej uderza w tych artykułach, przedrukowanych obecnie w dwóch obszernych działach zbiorowych p. t. „Prusy“ i „Austria“, to systematyczne, nieustanne, pod pozorami życzliwości, wycieczki podjazdowe przeciw polityce wiedeńskiej, i równie wytrwała, tylko śmielsza, apologia polityki berlińskiej w tym okresie. „Pozwalam sobie oświadczyć, iż jestem dobrym Prusakiem, najpierw Prusakiem, a potem dopiero wszystkiem, czem chcecie, Niemcem i obywatelem świata“, pisał już w 1849 r. A w 1866 roku piorunował na „niesłychaną koalicję państw związkowych,

sprzysiężonych w nocy przeciw Prusom“, i wołał „*vorwärts*“ na Wiedeń.

Mimo taką gorliwość, a może raczej dla zbyt ku gorliwości, w czasie wojny krymskiej przytrafił mu się przykry wypadek. Za niedyskrecję dziennikarską gorący obrońca Prus miał wydany na siebie w Berlinie „tajny“ rozkaz uwięzienia. Uprowadzony naturalnie zawczasu przez życzliwych przyjaciół, schronił się do Gotha. Ojczyzna kalendarzyków dworskich oddawna była ośrodkiem rozległych, choć zakulisowych, wpływów politycznych. Od owych czasów, kiedy w 1795 r. stara księżna z trzema córkami wyjechała na północ szukać nowożeńców, skromny dwór książęcy urósł w znaczenie i zajął stanowisko wyjątkowe wśród liliputowych dworów niemieckich. Panujący książę Ernest gościnnie przyjął Freytaga, pisarza zdrowych zasad, który w dodatku miał coś z demokracji i przestępcy politycznego. Książę w takich mieszaninach gustował. Znamy dziś dość dobrze Ernesta IV z jego ogłoszonych niedawno „Pamiętników“. Dyletant w polityce i muzyce, zatracił on trochę księciem z karykatur Hoffmannowskich. Popularyzował się w domu, bawił w demokrację, kierował repetycjami swoich lichych oper i rozprawami nad swoją lichą konstytucją, prezydował w stowarzyszeniach strzeleckich i śpiewackich, rozdawał nagrody, wznosił przed lojalną publicznością wolnomyślnie toasty. Potem, dla odpoczynku, śpieszył do Paryża, aby pierwszy powitać Napoleona III, biegał z Berlina do Wiednia, z Londynu do Brukseli, wszędzie spo-

krewniony lub spowinowacony, ciekawy, ruchliwy, istna *mouche de coche*, wydając sekrety, ostrzegając, pośrednicząc, — w gruncie rzeczy, szukając wrażeń. Pod skrzydłem takiego opiekuna, który go polubił, zrobił swoim lektorem i radcą dworu, w tym światku, wiecznie politykującym, mającym zawsze „czucie“ z wielkim światem mocarstw, toczyło się odtąd życie Freytaga i rozwijała jego twórczość literacka, stale teraz zabarwiona wyrachowaną tendencją polityczną.

Tutaj w Gotha powstała nasamprzód wielka powieść „Ma i winien“, którą autor przypisał swemu księżecemu dobroczyńcy. Już poprzednio kilka niezgorzszych komedyi i słabych dramatów zyskało Freytagowi rozgłos; lecz dopiero ten utwór uczynił go sławnym. Nie nasza rzecz ocena romansu, który ma treść zajmującą, przejrzystą budowę, język naturalny, i pod niejednym względem wyróżnia się dodatnio od nowszej literatury powieściowej niemieckiej. Zresztą, gdybyśmy mieli własną wyrazić opinię, wskazalibyśmy na poprzedników, od których Freytag wzięt więcej, aniżeli chciał przyznać: na Auerbacha, który nierównie więcej ma sinaku, bodaj nawet na Immermanna, który napewno ma więcej wdzięku. Wszakże mało nas obchodzi estetyka romansu. Są w nim natomiast, jak wiadomo, pewne rzeczy, które nas obchodzą w szczególności, są piękności całkiem specjalnego gatunku. A więc jest „Wohlfart“, kupiecki Fortunat, co przychodzi w Poznańskie, aby nareszcie ład niemiecki wprowadzić do „polskiej gospodarki“. Są polscy złodzieje i oszuści,

różni panowie „Bratzky“, „Turowski“, którzy zrywają herby pruskie, biorą w twarz od dzielnego Fortunata, i idą do więzienia. Jest „*hohes Slavenschloss*“, skąd garstka Niemców strzela do oblegającej polskiej dziczy. Jest, jednym słowem, świadoma, otwarta prowokacja do śmiertelnej walki plemiennej. Ten jad, w dodatku, nie płynie bynajmniej ze ślepego, instynktownego szowinizmu, lecz sączy się z wyrozumowanej logiki tępi-cielskiej. „Jakikolwiekbyś sprawy i interesa mnie, jednostkę, sprowadziły tutaj, — teraz ja tu stoję jako jeden ze zdobywców, którzy w imię wolnej pracy i ludzkiej kultury odebrali słabszej rasie panowanie nad tą ziemią“. Tak przemania bohater „Wohlfart“, z udaną dobrą wiarą szowinisty; lecz kiedy słabszy jego towarzysz, przesądny „Finck“, syn dawnych, niepraktycznych Niemiec, jednakowoż przyznaje się do pewnych skrupułów sumienia wobec nieprawnej i nielitościwej roboty eksmisyjnej, wtedy całkiem innym głosem odzywa się bohaterski Fortunat, dwujęzyczny logik, „subtelny Hamlet w dziegiowych butach“, jak tego narodo-wo-liberalnego kolonistę, tego reprezentanta nowych Niemiec, z dumą określa wtórujący mu pisarz. A więc dobrze, „mniezem lub podejściem, układem lub zasadzką, wszelkimi sposoby zdobyto te kraje, w epoce, gdy w pozostałych Niemczech wszystko było nędzne i martwe, zbudowano państwo z pni zgniłych i potrzaskanych“; aliści, chociażby nieprawe i gwałtowne były niegdyś początki, przecież mimo wszystko teraz, w dal-szym ciągu, zaczęta przez przodków robotę obowiąz-

kiem jest dokończyć dla potomnych. Trzeba dobrze zapamiętać tę wykładnię: albowiem ona staje za wyznaniem. Trzeba dobrze zapamiętać to znamienne zjawisko literackie: albowiem ono po raz pierwszy w formie popularnej, przystępnej dla tłumów, rzuciło w Niemczech nieubłagane hasła polakożercze. To jest w całym znaczeniu słowa programowy romans hakatyizmu.

Niezwykłe powodzenie pierwszej powieści, mniejsze, lecz jeszcze znaczne sukcesy rozwlekłej, nudnej historii „Zaginionego rękopisu“ otworzyły Freytagowi wstęp do sejmu Rzeszy, gdzie wszakże mało go było słyhać. Podczas wojny francuskiej towarzyszył następcy tronu, późniejszemu cesarzowi Fryderykowi. Pierwotnie, póki książę Ernest gotajski jeździł na premiery do Paryża, jego lektor ostrożnie odzywał się o cesarzu Francuzów. Kiedy w 1859 roku książę w sekrecie przykładał się do projektowanej interwencji pruskiej przeciw Francji, współpracownik „*Grenzboten*“ już ostro napadał na Napoleona III za odstąpienie Wenecji. Teraz, podczas wojny 1870 r., gość pruskiej kwatery głównej oczywiście jest nieubłagany. Jego wybuchy nienawiści są w swoim rodzaju nieoszacowane. Ten farbowany *Wasserpolek*, ten nieczysty mieszaniec, pod osłoną oblegających armat pruskich, zdobywa się na kapitalne słowa pogardy dla nędznych, zdegenerowanych „Keltów paryskich“.

Odnowienie cesarstwa niemieckiego postanowił uwiecznić Freytag dziełem monumentalnem, wielką epopeją narodową. Wtedy mianowicie miał on wysłu-

żyć sobie wysoką godność narodowego „epika“. Wtedy to powstał potworny cykl „Przodków“, długie dzieje Rougonów germańskich, wlokące się przez czternaście stuleci, gdzie pod zbieraną, nieporządną erudycją, pod stylem naprzemiany napuszonym i pospolitym, znikły ostatnie ślady pierwotnego talentu autora. Już część pierwsza, „Ingo“, odbywająca się w puszczach Turyn-gii, „w 357 roku“, objawiła nieznośną manierę i zupełną niemoc eposowego przedsiębiorcy. Mniejsza już o nieuctwo: Chateaubriand jeszcze mniej umiał, kiedy, wyprzedzając Thierrego, pisał „Męczenników“; lecz jego Gallię V wieku ożywia tchnienie szczerzej intuicji poetyckiej, której niemasz ani cienia we współczesnej Germanii Freytaga, mimo całą obfitość zużytych dzie-wic, kapłanów, wojowników i rogów bawolich. Co prawda, w tych czasach odległych politycznemu epikowi brakowało jeszcze Słowianina. Brakowało Polaka. Brakowało kozła ofiarnego. Brakowało, tem samem, najobfitszego źródła wojowniczych natchnień. Cóż, kiedy nie było jeszcze wtedy w dziejach autentycznego Słowianina-Polaka. Nie było jeszcze z kim wojować ani kogo gromić. Powetował sobie Freytag sowicie te pierwsze niedobory w dalszym ciągu swojej ogromnej epopei. Już w „Ingrabanie“ śmiały Niemiec-Turyngczyk ostatecznie bierze szczęśliwie górę nad krwiożerczym wodzem słowiańskim „Ratizem“, i zrywa z głowy zabitego „skrzydła białego orła“, — co wszystko dzieje się „w roku pańskim 724“. Należy zwrócić uwagę na tę szczególną datę, na ten znamieny rok 724, tak

mądrze obrany. Ten rok, ta data mają swoje głębokie, „eposowe“ znaczenie. Przepowiadają one akurat na tysiąc lat z góry inny krwawy epizod w dziejach germańskiego męczeństwa od słowiańsko-polskiej swawoli: przepowiadają „rzeź toruńską“ w 1724 r. Jest to *rendez-vous* za okragłe lat tysiąc — bagatela! W „Braciach zakonnych“, w XIII w., pobożni Krzyżacy, wspaniały „Ivo“ i roztropny brat „Sibold“, ciągną w imię Boże „nad rwiste nurty Wisły“ i fundują Toruń. W „Markusie Königu“, bohater tytułowy, potomek tamtych starzych Turyngczyków i Krzyżaków, „w r. 1519“, widząc spółbraci, oddających się pod opiekę „pana Pietrowski“ i króla Zygmunta, nie może znieść tej sromoty, opuszcza za synem Toruń, i na odchodnym rzuca zaślepionym rodakom wieszczce słowa, Kassandrową przepowiednię, która się ziści za lat dwieście: „nadejdzie dzień, kiedy na rynku toruńskim wzniesie się czarne rusztowanie, skąd Polacy zrzucą będą głowy dzieci waszych“. Ten dzień nadchodzi w „Kapralu pruskim“; młody „König“, wnuk tamtego z XVI wieku, teraz teolog luteraniski, jest świadkiem śmierci radców toruńskich „w r. 1724“, i bieży na skargę do jedyne go obrońcy przeciw gwałtom polskim, do Fryderyka Wilhelma I, — nie do tego wytrawnego spekulanta, który pod pozorem sprawy toruńskiej sprytnie znegocjował traktat hanowerski 1725 r., lecz do biednego króla patriarchy, który żałośnie załamuje ręce nad swoją bezsilnością wobec polskiej przemocy. Nakoniec w „Zamknięciu“, wśród zawieruchy rewolucyjnej 1848 r., naj-

młodszy potomek tyłu sławnych przodków, właściciel tak imponującego drzewa genealogicznego, jakie wymarzyć może jedynie twórca heraldyczna wyobrażenia rzeczywistego radcy dworu z Gotha, już gotów jest popełnić głupstwo i wdać się z hołotą; — ale czuwa nad nim opatrność; w ostatniej chwili ciska on na ziemię karabin, albowiem „nagle usłyszał, jak człowiek, wydający rozkazy na barykadzie, zwrócił się do towarzysza w mowie polskiej“.

Lecz doprawdy, mamy tego dosyć. Możnaby wskazać jeszcze popularne „Obrazy z przeszłości niemieckiej“, kompilację na szeroką skalę, gdzie część względnie najlepszą stanowią wyjątki ze starych kronik i autorów, tłómaczone zresztą niezręcznie i nieściśle; jest to jakby wstęp do „Przodków“, tylko w postaci pseudonaukowej zamiast powieściowej, na czym nie zyskała ani wartość książki, ani tendencja. Można wskazać inne jeszcze podobne partye w tych wielotomowych „Pismach Zbiorowych“, przeniknione jednakowym duchem, jednakowo tendencyjne, wojownicze, zaczepne, jednakowo obliczone na najszerszą i najgorszą popularność. Lecz ofiarowane główne próbki starczą chyba w zupełności. Reszcie wolno dać pokój. Wolno też na mocy danych wskazówek określić bez pomyłki rzeczywisty charakter twórczości i wpływu tego pisarza. Zdobył on sobie istotnie znaczną popularność w Niemczech dzisiejszych. Jego rzeczy czytowane są dzisiaj po wielu domach niemieckich, po spokojnych domach, gdzie dawniej kształcono się na czystem i szlachetnem

natchnieniu wielkich geniuszów poezji niemieckiej, a gdzie społeczne pokolenie kształci się na nędznych i złośliwych elukubracyach śląsko-gotajskiego „eposowego” działacza. Gdyż niczem innym nie jest ten rzekomy poeta, jak tylko twardym, zaciętym działaczem politycznym, który swoim pseudo-poetyckim apostołstwem wyprzedza o lat kilkadziesiąt złą wieść haka-tyzmu i zarazem toruje jej drogę, pacząc i znieprawiając pojęcia i uczucia swojego narodu względem słabszej narodowości sąsiedzkiej. Lichy „epik” lichych niskich instynktów zaślepionej przemocy, „epik” nienawiści narodowej i plemiennej, — taki był i pozostanie prawdziwy tutaj piśmienniczy Gustawa Freytaga.

Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej.

Autor mało dotychczas u nas znany, p. S. S. Tatischev, jest to niezawodnie umysł zdolny, bystry i rzutki. Lecz jest to zarazem pouczający przykład niepomysłnych wyników niedość zrównoważonej a nadto zbyt wszechstronnej ambicyi. Istotnie, miał on z kolei ambicyę zostać wielkim dyplomatą, wielkim historykiem, wielkim publicystą. Owóż wszystkie te ambicje zawiodły. Ani w pałacu petersburskiego ministerium spraw zagranicznych pod Arką Aleksandryjską, ani w gmachu petersburskiego Towarzystwa Historycznego przy moście Targowym, ani nawet w cenniejszych redakcyach petersburskiej prasy peryodycznej, nie umiano poznać się należycie na potrójnych talentach tego polityka, uczonego i dziennikarza, przybyłego nad Nową Moskwę, z tamecznej potrójnej szkoły Pogodina, Katkowa i p. Gringmutha. Dzisiaj, jeśli się nie mylimy, p. S. S. Tatischev, porzuciwszy pierwotne, zbyt sangwiniczne i różnolite dążenia, dojrzały i doświadczniejszy, zadowolił się skromniejszą działalnością w jed-

nym specjalnym zakresie gospodarstwa publicznego, gdzie niewątpliwie, przy swoich dużych zdolnościach oryentacyjnych, w rzeczy samej może być użyteczny. Natomiast można już dzisiaj stwierdzić z rezygnacją, ale z całą pewnością, że wielka karyera polityczna, naukowa i dziennikarska tak wiele zapowiadającego pierwotnie działacza jednakowo nie dotrzymała swoich zapowiedzi. Na jego obszernych memoriałach, jego grubyh książkach, jego długich artykułach spoczęła jednakowa pieczęć dość uzasadnionego zapomnienia. Wszelako za tyle zawodów jedna przynajmniej, i to najniepodziąnsza, nadeszła nagroda. Ziściła się jedna i taka ambicya, jakiej niechybnie nie żywił nigdy sam p. S. S. Tatischev. A mianowicie jeden z jego utworów oczekiwał się przekładu polskiego. Polski tłumacz uznał za stosowne zdjąć tamtą pieczęć zapomnienia z jednej z najlepiej zapomnianych przygodnych rozprawek dyplomatyczno-historyczno-publicystycznych p. S. S. Tatischewa, wprowadzić go w ten sposób poniekąd do piśmiennictwa naszego i prezentować, jako nauczyciela dziejów i rozumu stanu, czytelnikom polskim. Tak powstała książka niniejsza *).

Nie mamy żadnego powodu wątpić o dobrej wierze bezimiennego zresztą tłumacza tej książki. Tem więcej atoli mamy powodu wątpić o jego dostatecznej informacji. A nawet niemal pewni jesteśmy, że jeśli podjął

*) S. Tatischev: *„Dyplomacya rosyjska w sprawie polskiej 1853—1863“*.

się obecnego przekładu, uczynił to jedynie skutkiem kardynalnego nieporozumienia zarówno względem treści tłumaczonego pisma, jakoteż względem osoby tłumaczonego pisarza. W takim przypuszczeniu utwierdza nas przedmowa, dodana do niniejszego przekładu. „Autor — tak zapewnia nas tutaj tłumacz polski — niezawsze umiał sięgnąć do głębi wypadków, ale z tem wszystkim zasługuje na poznanie“. „Rzecz — tak jeszcze upewnia — pisana jest bezstronnie, spokojnie, i z powagą oraz chłodem naukowym“. Owóż w tych właśnie, niezawodnie szczerych, zalecających zapewnieniach tkwi pewna niedokładność. Po pierwsze, w ogólności, p. S. S. Tatischev jako historyk nie zasługuje zgola na poznanie. A powtóre, w szczególności, ta jego książka pisana jest stronnie, gwałtownie i z dezynwolturą oraz zacięciem czysto polemicznem. Tłumacz zatem podwójnie, podmiotowo i przedmiotowo był w błędzie, pomylił się zarówno co do osoby i co do rzeczy. Takie pomyłki niezawodnie godne są pożałowania. Jednak u nas wydarzają się nieraz, a ostatnimi czasy zaledwie często i właśnie w tym samym kierunku. Chcielibyśmy nie być fałszywie zrozumieni. Dalecy jesteśmy od wszelkiego, z góry powziętego uprzedzenia. Uważamy za rzecz nader ważną, za nieodzowną, śledzić najczujniej i najdokładniej społeczną ewolucję myśli i nauki rosyjskiej, szczególnie w dziedzinie dziejopisarstwa i polityki. Nie możemy też oczywiście nic mieć przeciw temu, aby ze społecznego piśmiennictwa rosyjskiego niektóre celniejsze przy-

czynki, czy to pióra profesora Czyczerina, czy znów generała Puzyrewskiego, uprzysiężone były w układach publiczności polskiej. Ale nie znaczy to bynajmniej, aby było do życzenia dowolne, bez żadnego wyboru, importowanie tą drogą niezdrowych i szkodliwych wytworów okolicznościowej roboty. Podobnego gatunku nabytki pod każdym względem są niepożądane. Tak mianowicie rzecz się ma w obecnym przypadku. Że zaś podobne oplakane przypadki, jak rzekliśmy, przytrafiają się coraz częściej, będzie może na miejscu tym razem udzielić pewnego ostrzeżenia. To jest względ zasadniczy, dla którego decydujemy się, z powodu słabej książki niniejszej, zająć nieco przydłużej uwagę czytelników naszych.

Przedewszystkiem godzi się w należytem postawić światło właściwą genezę samej omawianej książki. Jest ona poprostu zbiorem artykułów, ogłoszonych niegdyś przez autora w głośnieńskim czasopiśmie *Russkij Wiestnik*, wydawanem w Moskwie przez M. N. Katkowa, a następnie, po jego śmierci, przeniesionem do Petersburga pod redakcją F. N. Berga. Wszakże w oryginale pierwotnym te artykuły były nadto poprzedzone nader znamiennem słowem wstępem autorskiem, którego przecie nie odnajdujemy w niniejszej edycji polskiej. Ten wstęp, jak wyjaśnia tłumacz, został przez niego opuszczony, „jako dla nas nieciekawym”. Nie możemy, niestety, i tutaj zgodzić się ze zdaniem tłumacza. Przeciwnie, mniemalibyśmy, iż ów wstęp jest dużo „ciekawszy”, niż cała książka, iż on dopiero pozwala dokładnie

ocenić jej prawdziwą intencję i wartość. Jest on mianowicie niczem innym, jak dziejowo-politycznem wyznaniem wiary p. S. S. Tatiszczewa. Z wielką energią i polotem wygłasza tutaj autor swój sąd apodyktyczny o powszechnej polityce zagranicznej rosyjskiej w jej dziejowym rozwoju. Naogół jest z niej dosyć zadowolony, — ale tylko do końca XVIII stulecia. „Natomiast od początku bieżącego XIX wieku przzerwana zostaje jednolitość harmonijna w rozwoju państwowości rosyjskiej i sam ten rozwój nie tylko zostaje opóźniony, lecz nawet od czasu do czasu wręcz zatrzymany”. Jakież są przyczyny tak oplakanego zjawiska? „Te przyczyny wykrywa historia w pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra I, kiedy zarząd naczelny spraw zagranicznych wydany został na pastwę obcym przybyszom (*inorodcom*) i inowiercom”. Od czasu popełnienia tego mniemanego grzechu śmiertelnego przez cesarza Aleksandra I, któremu za to nie oszczędza autor gorzkich i gwałtownych wyrzutów, — p. S. S. Tatiszczew odnajduje jeden tylko podniosły i pocieszający moment epokowy w dziejach nowożytnej polityki rosyjskiej, „t. j. zwycięskie odparcie dyplomatycznego najazdu, skierowanego przeciw Rosji przez trzy mocarstwa zachodnio-europejskie: Francję, Austryę i Anglię, w r. 1863”, moment, zdaniem autora, dający się przyrównać jedynie do najślawniejszych zwycięskich dat dziejów rosyjskich w r. 1612 i 1812. „Dla mnie osobiście — tak w tem miejscu oświeca nas autor z osobiłwszym naciskiem, — rzeczona doba 1863 r. jeszcze z tego względu jest

szczególnie droga, że pod żywym wrażeniem naszych ówczesnych tryumfów dyplomatycznych postanowiłem sam obrać sobie karierę dyplomatyczną. W młodocianych moich marzeniach nie mogłem wyobrazić sobie piękniejszego, bardziej godnego zazdrości, powołania, jak śladem ówczesnych dyplomatów naszych osłaniać i bronić przed Europą interesów narodowych Rosyi i państwowości rosyjskiej“.

Takie dosłownie ma brzmienie opuszczony przez tłumacza polskiego, „jako nieciekawy“, wstęp autorski do omawianej książki, który przecie, jak się okazuje, dostarcza cennych wskazówek co do zasadniczego punktu wyjścia w poszukiwaniach historyczno-politycznych p. S. S. Tatiszczewa. Pozostaje jeszcze bliżej oświetlić i uzupełnić te wskazówki przy pomocy innych, równie nauczających świadectw, zaczerpniętych z obfitej produkcji pisarskiej tegoż autora.

P. S. S. Tatiszczew, obrawszy, jak widzieliśmy karierę dyplomatyczną dla pobudek raczej ideowych, nie doczekał się w niej atoli, jak już zaznaczyliśmy, żadnych cenniejszych tryumfów. Czy niedoceniono jego intencji, czy jego uzdolnień, nie jest nam wiadome: to tylko pewna, że nie zdołał żadną miarą wynurzyć się z cienia stanowisk drugorzędnych na jakąkolwiek szerszą widownię. W owym czasie rosyjskie ministerium spraw zagranicznych znajdowało się pod zarządem ministra Giersa. Jak wiadomo, pośrodku znacznych zmian osobowych w składzie administracji naczelnej, dokonanych w początkach panowania cesarza Aleksandra III,

p. Giers jednakowoż pozostawiony był na zajmowanem przez siebie stanowisku i aż do samego końca piastował powierzony sobie urząd kierownika rosyjskiej polityki zagranicznej. Wiadomo również, że ta okoliczność wywołała objawy żywego niezadowolenia ze strony pewnego grona polityków i publicystów rosyjskich, skupiających się naówczas w Moskwie dokoła wpływowej osoby M. N. Katkowa. Zastrzegamy tutaj najwyraźniej, iż w tych sprawach nie możemy przypisać sobie żadnej zgola kompetencji, ani nawet żadnego zdania. Nie naszą oczywiście jest rzeczą wdawać się w rozsądzenie ówczesnego procesu pomiędzy byłym ministrem petersburskim a jego moskiewskimi antagonistami. Stwierdzamy li tylko sam fakt powszechnie wiadomy. Istwierdzamy zarazem, że tutaj mianowicie mieści się właściwy punkt wytyczny działalności publicystycznej i naukowej zajmującego nas obecnie pisarza. W rzeczy samej, p. S. S. Tatiszczew, podobnie jak i M. N. Katkow, aczkolwiek z rozmaitych zapewne pobudek, nie był wcale zadowolony z p. Giersa. Te dwa niezadowolenia zeszyły się razem i podały sobie ręce. P. S. S. Tatiszczew został stałym współpracownikiem organu M. N. Katkowa. Został nim dla pewnej ściśle określonej dziedziny, dla pewnej, że tak powiemy, specyalności: dla wytaczania i obsługiwania armat polityczno-historyczoficznych przeciw ówczesnemu naczelnikowi petersburskiego ministerium spraw zagranicznych. Wtedy to zaczął ogłaszać w rzeczonym organie długi szereg długich artykułów i rozpraw, których jedną zaledwo ułam-

kową częstkę stanowią właśnie ustępy, obrane przez tłumacza polskiego i połączone w omawianej książce. Mając za sobą powagę M. N. Katkowa, dzielny współpracownik stworzył tę kampanię z godną uwagi śmiałością i impetem. Stał od razu na stanowisku niezwałczonem, t. j. na tej niewzruszonej zasadzie, iż człowiek, nie noszący czysto rosyjskiego nazwiska, nie powinien znaleźć miejsca w rosyjskiej służbie publicznej. Zastosował wnet tę zasadę względem prof. Martensa, radcy prawnego ministerium spraw zagranicznych, którego ze zgorszeniem i zgrozą zaskarżył we *Wiadomościach Moskiewskich* z tego powodu, iż w pewnem wydawnictwie urzędowem powążył się p. Martens użyć niedość jakoby lojalnego wyrażenia „*pouvoir souverain*“, zamiast „*pouvoir autocrate*“. Po tej wstępnej utarczce, pogromca ministerium zwrócił się już wprost przeciw p. Giersowi. Oskarżył go o przeciwdziałanie hr. Ignatiewowi w sprawie traktatu sansteffańskiego. Oskarżył go o nieudolność w zarządzie departamentu azjatyckiego. Oskarżył go ze szczególną gwałtownością o słabość, miękkość, łagodność w sprawie zatargu bułgarskiego. Trzeba było, zdaniem p. S. S. Tatiszczewa, skonfiskować przedewszystkiem papiery prywatne Battenberga. Trzeba było, po jego detronizacji, natychmiast zamianować gotowego następcę. Trzeba było, po wyjeździe gen. Kaulbarsa, poprostu „posłać feldjegra z ultimatum do Sofii“ i przystąpić niezwłocznie do zbrojnej okupacji księstwa. Tak literalnie brzmiały wymowne filipiki, ogłaszane przez p. S. S. Tatiszczewa

ze zdumiewającą obfitością, pod nazwą „studyów“, „listów otwartych“, „memoriałów dokumentalnych“ i t. d., na gościnnych łamach *Ruskiego Wiestnika* i *Moskowskich Wiedomosti*.

Wszelako ta śmiała kampania miała swoje strony drażliwe. Drażliwą było rzeczą uderzać wprost na wysokich dygnitarzy, stojących na czele najważniejszego ministerium państwowego. P. S. S. Tatiszczew, noszący wszak to samo nazwisko, co znany historyk i latopisarz rosyjski XVIII wieku, stary Wasyl Nikitycz, uciekł się do pomocy historyi. Zastosował dla swoich celów, na swój szczególny sposób, metodę historyczną. Nie przestał mierzyć w p. Giersa, ale wolał uderzyć w jego poprzedników. Uderzył mianowicie nasamprzód w hr. Nesselrodego, ministra spraw zagranicznych i kanclerza cesarza Mikołaja I. Uderzył tutaj w strunę najczulszą: w cudzoziemskie, w niemieckie obu ministrów pochodzenie i nazwisko. W dodatku, w stosunkach familijnych Mikołajewskiego kanclerza udało się wykryć szczegół, wysoce podejrzany. Hr. Nesselrode miał zięcia, który nazywał się Chreptowicz! Niedość na tem, siostra tego Chreptowicza została żoną dyplomaty, któremu nieopatrzny kanclerz powierzał poselstwa rosyjskie w Konstantynopolu i Rzymie. Zastrzegamy znowu, że nie mamy najmniejszego powodu, zamiaru, ani tytułu, łamać kopii w obronie Nesselrodego. Konstatujemy znowu tylko, jakim to sposobem „mały kanclerz“ dostał się w ręce nieubłaganego historyczno-politycznego egzekutora *Ruskiego Wiestnika*. Egzekucya istot-

nie była nieubłagana i wyczerpująca. Cała działalność, całe niemal życie rosyjskiego kanclerza o niemieckim nazwisku, poddane zostały najzjadliwszej krytyce w obszernych pismach p. S. S. Tatiszczewa o „Starej i nowej dyplomacji rosyjskiej“, o „Polityce zagranicznej Mikołaja I“ i t. d.

Jednakowoż i ta taktyka miała swoje strony słabe i niedogodne. Bezwzględna solidarność z całym systemem politycznym cesarza Mikołaja I stanowiła, jak wiadomo, jedną z podstaw naczelných politycznego programu M. N. Katkowa. Jakże tedy z taką zasadą pogodzić bezwzględne potępienie polityki nieboszczyka Nesselrodego, długoletniego i zaufanego doradcy cesarza Mikołaja? Wpadało to, bądź co bądź, dosyć niezręcznie. Przemyślny p. S. S. Tatiszczew znalazł wyjście i z tego kłopotliwego dylematu. Znalazł wyjście jeszcze bardziej „historyczne“. Poprostu cofnął się jeszcze nieco dalej wstecz, aż do czasów cesarza Aleksandra I, którego polityka w niejednym ważnym względzie była przedmiotem potępienia w obozie *Ruskiego Wiestnika*. Zarazem zaś poprostu zamiast ministra spraw zagranicznych Aleksandra I, zamiast cudzoziemca Nesselrodego, podstawił cudzoziemca — Czartoryskiego. To było jasko Kolumba. To był punkt archimedesowy. To było rozwiązanie najdogodniejsze a najzupełniej bezpieczne. Teraz już p. S. S. Tatiszczew rozpiął się na dobre. W wielkiej „monografii“ o „Księżu Adamie Czartoryskim“, będącej właściwie niczem innem jak tendencyjną parafrazą ogłoszonych

drukiem ułamków korespondencji i pamiętników księcia, w szeregu „badań i rozpraw polemicznych“ pod zbiorowym tytułem „Z przeszłości dyplomacji rosyjskiej“, we wszystkich niemal swoich odtąd publikacjach nie przestawał „demaskować“ ministra Polaka, ministra - inowiercy, ministra - „zdrajcy“. Naprzeciw zgubnej działalności tego rzekomego zdrajcy, któremu rzekoma lekkomyślność cesarza Aleksandra I powierzyła ster rosyjskich spraw zagranicznych, autor wystawiał dawniejszy, rzekomo całkiem odmienny, a jedynie zdrowy systemat „Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, zasięgających światłego zdania ojca Sylwestra i księcia Dołhorukiego“, oraz systemat Katarzyny II, kierującej się mądrą radą Panina, rdzennych, prawowitych i prawosławnych Rosyan. Te zdrowe tradycje zostały przerwane z winy i nieopatrzności cesarza Aleksandra I, zostały zniweczone zbrodniczą ręką „chytrego Polaka“. „Obecność ks. Adama Czartoryskiego na czele naszego wydziału dyplomatycznego w krótkim czasie odbiła się sposobem najzgubniejszym i najbardziej demoralizującym na całej dyplomacji rosyjskiej. On pierwszy ode-rwał ją od rodzimego gruntu, opętał ją i znieprawił“. On to w petersburskim ministeryum spraw zagranicznych otworzył „formalny najazd cudzoziemców, takich ludzi jak Alzatczyk Anstett, Korsykanin Pozzo di Borgo, Korfiota Capo d'Istria i tylu innych“. On nareszcie — szczegół kapitalny — wprowadził do tego ministeryum obcy język francuski zamiast narodowego, rosyjskiego. „Polak-minister miał czelność dopuścić się tego

zamachu, na który nie zdobywali się najpotężniejsi faworyci XVIII wieku, zamachu, będącego dla polityki rosyjskiej dotkliwszym ciosem, niż klęska austerlicka. W rzeczy samej, zdobycie Paryża mogło zatrzeć ślady Austerlitzu, ale język narodowy, wygnany przez Czartoryskiego, nie odzyskał po dziś dzień wszystkich swoich praw obywatelskich w praktyce dyplomatycznej dworu rosyjskiego“. Występna i podstępna działalność ministeryalna ks. Czartoryskiego okropnie przyniosła owoce: między innymi, „jej to następstwem były ciężkie doświadczenia wyprawy do Moskwy 1812 r. oraz pogrom sewastopolski 1855 r.“. Odtąd i w następnych latach, ciągle mocą tej samej fatalnej konsekwencji dziejowej, Rosya doprowadzona została aż nad sam brzeg przepaści, — gdzie dopiero w ostatniej chwili powstrzymał ją i pośpieszył jej na ratunek jedyny wielki, prawdziwy mąż stanu i patriota: Michał Nikiforowicz Katkow.

Sądźmy jednak, że powyższe *curiosa*, wyjęte przez nas z produkcji „historyczno-publicystyczno-politycznej“ p. S. S. Tatiszczewa, powinny najzupełniej wystarczyć. Mnożyć ich dłużej niema zapewne potrzeby. Niema też oczywiście żadnej potrzeby wdawać się w poważne ich roztrząsanie. Któryż to przeciętny uczeń rosyjski nie wie, chociażby z „Historii“ Sołowiewa, że Piotr Wielki nie poległ bynajmniej na radach „wielebnego ojca Sylwestra“, lecz natomiast zarząd naczelny właśnie polityki zagranicznej powierzał w ręce: Westfalczyka Ostermanna, Anglika Bruce'a, Szwajcara

Leferta i wice-kanclerza Szafirowa, t. j. *recte* holenderskiego Żyda Szapiry? Któż nie wie, że Katarzyna II, bacznie wystrzegając się Panina i jego pomysłów rencyjnych, w najważniejszych sprawach polityki zagranicznej, zwłaszcza w doniosłych sprawach polskich, używała Niemców: Kayserlingów, Saldernów, Sieversów? Któż nie wie, że cała niemal najgłośniejsza korespondencja dyplomatyczna rosyjska za Anny Iwanówny odbywała się w języku niemieckim, zaś za Katarzyny II i Pawła I — w języku francuskim? Któż nie wie, że w okresie swojej służby ministeryalnej, której czystość absolutna została wszak najdobitniej zaświadczone przez samego cesarza Aleksandra I, Adam ks. Czartoryski najcelniejszych pomocników i przyjaciół w rządzie petersburskim znalazł w osobie rodowitych Rosyan: Woroncowów, Koczubejów, Kurakinów, Strogonowów, kiedy natomiast najzawziętymi, śmiertelnymi jego wrogami byli właśnie tamci cudzoziemcy, Pozzowie, Anstettowie, Capodistrie, którzy go podkopali, wyparli i sami zajęli jego miejsce? Ale cóż to wszystko obchodzi p. S. S. Tatiszczewa? Cóż go obchodzą oczywiście, niewątpliwe fakty, oczywiście, najprostsze wymagania słuszności, oczywiście, powszechnie wiadoma prawda dziejowa? Nie o słuszność, nie o prawdę chodziło temu „historykowi“, lecz o cele zupełnie specjalne, do których przystosował całą swoją wytwórczość pisarską. Tej wytwórczości jedną, integralną częstkę stanowi, jak wskazaliśmy, obecna książka, ukazująca się dzisiaj w szacie polskiej, i z tego względu

przymuszająca nas do niemiłego obowiązku niniejszego wyjaśnienia. O samej onej książce niewiele już dodać potrzeba. Dodamy tyle tylko, że ta książka właściwie z treści swojej nie czyni nawet zadość obiecującemu swemu tytułowi. Niczego absolutnie nie dowiadujemy się z niej o „dyplomacyi rosyjskiej w sprawie polskiej”. Znajdujemy tutaj jedynie niektóre luźne, ułamkowe informacje, w jednej połowie najpospolitsze i powszechnie znane, w drugiej połowie całkiem dowolne i tendencyjnie spaczne, o dyplomacyi angielskiej, francuskiej, pruskiej i austriackiej w okresie przesilenia krymskiego i pierwszych lat panowania cesarza Aleksandra II. Zresztą i te informacje — jakkolwiek według zapowiedzi autora mają być oparte na „materiałach dotychczas nieogłoszonych” — w rzeczywistości, z wyjątkiem paru trzeciorzędnych drobnostek, są czerpane całkowicie z drugiej ręki, ze starych opracowań, ze znanych monografii o hr. Kisielowie, o ks. Albercie i t. d. Przedewszystkiem zaś te nieporządne i jednostronne informacje są już z góry dobrane, uszeregowane i oświetlone w ten sposób, ażeby mogły służyć za premisy do jednego, już z góry powziętego wniosku: do formalnego aktu oskarżenia przeciw „zgniętemu Zachodowi”. Najniewątpliwiej, w owoczesnej polityce europejskiej wiele jest szczegółów, które pod każdym względem, i z naszego punktu widzenia, zasługują na surowe napiętnowanie. Ale prokurator *Ruskiego Wiestnika* nie troszczy się o szczegóły, nie rozróżnia, nie zestawia, nie ocenia: on poprostu wszystko w czambuł

oskarża i potępia, jednakowo zawzięcie oskarża rzeczy najprzeciwniejsze, byle tylko zachodnie, jednakowo bezwzględnie potępia najsprzeczniesze pomiędzy sobą momenty polityki pruskiej a austriackiej, angielskiej a francuskiej, wpadając co krok w najdziwsze ze samym sobą sprzeczności, nie oglądając się na żadną logikę, nie kierując się żadnem kryterium, oprócz swojej jedynej logiki prokuratorskiej i oprócz jedyngo swego kryterium o „zgniliźnie Zachodu”.

Wszalako, jak rzekliśmy, rozwodzić się dłużej nad samą książką niniejszą niema żadnej potrzeby. Z tego, co wyżej powiedziano o jej genezie i jej myśli przewodniej, łatwo domyśleć się istotnego jej charakteru i wartości. Wytykanie szczegółowe wszystkich zawartych w niej błędów, czy to rozmyślnych błędów tendencji, czy mimowolnych niewiadomości, zaprowadziłoby nas za daleko. Zbyticzna zresztą naukowa recenzja, skoro jej przedmiot nie posiada niezbędnego naukowego cenzusu. Nie o recenzję też chodziło nam tutaj. Powtarzamy: chodziło o ostrzeżenie. Powtarzamy również, cośmy z góry zawarowali o niezawodnej dobrej wierze tłumacza polskiego. To też, być może, ostrzeżenie niniejsze przyda się nie samym tylko czytelnikom; poniekąd — tuszemy — winno przysłużyć się także i tłumaczom, i uprzytomnić im tę prawdę elementarną, że, jeśli gdziekolwiek, to właśnie w nowoczesnej dziedzinie dziejowo-politycznej, nie dość chcieć dobrze — trzeba dobrze rozważyć, trzeba *wiedzieć*.

Polityka naukowa.

Do najpoważniejszych przedstawicieli nauki rosyjskiej należy dzisiaj niewątpliwie profesor Czyczerin. Nie napotyka się jego nazwisko pośród hałaśliwego rozgwaru przemijających odgłosów i zatargów chwili bieżącej. Ale spotyka się ono tem częściej w spokojnej ciszy dziedzin czysto naukowych. Tutaj to, po wielolicznych wcześniejszych pracach, u kresu długiej i płodnej działalności naukowej, raz jeszcze z nowym owocem swojej wiedzy i swoich rozmyślań wystąpił znakomity uczony. Aliści ta nowa „Polityka“ prof. Czyczerina, *) jeśli z metody swojej należy najściślej do nauki, przecie z samej swojej treści należy zarazem do życia. Jest to, w całym znaczeniu słowa, polityka naukowa. A jest także pod każdym względem godną swego autora, którego postać szanowna, a może nie-

dość znana, godnie występuje tutaj w całej pełni. Sędziwa ta postać uczonego i człowieka równy budzi szacunek. Jest to jeden z rzadkich, pozostałych jeszcze przy życiu, koryfeuszów owej szlachetnej generacji oświeconych Rosyan, która przed laty czterdziestu, w pierwszym zaraniu rządów cesarza Aleksandra II, wystąpiła na widownię publiczną. Zaś, co więcej, jeden z najrzadszych, nigdy on odtąd, w tak długim czasie, w tak znacznych świata i ludzi odmianach, nie sprzeniewierzył się pierwotnym, podniosłym hasłom swojej młodości, nie przygasił nigdy, nawet nie przyćmił, zapalonego wtedy światła ideałów obywatelskich i humanitarnych. Przeciwnie, z iście młodzieńczą, niezmordowaną, nieostygłą energią umysłu i serca, stale odtąd, przez pół wieku blisko, czy to z katedry uniwersyteckiej, czy to z piórem w ręku, nie przestawał i nie przestaje przykładać się do szerzenia zdrowej nauki i zdrowych pojęć w swoim społeczeństwie.

Wieloletni dorobek naukowy prof. Czyczerina nader jest obfity, różnostronny i szacowny. Prawoznawstwo, a w szczególności prawo publiczne, badane, z jednej strony, z najwyższego stanowiska historycznego i moralnego, zaś zarazem, z drugiej strony, rozważane w swoim zastosowaniu do konkretnych wymagań społecznych i politycznych: taki jest wielki i ważny przedmiot, któremu z całym oddaniem się pracowity swój żywot poświęcił płodny myśliciel i pisarz. Już pierwsza jego praca, czysto specjalna, rozprawa doktorska o „Urządzeniach lokalnych Rosyi w XVII wieku“ —

*) B. Czyczerin: „Wykład nauki państwowej: Polityka“.

(1856), odznaczała się rzadką gruntownością badania i przejrzystością wykładu. Rzecz ta była pisana jeszcze w czasach wojny krymskiej; wszakże, jak opowiada sam autor, „jakkolwiek nie było tutaj najmniejszych aluzji politycznych, jednakowoż taki wtedy panował nastrój, że cenzura fakultetowa przez dwa lata zatrzymywała ogłoszenie mojej rozprawy i tylko dzięki jednemu ówczesnemu oświeconemu cenzorowi von Krusemu, będącemu prawdziwie opatrnością piśmiennictwa, książka mogła ukazać się z druku“. Po takim najpierwszem doświadczeniu, wyniesionem z kończącej się właśnie epoki, młody autor z tem większym zapałem powitał świtającą nową dobę, powitał nowe tchnienia liberalne, jakie zapanowały w społeczeństwie rosyjskiem od pierwszej chwili wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II. Głęboko przeświadczony o niezbedności zużytkowania dla swego kraju wielkich zdobyczy kultury zachodniej, piękny dał wyraz tej myśli w zajmującym zbiorze pomniejszych studyów p. t. „Zarysy Anglii i Francji“ (1858), w książce publicystycznego już raczej zakroju, obliczonej na szersze koła publiczności, ale tembardziej suggestywnej i ponętnej. „Częstokroć—powiada tutaj trafnie w przedmowie — nam Rosyanom czyniony bywa zarzut, że zanadto interesujemy się sprawami obcemi, a za mało znamy swoje. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się naodwrot: i dlatego właśnie nie uświadamiamy sobie należycie siebie samych, bo obcych nie znamy dostatecznie“. To też obce szlachetne umysły biorąc sobie za przewodników, biorąc

za punkt wyjścia pisma Montalemberta i Tocquevilla, roztrząsa tutaj nieuprzedzony pisarz rosyjski, z krytyczną wprawdzie trzeźwością ale też ze szczerą sympatią, uznaniem, nieraz podziwem, dojrzałe instytucje społeczne i państwowe Anglii i Francji. W szczególności w studyum końcowem „O włościanach francuskich“, wystawił szereg dających do myślenia spostrzeżeń porównawczych, podyktowanych oczywiście przez aktualną naówczas, arcyważną sprawę uwłaszczenia włościan. Zresztą i tę właśnie i niektóre inne palące sprawy chwili poruszył niebawem, sposobem popularnym a śmiałym, w oddzielnym piśmie: „Niektóre zagadnienia społeczne“ (1861). Nie zaniedbując atoli zarazem pracy czysto naukowej, ogłosił w tym czasie cenne „Studia do historii prawa rosyjskiego“, które otworzyły mu wstęp na katedrę uniwersytecką w Moskwie. Wykładał tutaj odtąd, przez przeciąg niespełna lat siedmiu, od 1861 do 1868 roku, ogólne prawo państwowe, z bacznem zwłaszcza uwzględnieniem rozwoju myśli politycznej Zachodu, zarówno w zakresie spekulacji teoretycznej, jakoteż prawodawczego w życiu zastosowania. Razem z Sołowiewem, Dmitriewem i innymi ówczesnymi luminarzami wszechnicy moskiewskiej dzielił zasługi i powodzenia nauczycielskie, zaś więcej może, niż ktokolwiek inny, potrafił zaskarbić sobie sympatię i przywiązanie młodzieńczych swoich słuchaczy.

Około tego samego czasu odebrał prof. Czyczerin zaszczytny dowód zaufania z wysokości tronu. A mia-

nowicie, powołany został przez cesarza Aleksandra II do wykładania nauk państwowych i politycznych młodemu cesarzewiczowi następcy tronu, Mikołajowi Aleksandrowiczowi. Z całym zapalem oddał się temu doniosłemu zadaniu. Pojął je i wywiązał się z niego w duchu jedynie właściwym. Nie poszedł za lichą tradycją układnych pedagogów spadkobiercy Ludwika XIV, nie chował światła pod korcem, nie dawał okrojonej nauki *ad usum Delphini*. Owszem, dostojnemu swemu słuchaczowi, do którego sympatycznej osoby żywo się przywiązał, wykladał pełny kurs uniwersytecki, pogłębiając go jeszcze nadto w miarę możliwości; zaś, co najważniejsza, w tej tak trudnej, tak drażliwej, tak omylnej nauce państwowości i polityki, wykładanej przed takim słuchaczem, starał się wydobywać nie tylko stronę realną samych faktów dokonanych, lecz przede wszystkim te idealne zasady wytyczne prawa, słuszności i postępu, które jedynie godne są zostać kompasem i sterem przyszłego rządcy wielolicznych krajów i ludów. Mając obecnie przed oczyma ogłoszoną drukiem zawartość owych wykładów prawno-państwowych, czytanych cesarzewiczowi przez prof. Czyczerina, możemy należycie ocenić całą wyjątkową zasługę nauczyciela, którego cesarz Aleksander II tak trafnym i światłym wyborem był powołał na wychowawcę swojego pierworodnego syna. Wszelako tak zacnie pojęta, tak wiele rokująca praca wychowawcza nie miała przynieść spodziewanych owoców. Przeciął ją przedwczesny, jak wiadomo, zgon cesarzewicza, będący niewątpliwie

dla Rosyi bardzo ciężką, bardzo dotkliwą stratą. Niebawem skądinąd jeszcze zaszły znaczne zmiany w działalności naukowej prof. Czyczerina. Skutkiem burzliwych wypadków uniwersyteckich w Moskwie 1867 r., skutkiem rozmaitych nadto powodów ogólniejszego znaczenia, czując się niezdolnym do kompromisów, tak samo w życiu, jak w przekonaniach, uznał za właściwe ustąpić z katedry. Cofnął się odtąd, przez lat trzydzieści, do zacisza wiejskiego. Tutaj to, zdala od zmiennych prądów i uniesień, a zwłaszcza od nienawiści chwili bieżącej, z nieznaną pogodą ducha, z dalekonośną przenikliwością sądu, obmyśla i wykończył coraz nowe prace i coraz dojrzalszymi płodami swego talentu i wiedzy, swego umysłu i swojego sumienia, darzy naukę, piśmiennictwo i społeczność rosyjską.

Jeszcze za czasów swoich uniwersyteckich ogłosił większe, nader ciekawe badanie „O przedstawicielstwie narodowym“. Rozbierając tutaj po kolei „istotę i charakter“, „rodzaje“ i „rozwój dziejowy“ urzędów przedstawicielstwa w Europie, nie tylko dał jasny wyraz swoim przekonaniom teoretycznym w tej sprawie, lecz zarazem, w nader interesującym rozdziale o „Soborach ziemskich rosyjskich“, poczynił szereg uderzających spostrzeżeń o właściwym duchu, znaczeniu prawnym, wzroście i upadku tej instytucji w XVI i XVII wieku, od czasów Iwana Groźnego do Aleksego Michajłowicza. Po opuszczeniu katedry wystąpił niebawem z kilkotomowym dziełem „Historia nauk politycznych“. Nie kuszając się o wyczerpującą pełność bibliograficzną—

na sposób znanej książki Mohla — a natomiast ofiarując treściwe, wszędzie u źródła czerpane, przedstawienie najgłówniejszych tylko teorii politycznych, zbudowanych przez najcelniejsze umysły Europy zachodniej, wraz z krytycznym, może nieraz zbyt formalnym, zbyt pedantycznym komentarzem, obfitą dał strawę nieoswojonej z tym przedmiotem publiczności rosyjskiej. To obszerne dzieło jest właściwie częścią dawniejszego wykładu uniwersyteckiego. To też, w pięknej dedykacji, poświęcił je autor swoim dawnym słuchaczom, studentom wszechnicy moskiewskiej: „zmuszony opuścić stanowisko, na którym dłużej pozostawać zabraniał mi honor,—tak wyraża się tutaj— zachowałem przecież możliwość dalszej dla was pracy“. Podobnie i późniejszą książkę: „Własność a państwo“, poświęcił „młodzieży rosyjskiej“, w której pokładał nadzieje lepszej przyszłości swego narodu, wśród wstrząsających wypadków ówczesnej niezwyklej chwili. W krótkości tylko notujemy szereg innych pism, treści raczej abstrakcyjnej: „Nauka a religia“, „Mistycyzm w nauce“, „Filozofia pozytywna a jedność nauki“, „Zasady logiki i metafizyki“ — nie wszędzie, rzecz prosta, przekonujących, lecz przenikniętych wszędzie zdrowym, oświeconym sądem i, bądź co bądź, świadczących dowodnie o rozległym, nietylko fachowym, widnokręgu duchowym. Śpieszno nam dotrzeć do ostatniego wielkiego dzieła, nie publicysty już ani filozofa, ale znakomitego prawnikawcy, polityka i obywatela, które stanowić bę-

dzie niezawodnie koronę długoletniej zasłużonej działalności prof. Czyczerina.

„Wykład nauki państwowej“, rozłożony na trzy części czyli działy główne, w rzeczy samej, z pierwszego już wejrzenia, przedstawia się jako najdojrzałej przetwarziona, najszerzej pojęta, najstaranniej wykończona praca uczonego moskiewskiego. Jest to niejako jego naukowy i społeczny testament. Owóż — jak należy stwierdzić z największym uznaniem — ten testament starca nie jest niczём innem, jeno czystsze jeszcze, przejrzystsze, bardziej pogłębione, bardziej stanowczem i bardziej scharmonizowanem, wyznaniem wiary młodego człowieka. „Wykład nauki państwowej“, w tej postaci, w jakiej ukazuje się obecnie, powstał mianowicie z przechowanych przez autora brulionów kursu nauk państwowych i politycznych, czytanego niegdyś cesarzewiczowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi. „Od tamtych czasów — pisze prof. Czyczerin we wstępie do pierwszej części swego dzieła — minęło przeszło ćwierć wieku. Wszakże ta okoliczność skłoniła mnie tylko do wprowadzenia zmian bardzo niewielkich... W kierunku naszej myśli społecznej w ciągu tego okresu dokonał się przewrót gwałtowny. Ale zmienne metamorfozy opinii publicznej nie mogą z równowagi wytrącić rzetelnej, ścisłej nauki, która dąży przed siebie mocnym i pewnym krokiem i swoje wnioski opiera nie na przelotnych wymaganiach doby bieżącej, lecz na wszechstronnie sprawdzonem rozumowaniu oraz na niewzruszonej podwalinie faktów dziejowych“. W takim

duchu przedsięwzięte dzieło zajmuje się w części pierwszej „Ogólnem prawem państwowem“. Badane tu są kolejno w pięciu księgach: „Istota i żywioły zasadnicze państwa“, „Urządzenia państwa“, „Prawa i obowiązki obywateli“, „Prawodawstwo i sądy“, wreszcie „Administracja“. Nie możemy wchodzić tutaj w szczegóły. Ograniczamy się do zaznaczenia kilku ważniejszych i piękniejszych ustępów, jako to: trafne definicje sposobów „powstawania i upadku państw“, szczytne prawdy o „stosunku państwa do Kościoła“, doskonałe spostrzeżenia o „zadaniach administracji“, „stosunku administracji do prawa“ i „organach lokalnych“. Natomiast zastrzedz się musimy przeciw zgoła mylnemu pojęciu urządzeń wewnętrznych Rzpltej polskiej, jej instytucji prawodawczych i administracyjnych, sejmu konfederacji i t. d.; śpieszymy wszakże zaraz dodać, że błędy, popełnione tutaj przez autora, są wyłącznie skutkiem niedostatecznej informacji, w żadnym zaś razie nie wynikają z jakiegokolwiek bądź nieprzyjaznego uprzedzenia. Część druga całości poświęcona jest „Socjologii“. Ograniczyć się musimy znowu do podkreślenia dwóch tylko najpiękniejszych ustępów o „religii“ i „wychowaniu“. I tutaj wprawdzie w niejednym miejscu wypadłoby nam zastrzedz się przeciw pewnym pojedynczym założeniom i wnioskom autora. Naogół przecież możemy tylko z zupełnem uznaniem zaznaczyć cały podniosły nastrój, nieskazitelną dobrą wiarę, ściśle bezstronny i prawdziwie humanitarny sposób traktowania tych obu, tak wyjątkowo doniosłych

materyi. Zaś w szczególności, co do spraw wychowania publicznego, wydały nam się zwłaszcza ze wszech miar trafne spostrzeżenia, uczynione z powodu szkoły średniej i wyższych zakładów naukowych, oraz ustawy uniwersyteckiej rosyjskiej z 1884 roku.

Część trzecia i ostatnia, a jak mniemalibyśmy, najcenniejsza całego „Wykładu“, składająca się sama przez się na poważną i odrębną całość, tworzy oddzielne, obszerne dzieło, które właśnie dało nam pochoop do uwag niniejszych. „Polityka“ prof. Czyczerina rozpada się na sześć ksiąg, rozstrząsających kolejno „zasady polityki“, „utworzenie państwa“, „politykę urządzeń państwowych“, „politykę prawodawstwa“, „politykę administracji“ i „politykę stronnictw“. Punkt ciężkości książki pierwszej stanowi rozbiór zasadniczego zagadnienia o stosunku pomiędzy „polityką a moralnością“. „W pewnej dziedzinie — w tych lapidarnych wyrazach streszcza myśl swoją autor — przymus równa się negacyi moralności wogóle. Wynika stąd, że państwo, jako związek przymusowy, nie powinno wkraczać do dziedziny stosunków czysto moralnych“. Ustaliwszy zaraz na wstępie taki pewnik ogólny, w dalszym ciągu wyprowadza stąd autor z konsekwencyą najściślejszą długi szereg bardzo doniosłych wniosków poszczególnych. Wyprowadza zarazem bezwarunkowe potępienie wszelkich gwałcących tamten pewnik metod rządzenia i ludzi rządzących, bez żadnego względu na ich t. zw. „wielkość historyczną“. Do takiej roboty „historycznej“ stosuje bez wahania i bez różnicy Tacytowe wyrazy:

„*solitudinem faciunt, pacem appellant*“. Z tego to punktu widzenia rozważając dla przykładu dzieje i czyny Fryderyka II, o głównym tryumfie politycznym króla pruskiego odzywa się słowami zapożyczonymi od pruskiego męża stanu, barona Steina: „*ein abscheuliches politisches Verbrechen*“ i całą złowróżbną postać wielkiego Prusaka ocenia i piętnuje ze stanowiska prawnego sposobem tak surowym a trafnym, iż ze stanowiska historycznego można tylko podpisać się pod tym wyrokiem. Tak też być powinno, albowiem prawda jest jedną dla prawnodawcy i historyka i jednym tylko głosem przemawia. Dodajmy, że przy tej sposobności z równą otwartością, z bezstronnością bezwzględną, przychodzi autorowi wyrazić swoje przekonanie o polityce epoki Katarzyny II. Podobnie jak Prusy Fryderykowe, tak samo i dzisiejsze Niemcy cesarskie nie cieszą się sympatjami autora. Zaznaczmy atoli natychmiast, że tutaj jego poglądy niezawsze wydają się dostatecznie wymotywowane. Dla naprawy niezdrowych stosunków dzisiejszych w Europie uważa autor za warunek nieodzowny „pozbawienie cesarstwa niemieckiego jego obecnego dominującego położenia. Pośrodku Europy potrzebna jest poduszka, lecz nie bateria“. Stąd płynie wniosek, że należałoby przywrócić dawny systemat federacyjnych państw niemieckich.

Z kolei punkt ciężkości księgi drugiej stanowi wyjaśnienie zawitych zagadnień, nasuwanych przez „politykę narodowościową“. I w tem również miejscu zmuszeni jesteśmy poczynić swoje zastrzeżenia przeciw

niektórym zupełnie nieusprawiedliwionym, rzuconym bez należytej rozwagi, poglądom ubocznym autora. Tem chętniej atoli znowuż uznać możemy całą trafność założeń ogólnych, z którymi on przystępuje do rozwiązania spornych pytań narodowościowych, oraz całą siłę konsekwentnej argumentacji, z którą wyprowadza rozumne i słuszne wnioski praktyczne z tamtych najśluszejszych i najrozumniejszych założeń teoretycznych. „Naród, który żył wielkim życiem historycznem — te mądre i zacne słowa prof. Czyczerina znajdują oddźwięk w każdej prawdziwie szlachetnej duszy, znajdują potwierdzenie w każdej prawdziwie logicznie rozumującej głowie bez różnicy pochodzenia, za te zacne i mądre słowa wdzięczny mu będzie nie tylko Polak, lecz, może bardziej jeszcze, światły Rosyanin — naród bogato uposażony przez naturę i ożywiony niezłomną miłością kraju, nie może zniknąć z oblicza ziemi. Uległszy okolicznościom zewnętrznym, naród polski zachował nie-
tłkniętą swoją odrębność duchową. Z nim wypada się liczyć... Nie masz tutaj zgola miejsca dla owego mniemanego dylematu, postawionego przez wielkiego naszego poetę (Puszkina): rzeki słowiańskie zali spłyną do rosyjskiego morza? zali też ono wyschnie? Przeciwnie, można twierdzić z największą pewnością, że ani rzeki słowiańskie nie pogrążą się w morzu rosyjskiem, które i bez nich dosyć jest obszerne, ani też ono nigdy wyschnięcia obawiać się nie ma powodu“. Rozpatrując następnie stosunki słowiańskie w Austrii spólczesnej, zastanawiając się równolegle nad rozwojem historycz-

nym sprawy słowiańskiej w Rosyi, zwłaszcza w okresie cesarza Aleksandra I Pawłowicza, autor wysnuwa stąd rozliczne, bardzo ważne i bardzo daleko sięgające konsekwencye. „Zapewne — postrzega w tem miejscu prof. Czyczerin — w obecnej chwili są to tylko marzenia. Ale ani myśliciel polityczny, zatapiający spojrzenie w odległą przyszłość, ani też naród, świadomy swego cywilizacyjnego powołania, nie może wyrzec się ideału, nie wyrzekając się najwyższej ludzkiej godności. Zaś ideału stanowić nie może uwiecznienie walki. Nie przez nielitościwe powoływanie się na rzekome wyroki historii, osłaniające w rzeczywistości tylko faktyczną przewagę, ale przez należyte uwzględnienie wyższych wymagań moralnych, wypełniają wielkie narody prawdziwe swoje posłannictwo wśród ludzkości“.

Nie mamy oczywiście sposobu wyczerpać na tem miejscu bogatej zawartości obszernego dzieła prof. Czyczerina. Nie możemy wszakże nie zwrócić uwagi na rozumne i nauczające wyluszczenia autora z powodu „prawodawstwa ogólnego i miejscowego“. „Panowanie nad obcymi narodami — oświadcza uczony rosyjski — jest nie tylko prawem, lecz oraz wysokim moralnym obowiązkiem. Każdy, kto żywi istotną wiarę w Opatrzność, musi być przeświadczonym, że nie na to jedno plemię oddane zostało pod władzę drugiego, aby je trzymać na wodzy, ale na to, aby uczynić zadość jego właściwym, naturalnym potrzebom. Jeżeli polityka nie jest jedynie wyrazem nagiej przewagi, jeżeli państwo

nie jest jedynie, według słów św. Augustyna, wielkiem łupieżstwem, w takim razie nie może ono wyrzec się tego wysokiego swego obowiązku... Najłatwiej, co prawda, daje się to wykonać w takim wypadku, kiedy narodowość panująca góruje nad podbitą pod względem zarówno kultury, jakoteż cech moralnych. Gdzie nie zachodzą takie pomyślne warunki, zaś zwłaszcza, gdzie plemię podbite góruje oświatą nad panującym, tam istotny związek wewnętrzny można ustalić wyłącznie przez przestrzeganie należytego szacunku dla utrwalo-nych (*okriepszych*) form życia i właściwości narodowych. Takie jest bezwarunkowe wymaganie zdrowej polityki. A mianowicie, dwie są rzeczy wagi najpierwszej, których dotyczyć należy z ostrożnością największą: religia i język“. W obszernych, nader silnych i bezwzględnie prawdziwych wywodach rozwija w dalszym ciągu prof. Czyczerin swoje poglądy na politykę religijną i językową, ilustrując je mnóstwem nauczających przykładów, czerpanych z obfitej skarbnicy dziejowego doświadczenia. „Gdyby nawet udało się zupełnie wyprzeć język miejscowy i zastąpić go przez urzędowy, nie zmniejszyłoby to przecie w niczem nasienia nieprzyjaźni. Ludność irlandzka przyjęła język angielski, a jednak jej nienawiść dla Anglików trwa po dawnemu i stanowi dla narodu panującego źródło nieobliczonych kłopotów. Gdzie zaś naród osiągnął już pewnego stopnia oświaty i posiada własne bogate piśmiennictwo, tam on nigdy nie wyrzeknie się swego języka ojczystego“. W tym samym duchu, z powagą i rozważą już

nie uczonego teoretyka, ale prawdziwego, wytrawnego statysty, roztrząsane są szczegółowo przez autora, w dwóch ostatnich księgach o „polityce administracyjnej” i „stronniczej”, najzawilsze i najdrażliwsze materie społeczne i polityczne. Zamyka się całość dzieła konkluzją najogólniejszą: „Ażeby monarchia historyczna mogła wypełniać swoje posłannictwo, powinna dążyć za rosnącymi potrzebami życia i wnikać w rzeczywiste jego wymagania. Duch zacofany równie jest szkodliwym dla życia państwowego, jak duch wywrotowy: albowiem nie walka ale harmonia jest tego życia najwyższym przewodnim celem”.

Zamykamy na tem krótką relację niniejszą. Zdał się ją z rzetelną przyjemnością, gdyż zasługiwał na to przedmiot, zasługiwał pisarz i człowiek niepospolity, z którym wypadało zapoznać czytelników polskich. Ludzie tego rodzaju i tej miary, jak prof. Czyczerin, przynoszą zaszczyt narodowości, do której należą i u każdej oświeconej obcej budzić muszą głęboką sympatię i szacunek. Szczerze życzymy społeczeństwu rosyjskiemu jak najwięcej takich światłych synów, zaś sędziwemu myślicielowi moskiewskiemu—długich jeszcze lat pożytecznej pracy pod tem samem niepożytem hasłem prawdziwej nauki i prawdziwego humanizmu.

Widoki Azji.

Świat cały w chwili obecnej ma oczy zwrócone w kierunku dalekiego Wschodu. Powszechna jest świadomość, iż teraz właśnie, u progu XX stulecia, tam gdzieś na krańcach starej Azji dokonywa się niesłychanej doniosłości moment zwrotny w dziejach wszechświatowych. Wszakże jest to raczej niespokojne i nieokreślone, jak zmora, uczucie instynktowne, aniżeli jasne pojęcie tych rzeczy odległych. Inaczej zresztą być nie może. Zbyt niespodzianie przyszły wypadki i zbyt niespodzianie w nagłej zmieniają się kolei, ażeby zaskoczona zniecka opinia publiczna Zachodu mogła odrazu zorientować się w nich należycie, sens ich istotny wyrozumieć i przejrzeć ukryte w nich widoki przyszłości. Ten skwapliwiej atoli w tych zawikłanych, ciemnych, a przecież arcyważnych materyach należy zasięgać światła od ludzi, głębiej wtajemniczonych i lepiej świadomych. Takim człowiekiem, takim *homme qui sait*, jest niewątpliwie ks. Uchtomski. Te kraje i te sprawy dalekiego Wschodu on zna z własnej naocznej

obserwacyi. Zna je z tytułu swego stanowiska, jako kierownik poważnej instytucji finansowej. Zna z tytułu swego zawodu, jako utalentowany i wpływowy publicysta. Zna wreszcie z tytułu swego politycznego wyznania wiary, jako wymowny głosiciel pewnych przewodnich haseł, jako stały reprezentant pewnych dążeń zasadniczych, mających punkt wyjścia właśnie na terenie dalekiego Wschodu. Głos takiego specjalisty jest niezawodnie i ważny i nauczający. Oświecić się u takiego rzeczoznawcy może być tylko z największą korzyścią. Na szczęście ks. Uchtomski w obecnej dobie gorączkowego zajęcia dla rzeczy i wypadków egzotycznych uznał za stosowne uprzystępnić szerszym kołom swoje najogólniejsze rozmyślenia i swoje poglądy wytyczne w tym interesującym przedmiocie. Otrzymałszy mianowicie nader ciekawy zbiór jego celniejszych enuncyacji w sprawach dalekiego Wschodu *). Jest to rzecz poniekąd programowa. Rzuca ona rześisty snop światła nie tylko na rozgrywające się na powierzchni wypadki, lecz oraz, co nierównie ważniejsze, na tające się w głębinach kierownicze prądy i dążenia. To też pośpieszamy, w skromnej roli oświecającego się skwapliwie czytelnika, wydobyć na jaw wszystkie światła, bijące z zajmującej zawartości tej zaiste niezwyklej publikacyi.

*) Ks. Uchtomskij: *„Rzecz o stosunku Zachodu i Rosyi względem Wschodu“*.

Książka ks. Uchtomskiego obejmuje kilkanaście luźnych rozdziałów, wszędzie jednak połączonych między sobą najściślejszym związkiem logicznym. Ogarniają one ogółem jedną ogromną całość: wykreślają przyszłe widoki całej niemal Azji. W szczególności zaś grupują się dokoła dwóch naczelnych ognisk kultury azyatyckiej, z jednej strony — Indostanu, z drugiej — Chin.

Rozdział wstępny nosi znamienity tytuł: „O pokrewieństwie (*srodstwie*) Indyi a Rosyi“. Sam już ten tytuł jasno uwydatnia oryginalną myśl przewodnią, którą też zaraz od pierwszych słów rozwija autor z wielką wymową i zapałem. „Przeszłość naszej Rosyi i przeszłość najbardziej typowej krainy Wschodu, Indyi, są podobne do siebie i spokrewnione z sobą aż do najdrobniejszych szczegółów i najzupełniej tak samo zawierają w sobie podobną rękojmnię przyszłości“. Zdaniem autora, „tam hen za Altajem i Pamirem odnajduje się w gruncie rzeczy ta sama nieskończona Ruś przed-Piotrowa z całą swoją potęgą tradycyi i niewyczerpanym zasobem miłości“. Autor zdaje sobie sprawę z całej nadzwyczajnej nowości tego swojego poglądu. „Takie porównanie tuziemców indyjskich z ludem wielkorusyjskim zapewne przez wielu będzie uznane za tendencyjne, nieprawdopodobne, albo zgoła fantastyczne“. Jednakowoż przy bliższem w rzecz wejrzaniu ta niespodziana analogia potwierdza się pod każdym względem w świecie wyższej idei historyozoficznej

o „zjednoczeniu z powrotem (*wozsojedinienii*) Rosyi z Azyą“.

W rzeczy samej, nasamprzód, ze stanowiska dziejowego okazuje się, że niemal równocześnie „dziki Turan stepowy, t. j. Mongołowie, uderzył na świat brański oraz na plemię wielkorozyjskie“. Było zatem zupełne podobieństwo indyjsko-rosyjskie w tej pierwotnej klęsce dziejowej. Następnie znowu z „obu stron zaczęła się reakcja, w Indostanie i w carstwie moskiewskiem, i nagle tutaj wewnątrz Rosyi a tam za Himalajami ziemie Dekkanu prawie w jednej dobie budzą się do wyższej samowiedzy!“ Było zatem znowuż zupełne podobieństwo indyjsko-rosyjskie w tem następczem wyzwoleniu dziejowem. Odtąd wprawdzie ujawnia się pozorna rozbieżność losów obustronnych, wynikająca atoli nie z natury rzeczy, lecz sztucznie narzucona skutkiem najazdu Europy zachodniej na Azyę. Rosya, raz otrząsnąwszy się od jarzma mongolskiego, podniosła się do najwyższego stopnia samodzielnej potęgi. „Natomiast Indyje doświadczyły nowego upadku skutkiem pojawienia się i najazdu garści europejskich przybyszów - eksploatatorów, t. j. najprzód Portugalczyków, a pod koniec, co najgorsza — Anglików. Tych więc przybyszów wyłącznem jest dziełem i winą, że ów piękny pierwotny zespół dziejowy indyjsko-rosyjski został następnie sztucznie przerywany. Prosty stąd wniosek, iż dla przywrócenia tamtej pierwotnej dziejowej harmonii, tych jej kłótcicieli przedewszystkiem należy usunąć.

Ks. Uchtomski przeprowadza malowniczą paralełę pomiędzy odkryciem Indyi przez towarzyszków Vasca de Gamy a zdobyciem Syberyi przez kozaków Jermaka. Ta paralela wypada całkowicie na niekorzyść Portugalczyków i całkowicie na korzyść junaków stepowych. Zdaniem redaktora „Wiadomości Petersburskich“, Camoens w „Luzyadzie“ był tylko zaślepionym panegirystą „zachodnich demonów-grabieżców“. Rozstawiony przez niego Vasco de Gama nietylę był bohaterem, ile takim właśnie demonem, zwłaszcza, jeśli go zestawić z prostoduszną postacią Jermaka. A mianowicie, w porównaniu z zachodnio - europejską gospodarką w Indyach, „srogość, wyrzucana naszej wolnicy kozackiej na Syberyi, wyda się humanitarną i zazwyczaj zastosowaną do warunków miejscowych“. „Jeżeli nawet tutaj wymierają rozliczne szczepy Samojedów, Ostyaków i koczowniczych Tunguzów, to odbywa się to nie z winy jakiegokolwiek bądź presyi panującego żywiołu, lecz po prostu na mocy zmienionych warunków ekonomicznych“. W ogólności cały systemat kolonizacji Syberyi, w porównaniu z cudzoziemskimi rządami w Indyach, widocznie objawia „uderzającą ludzkość względem tuziemczych stosunków i praw życiowych“. Zaś w tym samym czasie niemiłosierna inwazyja angielska, oparta na zgoła odmiennych zasadach rządowych, najcięższe utrapienia ściągnęła na nieszczęsny świat indostański. „Gdy rosyjski tytan północny, całkiem dotąd zjednoczony z Indyami pod względem historycznym, rozwinął się w całej pełni i z każdym dniem dalej

rozwija nagromadzoną w sobie dziejową energię,— natomiast Indye drętwieją pod uciskiem swoich, pozbawionych podstawy, uniwersytetów, wolnej prasy, kongresów i innych podobnych, niezmiernie kosztownych dobrodziejstw“. Te fikcyjne dobrodziejstwa nie są w stanie zasłonić przed przenikliwym wzrokiem rosyjskiego publicysty odgadywanych i opłakiwanych przez niego cierpień i męczarni, które, jego zdaniem, administracja angielska zwała na barki swoich ludów indyjskich.

To też autor nie wątpi bynajmniej, że wobec takich warunków Indusi żywić muszą w głębi duszy nieubłaganą nienawiść dla wyniosłych Anglików, wysysających, jak pijawki, niewyczerpane bogactwa ujarzmionego Indostanu. A zarazem — taki stąd pocieszający wywód prowadzi ks. Uchtomski — te nieszczęsne ofiary brutalnego wyzysku angielskiego muszą w głębi duszy czynić porównanie pomiędzy zgoła odmiennymi zasadami rządzenia, stosowanymi w brytańskich a rosyjskich posiadłościach azjatyckich, pomiędzy drapieżnymi pazurami lamparta brytańskiego a opiekuńczymi skrzydłami rosyjskiego orła.

W rzeczy samej, według obrazowego wyrażenia ks. Uchtomskiego, „skrzydła orła rosyjskiego nazbyt szeroko przykryły horyzont Wschodu, aby mogła istnieć najmniejsza wątpliwość, iż na związku organicznym z temi odległemi krainami polega prawdziwa rękojmia przyszłości Rosyi“. Sama Azja dobrze zdaje sobie z tego sprawę. „Zupełnie inaczej, niż na Anglików, za-

patrują się na nas wszystkie narody Wschodu. Znają one potęgę Białego Carstwa..., wiedzą, że my zawsze wnosiliśmy i wnosimy do chaosu własnego i obcego życia zasady prostoduszności i szczerzej dobroci, pragnienie świętej zasługi i pogląd na człowieka każdego plemienia i każdego wyznania, jako na istotę Bożą, bliską naszemu sercu“. Wewnętrzny pociąg wzajemny, głębokie wewnętrzne powinowactwo co krok w małych i wielkich ujawnia się znakach. Jeszcze w połowie XV wieku Afanasij Nikitin, mieszczanin z Tweru, chodził w gościnę do dalekich Indyi, a iluż jemu było podobnych, o których zaginęła wiadomość! I dzisiaj jeszcze „węzły historyczne i etnograficzne jednoczą naród rosyjski z Irano-Turanem, od morza Kaspijskiego aż do Gangesu i Dekkanu. Ta wspólność charakteru wewnętrznego objawia się nawet w drobnych szczegółach“. Tak np. wyraz „szuba“ odnajduje się w języku plemion Indyi północnych. Czyliż nie jest to zastanawiające? Również okazuje się, że „i tam w Indyach i w Rosyi u wielu mężczyzn jednakowo przejął się przesądny zwyczaj noszenia kolczyka w jednym uchu“. Czyliż nie daje to do myślenia? A dalej, „któż u nas wie o tem, że za Himalajami raz do roku, latem, obchodzi się pewna uroczystość, podczas której chłopcy skaczą dokoła rozpalonych ognisk i śpiewają pieśń?“ Nareszcie, „czyliż nie jest dziwne, że gminy wiejskie u nas i za Himalajami odznaczają się jednakową organizacją? Podobne przykłady możnaby mnożyć bez końca. A wobec tego któż u nas, z wyjątkiem chyba zatwardziałyłch stronni-

ków Zachodu (*zapadników*), będzie mógł wątpić choćby na chwilę, że tamten nieświadomiony jeszcze przez nas Wschód stanowi z samego swego ducha taką samą organiczną przynależność dzierżaw Monomachowych, jaką już uczyniona została ziemia zawołżańska i Syberya?"

Takie też jest silne i serdeczne przekonanie ks. Uchtomskiego. „Dla nas, dla nietkniętego w swoich głębiach Wschodu rosyjskiego, a w równej mierze i dla Azji, podstawę bytu stanowi wiara w Bóstwo oraz ufność dla jedynej, ustanowionej od Boga, Władzy. Ten prostoduszny światopogląd *miliarda* ludzi staje w zamkniętej, nieuniknionej sprzeczności z materyalistycznym światopoglądem Zachodu, w sprzeczności, jak gdyby wskazanej przez samą przyrodę“. Tym to sposobem, „kiedy państwa zachodnio-europejskie są tylko przypadkowemi, chorobliwemi naroślami na olbrzymiem ciele lądu azyatyckiego“, natomiast „węzły, łączące Rosyę z Irano-Turanem, a tem samem zarówno z pokrewnemi Indyami i Państwem Niebieskiem, są trwałe i przedwieczne... Od Erzerumu aż do krańców ussuryjskich nie istnieje żaden rozdzźwięk wewnętrzny pomiędzy t. zw. zwycięzcą a zwyciężonym, będącym wszak dla nas bratem z krwi, z tradycji, z poglądów. My tylko mocniej jednoczymy się i spokrewniamy się z tem, co zawsze było nasze“.

Na tem zamyka się zawartość pierwszej połowy niniejszych spostrzeżeń ks. Uchtomskiego, który zresztą, w szeregu ciekawych uwag dodatkowych, sięga

jeszcze z tej strony aż do Ceylonu oraz posiadłości holenderskich na Archipelagu malajskim. Albowiem z obszernego swego widnokręgu nie wyłącza on, nie wypuszcza tych nawet, odleglejszych i drobniejszych obiektów. Pomijając te interesujące, lecz już raczej drugorzędne zboczenia, rozpatrzmy się z kolei w drugiej, ciekawszej jeszcze, gdyż aktualniejszej połowie dziejowo-politycznych poglądów autora, gdzie zostają dotknięte i w nowem objawione oświeceniu palące sprawy i zagadnienia chińskie.

Widzieliśmy, jak głębokie, oryginalne, a nawskróś konsekwentne uczucia sympatii i powinowactwa żywi ks. Uchtomski dla ogromnego świata indostańskiego. Wszakże redaktor „Wiadomości Petersburskich“ zatacza z kolei krąg tych samych uczuć dokoła rozleglejszego jeszcze świata i kultury chińskiej. Zdaniem autora, „wielki naród chiński, który doprowadził do najwyższego stopnia podniosłości i prostoty kult Władzy i Nieśmiertelności, jest naszym najlepszym sąsiadem“. Z łatwością przychodzi autorowi i z tej również strony odsłonić uderzające punkty styczności i wspólności. „W naszych guberniach środkowych, np. w ziemiach wojska dońskiego i uralskiego, są kozacy - buddyści, krewni dawnych danników Pekinu, a są także duchowni-lamowie, chadzający tutaj w takim samym stroju, jak gdzieś na urwiskach Tybetu“. Zdarza się też nieraz, że „księża buddyjscy udają się z Kalkutty do Syberyi i do Petersburga, Tybetańczycy zaś stale utrzymują ścisły związek z naszymi Buryatami“. Ożywione stosunki

handlowe pomiędzy kupcami chińskimi a rosyjskimi od czasów niepamiętnych odbywają się najnormalniejszym i najzgodniejszym trybem, w niezakłóconem porozumieniu i harmonii. Podobnie w najlepszej zgodzie, w drodze ściśle pokojowej, dokonała się dawniej cesya okręgu amurskiego, a świeżo — Portu Artura. Wogóle, rozumny Chińczyk umie doskonale rozróżniać pomiędzy napływającym od strony morza żarłocznym przybyszem z Europy zachodniej a naturalnym swoim przyjacielem — sąsiadem rosyjskim od strony lądu stałego, pomiędzy krzywdami doświadczanymi od tamtego napływu, a pożytkami czerpanymi z tego sąsiedztwa. „Dla obywatela państwa Niebieskiego Rosya jest to potęga swojska, bliska, spokrewniona (*rodnaja*), nie tak, jak inne mocarstwa grabieżcze ze swoją polityką kolonialną“. Te to mianowicie drapieżne mocarstwa Zachodu, a zwłaszcza Anglicy i Niemcy, wciskając się klinem między przyrodzoną przyjaźń i jedność chińsko-rosyjską, stanowią dla obu serdecznych przyjaciół, dla Chin i Rosyi, najniebezpieczniejszą groźbę. „Najbardziej złowróżbną — tak dobitnym głosem ostrzega i dobitnym kursywem drukuje ks. Uchtomski — byłaby hipoteza o zapanowaniu zasad zachodnich w Chinach, t. j. w takim wypadku, jeżeliby Europejczycy, w szczególności zaś Anglicy, mieli ustalić swoją przewagę w państwie bogdychanów. Nasze główne zadanie na żółtym Wschodzie powinno zatem przedewszystkiem polegać na zapobieżeniu podobnym widokom, ażeby następnie nie stanąć wobec konieczności zwalczania narzuconych

niebezpieczeństw kosztem drogiej krwi rosyjskiej i kolosalnych wydatków pieniężnych“.

Owóż, zdaniem autora, takie właśnie niebezpieczeństwo w całej swojej grozie zostało rozmyślnie wywołane przez podstępną akcyę europejskiego Zachodu na dalekim Wschodzie. Początek uczyniony został pod tym względem nie w Chinach, lecz w Japonii. Właściwie i Japonia, podobnie jak Chiny, „jest bardziej z nami związana i bliższa nam duchem, niż wyniosła Europa zachodnia“. Ale perfidya Zachodu potrafiła w sercach japońskich „zaszczepić podejrzenie i niechęć dla Rosyi“. Mimo to przecie ks. Uchtomski nie traci nadziei, że „rozumniejsi Japończycy uświadomią sobie niebezpieczeństwa, wynikające z bezwzględnego poddania się cudzoziemszczyźnie“. Innemi słowy, autor jasno zapowiada, że w państwie mikada „reakcyja w dobroczynnym kierunku narodowym jest zapewne kwestyą krótkiego czasu“. Byłaby to zbawienna reakcyja sympatycznych żywiołów starojapońskich przeciw owym antypatycznym zachodowcom, „zapadnikom“ młodojapońskim, będącym tam obecnie u steru, którzy główną swoją ambicyę pokładają na całkiem zbytecznem mnożeniu i doskonaleniu armii i floty japońskiej i radziby uczynić z Japonii drugą, azyatycką Anglię. Na szczęście jednak, jak właśnie objaśnia nas autor, nie są zaniedbywane zabiegi w celu przeciwdziałania tej szkodliwej robocie na samym jej gruncie i jest też nadzieja skutecznego jej zatamowania, oczywiście dla dobra samego narodu japońskiego. Należy podnieść tę interesu-

jącą zapowiedź, która, pochodząc od tak dobrze informowanego znawcy stosunków tamecznych, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Z Japonii Zachód przeniósł z kolei swoją podziemną robotę rozkładową wprost już do samych Chin. „Nad krańcową rubieżą słowiaństwa na dalekim Wschodzie wiarołomni Teutonowie dopuścili się łupiestwa i gwałtu. Takim faktem jest zwłaszcza oplakany zabór Kiao-Czau. Europa zachodnia przebiła straszny wyłom w idealnym murze chińskim. Któż teraz może zbawić Chiny od jarzma i upadku? Ja mam przekonanie, że jedynie Rosya!”

W istocie takie samo, nie inne, jak redaktora „Wiadomości Petersburskich“, jest podobno w tym względzie przekonanie całej Azji wogóle, a Chin w szczególności. Ks. Uchtomski pod tym względem posiada na swoje poparcie dostateczną ilość bardzo poważnych i bardzo zastanawiających cytacyi. Tak więc, „nader ukształcony sułtan kirgiski, Wali-Chanow, zapytany przez sędziego A. N. Majkova, jaką właściwie jest jego filozofia historii, po krótkiej chwili namysłu odparł z uniesieniem: Bóg Najwyższy był darował władzę nad światem memu przodkowi, Czengis-Chanowi, lecz odebrał ją za grzechy jego potomstwu i oddał w ręce Białego Carstwa. Oto jest moja filozofia historii“. Zupełnie w ten sam sposób „Mongołowie, stopień pośredni pomiędzy nami a Chińczykami, przyswoili sobie w najgłębszym przeświadczeniu taki sam pogląd na Rosyę i na jej władzę zwierzchnią, objawiając się

dla nich jako wcielenie miłosiernej *Cagan-Dara-Eche*, t. j. jednej ze świetlnych manifestacyi samego Buddy“. Niemniej godne jest uwagi, że „w skład hieroglify *Hwang-Ti-Chuan-Di*, t. j. pierwotnego tytułu Bogdychana, wchodzi pojęcie Białej Księżyc, *Cagan-Chan*! Wprawdzie uczeni angielscy wykazują, że jest to tylko późniejsze skażenie istotnego sensu, który właściwie ma nie oznaczać nic innego, jak tylko Umiejący panować nad samym sobą. Ale czyliż to nie wszystko jedno, skoro w danej chwili ten symbol staje się tak wymownym?”

Obecnie o to właśnie chodzi najgłówniej, ażeby we właściwej mierze, we właściwym duchu, przykładać się do pożądanego urzeczywistnienia tego wielkiego symbolu. W dobie społecznej, niezawisłe od chwilowych, przejściowych odmian wojennych, znowu sztucznie wywołanych przez złą wolę Zachodu, zdaniem ks. Uchtomskiego „osłabione i kruche Chiny zaczynają otwarcie i serdecznie zbliżać się do naszego wielkiego mocarstwa północy, szukając w niem moralnej podpory i materalnego sukursu, albowiem te Chiny i my, to jeden zwarty i bezbrzeżny żywioł, to jedna duchowo sharmozonizowana całość, którą wszędy powinny przeniknąć te same prądy życionośne, nad którą wszędy powinna zabłyśnąć ta sama jasna zorza, która ongi, za czasów Olgi i jej wnuka Krasnego Słoneczka, była odrodziła Ruś kijowską“. Takie wyjście jest zresztą najdobitniej wskazane przez same warunki geograficzne, jest niejako wyrazem wyższej, przyrodzonej woli Opatrzności.

„Za morzem Kaspijskiem, Altajem i Bajkałem my nie mamy i nie możemy mieć żadnej określonej rubieży, poza którą kończyłoby się to, co naprawdę jest nasze. Odcienia przejściowe od posiadłości rosyjskich do chińskich tak są nieuchwytnie (*nieułowimy*), że wyrazić tego niepodobna... Dla nas w Azji naprawdę niema i być nie może żadnych innych granic, jak tylko nieokiełznany, bijący o jej brzegi nieskończony Ocean... Ruś, to źródło i ognisko niezwyciężonej mocy. Wschód, podobnie jak i my, wierzy w nadprzyrodzone własności ducha rosyjskiego. Azja zdolna jest serdecznie pokochać Rosyę i bez bólu z nią się utożsamiać... Dla państwa wielkorosyjskiego niema innego wyjścia: albo zostać tem, do czego ono jest powołane od wieków, zostać potęgą wszechświatową, łączącą Zachód ze Wschodem, albo też niezwłocznie stoczyć się po pochyłości upadku, zduszone przez zewnętrzną przewagę Europy, oraz przez rozbudzone obcym wpływem ludy azyatyckie, które wtedy staną się dla nas jeszcze groźniejsze od cudzoziemców zachodnich“.

Taka jest ostateczna i najwyższa idea, do której w konkluzji wznosi się ks. Uchtomski. Idea *miliarda* ludzi zespolonych w duchu. Idea wielka, co się zowie. A jakkolwiek tak wielka, przecie, zdaniem autora, wcale wykonalna, która przerażać swoim ogromem nie powinna bynajmniej. Wszak „już w czasach starożytnych, kiedy środki komunikacji były nieskończenie gorsze i trudniejsze, niż dzisiaj, mimo to na kresach Europy a Wschodu urastały i utrwały się olbrzymie mocarstwa

światowe. Obecnie, w dobie kolei, telegrafów, telefonów, nie mówiąc już o innych, codziennych nowych wynalazkach, łączących kraje i narody, żadnego niema słusznego powodu obawiać się odległości albo rozbratu pomiędzy oddalonymi częściami składowymi jednej wspólnej całości. To, co dla przodków naszych mogło wydawać się blizkiem, dla naszego wzroku staje się bezpośrednio przystępnem... Takie i większe jeszcze niespodzianki kryje w swym łonie nadchodzące XX stulecie“.

Tutaj kończy się niewielka objętością a bogatą treścią książka ks. Uchtomskiego. Autor nie od dzisiaj dobrze jest znany naszej publiczności ze swoich szczerze sympatycznych wystąpień w zakresie spraw wewnętrznych. Obecnie jednak, jak się zdaje, ks. Uchtomski z wyjątkowym i wyłącznym zamiłowaniem poświęcił się niniejszym najodleglejszym i najegzotyczniejszym zagadnieniom polityki zagranicznej. Chętnie podążyliśmy za nim aż tak daleko i chętnie z jego skrzystalizmy światła. Albowiem sami czujemy się tutaj zgoła ciemni i na gruncie zgoła dla nas obcym. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażebyśmy i wcześniej, zanim jeszcze dostała się nam do ręki szacowna publikacja niniejsza, nie mieli interesować się żywo tym ogromnym odłamem ludzkości, tem jej źródłem najpierwszem, jakim jest stara matka Azja, ażebyśmy nie starali się i dawniej, w skromnych granicach umysłowej naszej możliwości, zapoznawać się z dziejami, kulturą i duchem dalekiego Wschodu. Ale poszukiwaliśmy

w tym względzie nauki z wprost przeciwnej strony, z tej mianowicie strony, gdzie uczyli Amyot i Rémusat, Burnouf i Julien, Saint-Hilaire i Cordier, Humboldt i Schlegel, Elliot i Ballantyne, James Mill i Macaulay, Max Müller i Douglas, te, jednym słowem, umysły zachodnie, które dotychczas skłonni byliśmy uważać za istotnych pośredników duchowych pomiędzy prastarą azjatycką a młodą europejską cywilizacją. Jednakowoż, jak się okazuje, cały nasz sposób informowania się polegał na nieporozumieniu. Stąd też cała nasza słaba erudycja wschodnia, jak się okazuje, jest zupełnie jednostronną i bezużyteczną pośrodku owych zupełnie nowych horyzontów historyczno - politycznych, które jednym wspaniałym rozmachem otwiera przed olśnionym naszym wzrokiem ks. Uchtomski. To też, tem większem uznaniem przejęci dla autora, pośpieszyliśmy oddać z całą skrupulatnością niezmiernie oryginalne i zastanawiające jego wyłuszczenia i wywody. Wstrzymujemy się od wszelkich własnych komentarzy. Moglibyśmy, co najwyżej, przypomnieć słowa starego mędrca Zachodu, starego Greka Cyneasza, wyrzeczone ongi do króla Epiru: „A co dalej, królu?“ Ale w tych nowych i nadzwyczajnych sprawach własna nasza kompetencja niezawodnie jest zgoła niedostateczna i własny nasz sąd pozbawiony wszelkiego samodzielnego znaczenia.

Pisma Włodzimierza Spasowicza.

Niedawno obchodzono jubileusz długoletniej działalności społecznej i pisarskiej p. Spasowicza. Nie trzeba było tej dopiero daty, aby przypomnieć i uświadomić niepospolite zasługi, położone dawniej przez jubiłata. Odkąd tylko po raz pierwszy dał się poznać, zajął miejsce poważane i wybitne; od ćwierci wieku zaliczał się w każdym razie do najwydatniejszych w społeczeństwie postaci. W zawodzie, któremu się poświęcił, ceniony jako teoretyk a zwłaszcza praktyk pierwszorzędny, jako profesor a zwłaszcza obrońca, wcześniej uczynił swoje imię znanem w Europie, u specjalistów przez gruntowną naukę, w szerszych kołach przez śmiałą i sympatyczną, przy głośnych okazjach, wymowę; co zaś może jeszcze godniejsze uwagi, w obranej przez siebie sferze prawniczej, na stanowisku szczególnie trudnem, potrafił zdobyć sobie wyjątkowe uznanie i powagę. Nie zamykając się zresztą w swojej specyalności, z zamiłowaniem i wrażliwością, rzadką

u ludzi przywalonych wyczerpującą pracą zawodową, oddawał się rozważaniu arcydzieł piśmiennictwa rodzimego i obcych. Nadto, dosyć jeszcze znajdował dobrych chęci i czasu, aby przysługiwać się publicystyce nie tylko osobistym pisarskim udziałem, lecz oraz płodną inicjatywą wydawniczą.

Wszechstronna i pod niejednym względem użyteczna działalność p. Spasowicza upamiętnioną została lepiej, niż w przemijających obchodach jubileuszowych, w edycji zbiorowej jego „Pism“^{*)}. Myśl tego wydawnictwa ze wszech miar była szczęśliwą. W istocie, jakkolwiek zasłużonym rozgłosem cieszyło się nazwisko autora, działał on przecie zawsze więcej słowem żywym, niż pisanem, i więcej może miał słuchaczy, niż czytelników; a nawet działalność jego czysto pisarska, rozproszona po czasopismach, obejmująca nader rozległy okres czasu, niełatwo dawała się ogarnąć. Mamy ją teraz zgromadzoną razem. Żałować tylko wypada, że obszerny zbiór, tym sposobem powstały, nie został starannie i systematyczniej uporządkowany: w licznych przyczynkach nader urozmaiconych, a uszykowanych całkiem przygodnie, z jakich on się składa, zorientować się z pewnym przychodzi trudem. Rozejrzawszy się w „Pismach“, można z nich wyróżnić trzy działy główne: rzeczy treści prawnej, estetyczno-krytycznej, polityczno-społecznej. Nie będzie to rozkład wyczer-

^{*)} Włodzimierz Spasowicz: „Pisma T. I—VII“.

pujący, ani zupełnie ścisły, — wszakże o dokładniejszy byłoby zapewne dość trudno.

I.

P. Spasowicz jest prawnikiem. Jest on mianowicie jednym z tych prawników, którzy, w przejściowym okresie swego życia, kiedy w umyśle, już się konsolidującym a jeszcze wielce wrażliwym, najświadomiej i najmocniej utrwalają się opinie, byli obecni w siódmym dziesiątku zeszłego wieku przy podjęciu i dokonaniu wielkiej reformy sądowej w Rosyi. Była to niewątpliwie, i dla polskiego prawniczego oka, reforma wielka i dobroczynna. Była taką — w ścisłym oczywiście swoim zakresie ogólnym i pierwotnej swojej postaci, — jakkolwiek powstała w zupełnym oderwaniu od myśli prawnej polskiej. P. Spasowicz tylko był obecny przy tych rozległych pracach reformatorskich; rosyjscy prawnicy tej samej, albo niewiele starszej generacji, obmyślili i doprowadzili do końca pożyteczne dzieło. Byli wśród nich ludzie bardzo zaciągani i bardzo dzielni; z nich niektórzy obecnie zasiadają w Senacie Rządzącym i niekiedy pisują istotnie piękne motywa do wyroków kasacyjnych, znoszących uchwały niższych instancji, gdzie inna już zasiada generacja. P. Spasowicz tamtych miał za kierowników albo za towarzyszy, zbliżka na nich się patrzył i przejął się słusznym dla nich szacunkiem, słusznym poszanowaniem dla znako-

mitęgo dzieła reformy, do którego oni przyłożyli rękę. Gdyby był starszy o lat trzydzieści, zapewne widziałby bliżej Antoniego Wyczechowskiego, układającego Ustawę Hypoteczną; gdyby był o lat trzydzieści młodszy, łatwiej może wdrożyłby się do nowel proceduralnych późniejszej doby; gdyby nie był prawnikiem, zgoda nie byłby sobą. O tej okoliczności, która wyjaśnia wiele poglądów p. Spasowicza, wiele jego nadziei i rozczarowań, pamiętają nie wszyscy wśród jego czytelników, nieliczni wśród admiratorów, żaden może z przeciwników. Będziemy się starali pamiętać aż do końca.

Na tem miejscu, rzecz prosta, możliwe są jedynie wzmianki pobieżne i oderwane o pomniejszych pismach prawniczych, które weszły do zbioru,—(większe i ważniejsze zostały wykluczone)—pismach zresztą okolicznościowych i bardzo mało między sobą mających łączności. Najwcześniejsze dotyczy „Stosunków majątkowych między małżonkami podług dawnego prawa polskiego“. Przedmiot, jeden z najciekawszych, dał, jak wiadomo, w innym czasie okazję do homerowskiej potyczki starego, nieocenionego Dutkiewicza z Maciejowskim, odwiecznym jego antagonistą, i młodym jeszcze p. Bobrzyńskim, na którym ciężko spoczęła naówczas twarda ręka wojowniczego pisarza „Prawa Hypotecznego“. P. Spasowicz, kreśląc znacznie wcześniej krótki zarys dawnych przepisów obowiązujących, nie miał powodu wdawać się w dystynkcyę pomiędzy zwyczajem a sankcją prawną; jego pismo, nic zupełnie nie dodając do Bandtkiego i Czackiego, jest bezpretensjonalne

a treściwe i jasne. Była to pierwotnie rozprawa habilitacyjna, złożona uniwersytetowi petersburskiemu w 1852 roku. Z powodu tej rozprawy, jak gdzieindziej objaśnia sam autor, zeszedł się z nim bliżej prof. Kawelin, ułatwił mu otrzymanie katedry i został niejako duchowym jego przewodnikiem; sympatycznej postaci Kawelina, zmarłego przed kilku laty, jest poświęcone ciepłe wspomnienie pośmiertne. Do dziedziny całkiem nowożytną wkraczają dwie rzeczy o „Własności literackiej“. W tej spornej, tylekroć omawianej sprawie, od pół wieku, wyznajemy, nic nie słyszeliśmy rozumniejszego od dwóch jędrnych przemówień Macaulaya w Izbie gmin. Przeciwnie, rozległe a luźne, raczej abstrakcyjne roztrząsania p. Spasowicza nie wydają się nam ani dostatecznymi ani nawet wolnymi od sprzeczności. Tak więc, kiedy pierwotnie radzi autor „ogłosić bezwarunkową wolność przekładów“, po paru już latach i o parę stronnic dalej oświadcza się „za opodatkowaniem przekładów na rzecz autorów oryginałów, ale umiarkowaniem“; zresztą jest przeciwnikiem „majoratów literackich“ i słuszny zakłada protest przeciw zanadto wygórowanym pretensjom niektórych zanadto gorących rzeczników nietykalnej własności pisarskiej. Drobnostkę o „Towarzystwach akcyjnych“, dorywczą i zgoda niewyczerpującą przedmiotu, pominąć wolno. Obszerna rzecz o „Naszych dzisiejszych sądach szlacheckich polubownych“ przedstawia bezstronnie a szczegółowo spór majątkowy, w swoim czasie głośny na Podolu i Ukrainie, a posiadający o tyle tylko znaczenie ogólniejsze, o ile

należał do szeregu bezowocnych usiłowań otrząśnięcia się i wyzwolenia z nowych porządków sądowych. Poza tem, mówiąc własnymi słowami p. Spasowicza, godzi się „wątpić, czy wertowanie tej sprawy może obudzić inne uczucia, prócz żalu, niezadowolenia i niesmaku“. Najzupełniej dzielimy to zdanie; lecz właśnie dlatego nie jesteśmy całkiem pewni, czy istotnie było pożądaniem i potrzebnem uwiecznić w „Pismach“ sprawę czysto prywatną, w gruncie rzeczy nader pospolitą, niepospolicie tylko szpetną.

Wreszcie, ażeby skończyć z przedmiotami treści cywilno-prawnej, podnieść wypada szereg uwag, z powodu „Kodyfikacji rosyjskiego prawa cywilnego“. Jak wiadomo, już od szeregu lat trwają w Petersburgu prace Komisji kodyfikacyjnej, której powierzone zostało potężne zadanie wygotowania ujednolitej księgi praw cywilnych dla całego obszaru państwa rosyjskiego. P. Spasowicz z tego powodu wyraża życzenie, aby nie zaniedbano przy kodyfikacji „zapożyczyć się“ ze Statutu litewskiego, skąd korzyść byłaby „olbrzymia“, albowiem: „popierwsze, byłoby to praktyczne posunięcie o jeden krok naprzód kwestyi słowiańskiej... powtóre, możeby ta próba wpłynęła na zmniejszenie ślepego przywiązania całej jurysprudencji Królestwa Polskiego do Kodeksu Napoleona“. Jakkolwiek ta uwaga posiada znaczenie czysto platoniczne, nie możemy się powstrzymać, aby jej nie podkreślić, aby zarazem nie zastrzedz się przeciw niej jak najwyraźniej. P. Spasowicz dużo się zajmował Statutem litewskim, i jest

rzeczą wcale naturalną, że ten pierwszorzędny pomnik prawodawstwa do serca mu przyrósł. Jednakowoż, ani nieprzesadny pietyzm, ani, tem mniej, nieokreślone względy „słowiańskie“, nie są zdolne wypełnić odstępu pomiędzy historycznym i przedawnionym pomnikiem prawnym, jakim jest Statut, a pierwszym z istniejących żywym dziełem prawodawczym, jakim jest Kodeks francuski. Zaś zarazem wydaje się zgoła bezzasadnem, a nawet niewłaściwem, piętnować w obecnej porze rzekome „ślepe“ przywiązanie „jurysprudencji“ naszej dla tego wspaniałego kodeksowego dzieła. To przywiązanie nie wynika bynajmniej z zaślepienia. Ani też nie jest bynajmniej zawodową słabostką samych tylko jurystów. Wynika ono z istotnej znajomości rzeczy i stosunków, z rozumnej oceny stuletnich dobroczynnych doświadczeń kodeksowych. Jest ono wyrazem pojęć całego oświeconego ogółu. P. Spasowicz, który kształcił się i pracował w całkiem odmiennej dziedzinie i atmosferze prawnej, być może, w tym wypadku nie posiada pożądanej pełnej kompetencji. Być może, zapatruje się on na te rzeczy pod nieco egzotycznym, a w każdym razie pod niedość trafnie obranym kątem widzenia. Ten jego specyficzny kąt widzenia jest nam zresztą dobrze znany, bo jest nienowowy, niedzisiejszy. Gdyż naprawdę p. Spasowicz, sam może niezupełnie zdając sobie z tego sprawę, staje się tutaj spóźnionym rzecznikiem poglądów i dążeń przedstuletnich, oddawna już odłożonych *ad acta*, oddawna przebrzmiałych, aż tu naraz odzywających się odległym epigonowem echem.

Podobnież, mniej więcej, z innej zapewne tonacyi, lecz na tę samą właściwie nutę, przed stu laty blisko, za czasów Księstwa Warszawskiego, podnosiły się przeciw Kodeksowi francuskiemu separatystyczne głosy Ogińskich i towarzyszy, ludzi z Komitetu ośmiu gubernii, obradującego w Petersburgu, i ich tajnych popleczników w Warszawie, ludzi nienajgorszych, nawet dobrej myśli, ale niedostatecznej albo żadnej poczytalności dziejowo-politycznej. I podobnież, mniej więcej, jeszcze za czasów Królestwa Kongresowego, powstawali na cały bez wyjątku Kodeks napoleoński niektórzy członkowie rządu, senatu, nawet izby poselskiej, w nieskończonej przecie mniejszości wobec przeciwnej zdrowej i postępowej opinii powszechnej, ludzie krótkowidzących lub wręcz zacofanych pojęć, niezdolni na szczęście, pomimo nierozsądnych swoich wysiłków, odebrać krajowi drogiego prawodawstwa kodeksowego, które na szczęście zachowała Królestwu światła inicjatywa Aleksandra I. Zapewne, jak każde dzieło ludzkie, nie było to prawodawstwo samą doskonałością, nie było wolne od braków bardzo rozmaitych i bardzo poważnych. Gdzieindziej, w samej Francyi oraz sąsiednich ziemiach kodeksowych, we Włoszech, Belgii, prowincyi nadreńskiej, mogła odtąd wnosić ciągle udoskonalenia dalsza prawidłowa czynność prawodawcza. W kraju tu-tejszym inne wytworzyło się położenie. Tutaj też, niezawodnie, w rozlicznym względzie objawiły się braki najdotkliwsze. Jesteśmy ich najzupełniej świadomi, z podwójnego stanowiska prawnika i historyka. Może

nawet, śmielibyśmy mniemać, jesteśmy niemniej świadomi tych braków starego naszego cywilnego Kodeksu od znakomitego pisarza „Prawa kryminalnego“. Były ciężkie przeoczenia w samych przepisach przejściowych za Księstwa. Były kardynalne niedostosowania do szczególnych warunków czasu i miejsca, zwłaszcza w obrębie przepisów dzierżawczych, spadkowych, małżeńskich. Były to źródła niepożądanych zakłóceń i targów w dziedzinie społeczno-gospodarczej oraz społeczno-wyznaniowej. To prawda. Ale także i to prawda, że dzięki Kodeksowi Napoleona dokonany został w tym kraju od jednego zamachu stanowczy i wszechstronny postęp w najrozleglejszym zakresie stosunków i pojęć. Od jednego zamachu kraj został obdarzony działającym najsprawniej i najściślej, najbardziej celowym, logicznym i konsekwentnym narządem prawno-cywilnym. Od jednego zamachu, z tej arcyważnej strony cywilnoprawnej, kraj został przysposobiony do najbardziej urozmaiconych funkcji żywotnych nowoczesnego społecznionego ustroju. Na tem urosło i zbogaciło się Królestwo. Na tem stanął jego przemysł i handel. Na tem wsparł się jego zdrowy rozwój ekonomiczny. Rzecz prosta—nie na tem wyłącznie. Ale, obok wielu innych czynników, niepomąlu właśnie na tym ważnym, jednolitym, nawskróś europejskim czynniku kodeksowym. To też niepospolita doniosłość tego czynnika bardzo wcześniej, najwcześniej była zrozumiana i uznana, nie przez „jurystów“ dopiero, lecz przez wielkich statystów krajowych, przez najtęższych, a szczerze polskich,

reprezentantów prawdziwego swojskiego rozumu stanu. Nie „jurysta“ z przed nowej kratki trybunalskiej, lecz stary ksiądz Kołłątaj uczynił się pierwszym wymownym apologetą francuskiego prawodawstwa w Księstwie Warszawskim. Staremu Kołłątajowi było chyba dalej do Kodeksu i było bliżej do Statutu, aniżeli uczonemu prawnikowi nowożytnemu, jakim jest p. Spasowicz. A jednak Kołłątaj całą potęgą swojej wielkiej myśli obywatelskiej stanął po stronie Kodeksu i stanowczo zawarował się przeciw spółczesnym sobie separatystycznym i zacofanym dążeniom statutowym. On pojmował ducha czasu. Pojmował potrzeby przyszłości. On tych wielkich zagadnień nie tykał przygodną intencją publicysty, lecz się ich miał głębokiem pojęciem polityka i prawodawcy. Nieinaczej i dzisiaj wypadłoby poruszać te arcyważne i arcytrudne materye. Dysgresye na rzecz Statutu i dzisiaj wypadłoby uznać co najmniej za bezcelowe. I jeśli istnieją dzisiaj jakiegokolwiek szanse oddziaływania na przyszłą kodyfikację, to napewno nie przez odwoływanie się do Statutu, lecz przez gruntowną apologię Kodeksu,—zadanie wagi pierwszorzędnej, którego ciężar, niestety, spoczywa wśród prawników polskich wyłącznie na barkach bystrego autora „O zobowiązaniach w ogólności“. Byłoby nader do życzenia, ażeby „juryści“ polscy, nie zrażeni bynajmniej zarzutem p. Spasowicza, wprost przeciwnie postarali się raczej pośpieszyć tutaj z poważnym naukowym sukursem i poważnie, naukowo zadokumentować swoje „ślepe przywiązanie“ dla obowiązujących w tym

kraju praw cywilnych. Okazałoby się wtedy najlepiej, że nie było ono nigdy i teraz nie jest „ślepcem“. Jest dziś i było zawsze całkiem świadomem. Po dziś dzień w ten sposób nie „przywiązano się“ w Galicyi i Poznańskim do austriackiej Powszechnej księgi praw, do pruskiego Prawa krajowego, albo do niemieckiego Prawa cywilnego. Dla bardzo prostej przyczyny: bo to są dzieła bardzo wadliwe, francuskie na swój czas było najdoskonalszem. To też prawo francuskie u nas, na obcym zupełnie gruncie, niezwykle łatwo a głęboko zapuściło korzenie. Razem z niem nawet żyli się u nas i zyskali pełne prawo obywatelstwa jego twórcy i tłumacze, członkowie Rady Stanu, sędownicy, komentatorowie francuscy. Przenikliwy Merlin, kłótlivy Marcadé, wustawnych z erudycyjnym Troplongiem utarczkach—trochę na podobieństwo krewkiego Dutkiewicza, bojującego zaciekle z Maciejowskim, — żywy Demolombe, sypiący wykrzyknikami i znakami zapytania, Lauret, nieco wielomówny i niezawsze dość ścisły, lecz na zagadnienia nowoczesne niezmiernie wrażliwy,—ci i tylu innych na drugim krańcu Europy znaleźli się jak u siebie, przyjęci z istotnem zrozumieniem, z należnymi honorami, przez prawników polskich, przez Wyczechowskich, Wołowskich, Dutkiewiczów: a tyle niezawodna, że obcowanie z tymi naczelnymi przedstawicielami myśli prawnej Zachodu, obcowanie długoletnie i zażyłe, było dla społeczeństwa ze znaczną i trwałą korzyścią. To zjawisko, wysoce zastanawiające i doniosłe, podwójną stanowi chlubę, dla prawa i społeczeń-

ności: dla prawa, obmyślanego i sformułowanego tak pięknie i rozległe, że nie tylko u pokrewnych ościennych szczepów romańskich się przyjęło, lecz oraz u dalekiego narodu innej krwi i obyczajów; dla społeczności, — że jeden z najwyższych wytworów cywilizacji zachodniej odrazu sobie przyswoiła i dała sobie z nim radę. Jeśli do p. Spasowicza ten stosunek tak silnie nie przemawia, dzieje się to zapewne, między innemi, dla dwóch powodów: najprzód, nie jest on w ogólności prawnikiem-cywilistą; powtóre, pozostał w szczególności nietknięty przez wpływy prawa francuskiego, obowiązującego w Królestwie Polskim.

P. Spasowicz, jak wiadomo, poświęcił się głównie prawu karnemu. Ten przedmiot ze znakomitem powodzeniem wykladał on z katedry uniwersyteckiej; w tym kierunku przeważnie zużytkował następnie świetny talent obrońcy.

Ze wszystkich dziedzin prawa, które wszystkie spoczywają na pewnych fikcjach koniecznych, dziedzina prawa karnego, mroczna i niezdrowa, wznosi się na gruncie najbardziej uginającym się i niepewnym. „*La loi demeure inique et mauvaise nourrice, Et son indifférence à l'effet du caprice*“, — i ten, i inne akademickie sonety, mierzące ogólnikowo we wszelką Sprawiedliwość, mógłby Sully Prudhomme wystosować szczególnie do sprawiedliwości karzącej. Zapewne, dla czytelników „Nowego Piławała“ i beletrystyki sądowo-policyjnej, dla wytwornej publiczności, wypełniającej sale posiedzeń, ilekroć jaka *cause célèbre* znajduje się na

wokandzie, dla początkujących młodych prawników, zdecydowanych zadziwić świat i znajome panie wstrząsającą obroną dzieciobójczyni albo mordercy z afektu, — dziedzina kryminalistyki może wydawać się niezmiernie pociągającą a nawet jedynie ponętną. Natomiast, jeżeli stanąć bliżej, tuż przy samej rozpadzonej ogromnej, niekształtnej machinie sądownictwa karnego, która z większym wysiłkiem niż precyzją, a z przenikającym zgrzytem wykonywa swoje działanie; jeśli obrócić się do kategoriycznych, w swoim obrębie niemal wszechwładnych sędziów śledczych, do t. zw. biegłych, dających społeczeństwu wyrocznie bez uśmiechu augurów; posłuchać wykładanych naopak przez tłumacza zeznań, albo przemówień tak zwanych obrońców z urzędu, improwizujących na traf, bez jednego spojrzenia do akt sądowych, albo też bodaj prowadzonej na stronie dyskusji woźnych, deliberujących ze świadkami wedle wypłaty na forszus świadkowego; popatrzeć na zmienną jak kalejdoskop ławę podsądnych, gdzie luzują się bądź obojętne i bezmyślne figury pół-ludzi, bądź nieszczęśliwi, nieprzytomni, wystraszeni nowicjusze, bądź wytrawni zawodowcy, z głębokiem znawstwem procedury i stosunków śledzący czujnie rozprawę i oblicza sędziowskie; poczuć w końcu namacalnie, nieodparcie, z postępem godzin, spływającą ołowianą sennością na przeciążoną, zniecierpliwioną magistraturę, na opustoszałą salę, na akta i dowody rzeczowe, jeszcze pozostałe do odrobienia; jeśli sobie uprzytomnić legion szczegółów, równie pospolitych, dotkli-

wych, bolesnych, a poczęści prawie wprost nieuniknionych, — wtedy uczuciem dominującym staje się w jednakim stopniu nieszczęście i przygnębienie. A jeśli w dodatku rozczuływać się w literze prawa, jeśli nadto się zwrócić do jego podwalin teoretycznych, aby poszukać kardynalnych zasad poczytalności przestępców, klasyfikacji przestępstw, ustopniowania kar, wtedy nad nieszczęściem i niechęcią gotowa wziąć górę sceptyczna i lekceważąca obojętność. P. Spasowicz, który więcej, niż kto inny, widział podsądnych i słuchał wyroków, prawdopodobnie wie o tem wszystkim lepiej, niż kto inny. Przed trzydziestu laty, na początku zawodu obrończego, zastanawiając się nad „Teorią włamania się“, do takich dochodził wniosków: „Formy i teorie prawne podobne są do rusztowania, które architekt stawia przy budowaniu gmachu; jest ono niepiękne, ale obejść się bez niego niepodobna. Można je rozebrać, ale na jego miejsce trzeba postawić inne. Włamanie się jest jedną z takich niedoskonałych form, używanych dla wprowadzenia możliwie najsprawiedliwszych kar za kradzież: formę tę można uchylić, ale jednocześnie trzeba wymyślić inne jakieś zmyślenie, inne widmo, inną okoliczność, któraby posłużyła do ustopniowania kar za przestępstwa. Powziąłem myśl odszukania takiej formy, która mogłaby posłużyć do zastąpienia włamania się; długom z tą myślą się porałem, ale ostatecznie dotychczas — nic nie wymyśliłem“. Jest to zapewne jedna tylko z tysiąca nierozstrzygniętych wątpliwości,

jakie wytrawnemu prawnikowi nasunąć się musiały w ciągu długoletniego doświadczenia i obserwacji.

Najcięższe atoli zwątpienia przyniosła chyba p. Spasowiczowi doba najnowsza. Przyniosła bowiem nietylko niektóre miejscowe zmiany procedury, ale w dodatku najniespodzianiejszą spłodziła na Zachodzie nowy całkiem kierunek w teorii i prawodawstwie karnem: drakańskie prawo o recydywistach — we Francji; agitację zjazdów prawniczych przeciw sądom przysięgłych — w Niemczech; w końcu, we Włoszech, — dziwnie radykalną naukę o przestępstwie i karaniu, która wywraca wszystkie pojęcia, od lat stu utrwalone, niweczy teorię poprawy, daleko wybiega poza teorię zastraszania, nie pyta o poczytalność, z przestępcy czyni poprostu dziką bestię, z sędziego — *louvetiera*, który w swoim okręgu winien wilki wytępić, z wszelkiej kary — surogat kary śmierci. P. Spasowicz, wychowany w dobrej szkole znakomych prawników i zacnych ludzi starego autorytetu, którzy nie myśleli utożsamiać swego zadania z zadaniem psychiatry i czyściciela, z przykrością musiał słuchać odgłosów tej nowej ewangelii, przychożdżącej z kraju Filangierich i Beccariów. Znajdujemy w „Pismach“ piękne przemówienie, wygłoszone przed kilku laty na zjeździe penitencyarnym w Petersburgu, na cześć „Johna Howarda“, wielkiego filantropa angielskiego, który tyle uczynił dla poprawy stanu więźniów wszystkich krajów. Owóż, cóżby stary Howard, Bentham, Thackeray, — że wymienimy tylko Anglików i nie specjalistów — powiedzieli na rozbrzmiewające dzisiaj

teorye? „Nie uwierzyłbym wtedy, kiedym opuszczał katedrę (1864), gdyby mi powiedziano, że będą na Zachodzie wygłoszone i znajdą adherentów zdania, wręcz przeciwne temu, co się uważało za pewnik i za prosty wyraz ludzkiego i chrześcijańskiego ducha“, — tak rozpoczyna p. Spasowicz szereg odczytów o „Najnowszych prądach w nauce prawa karnego“. Niema potrzeby iść tutaj za jego wywodami, które w zasadzie można tylko podzielać; żałować jedynie wypada, że opierają się prawie wyłącznie na książce znanego pisarza francuskiego i mało zawierają samodzielnych uwag prelegenta.

Spostrzegamy się jednak, nieco po niewczasie, że na tem miejscu o p. Spasowiczu, jako o prawniku, mówić nie mamy powodu. W rzeczy samej, ani jego ogólny „Wykład prawa karnego“, ani zbiór świetnych przemówień w głośnych niegdyś sprawach, nie zostały w przekładzie wcielone do niniejszej edycyi. Można zatem dać pokój jursysprudencji i rozejrzeć się w pozostałej, ponętniejszej zawartości „Pism“.

II.

Znaczną ich część wypełniają wdzięczne sylwetki poetów i przenikliwe o poezyi roztrząsania. Są to prawie wyłącznie odczyty, — ulubiona od autora forma obcowania z publicznością, — wygłoszone wśród rozmaitych warunków w Warszawie, Krakowie, Lwowie, albo

też w Petersburgu. Jasną, dobitną wymowę prelegenta najwięcej chyba osób pamięta z warszawskich sal ratuszowych, gdzie tylekroć mnogich przykuwała słuchaczy. I jeżeli, jak chce Cyceronowski Brutus, który mógł na tem znać się dobrze, „trzech rzeczy dopiąć przystoi w przemawianiu: aby słuchacza nauczyć, aby go zachwycić, aby go mocno wzruszyć“, *ut doceatur, ut delectetur, ut moveatur vehementius*, — niewątpliwie słuchacze p. Spasowicza z sali ratuszowej, czy z innych, wychodzili niezawsze może zachwyceni albo wzruszeni, lecz najczęściej nauczeni.

Kiedyśmy, przed dwudziestu laty, chłopięcem uchem pochłaniali słowa p. Spasowicza, mówiącego o „Wincentym Polu, jako poecie“, nie tylko byliśmy nauczenni, — delectowaliśmy się. Dzisiaj, odczytując rzecz w druku i dojrzałej ją ważąc, mamy zastrzeżenia. W istocie, trudno tutaj akceptować bardzo wiele sądów pojedynczych, jak ten naprzykład, jakoby ładny, sentymentalny ułamek liryczny Pola „godzien był ze wszechi miar stanąć obok Mickiewiczowskiego sonetu“ z Krymu. Jest to pochwała dosyć umiarkowana w ustach autora, który w innem miejscu powiada o tych właśnie Sonetach, iż są pisane „z niezaprzeczoną napuszonnością i przesadą“; pochwała, która z tego powodu podwójnie wydaje się nam błędną, gdyż sądziliśmy zawsze, że w tym rodzaju poezyi nic nie masz doskonalszego od Sonetów Krymskich w żadnem piśmiennictwie, nic im równego w polskim. Ale to są i będą rzeczy gustu. Bardziej stanowczo można zakwestyonować niektóre

ogólniejsze już wyroki p. Spasowicza. A więc, chociażby się z nim zgodzono, że twórca „Mohorta“ „niezawodnie należał do niewielkiej liczby nieśmiertelnych“, żadną przecież miarą niepodobna podpisać następującego zdania o Polu: „na Wawel z nim... bo pomiędzy ludźmi z porfiru, czy z piaskowca w wawelskiej katedrze ten przybysz znalazłby się, jak między swoimi, od nikogo z nich niepośledniejszy, wykuty z tego samego co oni kamienia“. Kto o tem razem z nami powątpiewa, ten nieco dalej przez samego p. Spasowicza zostanie w powątpiewaniu utwierdzony, gdyż się dowie, że Pol był „niezbyt bogaty w pomysły, bardzo jednostronny, więc nie mogący się liczyć do naczelných, talent, któremu brakowało harmonii w uzdolnieniach a równowagi w pomysłach i wykonaniu“. Dobrze, — lecz w takim razie na cóż znów tak szafować Wawelem? Interesujące są uwagi z powodu głośnej pobudki „Słowo i Sława“, skierowanej przed przeszło pół wiekiem do pobratymców z nad Wełtawy; prelegent słusznie zniża wartość tego ciekawego utworu, wbrew zachwytom Ujejskiego i Szajnoch; trafnie — jakkolwiek z założeń całkiem niewystarczających, — wytyka zawarte w nim urojenia i przesady polityczne. Istotnie, jakże wiele zmieniło się od owych czasów, a jakże wiele powtórnie się odnowiło. „A kto w to jabłko i miecz uwierzył, Tego nic z niebem nie złączy“, tak wołał naówczas szczerzy poeta a nieszczególny przewodnik polityczny; zaś miał on na myśli insygnia cesarskie nie tylko Ottonów lecz oraz i Habsburgów. Innymi torami poszła

rzeczywistość i inaczej też, mimo wszystko, mniej absolutnie i wyłącznie, brzmią dziś realniejsze i trzeźwiejsze wskazania dziejowe.

Ładnie i plastycznie, choć zresztą znów nietylko samodzielnie, ile raczej wprost na zasadzie monografii Kraszewskiego i Tyszyńskiego, nakreślony został sympatyczny wizerunek „Władysława Syrokomli“. Zastanawia nas tu przecie jedno. Prelegent czyni uzasadniony zarzut gawędziarzowi-poezie, że „aż do końca nie mógł się pozbyć prowincjonalizmów“. To prawda; ale jest niemniej prawdą, że we własnych „Pismach“ prelegenta co krok spotykamy zwroty w rodzaju: „zgrywać rolę“, „mąż dużej ręki“, w „lat szesnaście sprzedał się na katolicyzm, a w lat czterdzieści dwa wrócił“, „tęsknienie po lampie i po księgarni“ i t. d. Być może, są to w pewnej części grzechy tłómaczów z rosyjskiego przeważnie oryginału autorskiego, które jednak w każdym razie wyrządzają autorowi krzywdę dotkliwą. Większą jeszcze krzywdę wyrządza mu inna okoliczność, o którą już trudniej winić tłómaczów: nader niefortunnie odbija się na stylu p. Spasowicza jego nieogłędna pochopność do porównań. Rzecz o Syrokomli takim zaraz na wstępie otwiera się spostrzeżeniem obrazowem: „ze wszystkich stron naszych najbardziej obfitującami nie tylko w źródła mineralne, ale i w kastalskie krynice samorodnej poezji, są okolice nadniemeńskie“; — wolno w tym obrazie nie gustować, i nie dlatego, ażeby spierać się o rzecz samą, lecz wyłącznie dla względów dobrego smaku, który się sprzeciwia

porównawczemu rozważaniu zalet wód druskienickich a „Odprawy posłów“, ciechocińskich soli a „Grobu Agamemnona“. Są w „Pismach“ rzeczy jeszcze osobliwsze. „Mistrzostwo Byrona w tem głównie objawiało się, że kanalizował uczucia i kazał im ściekać jak największym korytem“. „Wielcy ludzie polityczni, jak Napoleon, są niby krawcy, wykrawający dusze i charaktery mnogich następnych pokoleń na swój obraz i podobieństwo“, — szczególniejsi to chyba krawcy, u których pewnie niktby się nie chciał ubierać, a porównanie, jeśli się nie mylimy, wzięte z Szekspira, lecz wypaczone. Gdzieindziej znajdujemy „dynamit uczucia, włożony do misternie wyklejonej papierowej dutki sennego marzenia“; „po skopaniu całej cywilizacji, nową, jak dwie krople wody podobną do dawnej skopanej“; „psychologię Roussa, z niego samego skalkowaną“; jego „trudny półóg“ pisarSKI; „pacierzowy szpik wieku“; „sprzeczne żywioły i interesa materialne, biorące się za boki“; „konieczność podłechtania do ideomotornego procesu“ i innych w tym rodzaju nadzwyczajności bez liku. Nie wahamy się, jakkolwiek jest to rzecz nieprzyjemna a nawet drażliwa, uczynić tej uwagi tak znakomitemu pisarzowi, jakim jest p. Spasowicz. Jego styl wyrazisty, łatwy i okrągły, lecz luźny i chwiejny, przeładowany zbytkiem ciśniętych pośpiesznie obrazów, niekiedy całkiem pozbywa się równowagi. Nie wahamy się mówić o stylu, tej rzeczy, która ma opinię podrzędnej i nudnej a tak jest doniosłą i delikatną, że ledwie mówić o niej śmie-

my, nie przyznając sobie ani dosyć kompetencji, ani nawet czystego sumienia pod tym względem. Dzisiaj zdarzy się od czasu do czasu, że ktoś wytknie wielkim głosem grzechy językowe dziennikarzy, albo debiutantów literackich, — najmniej poczytalnych, gdyż tłómaczy ich bądź pośpiech, bądź niedoświadczenie, najmniej szkodliwych, gdyż nikt na nich wzorować się nie będzie: — raczej tym, którzy dostarczają wzorów, cenniejszym a poczytniejszym pisarzom, niekiedy godziłoby się wypomnieć, że powagę i piękno języka oni mają na pieczy. Tymczasem, kiedy mowa poetycka polska, dzięki wielkiej trójcy jej wskrzesicieli, udoskonaliła się nadzwyczajnie i wypiękniata, natomiast mowa prozaiczna spospoliciła i poszła w zaniedbanie. Dzisiaj do tego rzeczy doszły, że okolicznościowe wiersze w „Kuryerkach“ nieskończenie starannie są rymowane od arcydzieł Kochanowskiego; zaś proza wydatniejszych nawet pisarzy niższej bywa próby, niż w raptularzach nieokrzesanego Paska lub płaskiego Matuszewicza. Ten upadek mowy niewiązanej nie jest wprawdzie zjawiskiem odosobnionem i objawił się również i gdzieindziej. W prozie angielskiej coraz więcej bierze górę amerykańskie *sans-gêne* dziennikarskiego felietonu; w niemieckiej zapanowała wstrętna mieszanina dawnego pedantyzmu z siłacem się na lekkość nowatorstwem. Najgorzej zaś podobno dzieje się w piśmiennictwie rosyjskiem, gdzie „literatura miesięczników“, tak obfita, że stanowi niemal osobną gałąź piśmienniczą, najwięcej uczyniła dla spowszednienia mowy niewiązanej.

Ten to mianowicie wpływ ostatni częstokroć najwyraźniej przebiega w „Pismach“ p. Spasowicza, których część niepoślednia w rzeczy samej ukazała się pierwotnie w naczelných czasopismach petersburskich i moskiewskich. Nie brak jednakże i dziś również przykładów lepszych, nie brak zaszczytnych wyjątków, do jakich poniekąd wypada zaliczyć spólczesne piśmiennictwo włoskie, żyjące jeszcze poczęści tradycją pięknego języka renesansu; do jakich przedewszystkiem należy francuskie, gdzie, mimo wszelkie wybryki, poszanowanie dla języka po dziś dzień najwyżej jest posunięte.

P. Spasowicz, — że wrócimy do niego po tej pewnie przydługiej dysgresyi, — mniej wrażliwy nietylko na prawo, lecz, zdaje się, także i na literaturę francuską, z tem większem zamiłowaniem zagłębił się w angielskiej. Przyniósł stąd nasamprzód dwa barwne odczyty o „Hamlecie“. Nie może być naszym zamiarem powiedzieć cośkolwiek w przedmiocie, w którym oddawna aż za dużo już powiedziano. Wskażmy tylko przelotem parę punktów wątpliwych. „Powszechnie przyjęło, iż Hamlet odpowiada przejściu przez zenit gwiazdy Szekspirowskiej, że ze wszystkiego, co napisał (kto?), jest to najgłębsze“. Takiej jednomyślności być nie mogło i niema. Lord Macaulay, chyba powołany sędzia, tak szeregował arcydzieła Szekspirowskie: Otello, Lear, Macbeth, Hamlet. Możliwość łatwo wyliczyć tuzin sądów, równie widać nieznanych p. Spasowiczowi, jak to zdanie Macaulaya, a równie kompetent-

nych, i za każdym razem odmiennych. „Szekspir — czytamy dalej — nigdy nie był pisarzem tendencyjnym, któryby w pewnym celu politycznym wyzyskiwał urzędowy, czy narodowy patryotyzm i przepalał go na sceniczne efekty“. Chyba nikt mniej nie zasługiwał na taką pochwałę, niż autor „Henryków“, pochlebca Elżbiety, oszczerca Joanny d'Arc. Sądy prelegenta o samym „Hamlecie“ budzą sporo pomniejszych skrupułów. O mały włos, „mielibyśmy z Klaudyusza Augusta II Mocnego, a z Danii Polskę. Uderzające podobieństwo większa nawet miódopłynna fakunda, z ust królewskich płynąca, napuszczona, retoryczna, kwiecista, jak oracya z XVII wieku“. Nie może się nam w głowie pomieścić to „podobieństwo“; a przecież, aby znaleźć istotnie podobną do duńskiej północną tragedję królewską, nie potrzebował chyba p. Spasowicz zbyt daleko szukać, miał ją wszak bliżej pod samą ręką. Dodajmy, że króla Klaudyusza nie mamy zgola, jak chce prelegent, za „skończonego łotra“, ani królowej Gertrudy za „istotę grubo cielesną“ tylko, lecz oboje za ludzi bardzo nieszczęśliwych. Poloniusza bynajmniej nie mamy za „dudka“, lecz za wcale niegłupiego jego mościa. Ale to są znowu rzeczy gustu. Byłoby coś ogólniejszego do powiedzenia. Prelegent obok rzeczy, na które można się nie zgodzić, wygłosił też sporo uwag, którym tylko można przyklasnąć, ale z którymi, prawdę rzekłszy, niebardzo wiemy, co właściwie mamy sobie poczynąć. A więc p. Spasowicz, z autorytetem wytrawnego prawnika, objaśnia, że postępowanie Ham-

leta z Rosenkranzem i Güldensternem jest „czynem w całym znaczeniu słowa zbrodniczym“, gdyż królewicz nieprawnie przywłaszczył sobie „list królewski i nie tylko go schował, ale sfalszował inny z podrobionym podpisem Klaudyusza i królewską pieczęcią, odciśniętą sygnetem“. Jest to niezawodnie nader ciężki wypadek premedytowanego zabójstwa, skomplikowany przez kradzież i fałsz dokumentu, i pociąga za sobą co najmniej tyle a tyle lat robót przymusowych. To jest jasne jak dzień po kompetentnym wykładzie prelegenta. Dobrze, ale cóż z tego? — P. Spasowicz polemizuje z Rümelinem, Wernerem, Tschitschitzem i innymi specjalistami Szekspirowskimi, w całej litanii zagadnień kazuistycznych: czy było rzeczą praktyczną ze strony Hamleta udawać szaleńca? czy nie mógłby on łatwiej dać sobie rady przez otwartą napaść? czy monolog jest w zgodzie z pojawieniem się ducha? i t. d. bez końca; polemizując, objawia wszędzie niepospolitą przenikliwość i może nawet wszędzie ma rację. Znowu dobrze, ale czy rzecz warta zachodu? Interpretująca każdy szczegół, o wszystko pytająca, gubiąca się w drobnostkach, a czysto dyalektyczna metoda badania najpierwszych utworów natchnienia i sztuki, wynaleziona i umiłowana od Niemców, czyliż jest istotnie wszędzie użyteczną, stosowną, potrzebną? Najmniej jest chyba potrzebną w zastosowaniu do najpotężniejszego i najswobodniejszego w swych lotach geniusza sztuki dramatycznej i do jego wielkich arcydzieł, które należałoby nareszcie zostawić w spokoju, bo

same trafiają do dusz ludzkich a do każdej trafia drogą osobną. Gdyż, z wszelką pewnością, te cudowne historie, wesołe albo smutne, na swój sposób komponuje sobie każdy, kto ich słucha; podobnież, jak według mądrego adagium urabia sobie każdy tę dobrą książkę, którą czyta. Do tego wrażenia, jakie bardzo dawno, niezupełnie spokojni wedle zagrażającego nazajutrz greckiego *extemporale*, wynieśliśmy, patrząc z wyżyn paradyżu na odgrywającą się na deskach historyę duńskiego księcia, do tego wrażenia, upewniamy, nic, albo nic cennego, nie dodały wszystkie niestrawne monografie o „Hamlecie“, jakieśmy odtąd, w swem niedoświadczeniu, przełknęli. A kto więcej ciekaw, niechaj sam się rozpatrzy w sztukach i sonetach Szekspira; niechaj poczyta współczesnych ludzi, z którymi on pisywał do spółki, na których się wzorował i u których czerpał, lub którzy jego z kolei naśladowali; niechaj zajrzy do Rowleya, Marlowa, Webstera, a bodaj sięgnie do Lope de Vega i Bandella, aż nawet do Boccaccia i Plutarcha; niechaj to robi, a o zagadki estetyczne głowy nie łamie: zapewnić można, że nie straci, owszem, zbuduje się i ubawi. Dodajmy w szczególności z powodu „Hamleta“, że gdyby p. Spasowicz był zajrzał do źródła fabuły, do „*Gesta Danorum*“, oszczędziłby sobie wiele roboty, gdyż byłby się przekonał, że wiele dziwacznych w tragedyi wybryków, w których doszukuje się głębszych intencji poety, poprostu żywcem zostało wziętych od starego płaskiego kronikarza. Zaś, jakkolwiek niewątpliwie dość jest płaskim gadułą Saxo

Grammaticus, jakkolwiek dość pretensjonalną i barbarzyńską jest jego łacina, zawsze jeszcze amator, który do niego zabłądzi, lepiej się ubawi jego tłustą bajką Hamletowską i jego morałem więcej się zbuduje, niż wertowaniem martwych monografii nudnych estetyków-zawodowców w rodzaju Tschitschwitza i towarzyszy. Jesteśmy przeświadczeni, że tych estetyków nikt mniej by nie rozumiał, jak sam William Szekspir, gdyby zmartwychwstał i ich komentarzy posłuchał. Któryś Francuz zgrabnie powiedział, że kiedy się pisze o jakimkolwiek celniejszym twórcy a zwłaszcza poecie, chociażby pogrzebanym od całych stuleci, wypadłoby zawsze sobie wyobrazić, że on stoi za krzesłem piszącego i czyta, co ten o nim pisze. Szekspir, wglądający w ten sposób do roboty swoich monografistów dzisiejszych, niechybnie zarazby ich wsadził do komedii; Byron byłby dla nich znalazł satyryczny kącik w oktawie; Mickiewicz najpewniej tylko wzruszyłby ramionami.

Z pisarzów obcych najwięcej pociągała p. Spasowicza niezwykajna postać Byrona. Cztery odczyty o „Byronie i niektórych jego poprzednikach“, wygłoszone przed laty w Warszawie, to jedno z najobszerniejszych i najszerzej pomyślanych studyów krytycznych autora. Rozważając kolejno Roussa, Goethego, Chateaubrianda, dochodzi krytyk w końcu do poety angielskiego, którego życie i twórczość, z wyjątkiem „Don-Juana“, przedstawia szczegółowo na zasadzie istotnego literalnego zgłębienia jego pism, a zwłaszcza

nowszych biograficznych o nim przyczynków. Parę zaledwie niedokładności formalnych wpadło nam w oko: a więc „Umowa społeczna“ ukazała się nie w 1751, lecz 1762 r.; Shelley i Byron poznali się nie w Genewie dopiero, lecz jeszcze przed wyjazdem, w Londynie; pieniędzy na wykupienie Dziennika męża nie dała lady Byron, lecz wyłożył je Longmans; zresztą strona biograficzna, kreślona przeważnie poprostu podług Jeaffre-sona, została oddana wiernie i bez uprzedzeń. Ocena pisarza naogół bardzo trafna, przeniknięta rozumną, niezaślepioną sympatią, — ale, zdaniem naszym, tylko naogół. Chcemy przez to powiedzieć, że jest to, naszym zdaniem, ocena zanadto ogólnikowa, zanadto oderwana, zanadto, powiedzielibyśmy, papierowa, jak na takie zjawisko, tętniące w każdym nerwie potężnem życiem własnem i życiem swojej epoki, na takie nadzwyczajne zjawisko, w najwyższym stopniu indywidualne i zarazem w najwyższym stopniu dla swoich czasów znamienne, jakim był lord Byron. Inaczej zupełnie, z daleko głębszego tonu, wypadłoby, wedle naszego rozumienia, wziąć nastrój potężnej, tak swoiście rozśpiewanej, często tak rozdźwięcznej, Byronowskiej harfy, a zarazem na szerszem daleko tle dziejowo-społecznem wypadłoby koniecznie uwypuklić potężną postać wieszczą. Jednakowoż, chociaż bynajmniej nie wszędzie przemawia nam tutaj do przekonania profesor Spasowicz, wykładający lorda Byrona, dalecy jesteśmy przecie od myśli, aby ofiarować cień cienia, krytykę krytyki podejmować na tem miejscu. Czynimy wszakże przy tej

okazyi wyjątek dla jednego ubocznego szczegółu, który nas w kilku miejscach uderzył. Mówiąc o poprzednikach Byrona, a nosząc się już z zamiarem rozważenia pism następców jego słowiańskich, p. Spasowicz zbytnio ulega tak naturalnemu pociągowi do szukania pokrewieństwa duchowego tam, gdzie jest i gdzie go niema. „Goethe — powiada w jednym miejscu, oczywiście bez wszelkiej zasady, — posiada także samo głębokie, jak Rousseau — poczucie religijne“. „Z Byronem — powiada gdzieindziej, kiedy Anglikowi zdarzyło się we Włoszech westchnąć za górami szkockie, — stało się prawie to samo, co z Bohdanem Zaleskim, który śnił Ukrainę na Kapitolu“. W innym znów względzie „dziwne zachodzi podobieństwo między Byronem a Krasieńskim“, kiedyindziej — między spowiadającym się w „Konfesyach“ grzesznikiem a Gustawem z czwartej części „Dziadów“. Wcześniej już słyszeliśmy, że „koniec Hamleta dziwnie przypomina koniec Wallenroda“; a to dlatego, że tam młody Horacy chce się otruć razem z bohaterem, tutaj stary Halban z Konradem otruć się nie chce, i dlatego jeszcze, że Mickiewicz na lat sześć przed napisaniem poematu czytywał Szekspira. Chateaubriand „przypomina Pola z jego słabością do starszylachetczyzny“; a zarazem między Chateaubriandem a Byronem „podobieństwo tak jest wielkie, tak rażące, że obaj wyglądają, mimo że poszli w różnych kierunkach, prawie jak bliźnięta“. Taki sposób przygodnego zestawiania rdzennie różnych zjawisk duchowych nie prowadzi absolutnie do niczego. Osta-

tecnie, wszyscy ludzie są do siebie podobni, wszyscy pisarze, chcąc nie chcąc, naśladują się nawzajem. „*C'est imiter quelqu'un que de planter des choux*“, — dobrze tłómaczył się już Musset, posadzany o Byronizm.

Tembardziej trafiły nam do przekonania te ustępy w rzeczy o „Byronizmie Mickiewicza“, gdzie p. Spasowicz roztropnie oświadcza, że wpływ angielskiego poety na polskiego „był, ale go przeceniono, wypada go obniżyć“. Wszak odczyt o „Wallenrodzie“ idzie niestety wpoprzek z tem roztropnem oświadczeniem, głosząc, jakoby „nawet polityczna strona poezji Byrona oddziaływała na Mickiewicza“, — co badaj czy dałoby się udowodnić. Ten ostatni odczyt, podobno jeden z najgłówniejszych, nastęrczałby nam zresztą *in merito* niejedno zastrzeżenie bezwarunkowe. Chodzi tutaj mianowicie p. Spasowiczowi nietyle o poezję, ile o politykę poematu. Chodzi mu o obronę poety przed kryminalnym zarzutem. P. Spasowicz sadza Mickiewicza na ławie podsądnych i wygłasza wyczerpujące *plaidoyer* na jego korzyść. Czy oskarżony istotnie był winien? czy istotnie działał z występłą premedytacją? „Całe nasze studyum — powiada autor — było zbijaniem takiego przypuszczenia“. Trzeba przyznać, że p. Spasowicz ze swadą świetnego obrońcy-fachowca z łaski Bożej, ze szczerem przejęciem się, z istotnym talentem, sumiennie zrobił co tylko mógł, żeby wykazać niewinność swego klienta, albo przynajmniej udowodnić jego niezupełną poczytalność, albo wreszcie chociażby zapewnić mu okoliczności łagodzące, z uwagi na jawną

skrucę, na gorzkie wyrzuty sumienia Konradowe. Bez żadnej kwestyi ten klient, Mickiewicz, istotnie leżał na sercu obrońcy, p. Spasowiczowi. Czyliż jednak istotnie sam proces przedstawia się pod tym właśnie kątem widzenia, pod jakim ogląda go i tak bardzo bierze do serca żarliwy i utalentowany obrońca? Owóż, pod tym mianowicie względem zasadniczym żyjemy niektóre wątpliwości. Nie jesteśmy mianowicie pewni, czy cały ten zachód był naprawdę potrzebny, czy czasem nie był zupełnie zbyteczny. Mniemalibyśmy raczej, że cały ten pracowity trud obrończy wydatkowany został *en pure perte*, że nawet już w samej zasadzie całe postawienie kwestyi w ten sposób polega na kardynalnym nieporozumieniu.

Zachęcony temi pierwszymi próbami krytycznemi, poświęcił się odtąd autor dalszym badaniom „Byronowskim“ na specyjalnem już tle „słowiańskim“. Te badania są właściwie rozwinięciem poprzedniej rzeczy o lordzie-poecie, gdzie w zakończeniu był zapowiedział prelegent: „Kiedyś może zaczęte dokończę w związku z losami Byronizmu na Wschodzie, kiedyś może pokażę, jakie z ręki tego siewcy wyrastały kłosa: u nas Malczewski, Mickiewicz, Słowacki, w Rosyi Puszkina i Lermontow“. Z tej obietnicy niebawem wywiązał się p. Spasowicz w całym szeregu nowych interesujących przemówień i studyów. Najciekawsze są wygłoszone w Krakowie dwa odczyty: „Mickiewicz i Puszkina przed pomnikiem Piotra Wielkiego“. Wywiązała się stąd w paru punktach ożywiona polemika z p. Tretiakiem,

która do „Pism“ przeszła. Raczej z tym ostatnim bylibyśmy skłonni przypisać w rzeczy samej Puszkiniowi rozmyślania o „Pomniku“; interpretacja „Jeźdźca śpiżowego“ wydaje się natomiast podobniejszą do prawdy w wykładzie prelegenta. P. Spasowicz zgodził się z p. Tretiakiem, że Mickiewiczowska dedykacja mierzyła osobiście w Puszkinię; lecz pozostaje przy swoim mniemaniu, że ten ostatni „puścił płazem“ nie ze wszystkim zasłużony wyrzut, goryczy w sercu nie zachował, wylać jej w pośmiertnym swym poemacie nie myślał. Powtarzamy, na tym punkcie ma podobno słuszość p. Spasowicz, jakkolwiek nie należało tutaj pominąć artykułu Lelewela oraz ciekawego listu Puszkina do hr. Strogonowa, o ile pamiętamy w tej chwili, z wiosny 1834 r. Wszakże, prawdę rzekłszy, takiego lub innego rozwiązania tej kontrowersyi nie bierzemy zbyt blisko do serca. Jeśli mamy wyznaczyć prawdę, tego rodzaju drobnostkowe kontrowersye zdają się nam należeć do tego jedyne go gatunku, którego nie uznawał nieboszczyk Voltaire — do gatunku rzeczy nudnych. Są to w każdym razie rzeczy małe i błahe i napewno nie są zdolne zmienić naszego sądu o pisarzu „Rocznicy Borodina“. Jeszcze, wracając do „Jeźdźcy“, chcielibyśmy skierować uwagę p. Spasowicza, wśród poszukiwanych przez niego możliwych źródeł poetyckiego pomysłu, na szczególniejsze zajęcie, opowiedziane przez panią d'Oberkirch, a które mogło być wiadomem znacznie wcześniej przed ukazaniem się jej, skądinąd tak wiarogodnych, Pamiętników. Mamy na myśli ten

ustęp, którego bez pewnego wrażenia czytać niepodobna, gdzie po teatrze, przy kolacji, wśród wesołej gawędy, hr. du Nord, t. j. podróżujący wtedy za granicą W. Ks. Paweł Piotrowicz, późniejszy cesarz, opowiada swoją przechadzkę po Petersburgu, w księżycową widną noc wiosenną, z Kurakinem i dwoma ze służby, i jak nagle posągowa postać Piotra pojawia się u jego boku, przejmując go chłodem, i z powtarzaną żałobnie przepowiednią towarzysząc aż do placu nad Newą, gdzie dopiero miała stanąć.

Doskonałe uwagi wypowiedział p. Spasowicz z wodu „Byronizmu Puszkina“. „Byron nie był karcia-rem, ani zawadyką“, trafnie spostrzega prelegent i powątpiewa, „ażali Puszkina pojął należycie i przeniknął angielskiego poetę“. W istocie, Byron grywał w karty, póki był gołowasem; Puszkina zaś aż do końca życia stawał wyżej „Childe-Harolda“ i „Giaura“, niż „Kaina“ i „Don Juana“, — a dodajemy, że po angielsku umiał bardzo niewiele. Dodajmy także, że Byron na wiadomość o wypadkach grudniowych zapewne nie byłby zawrócił z drogi, spotkawszy na wyjeździe księdza i zającą, jak to sam o sobie opowiada jego wielbiciel. Jak ten, zapisałby może Byron do dziennika: „u nikogo nie chcę być błaznem, ani nawet u samego Boga“, lecz zapewne po tygodniu nie byłby prosił Benckendorffa o 15 tys. rs. dla wydania „Pugaczewa“. Chcielibyśmy być dobrze pojęci. Żywimy szczerze uwielbienie dla natchnionego rosyjskiego śpiewaka. Stawiamy nader wysoko geniusz poetycki Puszkina a zarazem nie

znamy mniej stosownego pytania, jak to, „który większy?“ Jednakowoż, pomijając już kwestyę charakteru, mniemamy, że pod względem ukształcenia, inteligencji, rodzaju natchnienia, daje się wyraźnie wskazać w danym wypadku nie tylko różnorodność, ale i różnowartość. Inteligencją górował Anglik, wybujały kwiat kultury zachodniej, który, obok trucizny, wessał też wszystko, co najlepsze, z jej gleby duchowej, użyźnionej przez prochy tylu umysłów potężnych lub wytwornych, który czerpał woń i piękno razem z Anakreonta i Horacego, z Danta i Popa, z Voltaira i Goethego. Mickiewicz pod tym względem nie wszędzie dosięga Byrona, ale wszędzie za nim może podążyć, gdyż i on jest prawym synem Zachodu i jednym z najukształceńszych. Zaś natomiast czem innem wysoko ponad niego wyłata. Może on bowiem z większą prawdą, niż lord angielski, powiedzieć o sobie ze starym klasykiem i z Kochanowskim: „miewam czasem, pisząc, wizye, ukazują się dwie boginie, jedna jest *Necessitas*, kliny i gwoździe belkowe dźwierzająca w spiżowej dłoni, a druga *Poetica*, niewiadomym jakimś tchnąca urokiem, — te dwie, kiedy mnie obstąpią, nie wiem, gdzie jestem porwany“. Nie miewał takich wizyi wieszcz rosyjski, a zarazem można mu wierzyć, kiedy szczerze wyznaje, że były w „Don Juanie“ aluzye do pisarzy włoskich albo francuskich, do greckich albo rzymskich poetów, które jemu nic zgoła nie mówiły, gdyż były dla niego zagadkowe. Żałować wypada, że ta strona rzeczy nie została należycie uwypatniona przez p. Spa-

sowicza przy porównawczym zestawieniu trójcy odmien-
nych zjawisk poetyckich.

Dla samej ścisłości sprawozdawczej poczuwamy się do obowiązku wzmiankowania na tem miejscu o ostat-
niem, najznacniejszym pod względem objętości, stu-
dyum krytyczno-literackiem p. Spasowicza, poświęco-
nem „Schillerowi i Goethemu“. Nie żałował tutaj autor
czasu i mozołu, gdyż na paruset blisko stronicach dużej
ósemki wyłożył nam swoje informacje i rozmyślenia
o dwóch wielkich wieszczach niemieckich. Nie zamie-
rzamy atoli rozszerzać się nad tą, tak obfitą monogra-
fią. Nie umielibyśmy bowiem wydobyć z niej ani
jednego uderzającego poglądu, ani jednego wydatniej-
szego szczegółu, które nie byłyby już dawniej opraco-
wane i drobnostkowo wyświetlone przez odpowiednie
wydawnictwa monograficzne niemieckie, skąd z chwa-
lebną gorliwością czerpał p. Spasowicz. Nie umieliby-
śmy także znaleźć właściwego punktu widzenia dla
klasyfikacji i oceny jego obszernej i pilnej pracy, nie
będącej ani badaniem samodzielne, ani też rzeczą
czysto popularyzacyjną. Moglibyśmy, co najwyżej, wy-
razić nawiasową uwagę, że jego narracyjno-rezonująca
wykładnia wydaje się nam tutaj, niemniej jak i gdzie-
indziej, zgoła bezowocną, zgoła mijającą się z zada-
niem krytyki literackiej w wielkim, prawdziwym stylu,
zgoła nadto nieprzystosowaną do natury dwóch potęż-
nych geniuszów poetyckich, dla których może tyleż,
co i autor, żywimy czci i wdzięczności, ale dla których
innej nieco, wyższej, lotniejszej i głębszej pragnęli-

byśmy metody krytycznej. Lecz wstrzymujemy się,
gdyż odwołałoby nas to zbyt daleko od samego autora
i jego „Pism“ niniejszych. Podobnie mielibyśmy
jeszcze może do wtrącenia parę spostrzeżeń z powodu
„Lermontowa“, „Turgieniewa“ i innych pokrewnych
studiów drobniejszych, rozrzuconych w zbiorze „Pism“.
Przypuszczamy wszakże, że czytelnik zwolni nas od
dalszych rozpraw o poezji — o poezji, jednej z tych
rzeczy dobrych, z najlepszych, w których więcej sma-
kować, niż o nich rozprawiać się godzi. Ze skwapli-
wością największą, śladem p. Spasowicza, z powrotem
schodzimy do prozy.

III.

Do prozy dziejowej, a mianowicie do twardej i su-
rowej prozy ostatnich wieków przeszłości krajowej,
wprowadzają nas z kolei nader różnorodne i niewątpli-
wie, bez względu na swoją treść, liczebnie i ilościowo
nader pokaźne przyczynki, jakie mieści dalsza, zda się
niewyczerpana, zawartość „Pism“ niniejszych. Nasam-
przód więc i najwcześniej, do historycznych zapisek
Orzelskiego, Heidensteina, Rudawskiego, wprowadzają
krótkie „Wiadomości“ biograficzne, któremi był po-
przedził p. Spasowicz, jeszcze przed laty czterdziestu,
nową edycję petersburską tych pisarzy. Te młodzień-
cze próby pióra w obcej autorowi dziedzinie przedsta-
wiają się jako skromne, okolicznościowe wstępy infor-

macyjne, nie mające żadnej pretensji naukowej w znaczeniu ścisłych wymagań krytyki historycznej. Po znacznej przerwie, w pełni dojrzałości, przystąpił już autor nie tylko z prostą informacją, lecz z własnym samodzielnym sądem historyzoficznym do bliższej a dużo ciemniejszej doby saskiej. Bezpośredniej pobudki dostarczył mu tym razem nowoodkryty, a nadzwyczaj znamieny pomnik pamiętnikarski z tej opłakanej doby, ogłoszone przez Pawińskiego osobliwe wspomnienia Matuszewicza. Treściwie i jędrnie ujął p. Spasowicz całą ujemną stronę Pamiętników „Marcina Matuszewicza“, które trafnie określił jako „doskonałą kontrpartytę do szlacheckiego romansu historycznego, do Listopada, Obrazów litewskich, znacznej części dzieł Pola, całego cyklu utworów Kaczkowskiego“. Jednak podwójnie myli się autor, mniemając, że „Matuszewicz, nieskończenie pośledniejszy od Paska pod względem zacności i charakteru, nie ustępuje mu jako wielki pisarz i artysta“. O rzekomej zacności Paska tak samo nie może być mowy, jak o jego rzekomych zasługach wielkiego artysty i pisarza; był on dzielny, bo należał do dzielnego pokolenia, do żołnierzy Czarnieckiego, pisał pięknie, bo piękną była mowa potoczna w jego epoce; zresztą był dość nieociosany prostak i jego nieoszacowanych skądinąd Pamiętników niepodobna pod względem sztuki porównać ze współczesnymi mu, a choćby nawet wcześniejszymi o całe stulecie, pamiętnikami francuskimi. Matuszewicz, znacznie więcej oglądany, pisze o wiele staranniej i pretensyj-

nalniej, lecz mową niesmaczną i nieczystą zawodowego drugorzędnego statysty czasów saskich. Wszakże o to jeszcze byłoby mniejsza; mniejsza o błędny w tym wypadku estetyczno-historyczny sąd autora. Nieskończenie większą doniosłość posiada błędne założenie zasadnicze, za którym stoi błędny wyrok polityczno-historyczny, ferowany przez autora o wszystkim Polsce doby saskiej. Ten wyrok, napojony skrajnym pesymizmem, wyrok bezwarunkowego potępienia dla ówczesnej powszechności państwowej i społecznej, z lekkiej ręki wydany został przez surowego sędziego na mocy tego jednego obciążającego dowodu, jaki nastęrczyły mu w tym wypadku opłakane zeznania kasztelana Matuszewicza. Świadectwo, bez żadnej kwestyi, wielce niekorzystne. Lecz jako motyw do skazania całej podsądnej Rzpltej — zgoła niewystarczające. To też sam ów wyrok skazujący — zgoła niezasadny i nieważny. Przeciw temu wyrokowi, który zresztą, przyznać trzeba, nie jest bynajmniej wyłączną własnością p. Spasowicza, lecz zadyktowany mu został z góry przez utartą już tradycję historyzoficzną, — założyliśmy już gdzieś indziej skargę zupełnej niezasadności i nieważności naukowej i politycznej. Założyliśmy naogół protest stanowczy przeciw każdej jednostronnej tendencji przy sądzeniu nowożytnych dziejów krajowych, i to zarówno przeciw społecznej tendencji prokuratorskiej, jak przeciw dawniejszej apologetycznej. Odwołaliśmy się od wszelakiej tego rodzaju tendencji do jedynego uprawnionego kryterium, do wszechstronnego kryterium

porównawczego. Zaś wypadło nam naszą skargę, nasz protest wywieść właśnie przed forum historyografii czasów saskich, gdzie ośmielamy się przypisać sobie pewną kompetencję, której doprawdy nie czerpaliliśmy ze samych tylko „odkryć” pamiętnikarskich Marcina Matuszewicza. To też przeciw wnioskowi i uogólnieniom, czerpanym wyłącznie w tem jednym, doniosłem ale mętnem źródle przez p. Spasowicza, możemy po prostu powołać się na zasadnicze nasze w tej materii wywody i zastrzeżenia, które mierzyły wprost w pierwotną teorię naukową Szujskiego, lecz tembardziej powinny trafić we wszelkie dalsze konkluzje polityczne, wyciągane z niej przez epigonów.

Ze spraw domowych starej doby saskiej przenosi nas p. Spasowicz do nieco egzotyczniejszej dziedziny, a do znacznie świeższej daty dziejowej, w interesującej rozprawce: „Z powodu życiorysu Kisielewa”. Szkoda tylko, że nie zostały tu wcale uwzględnione liczne postronne rosyjskie i zagraniczne przyczynki dyplomatyczne i pamiętnikarskie. Nie została też skutkiem tego postawiona przez autora we właściwym świetle ruchliwa postać Kisielewa, który i dla nas jest dość zajmującą figurą, i to nie tylko jako zięć Szczęsnego Potockiego, lecz oraz jako jeden z najwybitniejszych działaczy politycznych w okresie Mikołaja I. Jeszcze ciekawszą mogłaby być dla nas rzecz o „Księżu Wiazemskim, jego polskich znajomościach i stosunkach”. Pobyty Wiazemskiego w Warszawie za czasów Królestwa Kongresowego, jego zażyłe obycie się z życiem

i towarzystwem tutejszem, jego stanowisko urzędowe przy Nowosilcowie, jego uboczny udział w niektórych arcyważnych pracach pozasejmowych, a i późniejsze jego wieloliczne stosunki z ludźmi i sprawami polskimi, — to wszystko zasługiwałoby na szczegółowe badanie, skąd mogłaby wyłonić się niejedna użyteczna nauka. Niestety, i w tym wypadku autor postawił sobie raczej ogólnikowy cel sprawozdawczy, aniżeli ściśle badawczy. Gdyż, niestety, czy to pisząc o Kisielewie, czy o Wiazemskim, p. Spasowicz widocznie opiera się wyłącznie na tej jednej publikacji, którą właśnie ma w ręku, a co najwyżej jeszcze na pewnych tradycjach ustnych, bardzo niejasnych i niekiedy bardzo zawodnych. A przecież innych, daleko dokładniejszych źródeł piśmiennych nie brak bynajmniej, które, należycie zgłębione, pozwoliłyby dopiero autorowi zgłębić lepiej epokę i ludzi. Zyskałaby na tem niewątpliwie gruntowność, a nieraz zyskałby może także i trzeźwy krytycyzm sądów autorskich. Nie dzielimy zresztą bynajmniej opinii p. Spasowicza, jakoby ks. Wiazemski „miał w owym czasie wszystkie warunki do zgrania roli międzynarodowego rozjemcy w waśni domowej”. Wiazemski w dobie Królestwa Kongresowego był na to za młody, bez żadnego doświadczenia, bez żadnego wpływu; później i zawsze był to umysł średni, charakter poczciwy w gruncie, lecz zupełnie słaby i niesamodzielny w wielkich sprawach publicznych. Naogół książę, jak się zdaje, był z gatunku tych samych ludzi, co Aleksander Woroncow, który również gdzieś w „Pis-

mach“ odbiera aż nazbyt sangwiniczne pochwały i którego istotnie można chwalić, póki się nie czytało jego korespondencji z Bezborodką: był z gatunku ludzi sympatycznych i ukształconych, wrażliwych na kulturę zachodnią, zwłaszcza na francuską albo angielską, ale wymagających koniecznie bliższego, poufniejszego zbadania i objawiających wtedy nieraz całkiem niespodziane strony swojej indywidualności duchowej.

Tuż obok wyszczególnionych studyów historycznych uszeregować wypada niektóre pokrewne przyczynki, treści raczej historyczno-krytycznej. Powstały one przy bardzo rozmaitych i bardzo nierównych okazjach, niekiedy przy okazji tak poważnej, jak zgon Pawińskiego, kiedyindziej przy tak błahej, jak ukazanie się nowego utworu p. Waliszewskiego. Z powodu jednej właśnie takiej nowości, poczytnej zresztą i pisanej z dużym felietonowym talentem książki o „Piotrze Wielkim“, nakreślił p. Spasowicz oddzielną wyczerpującą rozprawę. Grube dzieło p. Waliszewskiego pisane było, według oświadczenia samego autora, „dla czytelników rosyjskich“, — lecz mimo to, i niestety wcale zasadnie, zostało odsądzone od wszelkiej samodzielnej wartości naukowej przez poważniejszą krytykę rosyjską. P. Spasowicz uznał za stosowne zapoznać z niem czytelników polskich. Jak wiadomo, p. Waliszewski, przedstawiając niezwykłą postać Piotra, dał się porwać natchnieniu i nastroił się nietyle na ścisłą historyczną, ile raczej na całkiem oryginalną liryczną nutę. Wtórucie mu poniekąd w tym względzie p. Spasowicz. A mia-

nowicie wykrywa on „ściśły związek i uderzające podobieństwo między Piotrem, jakim go podaje historyja, a — Królem-Duchem Juliusza Słowackiego“. Należałoby chyba tę nieprzewidzianą analogię włożyć do wspólnego zbioru innych, również niezwykłych pomysłów porównawczych, wśród których wszak już poprzednio spotykaliśmy się ze śmiałym porównaniem pomiędzy Augustem Mocnym a — słabym Hamletem. Naogół, zdaniem p. Spasowicza, Piotr Wielki był to „człowiek prawie teraźniejszy, wolny od wszelkich przesądów“, a który zarazem w „swoim umysłowym organizmie mieścił odrobinę idealizmu, wiarę w wielką przyszłość Rosyi, którą on wpoił i przelał w głowy i serca swoich poddanych“. „Ta drobna doza idealizmu wystarcza do wytlómaczenia znaczącego i oczywistego dla Rosyan faktu możliwości dopięcia nieraz zapomocą materyjalnej siły i przymusu pewnych rezultatów umysłowych i moralnych, co daje powód historykowi Sołowiewowi do zrobienia uwagi, że i chrześcijaństwo do europejskich narodów wprowadzone było przymusowo, ale się przyszczepiło i wydało najpiękniejsze owoce“. Ta uwaga Sołowiewa, szczególniejszym sposobem tutaj wpleciona, jest niezawodnie bardzo ciekawą. Co się jednak nas tyczy, mielibyśmy przeciw niej wiele do nadmienienia. P. Spasowicz nie wyjaśnia bliżej, co on sam o niej sądzi, lecz pozwala dorozumiewać się, że ją podziela. Dorzuca nawet do niej od siebie kilka własnych pojęć dopełniających, zapewne nader głęboko pomyślanych, lecz, niestety, nie całkiem przejrzystych.

„Linia postępu rosyjskiego — tak wyraża się tutaj dosłownie — dałaby się nakreślić graficznie jako ząbkowanie o ząbkach nierównych, z jednego boku krótkich, bardzo spadzistych i prawie pionowych, a z drugiego boku długich i bardzo pochyłych... Trzy doby zdwojonej działalności — to znaczy „ząbków pionowych“ — miała Rosya raz za Piotra Wielkiego, drugi raz za Katarzynę II, trzeci raz podczas wielkich reform Aleksandra II“. Wyznać musimy, że niebardzo rozumiemy się na owym dziejowym „ząbkowaniu“: ale tyle rozumiemy doskonale, że nasamprzód, dla nader ważnych względów, niewolno politycznego dzieła cesarzowej Katarzyny zestawiać z reformatorskiem jej prawnuka, że następnie dla względów równie ważnych, niewolno wykreślać bez śladu z nowożytnych dziejów rosyjskich epokowej doby cesarza i króla Aleksandra I. Dodać należy, że p. Spasowicz w sprawie niniejszej, pisząc się w szczególności na historyozofię dziejów Piotrowych, ofiarowaną przez p. Waliszewskiego, zarazem w ogólności bierze go energicznie w obronę przeciw nieprzychylnym dłań sądom nauki polskiej. Najniestuszniej więc, zdaniem obrońcy, p. Waliszewskiemu „miano za złe tę okoliczność, że tak mało znać w jego pismach Polaka“. Poczęści to prawda; jakkolwiek, jeśli się nie mylimy, głównie miano za złe, że tak mało w tych pismach znać uczonego. P. Spasowicz jednak kładzie nacisk wyłączny na tamtą właśnie „okoliczność“, na ową wytykaną niepolskość bronionego przez siebie dziejopisa, i z całą stanowczością obraca się przeciw

wszelkim z tego tytułu zarzutom. A mianowicie, według p. Spasowicza, „omijanie swojego narodowego stanowiska obowiązuje bezwarunkowo historyka i jest najpoważniejszą jego zasługą“. Bylibyśmy nader obowiązani autorowi, gdyby zechciał wskazać nam chociażby jednego wielkiego historyka jakiegokolwiek bądź narodowości i jakichkolwiek bądź czasów, który byłby odpowiadał takiemu pojęciu i taką położył „zasługę“. My takiego, w nieuctwie naszym, nie znamy. Znamy Tucydidesa — w każdym calu gorącego patryotę ateńskiego, Tacyta rzymskiego, Machiavella włoskiego, Macaulaya angielskiego, Gervinusa niemieckiego, Thiersa francuskiego, znamy wielkiego patryotę polskiego w Lelewelu, a dobrze znamy także mocną strunę patryotyczną rosyjską w Karamzynie albo Sołowiewie. Nie mniemyamy też bynajmniej, w naszym zaślepieniu, ażeby istotnie najpierwszym „obowiązkiem“ historyka być miało radykalne zaparcie się „swojego narodowego stanowiska“, ażeby na tem zaparciu się miała polegać istotnie „najważniejsza jego zasługa“. Mniemyamy wręcz przeciwnie, że byłoby to zgola niepożądanem, że nawet byłoby zgola niemożliwem dla każdej zdrowej i szczerzej indywidualności dziejopisarskiej. Każdy wielki historyk, wykwitający jakby odrębna roślina z każdej odrębnej wyższej kultury narodowej, nietylko może, ale powinien, ale nawet musi stać mocno na przyrodzonej swojej własnej narodowej glebie: lecz zarazem, jakby taka roślina, nietylko może, ale powinien obracać się i wznosić ku wspólnemu dla wszystkich

ziemskiej kultury, powszechnemu i jednemu słońcu prawdy i słuszności dziejowej. Na takim dopiero połączeniu zasady narodowej i zasady wszechludzkiej polegać będzie zawsze jedno z najcenniejszych zadań prawdziwego dziejopisarstwa.

Że na te zadania dziejopisarskie inaczej zapatruje się p. Spasowicz, o tem lepiej jeszcze naucza inne jego studium, roztrząsające właściwie wprost już „Zadania historii“, a mianowicie nowoczesnej historii polskiej. Okazuje się tutaj w rzeczy samej, że według zapatrywań autora, istnieją dla niej pewne całkiem specyficzne zadania, z których już nawet w znaczniejszej części umiała się szczęśliwie wywiązać nauka polska. Umiała ona przedewszystkiem „pogodzić się ostatecznie z koniecznością odpaństwowienia“. W tym kierunku podobno zasłużyła się najwięcej t. zw. szkoła historyczna krakowska. „Zadaniem, dokonaniem przez krakowskich pracowników, którzy się ostentacyjnie nazywali strażą ogniwą, było to, że pokonali romantyzm historyczny poprzedników na wszystkich punktach, że dowiedli niemożebności istnienia politycznego organizmu państwowego i konieczności upadku, wynikającej z natury rzeczy a nie z przypadku. Dokonane w chwili obecnej spełnienie tego zadania otwiera całkiem nowe widoki na przyszłość“. Cokolwiekby sądzić o niepoślednich skądinąd talentach i pracach byłej „szkoły krakowskiej“, niepodobna przecież opędnąć się przypuszczeniu, że jej mniemana rola przewodnia dla całego przyszłego rozwoju nauki historycznej została nieco przesadzona

przez autora. Podobnież w innem jeszcze miejscu autor nieco pośpiesznie mianował Szujskiego — bez krzywdy chyba dla Piotra I, na inny znowu sposób, — polskim „Królem-Duchem“, który jeszcze z poza grobu najdalsze pokolenia popycha „pędem swego wiośła“. Ten piękny entuzjazm autora nie zdaje się wytrzymywać trzeźwej krytyki naukowej. Dyskusja naukowa w przedmiocie arcytrudnych zagadnień doby saskiej, Stanisławowskiej, Napoleońskiej, kongresowej, bynajmniej nie została zamkniętą przez ciekawe zapewne i swego czasu bardzo pożądane, lecz wszędzie niewystarczające, a nawet w wielu punktach z gruntu wadliwe wykłady i teorye Szujskiego albo Kalinki. Gdyby tak było w istocie, gdyby przez nich istotnie było wyrzeczone ostatnie słowo w tej dyskusyi, w takim razie sami nasamprzód pośpieszylibyśmy położyć pióro. Gdyż w pewnej mierze sami ważyliśmy się tykać tych rzekomo przesądzonych zagadnień i to niekoniecznie w rzekomo przesądzonym duchu. Ale czyniliśmy to z pełną rozważą i kłaść pióra nie kwapimy się wcale. Nie wątpimy bowiem, że w tej dziedzinie wiele nowego, bardzo wiele, jeśli nie wszystko, pozostaje jeszcze do zrobienia dla nowej nauki społecznej. I nie wątpimy też ani na chwilę, znając bystrość p. Spasowicza, że gdyby on tylko, przy wielostronnych swoich zajęciach i studiach, zamiast ograniczać się jedynie do tamtych przedawnionych wykładni i teorii, miał możliwość wtajemniczyć się lepiej w społeczny stan ścisłej nauki historycznej w ogólnym zakresie dziejów nowożytnych,

gdyby miał możność zarazem dokładniej zgłębić społeczny zasób ścisłych przyczynków źródłowych, swoich i cudzoziemskich, w pierwszym rzędzie szacownych przyczynków rosyjskich, w specjalnym zakresie dziejów polskich w dobie dwóch ubiegłych stuleci,—naówczas z całą pewnością byłby zdobył się na mniej kategoryczną a i mniej nieoględną stylizację swoich powyższych twierdzeń i wskazań o „zadaniach historii“.

Już w szeregu pism, wzmiankowanych dotychczas, zdołał p. Spasowicz uwydatnić dość wyraźnie myśl górującą, *i'idee maitresse*, swoich poglądów historyczno-zofoiczych, albo raczej historyczno-społecznych, historyczno-wychowawczych. Najdobitniej atoli, a ponieważ najniespodzianie, zastosował ją i rozwinął w wybitnem wystąpieniu publicznem, w najulubieńszej sobie formie krasomówczej, którą z takim włada mistrzostwem. Mamy na myśli rozgłosną prelekcję p. Spasowicza o „Adolfie Pawińskim“, która swego czasu dostarczyła opinii publicznej obfitego wtku dla snucia uwag i komentarzy. Znamienity ten odczyt, wygłoszony w Towarzystwie historycznem przy uniwersytecie petersburskim, — z którem nie należy utożsamiać wielkiego Towarzystwa Historycznego Rosyjskiego, — był czemś więcej, niż zwykłym wystąpieniem akademickiem. To nie był tylko głos uczonego o uczyonym, pod adresem zamkniętego ciała naukowego. To był zarazem głos obywatela o pewnych, nader ogólnych a przecie nader aktualnych sprawach życiowych, skierowany

do dwóch społeczeństw. Taką była niewątpliwie intencja znakomitego mówcy. Tak też zrozumiała go opinia publiczna. Jego odczyt znalazł szeroki odgłos w społeczeństwie rosyjskiem. Polskie zainteresował do żywego. Z tego też przedewszystkiem tytułu, nie dla samych względów akademickich, domagał się należytego rozważenia i oceny. Trzeba było atoli czas jakiś wstrzymać się z oceną. Kiedy chodzi o rzeczy tak doniosłe, jak te, których w swem przemówieniu dotknął p. Spasowicz, i kiedy mówi o nich człowiek takiej jak on miary, nie wolno polegać na relacjach z drugiej ręki. Woleliśmy też nie polegać nawet na „dosłownym przekładzie autentycznego tekstu“, t. j. na ułamkowej wersji polskiej, ogłoszonej swego czasu w poczytnym tygodniku polskim, a obecnie włączonej do zbioru „Pism“, której dosłowność i autentyczność mogłaby atoli nastroczać pewne wątpliwości. Te wątpliwości byłyby zresztą zupełnie uzasadnione. Okazuje się bowiem, że ofiarowany pierwotnie przekład polski nie był ani dosłownym ani autentycznym, że zostały w nim zmienione oddzielne wyrażenia, przeinaczone niektóre ustępy, inne opuszczone. Ale nie o tem chcemy mówić. Mamy przed sobą przemówienie p. Spasowicza nie tylko w całości, lecz oraz w brzmieniu oryginalnem, jak pojawiło się pierwotnie na łamach „Gońca Europejskiego“. Na tej zasadzie można je bezpiecznie roztrząsać i wydać o niem zdanie.

P. Spasowicz mówił o ś. p. Pawińskim. Znaliśmy wszyscy i cenili zmarłego. Tych lub owych jego po-

glądów historycznych, tych lub owych zapatrywań społecznych, można było nie podzielać. Ale był to niezawodnie i bardzo wielki uczony i bardzo dobry Polak. Jego zgon przedwczesny stanowił dotkliwą stratę dla nauki i kraju zarówno. Była to myśl fortunna, ażeby z rozległą, spokojną, działalnością bezstronnego uczonego polskiego bliżej zapoznać lepszych przedstawicieli nauki i inteligencji rosyjskiej. P. Spasowicz jednakże założył sobie uczynić zarazem i mniej i więcej. Chciał przedstawić swoim słuchaczom rosyjskiem jedynie „Adolfa Pawińskiego jako historyka sejmiku polskiego“. Jednocześnie, z samych tylko prac zmarłego nad sejmikiem polskim, chciał wydobyć pewne konkluzje najogólniejszego znaczenia. W tym celu przedewszystkiem na zasadzie „Sejmików ziemskich“ oraz „Rządów sejmikowych“ nakreślił treściwy zarys rozwoju państwowego Rzpltej polskiej. Ten zarys, w przedstawieniu prelegenta, stał się obrazem nieprzerwanego, od początku do końca, rozkładu państwowego Rzpltej, w której właściwie, przez cały czas jej istnienia, „sama tylko opozycja posiadała organizację — pod postacią związków konfederackich, — zaś władza rządowa wobec anarchii była bezbronna“. Ostatecznie, „obydwa dzieła Pawińskiego rozwijają jedną myśl zasadniczą i dają zupełnie podobne wywody i wnioski“. „Państwo polskie — tak, zdaniem prelegenta, wyrażają się owe wnioski, — urządzane wedle typu sejmiku, odtwarzające w całej swej budowie i we wszystkich czynnościach tamtą formę zasadniczą swojej żywej komórki, przedstawia ustrój zu-

pełnie szczególny, ale całkowicie średniowieczny, t. j. równie niezdolny do życia wśród społecznych warunków państwowości europejskiej, jak byłyby niezdolne do życia wśród zmienionych warunków biologicznych owe kopalne zwierzęta z okresów pierwotnych kuli ziemskiej, będące przedmiotem badań paleontologii... Wniosek o specyficznym średniowiecznym charakterze państwa polskiego z jego zasadniczą komórką-sejmikiem tak jest prosty i przekonywający, tak namacalny, że można go od razu uznać za pewnik oczywisty“. Ten pewnik, wszechstronnie wyluszczonego przez prelegenta, nie może, jego zdaniem, być obojętny dla słuchaczy rosyjskich. Wprawdzie „mogą mi oni zarzucić, dlaczego ze wszystkich pism Pawińskiego obrałem za przedmiot sejmik polski i jemu poświęcam cały zarys niniejszy? Mogą mi powiedzieć: przekonałeś nas zupełnie, że urządzenia państwowe Polski były średniowieczne, że należało je zburzyć: to też zostały zniesione; pocóż wspominać o tem, co już nie istnieje? Sądzę jednak, że podobny zarzut mógłby wyjść jedynie od takich samych separatystów pod względem historycznym, jakimi byli pod względem politycznym ziemianie byłej Rzpltej, przy swojej nieudolności do unifikacji. Byłe państwo polskie niepowrotnie upadło, nie tylko ze wszystkimi swymi urządzeniami państwowymi, lecz oraz ze wszystkiem swoim prawem publicznem i cywilnem. Ale naród, mający przeszłość historyczną, nie może zejść ze sceny bez protestu, ani też poddać się

nieuniknionej konieczności, nie wyczerpawszy wszystkich swoich sił żywotnych“.

Wywody p. Spasowicza posiadają naogół jedną kapitalną wadę. Nie są przezroczyste. Są nawet dosyć mętne. Dlatego też uznaliśmy za niezbędne przytoczyć własne jego słowa. Te niejasne zwroty dają się atoli sprowadzić do pewnych twierdzeń wyraźnych, które wynieśliśmy z najdokładniejszego, najuważniejszego rozpatrzenia się w słowach prelegenta. Jeśli go źle zrozumieliśmy, wina nie nam może być przypisana. Gdyż jakże w takim razie mogli go zrozumieć jego słuchacze? On mówił o rzeczy, którą my dokładniej znać musimy od któregośkolwiek z tych słuchaczy, podnosił sprawę, w którą my uważniej, niż z nich którykolwiek, musimy się wsłuchiwać. Aliści, żeby wyznać prawdę, nie mamy żadnej zręczności do nieokreślonych, niepochwytłych, nieprzejrzystych zwrotów krasomówczych. Mamy, przeciwnie, dziwną słabość do nazywania rzeczy po imieniu. Mamy uparty pociąg do jak najjaśniejszego, jak najprostszego uzmysłowienia sobie i formułowania myśli swoich i cudzych. Chcielibyśmy podobnie jasno i poprostu uzmysłowić sobie i sformułować dość zawiły tok rzeczonych twierdzeń prelegenta. Oto te twierdzenia. Instytucje polskie, oparte na krańcowem zwyrodnieniu samorządu, na wszechwładzy sejmu i sejmików, były zupełnie wyjątkowe. Były wyjątkowo wadliwe. Były takimi przez cały czas trwania państwa. Były mianowicie skróś średniowieczne. Ten charakter zachowały, spotęgowały pod sam koniec.

Uczyliły też pod koniec państwo polskie wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju, niebywałym i dłużej niedopuszczalnym anachronizmem w Europie. Średniowieczną swoją, konsekwentnie i dobrowolnie dochowaną pośrodku ery nowożytnej, stały się głównym, jeśli nie wyłącznym powodem zguby państwa. One to uczyniły jego upadek koniecznością dziejową, koniecznością nieodwołalną, bo wypływającą z samej natury rzeczy. Społeczeństwu polskiemu jasna tego świadomość powinna ułatwić przystosowanie się do nowych, dośrodkowych warunków. Społeczeństwu rosyjskiemu przykład wybujałego, chorobliwego, odśrodkowego wyodrębnienia oddzielnych ziem polskich, w stosunku do dawnej Rzpltej, powinien wskazać słuszne granice potrzeb, w stosunku do państwa dzisiejszego, rozmaitych jego dzielnic, a w szczególności dzielnic polskich.

W przemówieniu p. Spasowicza są rzeczy roztropne i trafne, są prawdy oczywiste, powszechnie uznane. Takim byłby w samej zasadzie jego pogląd krytyczny na winy przeszłości, trzeźwe pojęcie wymagań teraźniejszej doby. Ale w jego szczegółowych wnioskach, napoły naukowych, napoły politycznych, mieszczą się dwa rażące błędy naukowe i dwa kardynalne błędy polityczne. Błędem naukowym jest przedewszystkiem podciągnięcie całego pięćsetletniego rozwoju państwowego Rzpltej pod strychulec jakiejś średniowieczny wyjątkowej, skostniałej, martwej i śmiertelnej. Rzplta ze swoim prawem publicznem nie była bynajmniej jakimś cudackim, potwornym wyjątkiem w Europie, gdzie wszak aż do ery najnowszej przechowało się

nietknięte prawo publiczne Rzeszy niemieckiej, królestwa węgierskiego albo Szwecyi. Urządzenia polityczne polskie niewątpliwie z biegiem czasu, tak samo jak szwedzkie, węgierskie albo niemieckie, jak z innych względów nawet angielskie i francuskie, w znacznej części utraciły rację bytu, zwyrodniały fatalnie, gwałtownie domagały się naprawy. Jeśli tego chciał dowieść prelegent, w takim razie wywalał drzwi, rozwarte na oścież jeszcze przez Augustów i Stanisławów, przez Flemingów i Poniatowskich, przez Przebendowskich i Czartoryskich, przez Żałuskich i Konarskich, przez Kołłątajów i Stasziców, przez prawomocne wreszcie uchwały sejmowe. Gdyż nie o to chodzi, azali owa naprawa była niezbędną: tu dwóch zdań być nie może; lecz o to, iż niemasz dowodu, ażeby ona była niemożliwą. Owszem, nie brak skazówek, że byłaby się dała uskuteczyć, — tak samo jak uskutecziono ją na swój sposób gdzieindziej, w Sztokholmie, Paryżu albo Berlinie, — gdyby tutaj, w Warszawie, nie była została uniemożliwioną. Drugim błędem naukowym, bezpośrednio wypływającym z pierwszego, jest wyprowadzenie upadku państwa, jako koniecznego i naturalnego skutku, z wadliwości jego urządzeń, jako wyłącznej i wystarczającej przyczyny. Urządzenia wszystkiej Europy, bez żadnego wyjątku, na schyłku wieku XVIII znajdowały się w takim stanie zupełnej degeneracyi i rozprzężenia, że dłużej trwać nie mogły i upaść musiały. Jednak wszystkie państwa przetrwały upadek swoich urządzeń. Upadek Rzplitej, przedstawiony jako fatalność, spowodowana przez samą Polskę, jako wyrok

dziejowy, ściągnięty na siebie przez samych Polaków, jako misja cywilizacyjna, wypełniona przez mocarstwa rozbiorowe, — pogląd taki, głoszony najuporczywiej przez historyografię pruską, dziś już pod względem naukowym należy uznać za zupełnie przestarzały, usunięty przez zdrowsze i wyższe pojęcie prawdy dziejowej. I usuwany zostaje obecnie — zaznaczyć to należy ze szczerem uznaniem, — nawet przez najnowszych, choć bardzo jeszcze nielicznych, bezstronnych uczonych niemieckich, a zwłaszcza przez światlejszych przedstawicieli nauki rosyjskiej. Pogląd taki, ile nam wiadomo, nigdy nie był akceptowany przez dojrzałą i zdrową głowę Pawińskiego, którą też najdowolniej kładzie prelegent pod swoją apokryficzną ewangelię. Natomiast taki pogląd był ongi przyjęty kornie i bezwzględnie przez pewną część dawniejszej historyografii polskiej, a mianowicie przez t. zw. szkołę krakowską, przez Szujskich i Kałinków, których dobra wiara naukowa i obywatelska jest wyższą ponad wszelką wątpliwość, ale których omyłne i szkodliwe wnioski i tezy historyzoficzne bezwarunkowo domagają się sprostowania i skreślenia. Zawszeć pod tym względem zasadniczym, pod względem autokrytyki społeczno-dziejowej, tkwiła w duchu polskim jakaś dziwna skłonność do ekscesów, jakiś pociąg do skrajności własnego o sobie sądu. Od skrajnej apoteozy przeszłości łatwo przerzucono się do jakiejś skrajnej askezy. Lecz ani jedna ani druga ostać się nie może wobec ścisłej, przedmiotowej, porównawczej krytyki historycznej.

Byliście winni — tak społeczeństwu polskiemu tłómaczy niezbiec nauka dziejowa, — nie byliście winniejsi od innych. Byliście chorzy, — nie byliście chorsi od innych. Nie byliście wybrańcem, lecz nie byliście też nigdy wyrodkiem narodów, jakimś „paleontologicznym” czy „kopalnym” potworem, jakimś nienaturalnym, niedojrzałym, niepełnoletnim, szalonym wyjątkiem pośrodku rodziny europejskiej. Zaś jasnem jest jak na dłoni, że z takiego podwójnego błędu naukowego wyradza się podwójny błąd polityczny: zaufanie do społeczeństwa ciężko zostaje podkopane w opinii obcej, a zarazem, co jeszcze nierównie gorsza, zostaje głęboko nadwerężone we własnej samowiedzy publicznej.

Rozglądając się w tak bujnym i wielostronnem żniwie pisarskiem p. Spasowicza, wypadło nam do niniejszej najluźniejszej kategorii włączyć razem najliczniejsze i najróżnolitsze przyczynki. Pośród nich natrafiamy tutaj także na długi szereg drobniejszych, całkiem odezwanych utworów publicystycznych, noszących już raczej cechę pisarskiego pokłosa. Nie pomijamy ich przecież, gdyż, ile tylko podobna, niczego nie chcielibyśmy pominąć. Pod tytułem „Pozytywizm w Rosyi” daje autor obszerną i niemal entuzjastyczną ocenę książki uczonego rosyjskiego Stronina, który „jest niesłychanie płodny w pomysły zawsze oryginalne, sypie jak z rogu obfitości świetne idee”, znakomitego myśliciela, „którym mogłoby się pochlubić każde, by najbogatsze piśmiennictwo”. Możemy uspokoić czytelników,

skonfudowanych zapewne, że nigdy nie zasłyszeli o tak wybitnym pisarzu, o takim luminarzu nauki nowoczesnej. Jak przez mgłę, z czasów nieporządnnej, niewybrednej lektury gimnazyalnej, przypominamy sobie Stronina „Politykę”, a zwłaszcza jego osobliwszą rzecz o „Historii i metodzie”, przypominamy tego zapóźnionego Comtowskiego ucznia, który sadzi się na nowość konceptu, tworzy wyrazy jak „analogika”, „obserwatyka”, rehabilituje wojnę i federalizm, przepowiada blizki podział Austrii, formułę dzisiejszego rozwoju narodów wykrywa w krzywej parabolicznej, opisywanej przez środek ciężkości pękającego granatu. Można było, jak mniemamy, nad całą pseudo-uczoną produkcją tego pseudo-pozytywisty przejść spokojnie do porządku dziennego. W urywku z powodu „Fantazji polskich na tematy słowiańskie”, p. Spasowicz, zazwyczaj nader umiarkowany, nieco się rozgrzewa i w ostrzejszym tonie przemawia, a dodać należy, że tym razem z zupełną słuszością. Słuszną również odprawę daje „Tece Nieczui”; wypadałoby tutaj tylko raz jeszcze zastrzedz się wyraźnie, że można cenić dobrą wolę i pracę Szujskiego, a jednak powstrzymać się od gołosłownego zdania, jakoby „z wodzów umysłowych narodu on był naczelny po r. 1863, o nim rzecz może pokolenie nasze, co powiedział Słowacki o Królu Duchu, że dotąd idzie naród pchnięciem jego wiosła”. Tego hyperbolicznego zdania p. Spasowicza o Szujskim, powtarzamy ponownie, niepodobna podpisać żadną miarą, i wolno wątpić, czy podpisałby je dzisiaj

ktokolwiek nawet pośród najszczerzych, lecz rozważniejszych wielbicieli historyka krakowskiego.

Na tle wspomnień osobistych, w zakresie długoletniej swojej po dziś dzień działalności na gruncie rosyjskim oraz zażyłego obcowania z celniejszymi przedstawicielami umysłowości rosyjskiej, nakreślił p. Spasowicz zajmujące przyczynki o „Pięćdziesięcioleciu uniwersytetu petersburskiego“, o „Konstantym Kawelinie“, „Włodzimierzu Sołowiewie“, i niektóre inne. Najciekawsze może pod względem nie tylko ogólnym, lecz poniekąd autobiograficznym, są wspomnienia o Kawelinie, gdzie autor, stawiając pomnik pozgonny przyjacielowi, równocześnie rzucił dużo światła na rozwój własnych swoich pojęć społecznych i politycznych. Wyjaśnia tutaj mianowicie p. Spasowicz, iż punktem wyjścia tych jego pojęć były wypadki galicyjskie 1846 roku. Te wypadki „nam wskazały, że stoimy na kraju przepaści, że przegrywamy sprawę na kwestyi włościńskiej, na tym najsłabszym punkcie historii polskiej. Widzieliśmy jak na dłoni, że upadek państwa polskiego był wynikiem wadliwej jego organizacji, że spowodowały go *tylko* przyczyny wewnętrzne“. P. Spasowicz w 1846 r. był jeszcze bardzo młody i nie dziw, że tak wtedy mógł rozumować pod wpływem szlachetnego poruszenia duszy i zupełnej nieznajomości dziejów i stosunków krajowych; lecz nieco dziwniejsza, że nieogłędne rozumowania siedemnastoletniego młodzieńca po upływie przeszło półwieku odnajdują się dosłownie w „Pismach“ bez należytego zastrzeżenia ze strony

dojrzałego i doświadczonego męża. Również bez żadnych zastrzeżeń odnajdują się tutaj pierwsze ślady stałej antypatii, żywionej przez autora dla Królestwa Kongresowego. To jest dla p. Spasowicza „osobliwsza kraina, malutkie państewko w państwie“, przyodziane w „ubiór arlekina zszyty z mnóstwa różnokolorowych kawałków“, odstrasający wzór „całkowitego zacofania w stosunkach prawnych społeczeństwa, które nie żyło, a tylko wegetowało“. I znowuż szczerze ubolewać przychodzi, że dzisiaj do zbioru „Pism“ niepospolitego uczonego i obywatela mogły przedostać się podobnego gatunku wysoce niewłaściwe zwroty i sądy. Wytykać całą ich niewłaściwość uważamy zresztą za zbyteczne, jakkolwiek, albo raczej właśnie dlatego, że na dzieje Królestwa Kongresowego, nieznane bliżej autorowi, usiłowaliśmy i usiłujemy ze szczególniejszą troskliwością skierować badania własne i poszukiwania młodych naszych w nauce przyjaciół. Zajmujące uwagi p. Spasowicza o zgasłym przedwcześnie Włodzimierzu Sołowiewie dały nam na inny sposób wiele do myślenia. Niezwykła postać Sołowiewa w rozlicznym względzie jest dla nas ciekawą a nawet sympatyczną. Jednakowoż, im jest ciekawszy i sympatyczniejszy jako człowiek, tembardziej, zdaniem naszym, Sołowiew, jako myśliciel, jako działacz, wymaga najbaczniejszej, najostrożniejszej krytyki. I to zarówno w obu, tak ściśle, tak organicznie ze sobą splecionych kierunkach jego myślenia i działania; zarówno w zakresie jego studyów teologicznych w Moskwie i Dyakowarze, jakoteż jego badań słowiań-

skich w Petersbugu i Krakowie; zarówno w dziedzinie jego dążeń i marzeń kościelno-politycznych, jakoteż jego teorii i haseł narodowościowo-politycznych. Pogląd Sołowiewa na sprawy Kościoła powszechnego, dyktowany niezawodnie przez głowę szlachetną i śmiałą, ale mętną i fantazyjną, jest oparty na fałszywym z gruntu założeniu, fałszywym podwójnie, tyleż fałszywym ze stanowiska pierwotnych dziejów kościelnych, ile ze stanowiska nowożytnych dziejów politycznych. Pod tym ostatnim zwłaszcza względem jest to w gruncie rzeczy nic innego, jak tylko ta sama błędna, niewykonalna inicjatywa ojca Possevina albo ojca Grubera, podejmowana tym razem z drugiego końca. Z kolei pogląd Sołowiewa na sprawy powszechnego słowianstwa w równym stopniu nacechowany jest, przy najlepszych zapewne chęciach, jaskrawą dowolnością i rażącym błędem. Stosuje się to nasamprzód do jego wyłuszczeń o Słowianach bałkańskich w szczególności, o sprawie wschodniej wogóle, gdzie informowany jest jak najgorzej — choć podobno informował go biskup Strossmayer we własnej osobie. Stosuje się to następnie w wyższej jeszcze mierze do jego wyłuszczeń o Królestwie Polskiem w szczególności i sprawie polskiej wogóle, gdzie informowany bywa tak opacznie, że wprost w głowę zachodzimy, u kogo też podobnych mógł zasięgać informacji? Tak więc tutaj, między innymi, punktem wyjścia jego wywodów jest oryginalna teza o potrójnym zbawieniu Królestwa Polskiego w ciągu XIX wieku: a mianowicie zostało ono rzekomo

w tym wieku wyratowane popierwsze od germanizacji, powtórnie wyratowane od głodu, potrzeci wyratowane od rzezi chłopskiej, to znaczy wyratowane podobno po trzykroć, w 1815, 1832 i 1864 r. Osobliwsza ta teza nie wymaga chyba bynajmniej, ażeby kłaść ją pod lupę ścisłej nauki historycznej. Owóż mniemalibyśmy, że p. Spasowiczowi, przy roztrząsaniu tych i podobnych pomysłów Sołowiewa, niewszędzie udało się z pożądaną jasnością uwydatnić zawarte w nich logiczne zboczenia argumentacji a zwłaszcza szkodliwe zboczenia myśli przewodnich i kierunków wytycznych.

Co prawda, owa jasność, tak bardzo pożądana w tego rodzaju arcyważnych materyach, niezawsze znachodzi się tam nawet, gdzie p. Spasowicz już bezpośrednio we własnym, czysto osobistym imieniu własne swoje, głęboko obmyślane i głęboko odczute, rozwija zapatrywania i dążności. Takim zapewne powodował się zamiarem, kreśląc w chwili uroczystej, podwójnie uroczystej, bo wielkiego religijnego święta i rocznicy wielkiego narodowego wieszcza, na wzniosły „temat wigilijny“ doniosłe rozmyślenia „O dobrej woli“. Zdaniem autora, „pytanie o tem, jaką być powinna dobra wola, stało się mocno zagmatwanem w środku XIX wieku“. Autor gorąco pragnie raz na zawsze rozplątać tę „gmatwaninę“. W tym celu przedewszystkiem należy zerwać raz na zawsze „nasz stosunek wasalnej zależności od zachodniej Europy“. Należy usunąć obłądne konsekwencje duchowe takiego przedawnionego stosunku, propagowane ongi przez najpierwszych prze-

wodników, przez wielkich poetów narodowych. Jako najbardziej znamienity wyraz tego obłędu p. Spasowicz cytuje słowa Mickiewicza: „ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu“, i dodaje od siebie takie instruktywne objaśnienie: „to była wiosna krwawej i fatalnej pamięci 1812 r., wiosna nadziei ale najzłudniejszych, a z drugiej strony wojna najniesłuszniejszego najazdu“. Poważylibyśmy się, nawiasem, zakwestyonować niniejszy, tak kategoryczny sąd historyczny autora i odwołać się w tej mierze do sądu społecznej nauki dzisiejszej oraz do własnych naszych, mniej ogólnikowych, lecz może lepiej udowodnionych, rzeczowych wyłuszczeń o przyczynach wojny 1812 r. Wszelako p. Spasowicz nie zatrzymuje się na takich szczegółach. „Nastąpiła pora — nawołuje w dalszym ciągu — dla położenia końca tym nieporozumieniom, temu pogmatwaniu pojęć, temu uzależnieniu szczęścia narodu od pewnych tylko form politycznych... Państwa nie bywają nigdy narodowo jednolite. Narody w państwie bywają politycznie zrzeszone, a gdzie jest rzesza, tam być też musi jakiś pierwiastek górujący i naczelny, przodujący przed innymi“. Zauważyliśmy znowuż nawiasowo w tym miejscu, że myśl niniejszą stosuje tutaj autor do bliższego sobie narazie koła zjawisk, że atoli kiedy indziej unika raczej logicznego zastosowania tej samej myśli, kiedy chodziłoby np. o zastosowanie jej względem niemieckości w rzeczach czeskich i wogóle austriackich. „O tem, co jest rzesza narodów politycznie zrzeszonych, — tłómaczy dalej autor, zapewne nie zdając sobie dostatecz-

nie sprawy, że ma tutaj wręcz przeciw sobie nietylko teksty Lengnicha, lecz, co ważniejsza, wielką i jedynie prawdziwą myśl Kołłątaja, — możemy sami coś wiedzieć, wszakże byliśmy sami rzeszą, rozrastającą się przez dobrowolne związki równouprawnionych narodów. Gdy rzesza została w części rozbitą i podzieloną, uwydatnił się w dawnych jej granicach ten polski pierwiastek, który był w dawnych jej granicach spojem i kitem, ale nie nadający się do tego, by dawniejszą całość dźwignąć“. Stąd zaś, koniec końcem, taki wniosek i morał ostateczny, że należy niezmiernie liczyć się ze zmianą i postępem okoliczności i czasów; że należy do nich roztropnie przystosować ziszczalne dążenia i cele, zwłaszcza, kiedy się nie posiada „żadnych innych tytułów, oprócz starych, kwestyonowanych i przedawnionych może dokumentów“; że nie należy stawiać się „w położeniu spadkobierców upadłego magnata, zubożałych i karmiących się może łzami, o żebranym chlebie, ale strojących się w dziwaczne łachmany swojej dawnej książęcości i wierzących, że bez najmniejszego przyczynienia się przeżyta przeszłość znowu cudem jakim wróci“; że „wrodzona nam duma powinna nas powstrzymać od takiego rodzaju ambicji“; że „nie mamy prawa pozować na zdetronizowanych pretendentów“; i że zatem powinniśmy „wziąć się znowu do pracy, a ponieważśmy umysłowo nie upośledzeni, więc doczekamy się niezawodnie, że nas zaliczą do pocztu przodujących w cywilizacji i uspołecznieniu narodów“. W tych zastanawiających wyrazach jest niewąt-

pliwie dużo prawdy, najoczywistszej prawdy, wybijającej znowuż drzwi otwarte, a i innej także, utrafiającej może wcale dobrze w sprawy — korony halickiej albo nawet korony św. Wacława.

Wybitną cechę tak rozległego, wszechstronnie ukształconego i wszechstronnie też czujnego umysłu p. Spasowicza stanowi rzadka umiejętność i konsekwencja, z jaką on nie zaniedbuje szerzyć swoich idei społeczno - politycznych, bez przerwy, bez wytchnienia, przy każdej nadarzającej się sposobności, na wszelakich najrozmaitszych polach myśli publicznej. Tam nawet, gdzie dla pospolitego oka sposobność mogłaby wydawać się dosyć odległą a bodaj dosyć wątpliwą, zaś samo pole mniej podatnem a bodaj mniej stosownem, — tam nawet potrafi autor bystrzejszem spojrzeniem wytrawnego strategika dopatrzeć się dogodnych punktów zaczepnych, gdzie może walczyć i zwyciężać w imię ulubionych swoich haseł przewodnich. Potrafi on w tym celu z niepowszednim kunsztem wykrzesać pobudkę z najoporniejszej okazyi, wyzyskać teren w najnieprzystępniejszej dziedzinie. A więc potrafi uczynić to także z okazyi wybitnego dzieła sztuki, w dziedzinie czystej twórczości artystycznej. W świecie fikcyi, tak samo jak w świecie rzeczywistości, doszukuje się on bacznie sprzymierzeńców i silną ręką gromi przeciwników. Takie, nie inne znaczenie, posiadają niektóre, nadzwyczaj nauczające krytyki literackie p. Spasowicza. Z powodu „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza wytacza krytyk cały szereg leżących mu na sercu zagadnień i wyciąga

na swój sposób wnioski, przypadające mu do przekonania. „Stanisław Połaniecki jest to typ nowy, ostatniej daty, nie mający nic wspólnego z epigonami byronizmu i romantyzmu“. Oczywiście krytyk, który zadaniem swego życia uczynił tępienie zgubnych tradycyi „romantycznych“ pod wszelką postacią, żywi bezwzględna sympatyę dla niniejszego całkiem odmiennego „typu“. A więc „byłoby tylko do życzenia“, ażeby co najrychlejsz „Połanieccy składali u nas legion“. Niedosć na tem. Krytyk nie poprzestaje na podkreśleniu obywatelskich zalet artystycznego tworu, lecz usiłuje z jego obywatelskością utożsamić samego twórcę, usiłuje solidaryzować powieściopisarza z bohaterem powieści. Z naciskiem wskazuje „parę miejsc, zdradzających prawdziwe intencye autora“, wskazuje jego „obawy o przyszłość“, jakie budzi zwłaszcza „wykwintne zło Zachodu, posiane na dziką słowiańską glebę“. Jednakowoż, rzecz prosta, żaden nieuprzedzony czytelnik nie zachowa najmniejszej wątpliwości, że cała ta metoda krytyczna grzeszy zupełną dowolnością w założeniu i wnioskach. Twórczość wielkiego pisarza niekoniecznie musi zawsze chodzić w parze z powziętą z góry taką a nie inną tendencją społeczno-polityczną. Podobnej tendencji napewno nie żywił w tym wypadku Sienkiewicz, który nie jest publicystą ani człowiekiem stronnictwa, lecz przedewszystkiem wielkim artystą. Ten wielki artysta, kiedy portretował swego Połanieckiego, prosto malował żywego człowieka z natury, nie zaś idealnego rzekomo działacza z politycznego programu.

To wszak jasne. A jednak rzecz tak prostą i jasną mógł przeoczyć przenikliwy krytyk zawodowy, jakim jest p. Spasowicz. Lecz on przeoczył dlatego, że i tym razem patrzył pod niewłaściwym kątem widzenia. Dlatego też podobne przeoczenia musiały mu wydarzać się nieraz i kiedyindziej przy podobnych okazjach. Tak więc znowuż kiedyindziej, z powodu „Sprawy Dołęgi“, przystępuje do krytycznego rozważenia „Typów społecznych w powieści Weyssenhoffa“. P. Spasowicz ma poważne zarzuty przeciw tej powieści. Jej fabuła, jak wiadomo, przewija się dokoła pewnego technicznego szczegółu: jest nim projekt zaprowadzenia sieci dróg bitych w Królestwie Polskiem. Wytrawny krytyk na całej linii atakuje ten właśnie szczegół. „Sam pomysł sieci dróg bitych jest już nie na dobie... jak na dzisiejsze czasy wygląda jako niemodny i znacznie staroświecki“. Pozwolimy sobie wtrącić tutaj na stronie małą pedancką uwagę, a mianowicie wyrazić wręcz przeciwny pogląd nasz własny w tej materii. Dzieje warszawskiego Okręgu komunikacji od 1832 r. aż do doby społecznej są nam dość dobrze znane z pierwszej ręki i mamy głębokie przekonanie, że bez względu na drogi żelazne szeroko i wązkotorowe, pozostaje tutaj ogromnie dużo do zrobienia, do odrobienia, właśnie w zakresie dróg bitych, i to zwłaszcza w porównaniu z Poznańskiem a nawet z Galicyą. Domyślamy się, że p. Spasowicz chyba nie miał czasu zajmować się bliżej tą tak ważną gałęzią ściślejszych potrzeb krajowych. Ale — *passons*. P. Spasowicz, z głębokiem na-

tomiast znanstwem interesów administracyjnych wogóle i petersburskich w szczególności, krytykuje surowo całe wzięcie się do rzeczy niepraktycznego projektodawcy Dołęgi i cały tok niezręczny, nadany jego „sprawie“. Trzeba było to wszystko robić zupełnie inaczej. Projekt był „zawisły od znacznych ustępstw i zobowiązań rządowych. Rząd winien byłby upoważnić konsorcjum do pobierania rogatek“. Zaś na nic nie zdałaby się sama „idea naga i nieopierzona, martwy operat, którego nikt nie popierał. Na jazdę do Petersburga powinienby Dołęga sam się zdecydować, albo znaleźć zaufanego zastępcę, być w kursie interesu“. Tak jest najniezawodniej. Tak tylko tego rodzaju rzeczy się robią. P. Weyssenhoff i jego Dołęga, razem wzięci, mogliby u p. Spasowicza uczyć się abecadła tej trudnej praktyki prawno-administracyjnej, jaką ogarnia obszerne pojęcie specyalne „*chodatajstwo po dietam*“. P. Weyssenhoff dobrze zrobił, że nie poświęcił się tej specyalności. Byłby zapewne nie zebrał w niej laurów. Zapewne nie wahałobyśmy się sami, w charakterze klienta, zamiast do niego, jako doradcy, zwrócić się raczej do wypróbowanego petersburskiego jurysty. Aliści, ile nam wiadomo, p. Weyssenhoffowi nigdy ani postało w głowie spółzawodniczyć z uznaniami powagami na tym obcym terenie. Nie jest on, ile nam wiadomo, „*chodatajem*“: jest znowuż tylko — artystą. To też bynajmniej nie w charakterze klienta, ani prawnego rzeczoznawcy, lecz wyłącznie w charakterze czytelnika dzieła sztuki pragnęlibyśmy ująć i ocenić to dzieło

i jego autora. Przeciwnie, ujęcie i ocena rzeczy przez p. Spasowicza jak gdyby mija się w zupełności z właściwym danym przedmiotem krytycznym, z danym, bądź co bądź, niepowszednim poetyckim utworem, jak gdyby prześlizguje się bokiem koło tego przedmiotu, i nie dowodzi też ostatecznie niczego. Dowodzi co najwyżej nieprzychylnego uprzedzenia krytyka do krytykowanego utworu. W rzeczy samej, p. Spasowicz, jak się zdaje, nie więcej jest łaskaw na samego „Dołęgę“, jak na jego „sprawę“. Jeśli przedtem w „Połanieckim“ doszukiwał się sprzymierzeńca, teraz w „Dołędze“ jak gdyby dopatrywał przeciwnika. „Nie jest to żywy człowiek, ale ideał doskonałości: ma gotowy program przewodnictwa w pracy społecznej i tyranizuje innych swoją nieprzejednaną prawością“. P. Spasowicz nie wyjaśnia bliżej swojej myśli. Nie wyjaśnia dokładniej swego uprzedzenia dla tej postaci. Jednak widocznie jest w niej coś, co go do niej zraża, co go od niej odstręcza. Jest niechybnie jakiś nieokreślony *odor daemonicus*. Jak wiadomo, zły duch potrafi często przyciągać się i niewidzialnie ukryć dla wszelkich innych zmysłów: zawsze jednak zdradza się pewnym słabym specyficznym zapachem, który zdolne jest wyczuć subtelne powonienie niektórych wyjątkowych egzorcystów. Wielki Jakobus Sprengerius w niezbędnym podręczniku praktycznym „*Malleus maleficarum*“, zaś ze stanowiska teoretycznego głęboki Del Rio w swoich „*Disquisitiones magicæ*“, uczony Bodinus w swojej „*Daemonomania*“, wreszcie encyklopedyczny Georgius Godel-

manus w wyczerpującym traktacie „*De magis recte cognoscendis et puniendis*“, jednoznacznie, ponad wszelką wątpliwość, ustalili ten szczegół arcyciekawy. Owóż, w niniejszym wypadku p. Spasowicz, doświadczony egzorcysta, trafnie wyczuł tutaj jakiegoś nieokreślonego nieczystego ducha. Co zacz jest ów duch? Żaden inny podobno, jeno ten sam tylekroć przez autora gromiony, zakazany duch „romantyczny“, który nie przestaje kołatać się po sercach i głowach najbardziej nowożytnego i trzeźwego pokolenia, i którego stamtąd nie wykurzy najmocniejsza formuła najskuteczniejszego egzorcyzmu.

Zmuszeni byliśmy w tym dziele i w tym związku dotknąć powyższych przygodnych prac krytycznych autora, skoro w nich nietylę chodzi o krytykę literacką, ile o zagadnienia treści społeczno-politycznej. Dla tego samego powodu tutaj również będzie miejsce właściwe dla zapisania dwóch krótkich, lapidarnych, a przecie nader znaczących przemówień jubileuszonych, poświęconych wprowadzić pamięci największego polskiego poety, lecz nietylę z piśmienniczego, ile z obywatelskiego stanowiska, nietylę w celu nowej charakterystyki wieszczą, ile nowego oświecenia jego przewodnich dążeń społecznych. Takie mianowicie zadanie postawił sobie p. Spasowicz w obu swoich mowach publicznych, wygłoszonych kolejno w Krakowie i Petersburgu z powodu setnej rocznicy narodzin Adama Mickiewicza. Ze szczerą niezawodnie i głęboką miłością odzywa się on tutaj o najwyższym narodowym geniuszu, a nawet

w silnych i słusznym wyrazach upomina się dlań o miejsce przynależne pośród naczelnym geniuszów światowych. Jednak zarazem, w formie oględnej, niemal dyplomatycznej, — z uwagi zapewne na moment jubileuszowy, — lecz dostatecznie zrozumiałej i stanowczej, nie omieszkując zastrzedz się bezwarunkowo przeciw niektórym opłakanym zboczeniom ubóstwianego przez siebie poety. Chodzi tutaj oczywiście o zboczenia polityczne. Pod tym względem p. Spasowicz, szczególnie mocny, jak wiadomo w odnajdywaniu odległych analogii duchowych, wykrywa raz jeszcze uderzające „podobieństwo“ między Mickiewiczem a — Dantem. „Obaj gonili za marzeniem: Dante za marą gibelinińskiego jasnowłosego Cezara z za Alp, mającego Włochy opanować, a Mickiewicz za nieurzeczywistnioną marą mesyaniczną“. Musimy wyznać w pokorze, że i tym razem nieco trudno przychodzi nam podążyć za tak niezwykłym porównawczym poletem. Pomiędzy Luksemburczykiem Henrykiem VII, „*l'alto Arrigo ch'a drizzare Italia*“ a mistrzem Andrzejem Towiańskim czy też bodaj Napoleonem III, pomiędzy sprawami włoskimi XIV wieku a swojskimi XIX, nasze krótkowidzące oko również nie umie dopatrzeć się istotnych rysów „podobieństwa“, jak i pomiędzy samymi twórcami „Boskiej Komedyi“ a „Pana Tadeusza“. W każdym razie, te właśnie rysy, te gibeliniśko-mesyaniczne zboczenia zostają wytknięte i skarcone bez żadnej słabości, *à propos* jubileuszu, w niniejszych jubileuszowych przemówieniach. Zdaniem niepospolitego mówcy,

„Mickiewicz wyobrażał sobie przyszłość naszą zanadto materyalnie“. Już poprzednio zresztą p. Spasowicz, w swoich rozmyślaniach wigilijnych, podniósł ten sam akurat zarzut przeciw Zygmuntowi Krasińskiemu: „samo pojmowanie Polski przez Krasińskiego trąci materjalizmem“. Jeśli tedy nawet millenaryusz - psalmista „zatracił“, to najwidoczniej Gustaw-Konrad wprost już przesiał „materjalizmem“. Wszelako, ubolewając nad tem „materjalistycznym“ zwichnięciem wielkiej poetyckiej duszy, nie należy tracić otuchy, że musi ono rozwiązać się z biegiem czasu pod zdrowym tchnieniem trzeźwiejszych, t. j. właściwie — *sit venia* — idealniejszych pojęć. „Wszak oczekiwano Zbawiciela w końcu pierwszego tysiąclecia, a nie będą już go oczekiwać w ciągu drugiego tysiąclecia... Oczekiwania były obłądem kilku wyrosłych jedno po drugim pokoleń. Wypadało przetrwać i tę ciężką próbę“. Na szczęście przecież p. Spasowicz, zmuszony ostrzegawczo obnażyć i potępić podobne skazy w duchowej spuściźnie uwielbianego poety, mógł natomiast na pożytek ogółu wydobyć z niej i zalecić jedną drogocenną ideę przewodnią. „Mickiewicz był apostołem mającej się kiedyś zjednoczyć Słowiańszczyzny. Z tego posiewu mamy owoce, mamy pomiędzy sobą braci Czechów“. Taką to piękną apostrofą, wznosząc kielich na cześć obszerniejszych braci czy też przyjaciół słowiańskich, zamknął p. Spasowicz swoją interesującą mowę krakowską z okazji setnej rocznicy Adama Mickiewicza.

Apostrofa tego rodzaju w owej właśnie chwili nasuwała się zresztą sama przez się znakomitemu działaczowi i mówcy. W rzeczy samej, p. Spasowicz do Krakowa, na obchód jubileuszowy Mickiewicza, przybył wtedy wprost z Pragi, z jubileuszowego obchodu Palackiego. Świeże swoje, gorące wrażenia, zebrane na podniosłej uroczystości praskiej, niezmordowany pisarz złożył niezwłocznie w szczegółowym i ciekawym sprawozdaniu, które onego czasu ukazało się, jeśli nas pamięć nie myli, w „Gońcu Europejskim“, a obecnie wzbogaciło szacowną zawartość „Pism“. Jednakowoż ten obszerny „List otwarty o pamiątkowej rocznicy Palackiego“ mieści nie tylko przelotne odbicie świątecznych wrażeń praskich, lecz nadto stanowi trwały pomnik uznania i wdzięczności dla czeskiego dziejopisa i polityka, wzniesiony na własną rękę przez p. Spasowicza. Materiału do tego pomnika dostarczył autorowi wyłącznie czeski urzędowy „Pamiętnik“ stułetniego jubileuszu Palackiego, imponująca księga „z 726 stron *in 8-vo* ścisłego druku“, jak słusznie spostrzegła autor. „Teraz odczytując ją w wolnych chwilach, na wodach emskich, — objaśnia p. Spasowicz — widzę, jak przede mną wyrasta potężna postać tego bardzo wielkiego człowieka, męża czynu i patrioty. Posługując się tą książką, mogę dać treściwą odpowiedź na pytanie: jakiej wielkości był ten człowiek i co on wyobrażał w porównaniu z jego rówieśnikami, ze Słowianami Mickiewiczem i Puszkinem, z Francuzem Augustem Comtem i Niemcem Henrykiem Heine. Wszystko,

co opowiem o Palackim, wzięte będzie ze wskazanego przeze mnie zbiornika, mającego w moich oczach tę wagę, że pisali zbiornik prawie sami Czesi i zbiornik przeszedł przez ich ścisłą narodową krytykę“.

Nie mamy atoli zamiaru powtarzać na tem miejscu wszystkich, zdobytych taką drogą i w takim duchu, wniosków i sądów p. Spasowicza o Franciszku Palackim. Wyrzekamy się tego dla rozlicznych powodów. Mniejsza już o to, że raz jeszcze, i w tym wypadku, metoda porównawcza autora, jego zamiysł porównywania Palackiego z Comtem albo Heinem, li tylko na zasadzie sąsiedztwa ich dat urodzenia, napawa nas prawdziwym niepokojem, gdyż z widokiem podobnych skojarzeń, że tak powiemy, kalendarzowych, oswoiiliśmy się dotychczas co najwyżej na zdzieranych stronicach ściennego „*Historisch-Geographischer Kalender*“ nieuniknionego Meyera. Lecz, co gorsza, nader poważne wątpliwości nastrocza nam sama metoda informacyjna autora, który, wedle własnego oświadczenia, czerpał swoje wiadomości i swoje zdanie o tak wybitnej i skomplikowanej postaci, jak Palacki, rozmyślnie i wyłącznie z jednego tylko źródła, oczywiście niewystarczającego i jednostronnego, jakim koniecznie być musi wszelki, choćby najgrubszy Pamiętnik jubileuszowy. Przeglądaliśmy i my z niemałym zajęciem tę obfitą i piękną księgę. Ale opinię swoją o Palackim czerpaliśmy skądinąd jeszcze, z własnych jego pism i czynów. A więc zaglądaliśmy także do wielkich prac dziejopisarskich. A więc do memoriałów i przemówień statysty.

A więc do „Politycznego Testamentu“. A więc do „Kart pamiętkowych“. A więc zwłaszcza do różnorodnej i ciekawej skarbnicy „Radhosta“. Wziął, jak wiadomo, Palacký tę nazwę dla swego głośnego zbioru od bajecznej owej góry w Beskidach, napoły czeskiej Łysej Góry, napoły Kyffhäuseru, gdzie nocą na szczytach zlatują się upiory, gdzie strzeże wejścia zaczarowany czarny kogut, i gdzie w głębi podziemnej pilnuje skarbu cudowny dziad z długą brodą i bystrem w przeszłość i przyszłość spojrzeniem. Śledziliśmy nieraz kręgi tych lotnych duchów, bacziliśmy na trzepotanie czujnego skrzydlatego cerbera, a przede wszystkim nadstawialiśmy ucha na mądre wyrocznie i spominki mądrego długobrodego starca. Zapamiętaliśmy stąd niejedną rzecz godną zapamiętania. Mieści się istotnie w ogromnej działalności pisarskiej i politycznej Franciszka Palackiego sporo szczegółów zastanawiających, o których zapominać nie wypada, — i to bynajmniej nie dla jakiejś anachronistycznej zaciętości lub odgrzewanych rekryminacji, lecz poprostu dlatego, że jasna i trzeźwa pamięć o tych rzeczach leży w interesie publicznym. Już czynności Palackiego w burzliwej i mętnej dobie 1848 i 1849 r. mogłyby, z naszego stanowiska, dawać dosyć do myślenia. Radził on sobie zapewne narazić z Helclem, nawet z Libeltem, ale zachowywał sobie ciągle wolną, bardzo wolną rękę. Nazajutrz po zjeździe słowiańskim w Pradze, tak pisał w poufnym memoryale do ministerium wiedeńskiego: „Żywioty, które sprzysięgły się, aby nie dopuścić odro-

dzenia Austrii, wystąpiły na plac boju: Włosi, Magyarowie oraz wielka część Polaków i Niemców już podają sobie ręce dla zburzenia starożytnego domu rakuskiego... Natomiast Słowianie zachodni i południowi—t. j. Czesi, Chorwaci, Rusini, — jakoteż wszyscy lojalni Niemcy austriaccy — o lojalnych Polakach wcale nie ma mowy, — gotowi są krew i majątek poświęcić dla ratunku tego swego wspólnego schroniska“. Wtedy także, w najpierwszym swoim projekcie konstytucji austriackiej, na samem czele zakreślając zamknięte terytorium „ziem czeskich“, bezwarunkowo do nich włączył nie tylko Czechy i Morawy, lecz również i wszystkie Śląsk bez żadnej różnicy ani wyjątku. Jednocześnie atoli miewał nader żywe poczucie dwoistości obojga Galicyi, Zachodniej i Wschodniej, a nawet zdobywał się w tym względzie na daleko sięgające pomysły ustawodawcze. Dla ludności rusińskiej wogóle gorącą i stałą okazywał sympatię, opartą zresztą na pewnych szerszych założeniach historyczno-etnograficznych. „Język małoruski — tak wyraża się dobitnie Palacký — jest to całkowicie narzecze rosyjskie a bynajmniej nie polskie, i tak ma się do piśmiennego języka rosyjskiego, jak narzecze tyrolskie do niemieczyny, albo prowansalskie do francuszczyzny... Tyle, bądź co bądź, niezawodna, że Rusini nigdy dotychczas w poważniejszym znaczeniu i liczbie nie występowali jako odszczepieńcy od Rosyi“. Podobnież zdarzało się Palackiemu zabierać głos w ogólniejszych jeszcze i trudniejszych momentach i zagadnieniach dziejowych.

„Zmuszony, acz nierad, — jak sama upewnia, — poruszać te niemiłe kwestye“, przecież swoje o nich przekonanie wygłaszał bez wahania i ogródek. Wskazywał nieuleczalną, górującą tendencję polską do zagarnięcia „panowania“ nad cudzą dziejową własnością. Odnajdywał tę samą ideę „panowania“ nietylko na gruncie politycznym, wyobrażoną przez „sektę bandycką“, przez „sektę haszyszym“, lecz oraz na gruncie społecznym dziejów polskich, pod postacią wyjątkowo srogiej niewoli pańszczyźnianej ludu chłopskiego w byłej szlacheckiej Rzpltej. Rozważając kwestyę podziałów, zwracał nasamprzód uwagę na tę okoliczność, że podobnych zjawisk „pełno jest w dziejach“; następnie zaś uwydatniał wymownie, jak dalece do upadku Rzpltej przyczynili się sami Polacy, „nie pamiętając dostatecznie o swojej powinności“. Wyjaśniał mianowicie, jakim to sposobem „słabość narodu dla zgubnego *Nie pozwalam* z jednej strony, zaś z drugiej — dla robót jezuickich, nieuchronnie zaprowadziła go do przepaści“; i piętnował analogiczną podwójną skłonność społeczeństwa polskiego w dobie nowożytnej „do ducha rewolucyjnego z jednej strony, a z drugiej — do ultramontanizmu“. Najśluszniej wreszcie i najroztropniej ostrzegał własnych swoich rodaków, ażeby, unikając bezzasadnych, bezpłodnych, a nawet szkodliwych sentymentów, trzymali się raczej trzeźwo i ściśle w obrębie realnych potrzeb i interesów własnej społeczności czeskiej.

Rozumiemy wybornie, że to wszystko są rzeczy dość poziome i nudne. Nudną niechybnie jest rzeczą wertować stare księgi i zagadnienia, zamiast karmić ducha na świetnych festynach, które, wedle barwnej relacji p. Spasowicza, kosztowały aż „trzysta tysięcy florenów“ w. a. Poziomą niechybnie — dotyczyć stosunku Palackiego do Libelta lub Wielopolskiego, zamiast do Comta lub Heinego; poruszać jego stosunek do Galicyi albo Śląska, zamiast do „Filozofii Pozytywnej“ albo „Atty Trolle“. Ale trzeba nam to wybaczyć. Mamy dużo respektu dla „Filozofii Pozytywnej“ i bardzo kochamy tego biednego „Attę Trolle“. Wszakże — „wszystko miewa swoją porę“, uczy Ekklezyasta. Kiedyindziej chętnie gotowiśmy ważyć sylogizmy i rymy, prawić o filozofach i poetach. Tym razem nasunęły się nam i przypomniały same przez się niektóre bardziej płaskie i zwyczajne przedmioty, będące przecież, jakby się nam wydawało, w nieco bliższym dla nas związku z „Obchodem pamiątkowym F. Palackiego“.

Jednakowoż, czyniąc przelotne uwagi powyższe, chcielibyśmy raz jeszcze z całą stanowczością zastrzedz się przeciw wszelkiemu spaceniu istotnej naszej myśli. Powtarzamy więc z naciskiem, cośmy zawarowali zaraz z góry, że nie chodzi nam tutaj zgoła o żadne spóźnione, niepotrzebne i niestosowne rekryminacye. Nie chodzi bynajmniej o umniejszenie wielkiej pamięci wielkiego dziejopisa i patrioty czeskiego. Czesi dosyć mają powodów, aby czcić go wysoko. On to, niezmierną

wytrwałością i nauką, wydobył z grobu ich przeszłość dziejową i na niej zbudował przyszłość. Uczcili go też wdzięczni rodacy wspaniałym, zasłużonym tytułem: pięknie i zasadnie nazwali już nie tylko ojcem dziejów ojczystych, lecz ojcem narodu czeskiego. Myśmy takiego nie mieli. Skądinąd mniej fortunni, tutaj przecież od Czechów szczęśliwsi, takiej nie mieliśmy potrzeby. Nie obumarły nigdy nasze dzieje, nigdy narodowość, i żaden człowiek, choćby największy, nie mógł być jej rodzicem, skoro jej twórcami były i są, w nieprzerwanej kolei, wieki i pokolenia. W warunkach odmiennych tem większa zapewne zasługa Palackiego. Chętnie składamy hołd tej niepospolitej zasłudze uczonego, nieporównanej obywatela. W epoce, kiedy Pertz i Ranke, sięgnąwszy do źródeł dziejowych niemieckich, zasilali z nich przyszlą potęgę polityczną Niemiec, Palacký, sięgnąwszy do czeskich, ożywił z nich przyszlą odporność polityczną, przyszlę odrodzenie Czech. Powtarzamy, myśmy takiego nie mieli. Mieliśmy Lelewela, z innego kruszcu człowieka, a mniemamy, nie z pośledniejszego. Ten ze szkołą polityczną nauki niemieckiej żadnego nie miał powinowactwa. Niezawodnie, wielki polski historyk również był wielkim obywatelem. Realistą politycznym on nie był. Realnym, nowoczesnym politykiem był Palacký. Ta właściwość podobno uzdolniła go do tem owocniejszej służby dla swoich. Lecz ta sama właściwość uczyniła go obłądnym przewodnikiem, fałszywym prorokiem, skoro tylko wykraczał za czeski widnokrąg. Ona mu podyktowała

wnioski konstytucyjne 1848 r., wystąpienie publiczne 1864 r., kroki pielgrzyma 1867 r., testament polityczny 1872 r. Był wielkim Czechem. To wiele, ale to niedość. On zaś nie chciał być niczem więcej.

Z taką trzeźwą, spokojną, a bezstronną świadomością tego, co się istotnie należy znakomitej pamięci Palackiego, przysłuchiwaaliśmy się zdaleka odgłosom praskiej uroczystości jubileuszowej. Jubileusz przypadł na chwilę ciężkiego przesilenia w ciężkiej walce, którą obecnie, z całym napięciem narodowego ducha, zmuszeni są toczyć Czesi. Wiadomo, jaki w niej był udział polskiej opinii publicznej i polskich mężów stanu. Był to udział zgoła bezinteresowny i zgoła wbrew realistycznym zasadom polityki, głoszonej ongi właśnie przez Palackiego, z dobrej woli ofiarowany jego rodakom. Nie omieszkuje oczywiście p. Spasowicz podnieść tej okoliczności z bezgranicznym entuzjazmem. Obiecuje sobie najświetniejsze korzyści „wskutek wypadku, niebywałego przedtem, bardzo pomyślnego dla Czechów, zwiększającego ich siły i zabezpieczającego ich na przyszłość. Wypadkiem tym jest związek najściślejczy Czechów na konstytucyjnym gruncie w wiedeńskiej Radzie państwa z galicyjskimi Polakami, osnuty za rządów gabinetu Badeniego i jeszcze bardziej umocniony po upadku tego gabinetu. Można wnosić z niejaką pewnością, że ten sojusz będzie mocny a nawet może i niewzruszalny“. Czy ten entuzjastyczny optymizm nie idzie trochę zadaleko? Czy w onym epokowym „wypadku“ nie dałoby się, ze stanowiska realnych interesów polskich, dopatrzeć także odwrotnej

strony medalu? Nie tutaj miejsce wdawać się w rozstrzyganie tych zawiłych i drażliwych zagadnień. Nie zajmujemy się tutaj polityką byłego premiera wiedeńskiego, lecz narazie tylko twórczością znakomitego pisarza petersburskiego. Bądź co bądź, nie mamy chyba potrzeby tłumaczyć, po czyjej stronie są sympatie nasze w czesko-niemieckim przesileniu, i jak szczerze życzymy powodzenia sprawie czeskiej — w granicach słuszności. Tem swobodniej atoli w tym wypadku możemy położyć nasze zastrzeżenia, tem wyraźniej zaznaczyć nasze stanowisko wobec praskiej uroczystości jubileuszowej. Czujemy się w obowiązku stwierdzić, że w niektórych jej echach dosłyszeliśmy się dysonansu. Uroczystość była czeską, nie mogła być europejską, uczyniono ją wszechsłowiańską. Wznawiano na niej hasła wojenne walki rasowej. Ustawiano w szyku bojowym wszechsłowiańszczyznę przeciw wszechgermanistwu. Zapowiadano drugi, wszechsłowiański tym razem, Grunwald. Do takiego dyapazonu dostroić się nam niepodobna. Z nowego Grunwaldu niekoniecznie pewni jesteśmy korzyści, i życzymy pokoju wszystkim ludziom dobrej woli. Nie mniejsze od czeskich są nasze z Niemcami rachunki, lecz dalecy jesteśmy od tego, ażeby je porachować samą ślepą nienawiścią. Nie siejbą nienawiści ku przeciwnikom, lecz jednoczącem ukołchaniem swojskości pragniemy nasze utrwalić jubileusze. To też z praskim, czy to w jego nastroju ogólnym, czy w pewnych pojedynczych szczegółach, spełna solidaryzować się nie mamy sposobu, i nie mamy także,

tembardziej, możliwości, pisać się na całą jego ocenę i wykładnię, na cały morał jubileuszowy, ofiarowany przez p. Spasowicza.

Przebieżenie, chociażby pośpieszne, długiego szeregu prac, tak licznych a tak różnorodnych, tyle zabrało nam czasu, że już tylko pod sam koniec napomknąć zaledwo możemy o istotnie niepoślednim przyczynku, który na seryo uważamy za najcelniejszy i najważniejszy ze wszystkich, nagromadzonych w zbiorze „Pism“. Mówimy, rzecz prosta, o „Życiu i polityce margrabiego Wielopolskiego“, obszernem studyum ogłoszonym pierwotnie w petersburskim „Gońcu Europejskim“. Dodaną również rozprawę pomniejszą, „Literacki i polityczny spadek po Wielopolskim“, śmiało można było opuścić, gdyż główne rysy przedmiotu znajdują w tamtem studyum nierównie szersze i głębsze rozwinięcie.

Punkt wyjścia stanowiła dla autora przedewszystkiem rozgłośna monografia, wydana staraniem rodziny margrabiego, a poczęści też głośnie swego czasu artykuły „Przeglądu Polskiego“. „W ten sposób, jak książka Lisickiego, piszą się chyba żywoty świętych“, powiada słusznie p. Spasowicz, i jeśli tego jego zdania nie podpisujemy oburącz, to jedynie z powodu, że zbyt wysoko cenimy erudycję i rozagę OO. Bollandystów i nie chcielibyśmy ich skrzywdzić wcale niepochlebnem koleżeństwem. Co się tyczy studyum prof. Tarnowskiego, góruje w niem pobłażający nastrój amnestyi. Gdyby żył margrabia, nie wiemy, czy byłby odepchnął

apologię, — bo kadził to on lubił; wiemy napewno, że wyrzekłby się ułaskawienia, — bo on był z tych ludzi, którzy chcą swego prawa, całego prawa, i pełną za wszystko, co uczynili, biorą na siebie odpowiedzialność. Lisicki — poza materiałem źródłowym, jaki mógł i powinien był zużytkować i skąd zresztą, jak się zdaje, czerpał bardzo jednostronnie i bardzo dowolnie, skąd napewno tyleż co najmniej przemilczał, ile ujawnił, — bądź bujał w przestworzach wielkiej polityki europejskiej, gdzie zdawało mu się, że jest u siebie w domu, a gdzie naprawdę był zabłąkanym zupełnym ignorantem; bądź też opowiadał anegdoty, mniej lub więcej autentyczne, a w każdym razie nie dowodzące literalnie niczego; bądź też wreszcie, i to najczęściej, z największą lubością, zanurzał się w namiętnych inkwetywach, oskarżeniach i żalach. Prof. Tarnowski, unikając wdawania się *in meritum* sprawy, szukał raczej ogólniejszych punktów widzenia, psychologicznej konkluzji, morału. P. Spasowicz pierwszy ujął rzecz bezpośrednio ze strony najważniejszej. Rozpatrzył się w tem wszystkim, co wyszło z pod pióra margrabiego i co dotychczas uczyniono dostępnem. Lecz na tem nie poprzestał: zadał sobie nadto ten trud niełatwy a w tym wypadku wprost nieodzowny, ażeby wejrzeć do samego wnętrza arcyważnych i arcyzawitych przygotowań, perepetyi i wyników tego ustawodawczego i prawodawczego przewrotu, do którego, dla uprzedzenia go, dla pokierowania, przyszedł i przyłożył rękę, lecz którego nigdy nie opanował Wielopolski. P. Spa-

sowiczowi zresztą nie chodziło wyłącznie o margrabiego. Oczywiście, pragnie on „odtworzyć wiernie rysy wielkiej postaci historycznej, którą, ukryty w tłumie widzów, miał sposobność zdala badać osobiście“. Ale, dodaje, „nie taję, iż poza osobą działacza historycznego interesowała mnie sama kwestya, której on zabiegł swoje poświęcił, kwestya nie tylko dotąd nierozwiązana, lecz jeszcze prawidłowego sformułowania oczekująca. Podnieję w pracy znajdowałem w przeświadczeniu, że samo sformułowanie kwestyi jest dzisiaj znacznie uproszczone i ułatwione“. P. Spasowicz mniema bowiem, że „podrastają już nowe pokolenia ludzi, którzy widocznie są daleko rozsądniejsi, cierpliwsii i praktyczniejsi od swoich poprzedników“.

Z pierwszego z tych dwóch całkiem odrębnych pońiekąd nawet niewspółmiernych zadań, jakie sobie założył, — a których zapewne można było wcale nie łączyć, — p. Spasowicz wywiązał się ze spokojem, trafnością i bezstronnością sądu wzorową. Nie oszczędza bynajmniej margrabiego. Ukazuje słabe strony jego sprawy o ordynacyę, skłonność do pieniactwa, „zaciętość i mieszaninę upartej zapalczywości i pedantyzmu z dążeniami legalnemi“. Podkreśla główne z jego błędów politycznych. Wydawało się nam zawsze niewątpliwem, że błędy tego człowieka pochodziły z tego samego źródła, gdzie się kryła tajemnica jego siły. Miał on, jak większość ludzi czynu, parę tylko pojęć własnych, umiał nie odrywać wzroku przez życie całe od tych niewielu pojęć, z nich wszystko chciał wydo-

być, — na wszystko, czego nie chciał widzieć, przez całe życie umiał być ślepy. Ale wolimy nie zapuszczać się tutaj w te rzeczy. Sami sobie doraźnie wolimy nakazać milczenie. Zbyt na sercu nam leży to, tak niezwykle i doniosłe zjawisko dziejowe, ażeby wolno było tracić o niem jedno bodaj słowo w niniejszym przygodnym i dorywczym sposobie. Obiecujemy sobie kiedyindziej, na własną rękę, na mocy własnych badań i rozmyślań, wyrazić co wiemy i sądzimy o nieszczęsnej dobie Wielopolskiego i o nim samym, nieszczęśliwym, lecz wielkim obywatelu. Narazie tyle tylko wypadłoby nam zaznaczyć, że p. Spasowicz w pięknej swojej pracy nie wyczerpał bynajmniej wszystkich nastrojących się tutaj kapitalnych zagadnień, że nawet niektórym najkapitałniejszym, czy to dla braku ścisłych informacji, czy też dla pobudek roztropności, nieraz jak gdyby schodził z drogi. Ale zarazem miło nam stwierdzić, że niejedną materię zasadniczą on dopiero postawił w pełnem i właściwem świetle. Postawił przede wszystkim w należytem świetle najistotniejszą, najbardziej wyjątkową i najwięcej imponującą stronę duchową historycznej postaci Wielopolskiego. Powiedział o nim słów parę, któremi naprawdę utrafił w sedno i które się zostaną. „Okryty płaszczem udowodnionych dobrych zamiarów, Wielopolski mógł spokojnie z dwojga złego wybrać sobie lepsze, ostrożnie i we właściwej godzinie usuwawszy się na stronę, gdyby był mniejszej miary człowiekiem. Nie do tego typu ludzi on należał: jako wielki gracz, całego siebie postawił

na kartę“. A dalej, lepiej i dosadniej jeszcze: „Po tylu lirnikach wypadało wystawić choć jednego męża stanu, człowieka, któryby dowiódł na sobie odziedziczonego uzdolnienia do tego, by rządzić albo hetmanić; taki okaz znaczy tyle, co przerwanie przedawnienia, a margrabia był znakomitym tego rodzaju okazem“. To jest prawda. Na te mocne i prawdziwe słowa piszemy się chętnie i w zupełności.

W ścisłym związku wewnętrznym z monografią o Wielopolskim pozostaje wyczerpujący referat o „Gminach i sądach gminnych w Królestwie Polskiem“, czytany w moskiewskim Towarzystwie prawniczym. Główne postulaty autora są oczywiście zasadne i po dziś dzień na czasie; przeciw jego argumentom *ad hominem* niejedno mielibyśmy do nadmienienia.

Zmuszeni jesteśmy na tem zakończyć, a raczej urwać, pobieżny przegląd niniejszy. Wrażenia nasze mogliśmy wyłuszczyć z całą swobodą, jakiej ma prawo wymagać pisarz tego znaczenia i tej miary. P. Spasowicz zresztą sam pierwszy względem siebie zachowuje się krytycznie i, zazwyczaj dla innych wyrozumiały, dla siebie aż nadto jest surowy. „Tyle nadziei zawiodło, — powiada w przedmowie — mnogie ideały się rozprysły. W masie zgromadzonego przez tak długi ciąg czasu materiału muszą się okazać sprzeczności, bo z biegiem wypadków nie mogły nie odmieniać się poglądy a nawet przekonania. Nie zgładzając chropowatości i przeciwieństw i zgoła nic nie przerabiając, podajemy nasze pisma na sąd czytającej publiczności“.

Sąd ten nie może być wątpliwy. Są w „Pismach” i braki i iluzje, ale jest naogół zawartość niemniej nuczająca jak obfita, którą, mamy nadzieję, niejednym jeszcze szacownym dodatkiem zdąży pomnożyć p. Spasowicz. Z niemałą dla piśmiennictwa stało się korzyścią, że do jego zbiorów włączony został nabytek tak znaczny, streszczający autentycznie i spełnia najlepszą z tego, co pisarz i działacz ukształcony i doświadczony w ciągu blisko półwieku odczuł i przemyślał, — a zarazem, w takim autentycznym i kompletnym sposobie, streszczający całkiem jasno i namacalnie, co ten wpływowy działacz i pisarz za najlepsze uznawał i zalecał swojemu społeczeństwu. Że to najlepsze, w niejednym przedmiocie i niejednym względzie, mogłoby, z naszego punktu widzenia, nie wydawać się dobrem, — to inna sprawa. Gdzie tak wypadło, tam z tego nie robiliśmy tajemnicy, tam dyssydenci naszej nie chowaliśmy pod korcem. Ale czyniąc to wszędzie z całą dobrą wiarą, nigdzie też, oczywiście, ani na jedną chwilę nie żywiliśmy, nie mogliśmy żywić żadnej wątpliwości o jak najlepszej wierze p. Spasowicza. I dlatego też właśnie, przedewszystkiem i jedynie dlatego, poczuwaliśmy się do obowiązku tak pilnego rozczytywania się w jego „Pismach” i tak zmuśnionego ich roztrząsania. Dlatego tylko, w miarę możliwości naszej, nie żałowaliśmy trudu, aby niemal krok w krok podążyć za nim w jego wieloletnie i wieloliczne ślady, jakie on zostawił na najrozmaitszych dziedzinach naszej myśli naukowej i publicznej. Albowiem, jeśli wolno oszczę-

dzić sobie podobnego zachodu wobec odmiennych albo przeciwnych przekonań mniejszej wagi i wpływu, bo dyktowanych przez czynniki i intencje mniej podniosłe i bezinteresowne, to natomiast tembardziej, z prawa i słuszności, należy się staranne i baczne uwzględnienie takim odmiennym albo przeciwnym dążeniom, których źródłem jest dobra wola i dobra wiara, nadająca im dopiero skuteczny wpływ i znaczenie, a tem samem właśnie obligująca do liczenia się z niemi i do ich refutacji. Zaś nie inne było zawsze i wszędzie źródło dążeń p. Spasowicza, których możemy nie podzielać, które możemy zwalczać, ale w których umiemy uszanować górującą ząną, obywatelską pobudkę pierwotną. W takiej myśli, z takim uczuciem odkładamy ten niepospolity owoc niepospolitego życia, poświęconego wysiłonej pracy duchowej i pracy publicznej, jaki stanowią „Pisma Włodzimierza Spasowicza”.

Stosław Łaguna.

Jak najpłodniej spożytkować, wyczerpać jak najobficiej wszelką rozrządzalną siłę żywą; wszelką energię utajoną w najpełniejszym i najprostszym wyładować sposobie; od *minimum* wysiłku zdążać drogą najkrótszą do *maximum* skutków: takie jest naczelne prawo ekonomii, jakim rządzi się przyroda. Takim samem oraz prawem, i w tem snadniejszym do natury zbliżeniu, im są naturalniejsze ich warunki bytowania i rozwoju, rządzą się społeczności ludzkie. Takim atoli rzadko przychodzi rządzić się naszej. Ta, przeciwnie, aż nadto często wręcz odwrotną stosuje gospodarkę: z najwyższych swoich wykładników duchowych najdrobniejszą wywiązuje zawartość, z najżyźniejszych kłosów najkapsze dobywa żniwo. I takie też było przeznaczenie tej niepospolitej a niewyzyskanej, siły moralnej i umysłowej, jaką wcielał w sobie, jaką w sobie zamykał i z sobą zabrał ś. p. Stosław Łaguna.

Proste były koleje jego życia. Proste, jak prosta jest cnota, jak mądrość, jak rezygnacya. Urodzony w Sandomierzu w 1833 roku, średnie nauki ukończywszy w kraju, w Piotrkowie, po wyższą prawa udał się do Petersburga. Istniały tam wtedy od lat kilkunastu t. zw. Kursa Prawne, zaprowadzone przy wszechnicach petersburskiej i moskiewskiej, a mające zastąpić dla sądownictwa Królestwa Polskiego b. uniwersytet Aleksandrowski w Warszawie, zwinięty po rewolucyi listopadowej. Kursa Prawne, wywołane potrzebą czysto praktyczną, przeznaczone dla wychodowania niezbędnej liczby urzędników sądowych i obrońców, pod względem ściśle naukowym wiele pozostawiały do życzenia. A jednak nieraz słyszeliśmy od nieboszczyka, że tamtejsze lata uniwersyteckie, jakkolwiek spędzone wśród warunków niekoniecznie pomyślnych, już nawet po usunięciu się z katedry petersburskiej Romualda Hube-go, którego oczywiście nie zastąpił Antoni Czajkowski, były najowocniejszymi dla jego kultury naukowej. Była w tem najwyłącznie własna, osobista jego zasługa. Istotnie, suma wiedzy, jaką własnym zachodem był zebrał w tym czasie, godną jest podziwu. Niełatwo przyszłoby wskazać drugi przykład tak młodej, a tak już samodzielnej i płodnej pracy, tak wczesnej, a tak już dojrzałej i skutecznej. Mniemamy, że główną treść owej potężnej erudycji, którą aż do końca olśniewał uczony, w tych to kilku latach samotnego, wytężonego wysiłku zgromadził akademik. Niebawem, przez lat kilkanaście całkiem oderwany od źródeł nauki,

później zaś niedogodny mając do nich przystęp, i niewdzięczną przywalony robotą, już tylko urywkowo i przygodnie mógł śledzić dalsze postępy wiedzy i w późniejszych swoich pracach przeważnie z tamtych najpierwszych musiał czerpać zasobów. To był wielki jego smutek. Ale to był także dowód uderzający, jak znaczne były owe zasoby, i z jaką szkodą było dla nauki, że zbogacać ich, rozszerzać i spożytkować w tym samym stosunku, jak rozpoczął młodziemiec, nie było danem dojrzałemu mężowi i żywotnemu aż do końca starcowi.

Pierwsza praca Łaguny „O prawie granicznym polskiem“ powstała w Petersburgu w grudniu 1858 roku. Kilkanaście lat przechowana w rękopisie, ukazała się z druku dopiero w 1875 roku, po tak znacznej wszakże przerwie, ani w jednej niezmieniona literze z pierwotnego piśmiennego tekstu: uderzający znowu dowód rzadkiej ścisłości i dojrzałości roboty 25 letniego studenta. Był to przedmiotowy, w porządku chronologicznym, przegląd przepisów prawa i procesu granicznego polskiego, od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, dziwnie zwięzły, systematyczny, przejrzysty; rzecz napozór sucha, ale w samym swym pomysle związana bezpośrednio z najżywotniejszą sprawą uwłaszczenia włościan, wtedy właśnie będącą na dobie. Ta praca, jakkolwiek jeszcze nieogłoszona drukiem, otworzyła autorowi wstęp na katedrę uniwersytecką. Z wyboru Komisji Kodyfikacyjnej mianowany został w 1859 roku profesorem adjunktem przy katedrze pra-

wa polskiego w Petersburgu, na budżecie Królestwa, zaś w roku następnym powołany dodatkowo na profesora historii w petersburskiej Akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Stosunki z kolegami uniwersyteckimi dosyć były skomplikowane. Łaguna ograniczył się do złożenia wizyt urzędowych kuratorowi, rektorowi i dziekanowi. Zresztą żadnych „stosunków“ jemu nie było potrzeba. Piękne a ściśle naukowe jego wykłady, nacechowane zarówno wszechstronnem naukowym ujęciem przedmiotu i staranną, nieposzlakowaną formą, od pierwszej niemal chwili zdobyły sobie wyjątkowe powodzenie u młodzieży. Jemu to, obok jednego jeszcze prof. Stasiulewicza, wnet musiano wyznaczyć najobszerniejsze audytoryum w gmachu uniwersyteckim, które też stale po brzegi wypełniali słuchacze. Jakkolwiek zajęcia wykładowe nadwyzczaj pochłaniały mu czas i uwagę, nie przeszkodziły mu przecie w produkcyi naukowej. Nieraz potem Łaguna wyrzucano nieprodukcyjność; sądzilibyśmy, że jej źródło nietyle w pisarzu, ile w niepomysłnych późniejszych tkwiło okolicznościach. Naówczas, w Petersburgu, mając te dwie rzeczy, dla niego nieodzownie potrzebne: uniwersytet i bibliotekę, w krótkich odstępach czasu, oprócz wspomnianej rzeczy „O prawie granicznym“, dwie inne cenne wykończył prace. W „Bibliotece Warszawskiej“, która szczyci się tem, iż najpierwsze jego pismo podała do druku, ogłosił „Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów statutu Wiślickiego“, gdzie w sporze pomiędzy Lelewe-

lem a Helclem sam z dużą samodzielnością i rozważą głós zabiera. W „Piśmie zbiorowem“ Józafata Ohryzki, ogłaszając kilkanaście dokumentów z archiwum ryskiego, jednocześnie w treściwym szkicu historycznym, „Hanza nad Dźwiną“, dał barwny obraz życia i stosunków w starej Rydze i Smoleńsku w XIII wieku.

Jednak niedługo już wypadło Łagunie przesiadywać nad Newą. Nadeszła doba wielkich przesileni krajowych. Otworzyły się widoki przywrócenia zniesionej w Warszawie wszechnicy. Otworzyła się możliwość służenia krajowi w kraju. W 1861 r. Łaguna został sędzią Trybunału w Warszawie. Zasiadł w Wydziale hipotecznym warszawskim, uświetnionym głęboką Dutkiewiczą nauką i powagą. Tutaj młody profesor objawił się równie sumiennym i wytrawnym sędzią, jak był nauczycielem i pisarzem; tutaj, w wielolicznych, trudnych i zawitych zagadnieniach praktycznych, podpis jego na zawsze nieomylnych znachodzi się rezolucyach. Lubił później do końca życia prawoznawczą w rzeczach kodeksowych dysputę, lubił zwłaszcza w subtelnej prawa hipotecznego materii stawiane sobie wątpliwe pytania proceduralne albo istotne, które z gruntowną znajomością treści i ducha prawa, z lotnem zrozumieniem przedmiotu i przypadku, wnet trafnie rozjaśniał i rozstrzygał. Wtem powszechna katastrofa publiczna pochłonęła go, niebawem usunęła z kraju. Rzadko o tych przejściach bolesnych mówił: kiedy zaś mówił, dając tem dowód wyjątkowej życzliwości, wyjątkowe też nosiły piętno wynurzenia i uwagi, nietyl-

uczestnika, ile wyższego ponad uczestnictwo, ponad wszelką namiętność, psychologa i filozofa: i słuchając tych spostrzeżeń o wypadkach i ludziach, o zawodach i doświadczeniach, o towarzyszach broni albo o obcych oglądanych krajach, spostrzeżeń przenikliwych i głębokich, a przede wszystkim tak nawskróś przedmiotowych, tak zupełnie spokojnych, tak absolutnie sprawiedliwych zarazem i wyrozumiałych, z ust sześćdziesięcioletniego starca, — nieraz przychodziło nam zastanawiać się nad tą osobliwą równowagą ducha i wyrobieniem sądu w trzydziestoletnim ongi młodzieńcu, który pośród powszechnej gorączki, pośród najgwałtowniejszej burzy, tak potrafił patrzeć i tak pamiętać.

Po powrocie do kraju, do Warszawy, Łaguna wstąpił do redakcyi miesięcznika „Ateneum“. Tutaj ogłosił wkrótce najpiękniejszą swą pracę, „Dwie elekcyce“. Opisując wybór biskupi w Krakowie XIII wieku, sposobem najmisterniejszej krytyki i wyzyskania źródeł, dał wykończony z plastyką artystyczną obraz społeczności owoczesnej, zwłaszcza stanu duchownego, urozmaicony kilku żywymi portretami ludzi, wśród których portret Kałubka przedziwnem wyróżnia się mistrzostwem. Niedarmo też portrecista w innym piśmie, „Tablica paschalna lubińska“, wyraził przekonanie, że „konstrukcja historyczna jest raczej sztuką, niż nauką“. Mógł śmiało wygłosić tę prawdę niewątpliwą, sam będąc nietylko uczonym, lecz, gdzie było potrzeba, i artystą w pisaniu. Pisał jednak coraz mniej, odrywany przez drobne codzienne obowiązki redakcyjne, a co

główna, pozbawiony stałego dopływu naukowej strawy. Ograniczył się prawie wyłącznie do produkcji krytycznej. Jego krytyki przecie to były prawie zawsze samodzielne rozprawy, wnoszące dużo światła do omawianego przedmiotu. Taki charakter noszą: „Sprawozdanie z Pamiętnika Akademii Umiejętności w Krakowie“, „O źródłach dziejowych Pawińskiego“, „Miniaturowa z XVI wieku“, „Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej“, „Pierwsze wieki kościoła polskiego“, „Rodowód Piastów“. W całym nastroju tych, tak zwanych „recenzi“, a właściwie bardzo oryginalnych i bardzo gruntownych ułamków monograficznych, panowała jakaś niezwykła, wyszukana, a dziwnie pociągająca wytworność tonu. „Recenzent“ w szeregu ścisłych i bystrych poprawek, prawie zawsze nieomylnych, niedopuszczających zgoła repliki, wytykał i prostował szereg błędów, a nieraz przez takie pojedyncze poprawki równał z ziemią całe rusztowanie hipotez autorских, obalał doszczętnie całą mozolną teoretyczną budowę, — ale czynił to tak oględnie, wstrzemięźliwie, niepozornie, tak przytem pamiętał przed wytknięciem błędu o pochwalę i pokłonie dla istotnej zasługi dzieła i autora, tak najoczywiście kierował się szczerą życzliwością dla badania i badacza, bezwzględną miłością prawdy i najobiektywniejszą sprawiedliwością, iż ostatecznie, jak wyrażał się o nim ś. p. Pawiński, — „operował bez bólu“. Z tem wszystkiem, jego pochwały były dosyć niebezpieczne, gdyż, koniec końcem, dyktowała je pobłażliwość wielkiego uczonego, który, sam

dla siebie najsurowszy sędzia, doskonale zdawał sobie sprawę z cudzej słabości. Ale to zachowywał dla siebie, i najrzadziej tylko, — jak w ocenie badań szwedzkich hrabiego Dzieduszyckiego, — pozwalał sobie w druku na lekki przebłysk tego cichego, w najlepszym gatunku, przenikliwego a pogodnego sarkazmu, który stanowił najszybszą a najsztelniejszą przypawę jego indywidualności duchowej.

Wymienimy jeszcze dla ścisłości kilka innych pomniejszych pism Łaguny, ogłoszonych drukiem: interesującą notatkę prawną o „Deputacie leśnym“, „Dodatek do zbioru przysłów“, wreszcie ciepłe i pod względem bibliograficznym cenne, wspomnienie pozgonne o starym „Romualdzie Hubem i jego działalności naukowej“. Również do naukowego dobytku Łaguny zaliczyć należy zgromadzone przez niego, a ogłoszone przez profesora Piekosińskiego „Nieznane zapiski heraldyczne średniowieczne polskie, głównie sieradzkie“. Poza tem mnóstwo artykułów krytycznych i polemicznych jego pióra, a bez podpisu, rozrzuconych jest w dwudziestu przeszło rocznikach „Ateneum“. Zresztą, wogóle podpisywać się niebardzo lubił i zazwyczaj pod swojemi pracami stawiał poprostu tylko inicjały swego nazwiska. Chodziło mu o rzecz, nie o rozgłos. Serdecznej zawsze uczynności, wprost był wdzięczny, był szczęśliwy, ilekroć w jakiej sprawie naukowej udawano się do jego światła. Kiedy przed paru laty p. Korzon, pracując nad Sobieskim, a nie mogąc poradzić sobie z chaosem pierwotnych rodowodów

króla Jana, zwrócił się do niego po wskazówki, Łaguna udzielił mu w tej chwili drogocennej notatki, będącej znowuż prawdziwą monografią. Przysługa naukowa dla pracy cudzej sprawiała mu najzupełniej to samo zadowolenie, co dla własnej.

To wszystko, razem wzięte, to były jednak, rzecz prosta, niktę tylko ułamki, wychodzące na światło dzienne z bogatych a głębokich szybów duchowych Łaguny. Rozdrabniał się, wydawał grosiwem szczerę złoto swojej myśli i erudycji. On sam, z wysoką swoją samowiedzą, najdokładniej był świadom tej dysproporcji. Ale nad samowiedzą analityka górowała w nim wyższa rezygnacja mędrca. Swoje czynności zawodowe z wzorową wypełniał ścisłością, nawet z zamiłowaniem, i z tem zupełnem oddaniem się, jakie zwykł był kłaść w każdą robotę. Lecz nie dla niego, zaiste, była ta robota. Nie dla niego odczytywać rękopisy najrozmaitszej wartości *de omni re scibili*, i poprawiać w nich grzechy logiki, stylu, a często ortografii. On był urodzony nauczyciel i uczony, nie publicysta, nie korektor. Rozumieli to wszyscy. Ceniono go powszechnie zgoła ponad miarę jego zawodu, a w miarę jego zasług. Ale to zrozumienie i szacunek były czysto platoniczne. On to wiedział najlepiej i pogodnie się uśmiechał. Przez dwadzieścia i pięć lat, swoich lat najdojrzałych, on jeszcze pośród nas przebywał, a przecież nie znalazło się dla niego to miejsce, jedynie dla niego stosowne, dokąd światlejsza inicjatywa ongi była powołała młodzieńca, nie znalazły się te dwie

rzeczy dla niego nieodzowne: katedra i biblioteka. Nie należał nawet do żadnego uczonego ciała, on, najuczciwszy. Podobno o nim zapomniano. Zaś on był chyba ostatnim, żeby siebie przypominać. Z mozołem i nieporządnie mógł zdobywać najniezbędniejsze publikacje naukowe, o ile bądź przychodziły do redakcji, bądź też były mu wypożyczane przez przyjaciół. W 1898 roku, 65 letniego starca powaliła na łóżce ciężka choroba, która miała przeciąć jego żywot. Wtedy też, w samą porę, Akademia Umiejętności w Krakowie zamianowała go swoim członkiem. W pracy nie ustawał aż do chwili ostatniej, w najdosłowniejszem znaczeniu słowa. Dnia 28 kwietnia 1900 roku, przy czytaniu redakcyjnego rękopisu, rażony udarem, nagle życie zakończył.

Mówiliśmy dotychczas o uczonym. Pragnęlibyśmy choćby parę słów dołożyć o człowieku. Był to starzec mały, szczupły, suchy, ruchliwy, na sztywnych nieco nogach, ożywiony, wymowny, a choć pod koniec życia zaczął głuchnąć, oczy zachował młode aż do zgonu. Poza swoją podwójną specjalnością dziejopisa i prawnika, wszechstronnie i wytwornie ukształcony, iście europejskiej umysłowej ogłady, szerokich i światłych poglądów na świat, na życie, na sztukę, był on, pod niepozorną swoją powłoką, naprawdę świetnym przedstawicielem wysokiej kultury nawskróś polskiej, udoskonalonej zarazem na lepszych wzorach zachodnich. W szczególności były w nim żywe tradycje kulturalnej wymiany ze światem duchowym francuskim, jak gdyby

odgłosy dziedzicznych tradycji z doby Stanisława-Augusta, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego. To też najłatwiej mogliśmy go sobie wyobrazić w poważnem towarzystwie Stanisławów Potockich, Matuszewiczów, Mostowskich, Niemcewiczów albo Lelewelów, za stołem Rady Stanu, w gabinecie ministerium Sprawiedliwości lub Oświaty i Wyznań, albo może najstosowniej na krześle rektorskiem Królewsko-Aleksandrowskiego Uniwersytetu, lub na miejscu prezydyalnem w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Uczony mąż polski, przenikniony zarazem duchem Kodeksu Napoleona, był także znakomitym znawcą literatury francuskiej XVII i XVIII wieku. Lubił nieraz cytować aleksandryn Boileau albo aforyzm Montesquieu; a nie zaniedbywał nawet najnowszej literatury pięknej Zachodu, i w przerwie pomiędzy lekturą „*Patrologii*“ a „*Monumentów Poloniae*“ chętnie brał do ręki wiersz Sully Prudhomme, albo powieść Maupassanta, którego cenił wysoko. Pamiętamy subtelne uwagi krytyczne, jakie słyszeliśmy od niego po ukazaniu się „*Notre Coeur*“ na szpaltach „*Revue des deux mondes*“, uwagi podwójnie uderzające trafnością w ustach tego uczonego ascety.

I wieleż innych pamiętamy z nim rozmów, gdzie rozrzucał zdumiewającą wszechstronność swojego bogatego ducha, w skromnej swojej pustelni przy ulicy Maryańskiej, pośród stosów książek i rękopisów, pośród atmosfery uczoności i kurzu, a zarazem pośród onej przeczystej harmonii cnoty, mądrości i słodczy, jaką

dokoła siebie stwarzał gospodarz. Osobliwe były te gawędy, w tym zwłaszcza względzie, że w stopniu nadzwyczajnym odsłaniały niezmierną rozmaitość, giętkość i rzutkość jego umysłu, unaocznioną mianowicie w zupełnie wyjątkowej, jemu tylko właściwej, obszerności i swobodzie asocjacji pojęć, jakimi wypełniał i prowadził rozmowę. Można to tylko uzmysłowić na przykładach. Tak na przykład pamiętamy dokładnie taki tok rozmowy z Łaguną z powodu wznowienia „Hrabiny“: jego uwagi o stanie opinii publicznej w gorączkowej dobie przed trzydziestu kilku laty, kiedy arcydzieło Moniuszki po raz pierwszy wystawiono, o silnem wrażeniu owoczesnem, o aryi „Ruszał w pole“ i t. d.; potem o sprawie rusińskiej, — z powodu artystki, grającej dzisiaj rolę tytułową; potem o legionach, o ks. Józefie i pewnym rękopisie Ignacego Potockiego z Tylży, który sam w 1858 roku oglądał w Petersburgu, — z powodu libretta; potem o teatrze wogóle, — aż weszcie skończyło się na piśmie Tertulliana „*De spectaculis*“ i na przekonywającym wywodzie o plagiatorstwie Salviana. Kiedy indziej, z powodu poezyi prowansalskich i włoskich pani Konopnickiej w „Bibliotece Warszawskiej“, dowiedzieliśmy się ciekawych szczegółów o zaginionych rękopisach Kajetana Węgierskiego po jego śmierci w Marsylii, aż w końcu, dotarłszy z Prowancyi do dekadentów łacińskich, do chorego weroneńskiego poety, usłyszeliśmy uczoną argumentację w kwestyi: czy Klaudyjan istotnie był poganin, czy też chrzczone? Kiedyśmy

po raz ostatni odwiedzali Łagunę, był obłożnie chory, zastaliśmy go w łóżku, czytającego najświeższy poszyt „*Srednieaziatskawo Wiestnika*“; natychmiast wziął on stąd asumpt do przeprowadzenia rozmowy takim kolejno szlakiem: o starożytnych wykopaliskach Samarkandy, o wyprawie Perowskiego do Chiwy, o rywalizacji anglo-rosyjskiej w Azji środkowej, o powieściach Kiplinga, o kolei syberyjskiej, o jej znaczeniu dla Warszawy, o wzroście budowlanym naszego miasta, o obecnym stanie warszawskiego Wydziału hipotecznego miejskiego i t. d. A ileż szczegółów nowych i ciekawych, ileż trafnych i głębokich uwag o każdej z tych rzeczy miał on do powiedzenia. Pomnimy, że po tej ostatniej, długiej i nauczającej gawędzie ze steranym i schorzałym starcem, wyszliśmy wtedy od niego z sercem ściśnionem, pełnem ciężkiego żalu. Nie był to żal nad Łaguną, gdyż jedyne uczucie, jakie on zdolen był budzić, wśród jakichkolwiekby warunków, to było uczucie wysokiego, męskiego szacunku, które dla czego innego nie zostawiało miejsca. Ale żalem przejmowała nas myśl o kraju, o społeczności, wydającej ludzi, którymi szczytyłyby się najoświecieńsze społeczeństwa Europy, a którzy wśród nas, w oczach naszych, więdną w cieniu i półbycie.

PRZYPISY.

(Str. 6). Liczne kwity Rzewuskiego z czasów bezkrólewia znajdują się w Arch. Czartoryskich, skąd kładziemy jeden dla przykładu: „J'ai reçu de la part de m^r. le stolnik de Lithuanie le quatrième mil (*sic*) ducats pour l'affaire à lui con nue. Ce 9 d'VIII-bre 1763. F. Rzewuski p. k.“

(Str. 10 sq.). Panin do Kayserlinga 26 czerwca 1764; do Repnina 16 września, 9 października 1765: „Hr. Rzewuski mój przyjaciel i wypróbowany, dobrze myślący (*blagonamierennyj*) patriota polski“, 1 marca, 19 sierpnia, 7 października, 1766, 2 stycznia, 16 marca 1767; do Stanisława - Augusta 14 lipca 1766, 16 maja 1767. Sbornik LI, 513, LVIII, 339, 341, 369, LXVII, 44, 132, 243, 269, 348, 378. Korespondencya petersburska Rzewuskiego z królem zachowała się w oryginałach i minutach (także listy Rzewuskiego do Panina w kopii) w jednym z mniej znanych zbiorów prywatnych; ogłoszenie jej niewątpliwie nie poprawi opinii Stanisława-Augusta.

(Str. 13 sq.). Osobliwsza korespondencya Stanisława-Augusta z dworem francuskim zachowana w Arch. Czartoryskich, skąd wyjmujemy niektóre charakterystyczniejsze szczegóły. Stanisław-August do Ludwika XV, 20 października 1765: „... J'aime à croire que rien désormais ne s'oppose à ce que réciproquement nous cultivions cette sympathie naturelle

que nos deux nations se sont toujours senties l'une pour l'autre et dont elles voient un gage bien respectable dans l'épouse de Louis le Bienaimé"; ta czuła redakcyja epistolarna (brulion własnor.) nieuznanego jeszcze wtedy przez Francję monarchy została nieco zmieniona w redakcyi późniejszej 24 stycznia 1766. Sucha odpowiedź Ludwika XV do Stanisława-Augusta, 14 maja 1766: „nous ne voulons pas différer de La féliciter de cet heureux événement“, t. j. elekcyi — równo w dwa lata po elekcyi. Kondolencyja tacińska króla do Ludwika, 12 maja 1767, z powodu zgonu Delfinowej; powinszowanie 16 maja 1770, z powodu małżeństwa Delfina (Ludwika XVI) z Maryą-Antonią; *idem* 28 sierpnia 1771, z powodu małżeństwa hr. Prowancyi (Ludwika XVIII) z Maryą-Józefą. Ciekawe jest obszernie pismo Stanisława-Augusta do Ludwika XV, 13 listopada 1771, z powodu zamachu Strawińskiego, z pośrednim wyrzutem za protekcyję francuską dla królobójców Barzan: „ce n'est point trop présumer de vos vertus, Sire, que d'espérer que vous daignerez coopérer efficacement à punir des désordres, dont les suites sont les attentats horribles, dont la main seule de Dieu m'a préservé“, oraz z melodramatycznym opisem wypadku: „je fus assailli par 40 confédérés, ...après m'avoir porté plusieurs coups, ils m'ont entraîné blessé hors de la ville, ... je me trouve aujourd'hui (po dziesięciu dniach) hors de péril pour ma vie“. Kapitalna gratulacyja tacińska króla do młodego Ludwika XVI, 7 czerwca 1774, z powodu wstąpienia na tron, upewnia solennie, że śmierć Ludwika XV, opiekuna konfederacyi barskiej i obojętnego widza rozbioru, nappełnia serce królewskie „eo acerbiore doloris sensu... quo pro na ejus in Nos atque universam gentem polonam voluntas non modo consuetis veteris amicitiae significationibus, sed duplici etiam eademque artissima necessitudine commonstrata ad caeteras communes proprias etiam peculiaresque luctus causas adjunxit“.

(Str. 15 sq.). Król do Branickiego, 18 listopada 1772: „A défaut d'autre secours, tâchez de faire naître la disposition

de m'accorder quelques subsides... Tout ce que je demande.. c'est de me soustraire par des secours d'argent à cette extrémité de misère que nos ennemis ont jugé avec quelque fondement être le point qui me mettrait à leur discrétion... (Mais) sans l'amener (Aiguillona) à croire que les subsides et les secours sont inutiles puisque le mal est inévitable“. Rieule do Glayra, 13 grudnia, nie owijając w bawełnę: „tout mon but sera de vous procurer de l'argent“. — Branicki, pośród szczególniejszych swoich komisów, miał także dość dziwne zlecenie królewskie, aby wyrobił w Paryżu odwołanie z Petersburga tamecznego rezydenta francuskiego Duranda, bardzo wytrawnego dyplomaty, którego jednak Stanisław - August miał za osobistego swego wroga; rzecz prosta, Branicki tą pretensyą tylko obraził ministeryum francuskie i nic nie wskórał. Owóż w ułamkach własnoręcznego dziennika Stanisława - Augusta znaleźliśmy nieco późniejszą, całkiem przyjacielską rozminowę królewską z Durandem 24 września 1775, wcale ciekawą, choć świadczy nietyło o rzekomej głębokiej dyplomacyi króla, ile raczej o pewnej jego naiwności.

(Str. 18). Heyking w innym miejscu podaje również niektóre zastanawiające, choć zapewne mniej wiarogodne szczegóły o udziale Glayra w sprawie Dogrumowej: „Glayre, der den König kannte, sah in diesem Vorfall ein Mittel sein Glück zu machen. Er liess sich mit Zustimmung beider Parteien mit dem Auftrage betrauen, die Aussagen der Angeschuldigten nach Artikeln, die er verfassen sollte, entgegenzunehmen... Glayre hatte ein Exposé in dieser Sache in französischer Sprache verfasst, das sehr lang und recht schlecht geschrieben war. Der König war aber davon so entzückt, dass er ihm 15000 Dukaten schenkte. Memoiren, 228, 263.

(Str. 42 sq.). Listy Talleyranda, 27 marca i pani d'E., 28 marca 1818, u Sainte - Beuva, Caus. du lundi IV, 306 sq. Talleyranda mowa pochwalna w Izbie parów o Lauzunie, 13 listopada; Choiseula pismo otwarte, 22 grudnia 1821, w Monitorze. Listy Salguesa i Savarego, w Quarterly Rev. (1822), XXVI,

407 sq. Savary oświadcza tu zresztą, że skonfiskował tylko odpis, w dodatku sfalszowany, i że oryginał znajduje się w pewnych rękach; oczywiście chciał uniknąć wszelkich pozorów solidarności z wydawcą. Tej pierwszej edycji Pamiętników Lauzuna (Paris, Barrois l'aîné, 1822), będącej rzadkością bibliograficzną, nie mieliśmy w rękę; por. Graesse, *Trésor de livres rares*, IV, 165; korzystamy z późniejszej edycji Lacoura „conformément au manuscrit, sans suppression“, Paris, 1858; przedrukowana w *Barrière Bibl. des mém. rel. à l'hist. de France pend. le XVIII s.* (Paris, 1862).

(Str. 47). Prócz świadectwa Sainte - Beuva, za autentycznością Pam. Lauzuna można powołać z nowszych Lescura, Saint - Amanda, du Bleda, Monoda i innych. — Podług pani Campan, *Mém.* (éd. 1823), I, 208 sq., Lauzun pisał swoje Pamiętniki na życzenie księżny Fleury (Aimée Coigny, 2-o voto za osławionym Montrondem); prawdopodobnie jednak przeznaczył je dla margrabiny Coigny, z domu Conflans.

(Str. 49). O Lauzunie i Choiseulu ob. *Mém. du prince de Talleyrand*, I, V, pass.

(St. 50). Przejścia swoje z ks. Izabelą sam opisał szeroko w *Mém.*; por. Maugras, 392 sq.; noty Lacoura, 177 sq. — Ukaz Katarzyny do Kolegium spraw zagranicznych o odwołaniu Repnina, wydany już 3 stycznia 1769; wszakże Repnin, odwołany formalnie dopiero reskryptem 10 kwietnia 1769, opuścił Warszawę w czerwcu t. r.; paszport zagraniczny wziął w październiku 1771 *Sborn.* V, 372 sq. LXXXVII, 267, 137 sq. — Listy ks. K. N. Sapielhy, 31 marca: „jak był waryatem w Polsce, tak i tutaj“, 8 kwietnia 1775 r. — Katarzyna do Lauzuna, 10 stycznia 1776 r., u Nauroy, *Révolutionnaires* (1891), 206 sq.; por. *Mém.* (éd. Barrière), 129, 161. — Osobliwa wiadomość, podana przez p. Body w *Interméd. d. cherch. et curieux*, XX (1887), 665, byłaby smutnym epilogiem romansu; czy jednak jest wiarogodną?

(Str. 50 sq.). Ob. Pam. pani Campan i por. natomiast doniesienie Mercego do Maryi - Teresy, 18 grudnia 1776, w *Corr.*

secr. de Mercy; por. *La Rocheterie, Hist. de Marie Antoinette* I, 268 sq. Korespondencya Lauzuna z Mirabeau i in., 1786 — 1791, ogł. u Nauroy; jego ciekawe *Mémoire sur la cour de Berlin en 1775*, ogł. u Wilda, *Mirabeaus geh. dipl. Sendung*, (1901). Lauzun do Narbonna, 21 lutego 1792, u Pallaina, *Miss. de Talleyrand à Londres* 110 sq.; jego memoriał z więzienia ogł. przez Lacoura 380 sq.; Mallet du Pan, *Mém.*, II, 492 sq.; Wallon, *Trib. révol.* (1880), II, 305; inaczej u pani Elliott, *Journ.*, ch. VI, VIII.

(Str. 76 sq.). Zapiski hr. L. L. Bennigsen, *Russ. Star.*, C, 709, CI, 516. Por. Rob. Wilson, *The campaign in Poland in the years 1806 — 7*, 66: „Bennigsen, when at Bartenstein, was on the eve, upon his own responsibility, of declaring the Emperor King of Poland“. Sprytny Anglik, obecny wówczas w obozie rosyjskim i w zażyłych z Bennigsenem stosunkach, dodaje od siebie uwagę: „If he had persevered in the project, he would have been the best friend that Russia ever had“. — Relacya o rozmowie z Aleksandrem I w Tawrogach, podana przez Kniaziewiczza w autobiografii, nie wydaje się całkiem ścisłą, — o ile zresztą nie dopuścił się tutaj dowolnej parafrazy Teodor Morawski, *Rocz. Tow. Hist.-Lit.*, 1866, 46.

Memoriał Stanisława Niemcewicza, 25 listopada 1806. — Czarotorskiego *Circulaire à quelques personnes éminentes de Pologne*, 1807 (bez bliższej daty w obu tekstach oryginalnych, francuskim i polskim, lecz widocznie między Iławą a Frydlandem): wiadome światu Napoleona gwałty i zabory, „nie dotrzymał on wiary żadnemu z tych mocarstw, co zawierzyły jego słowom“, w Polsce dopatruje się jedynie nowego dla siebie łupu, sprowadziły do niej tłumy cudzoziemców, dla obdarcia kraju, już pustoszonego przez jego niesforne żołądztwo, i t. d.; przeciwnie, świetne i niezawodne do Aleksandra nadzieje, „podobieństwo języka, jednostajność naszego pochodzenia i podległość berłu Monarchy, na którego wszystkie słowiańskie narody, którym jeszcze pozostaje cokolwiek życzyć, zwrócone mają oczy, jednym nas z Rosyanami spajają węzłem

i łączą nas w jedną rodzinę". Zajmujące te dokumenty ogłosimy w całości na innym miejscu.

(Str. 80). Instr. dla Bertranda, 13 lutego 1807, Corr. de Napoléon, Nr. 11810. Ranke, Hardenberg, III, 307.

(Str. 80 sq.). Napoleon do Talleyranda, 6 kwietnia 1807, Nr. 12311: „Vous appuierez de tous vos moyens la formation de ce corps. Je désire avoir avant quinze jours un escadron. J'ai envoyé à Posen avec de l'argent un officier de ma Garde, qui ramènera promptement à Varsovie des sabres, des carabines et des pistolets. Aussi j'espère que ce régiment sera promptement levé. En les payant comme ma Garde, vous sentez que mon intention a été de n'avoir que des hommes qui eussent de l'éducation, qui fussent habitués à l'exercice du cheval et non des paysans à dégrossir. Voyez le major (Dautancourta) tous les jours, afin qu'il vous rende compte si cette formation avance"; ob. Nr. 12333. Por. Driault, Napoléon à Finckenstein, avril — mai 1807, w Rev. d'hist. dipl. 1899.

Nieprzychylny stosunek Dąbrowskiego do niespodzianego pomysłu nowej, całkiem wyjątkowej formacji lekkokonnej — o czym zresztą nie brak wzmianek, np. u Koźmiana i innych, — wydaje się dość zrozumiałym, niezawisłe od przypuszczalnych pobudek zasadniczych, z samego już stanowiska czysto wojskowego. Chodziło tu mianowicie generałowi w pierwszym rzędzie o bardzo prostą okoliczność: o nieuniknioną w pewnej mierze dezorganizację tworzonych dopiero pułków liniowych przez wyciąganie z nich najlepszego materiału w ludziach i koniach na rzecz uprzywilejowanej formacji szwoleżerskiej. Z doniesień Kosińskiego (z jego kancelarii polowej w Archiwum T. P. N. w Poznaniu) do Dąbrowskiego, którego wtedy czasowo zastępował w komendzie, jasno wynika, z jaką trudnością odbywała się ta przykra operacja.

(Str. 85). Chłapowskiego Lettre sur les événements militaires en Pologne et en Lithuanie (Paris, 1831); też w języku niemieckim i szwedzkim.

(Str. 90). Napoleon do Lefebvra, Osterode, 1 kwietnia 1807: „Le jeune Polonais Chlapowski a été fait prisonnier dans la dernière sortie de la garnison de Danzig. Comme je m'intéresse particulièrement à ce jeune homme, je désire que vous le réclamiez et que vous demandiez à mr. Kalkreuth son échange. Vous lui direz que c'est un intérêt particulier que je porte à ce jeune homme que je connais". Corr. Nr. 12257. — Zwracamy uwagę, że lista służby ogł. w Źródł. do historii pol. lekkokon., 583, Nr. 90, w kilku ważnych szczegółach jest w zupełnej sprzeczności z Pamiętnikami,

(Str. 94). Z czasów paryskich wzmiankuje Chłapowski dosyć obszernie o swojej tutejszej znajomości z doktorem Markowskim. Pozwalamy sobie podać przy tej sposobności parę szczegółów o tej ciekawej figurze, z papierów po Markowskim, które mieliśmy w rękę. Markowski zamłodu, z polecenia Jana Śniadeckiego, wysłany był przez Komisję Edukacyjną, jako stypendysta, do Paryża dla kształcenia się w chirurgii. (Baliński, Pam. o Śniadeckim, I, 153). Tutaj doczekał się rewolucji i mianowany został przez Komunię paryską „officier de santé des maisons d'arrêt", t. j. lekarzem więzień rewolucyjnych (dekrety Komuny w Wydziale policyj, 29 marca, 7 sierpnia 1793). Wielu nieszcześliwym, zwłaszcza kobietom, mógł wtedy przysłużyć się, nietyłe medycyną swoją, ile ludzkością: „je lui pardonnais — mówi o nim jedna z więzionych „arystokratek", księżna Duras, — Journal de mes prisons, 124, — sa maladresse et son ignorance en faveur de son bon coeur". Wtedy też miał sposobność uratować od gilotyny więzioną Józefinę Beauharnais, późniejszą cesarową, pozwalając jej udawać stan odmienny. Później włączył się po Włoszech, doktoryzował się przy paryskiej Szkole Medycznej w listopadzie 1805 i cierpiał nędzę. Chłapowski przypadkiem przypomniał go cesarzowej. Znaleźliśmy w papierach Markowskiego następujący list Chłapowskiego, Bayonne, juillet 1808: „J'ai parlé de vous à l'Impératrice un jour, où elle me demandait, où j'étais habituellement à Paris. Dès que je lui ai

prononcé votre nom, Elle m'a dit: Ah, quel brave homme; je n'ai pas su qu'il soit à Paris; je voudrais bien faire quelque chose pour lui, car je lui dois beaucoup; dès que je retournerai, n'oubliez pas de me le faire voir, vous pouvez y compter, car c'est la bonté même, un homme comme il n'y en a pas". Był wołany istotnie Markowski do Józefiny do pałacu elizejskiego w marcu 1809, ale niczego się nie doczekał: zaś w następnym roku 1810 wrócił do kraju. Został profesorem chemii przy uniwersytecie krakowskim, był dziekanem wydziału lekarskiego; wreszcie, gdy po Kongresie wiedeńskim Aleksander I został opiekunem Akademii krakowskiej, a z jego ramienia Nowosilcow jej „konserwatorem“, Markowski, który znał Nowosilcowa jeszcze z Paryża, mianowany był przez niego swoim delegatem przy Radzie uniwersyteckiej (Nowosilcow do Markowskiego, 23 maja 1818). Odbiło się to natychmiast, rzecz prosta, na całem dalszem zachowaniu się Markowskiego i jego stosunku do młodzieży akademickiej, wśród której odtąd do końca życia cieszył się zasłużoną niepopularnością.

Z nadesłanych nam uprzejmie od rodziny Chłapowskiego fotografii trzech oryginalnych ordynansów Napoleona przekonujemy się, że zakwestyonowana data brzmi w oryginale: „à Bayonne, le 3 juin 1808“. Zresztą najwidoczniej tylko część ordynansów cesarskich dla Chłapowskiego zachowała się w jego spuściźnie albo w jego wzmiankach pamiętnikarskich, gdyż niejednokrotnie natrafialiśmy na ślady innych jego misji, np. Corr., Nr. 15373.

Chętnie też umieszczamy w tem miejscu wyjątki z listu p. Stanisława Chłapowskiego z powodu niniejszych uwag naszych o generale: „Akademia artylerii w Berlinie nie była tylko szkołą przygotowawczą. Uczono w Berlinie w pierwszych klasach matematyki, geografii, chemii, fizyki, hydrauliki, później fortyfikacyi, obrony i ataku fortu, małej wojny (kleiner Krieg), taktyki, strategii i historii wojennej. Kursa trwały 9 miesięcy w roku; trzy miesiące letnie były przeznaczone na praktyczne ćwiczenia, na manewry, zdejmowanie planów

puszkarstwo i t. d. Mam jeszcze kilka książek po ojcu, w Berlinie po francusku drukowanych, np. Cormontaigne, Sur l'attaque des places et la conduite des sièges (1803)... O sprawie dymisji ojca mam pismo własnoręczne matki, która znała każdy szczegół życia ojca: „A l'époque des négociations de Prague étant à même, par ses relations, d'apprendre que l'Empereur offrait de sacrifier l'existence du Duché de Varsovie, il donna sa démission, et après des explications, qui, faites en face du pouvoir, lui font honneur, se retira à Paris“. W Pamiętnikach o tej rozmowie z cesarzem ojciec nie wspominał; nie dziwnego, nie cierpiał fanfaronady a odwaga rozmowy takiej z cesarzem mogła mieć taki pozór... Mówił mi raz ojciec, długo po wojnie 1831 r., gdy go się pytałem o jakąś sprawę ważną z przed tej wojny, że mu się zdaje, że mu coś w głowie od natężenia myśli pod Wilnem, jak na Giełguda czekał, pęknąć musiało, bo pamięć stracił“.

(Str. 100). Niemcewicz, Pamiętniki, I, 228, pod 16 września 1810. Por. nasze uwagi w Bibl. Warsz., „Z koresp. Biogona“, CCXXI, 549.

(Str. 106 sq.). Prądyński w memoryale dla cesarza Mikołaja I: „Chłapowski ne manquait ni de courage ni de moyens, mais il avait encore infiniment plus de prétentions.. il y avait chez lui le désir et l'espoir de jouer un grand rôle... occuper l'Europe de sa personne“. Inny spótzawodnik, Dembiński, 280, skarży się: „Chłapowski nader się okazywał bezwzględny... głaszcząc z flegmą wąż, jak miał we zwyczaju“. Wiadomość Kołzakowa, Russ. Star., VII, 441, jakoby Chłapowski „był zmuszony przez cesarzewicza (Konstantego) opuścić służbę (w Królestwie)“ polega zapewne na nieporozumieniu. Smitt, II, 355, pisze o Chłapowskim: „von hoher Gestalt (!? wiadomo, że generał był małego wzrostu), vornehmen zurückhaltenden Wesen, flösste er seinen Umgebungen eine scheue Ehrfurcht ein“.

Niepodobna wejść tutaj w szczegóły wyprawy litewskiej, gdzie wypadłoby roztrząsnąć sporo doniosłych i zawiłych

kontrowersyi. Wyjmujemy jeden tylko przedmiot: ważną i fatalną radę wojenną 9 lipca 1831 w Kurszanach, gdzie zapadła uchwała o podziale wojska, mająca zdecydować ostatecznie o opłakany losie wyprawy litewskiej. Chłapowski pisze: „że się podzielić i na różne strony rozejść wypadało, to rozumieli prawie wszyscy“. Tymczasem u Barzykowskiego, IV, 273, znajdujemy bliższe szczegóły tej rady, z imiennem wyszczególnieniem wotów, skąd się okazuje, że za podziałem było pięciu: Roland, Chłapowski, Szymanowski, Borkowski, Wiśniewski; przeciw podziałowi również pięciu: Dembiński, Breański, Oborski, Sierakowski, Piętką; „była więc równość zdań i Giełgud musiał je swoją kreską rozwiązać“, oświadczając się za podziałem. Co się tyczy katastrofy końcowej przejścia do Prus, należy także mieć na uwadze pominięty przez Chłapowskiego list jego własnoręczny 12 lipca, ogłoszony z brulionu w aktach Giełguda. Świadcstwo kompetentne generała Puzyrewskiego, I, 291, 341, i jego wnioski ostateczne, nawet co do uchwały kurszańskiej, wypadają zresztą naogół na korzyść Chłapowskiego. Por. także ciekawe listy Mikołaja I do hr. Tołstoja, dowódcy armii rezerwowej na Litwie, 2, 4, czerwca 1831, Russ. Star. XXXI, 556, gdzie parokrotnie wspomina o Chłapowskim, „którego wyprawa jest nader nieprzyjemna“; wzmiankuje tu również cesarz o liście Chłapowskiego do swojej bratowej, księżny łowickiej, gdzie generał uprzedza ją i W. Ks. Konstantego o swoich postęпах, a to w celu wystraszenia W. Księcia ze Słonima do Mińska.

(Str. 113). Ferrand, Avertissement à l'Histoire: „mon ouvrage avait été fait il y a plus de douze ans; j'avais pensé alors à l'imprimer: je rencontra d'abord quelques obstacles, et je ne tardai pas à m'apercevoir que ces obstacles se leveraient aisément, si je voulais dans mon récit appuyer davantage sur l'injuste politique qui avait dévasté, démembré et supprimé la Pologne... Dans la confusion, où était alors (t. j. w 1808 roku) l'Europe, je ne voulais point remuer d'anciens éléments de

haine et de dissension, dont la malveillance n'aurait pas manqué de s'emparer. J'ai donc dû attendre“.

(Str. 132). Epizod puławski, — do którego zresztą sporo istnieje ułamkowych przyczynków u Wasilczykowa, Szyldera, Koźmiana, Dębickiego i t. d. — po dziś dzień niedostatecznie wyjaśniony, oświetlimy szczegółowo na innem miejscu, na podstawie niewydanych materiałów, pochodzących w pierwszym rzędzie od ks. Adama, a skąd na razie wymieniamy nadzwyczaj znamieny „Projet de manifeste contre la Prusse, septembre 1805“, świadczący o zupełnej już gotowości do urzędowego wypowiedzenia wojny Prusom.

(Str. 146 sq). Jak dalece ówczesne przedkongresowe połozenie rzeczy, w 1814 roku, równające się faktycznemu panowaniu Rosyi w zakresie wszystkich niemal ziem polskich, niepokoiło w szczególności Austryę, o tem, między innemi, świadczą dowodnie nader ciekawe relacye tajne, posyłane w tym czasie Metternichowi z Krakowa przez sprytnego agenta austriackiego, Bauma (Arch. wiedeńskie). Baum „k. k. Hofrath und Kreishauptmann in Bochnia“, używany nieraz do najpoufniejszych i najdrażliwszych zleceń w sprawach polskich, siedział wtedy w Podgórzu, w charakterze oficjalnego „komisarza gubernium galicyjskiego w Polsce“, t. j. *in partibus infidelium*, lecz umiał, jak sam zapewnia, informować się „auf geheimen Wegen“ o rzeczach krakowskich i nawet warszawskich. Baum do Metternicha, Podgórze, 16, 20 stycznia 1814: „Die Frau Gräfin Zamoyska hat sich gegen mehrere in ihrer Umgebung befindliche Damen vertraulich geäußert, ihr Bruder, der ehemalige russische Minister, Fürst Adam Czartoryski, sei in das Hoflager S. M. des Kaisers Alexander berufen worden, um S. M. den Wunsch der Nation und die Adressen der zehn Departements des Herzogthums Warschau wegen Vereinigung mit der russischen Monarchie zu Füßen zu legen, und des gewissen Erfolges sicher sei. Sie verfehlte durch das geäußerte Vertrauen ihre Absicht nicht: die Damen waren beflissen, diese wichtige Nachricht allen eifrigen Patrioten mit

dem Beisatz mitzutheilen, Fürst Adam werde sich bestreben, die getheilten polnischen Provinzen als einen selbstständigen, unter russischem Schutz stehenden, oder bloss mit dieser Monarchie verbundenen Staat erklären zu machen. Nun eilte der grösste Theil der adeligen Gutsbesitzer, durch das Beispiel der Patrioten und der Departementbeamten angeeifert, seinen Wunsch für die Vereinigung mit Russland zu äussern und die diesfalls abgefassten Erklärungen in den Bureaux der Unterpräfecten zu unterzeichnen. Schon waren die Adressen, nach einem Aufruf des warschauer Regierungsmitgliedes, Fürsten Lubecki, ausgefertigt und zum Theil eingesandt, als ganz unerwartet bei dem krakauer Präfecten eine Estafette von der warschauer ständischen Commission, oder dem sogenannten Comité, mit der Nachricht einlangte, S. M. der Kaiser Alexander hätten bei den dermaligen Verhältnissen zu beschliessen geruhet, weder eine Deputation, noch die Adressen der Nation wegen Vereinigung des Herzogthums Warschau mit dem russischen Reiche, anzunehmen... Dieser wiederholt vereitelte Versuch, die Selbstständigkeit der Nation zu behaupten, hat den Geist der Patrioten gebeugt aber nicht unterdrückt. Sie rechneten noch darauf, Danzig werde von russischen Truppen okkupirt und im Namen S. M. des Kaisers von Russland in Besitz genommen werden. Sie gingen in ihren Konjekturen noch weiter und behaupteten, jene Macht, die Danzig als den Schlüssel von Polen besitze, müsse auch Herr beider Weichselufer sein... Die alte Fürstin Czartoryska, eine bekannte Schwärmerin und exaltirte Patriotin, ist seit ihrem Aufenthalt in Krakau beschäftigt, die jungen Damen zu Aufführung einiger französischer Theaterstücke und die Geldeinlage zu Gunsten der entlassenen polnischen Truppen zu verwenden. Ich überzeugte mich gestern bei einem Diner, dass die meisten jungen Damen die Gräfinen Wodzicka, Wielowiejska u. a., von der Wuth dieser theatralischen Repräsentation bereits ergriffen sind. Es gehört wahrhaft ein sehr ernsthaftes Benehmen dazu, der seit einigen Jahren bei dem jungen Adel ganz vernach-

lässigten Bildung des Herzens und Verstandes eine andere, mehr solide Richtung zu geben“. W podobnym duchu brzmia następne doniesienia Bauma oraz innego agenta, niejakiego Lipowskiego, w 1814 i 1815 roku; do depeszy Bauma, 15 stycznia 1815, dołączona szczegółowa relacja tajna o stanie i ruchach wojsk rosyjskich i polskich na pograniczu austriackiem.

(Str. 152). W depeszy Kollera do Metternicha, Petersburg, 7 września 1814 r., znajdujemy jeszcze następujący ciekawy ustęp: „Dombrowski hat sich der besonderen Zuneigung des Kaisers nicht mehr zu erfreuen, weil er in einem Bericht an denselben sich die Bemerkung erlaubte, dass er nur die Beystimmung des Kaisers Alexander und eine geringe Geldunterstützung bedarf, um bloss mit seinen Landsleuten Pohlens Wiederherstellung gegen die Widersacher zu verfechten, welches den Kaiser beleidigte, weil Dombrowski dessen Mitwirkung entbehrlich glaubte. Seithero ist Krasinski der besondere Günstling“.

(Str. 156 sq.). O początkach karyery Lievenów za Pawła i Aleksandra por. Szylder, Paweł I, oraz Aleksander I; Brückner, Materyały o Paninie, VII; Schladena Précis u Rankego, Hardenberg, III; Bailleu, Briefwechs. Friedrich - Wilhelm III; Clausewitz, Werke, VII, 28; lichą monografię o Lievenie dał Capefigue, Diplom. européens, II. O samej Lievenowej i jej stosunkach towarzyskich w Londynie, obok apologetycznej biografii Guizota, w Mélanges biogr. et littér., ob. nowe przyczynki w Edinb. Review, 1890, Istor. Wiest., 1898, I, Revue d. d. mondes, 1899, 1901.

Co się tyczy stosunków pani Lieven do Metternicha, to ogłoszone kapitalne ułamki liryczne z korespondencyi miłosnej tych dwojga dojrzałych kochanków — gdzie np. ambasadorowa wykrzykuje jak pensyonarka: „Clément, que deviendrons nous?... je t'aimerai tous les jours de ma vie! Comme il est doux de t'aimer!“, a pięćdziesięcioletnia Ekscelecya zaklina się jak Romeo: „Je t'aime à Carlsbad comme aux pieds du

Vésuve et dans les ruines de Paestum!" — pozwalając wnioskować, że ta miłość dyplomatyczna zaczęła się na kongresie akwizgrańskim 1818 r., a skończyła na kongresie weroński 1822 r.

(Str. 162 sq.). Chateaubriand, *Mém. d'outre - tombe*, VIII ch. 37. Malmesbury, *Memoirs*, 59, 387: „She was very clever, but the greatest intrigante possible, having all her life been employed by her government as a spy. She was a great plague to our secretaries for foreign affairs“; Spencer-Walpole, *Life of J. Russell*, I, 152; Stapleton, *Corresp. of Canning*, II; Villèle, *Mém.*, V.; Stockmar, *Denkwürd.*; *Dziennik Diwowa*, Russ. Star., XCIX, 661; Martens, *Recueil*, XI; *Portfolio*, I, IV, V.

(Str. 171 sq.). Wielopolski do Małachowskiego, 27 lutego, do Platera, marzec; Walewskiego raport 8 kwietnia 1831, Lisicki IV, Barzykowski, III. Pismo Greya do Kościuszki, 1 lipca 1814, w *Recueil Angeberga*, 601. O zatargu z Palmerstonem ob. *Greville Memoirs*, II, 359, VIII, 78 sq.; Talleyrand *Mém.*, V, 324, 403 sq.; Palmerston, *Corresp.*, I, 133. Z powodu wyjazdu pani Lieven, Grey, nieco wytrzeźwiony, widocznie zaniepokoił się o losy dotychczasowej swojej z nią korespondencji i zaraz pośpieszył zastrzedz sobie bezwarunkową dyskrecję: „You see how freely I write to you, but it is only upon condition, that my letters are never seen by anybody but yourself. I have no desire that they should be preserved as materials for history. On the contrary, I must insist on your taking care that they *never* fall in to other hands“. Tymczasem wydawca niniejszego zbioru, p. Le Strange, podaje w przedmowie pewien szczegół, który rzuca właściwie światło na dyskrecję pani Lieven. Okazuje się mianowicie, że dzisiejszy hr. Grey, wnuk ministra, pierwotnie wzbraniał się udzielić zgody na ogłoszenie korespondencji dziada, która mu niewiele przynosi zaszczytu, lecz cofnął swoje *veto*, kiedy go przekonał wydawca, że na lądzie stałym znajduje się sporządzony z polecenia przewidującej księżny dosłowny odpis całej

korespondencji, — niezawisłe od wyciągów, posłanych na ręce Benckendorfa.

(Str. 181 sq.). Wasilczykow, *Rodzina Razumowskich*, IV, 586: „Pani Lieven zupełnie zastąpiła Guizotowi nieboszczkę Henryetę Razumowską... Prowadziła ona stałą korespondencję z Mikołajem I, pisywała na papierze niebieskim, i cesarz więcej dowierzał jej niebieskim liścikom, aniżeli depešom swojej ambasady paryskiej“; Kisielew, *Dziennik*, III, 413: „Guizot był uroczony przez kocie głaskania wielkoświatowej damy, przynosił jej codziennie zrana wiadomości polityczne... Sam przyglądałem się tej komedii aż do dnia śmierci Lievenowej“. Por. jeszcze *Correspondant*, 1893; Barante, *Mém.* VII. Według Guizota, 221, „elle a laissé quelques fragments de mémoires sur des événements particuliers, entre autre sur la mort de l'empereur Paul, sur le séjour des souverains coalisés à Londres en 1815, sur la fondation du royaume de Grèce, et de nombreuses correspondances“; bardzo byłoby do życzenia ogłoszenie tych dokumentów.

(Str. 209). Stan. Małachowski do Aleks. Batowskiego, Warszawa, 3 junia 1807.

(Str. 212). Pingaud, *Un agent secret, le compte d'Antraigues*, korespondent paryski Czartoryskiego figuruje tutaj bądź jako „Vannelet“, bądź jako „l'ami“. Pierwszą wskazówkę, że tym anonimem był Daru, dał Chuquet w *Revue critique*, XXXV, 438.

(Str. 215 sq.). Życiorys Stendhala w *Portraits historiques Mériméego*; studium Sainte - Beuva w *Lundis*. Sorela w *Lectures*, *Colomba Notice*; *Journal* 1801 — 1814; listy z Moskwy 4 października, z Wilna 7 grudnia 1812, *Corr. inéd.* i *Lettres intimes*; por. Chuquet, H. Beyle officier de cavalerie, na zasadzie *Archiwum wojny*; *Archiw.* 1891—2, II, III.

(Str. 246 sq.). *Politische Aufsätze*, XV, 6, 77, 121, 186, 296 sq.: „wissen Sie, was das alte Polen ist? Eine Leiche; Sie werden höchstens einige galvanische Zuckungen hervorrufen“; *Soll und Haben*, V, 155, 184 sq.; *Deutsche Ansiedler im*

schlesischen Grenzwald, XVI; XVIII 164 sq., Bilder aus der deutschen Vergangenheit, XXI, 268 sq. o zaborze Prus Zachodnich.

(Str. 261sq). Pierwsze prace autora ukazały się w rocznikach Russ. Wiest. 1885—7, jeszcze za redakcyi Katkowa; tekst oryginalny książki niniejszej — w tomach 198 i 199 tegoż wydawnictwa za 1888 r. — W najnowszym dziele: „Ród Tatiszczewów 1400—1900. Badania historyczno-genealogiczne“ (1900), autor učenje wywodzi swoje nazwisko od wyrazów „*tať*“ i „*iszczá*“ (t. j. „szukając zbrodniarza“), przyczem wyjaśnia, iż rzekomo zostało ono nadane prajcowi rodu przez W. Księcia Wasyla Dmitriewicza, jako nagroda za odkrycie spisku politycznego w Nowogrodzie, — „spisku — jak sceptycznie postrzega z tego powodu krytyk w Istor. Wiest., (1901), I, 766, — o którym przecież nic zgoła nie wiedzą dzieje“.

(Str. 372 sq.). Denkschrift an das Ministerium, 24 paźdz. 1848, Palacky, Gedenkbl., 170, 177; Otázka Polska za naši doby, I lut. 1864, Radhost, III, 143 sq.; Polit. Vermachtniss, 31 lipca 1872, 26 sq.

(Str. 379). Prostujemy przy tej okazji jedną nieścisłość dotyczącą „literackiego“ spadku po Wielopolskim. P. Spasowicz, wprowadzony w błąd przez Lisickiego, ubolewa, że nie mógł odszukać „będącej rzadkością bibliograficzną“ rozprawy „doktorskiej“ margrabiego. Owóż rzecz ta nigdy nie była ogłoszoną — bo i nie było czego ogłaszać. Czytaliśmy rękopis autograficzny tej tak zwanej rozprawy: *De idea aeternitatis*, przechowany w Archiwum uniwersyteckiem w Getyndze. Jest tego raptem sześć niespełna kartek w ósemce; treść — parafraza jednej tezy Spinozy, sposobem czysto formalnym, bez przebłyску myśli własnej, nader niefortunną w dodatku łaciną.



45,-

Specyf. wytycz. nr 1
2 dn. 12.10.73 (pneum.)
2 Antybio, 2 (leki).

45,-
A Nr 026392



C e n a

zł

45,- gr

DK - 28 d

1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Łak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 zł.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 18467



BGZs 18467